

HORYZONTY

ZDARZEŃ

ROBERT J.

# SZMIDT



## NA KRAWIEDZI ZAGŁADY

POLA DAWNO ZAPOMNIANYCH BITEW  
TOM III



REBIS



## O tomie pierwszym napisano:

„Autor kreuje łatwo przyswajalną wizję przyszłości, zbudowaną z klasycznych i dobrze znanych elementów, doprawioną odrobiną humoru, wartką akcją i zakamuflowanym nieco głębszym przesłaniem. (...) Szmidt serwuje bardzo popową, lekką lekturę z atrakcyjnym zakończeniem będącą jednocześnie obietnicą znacznie większego rozmachu i rozwinięcia zaprezentowanego świata w dalszych częściach. Warto czekać”.

www.dzikabanda.pl

„Zimny i brutalny jest wszechświat kosmicznych żołnierzy przyszłości z prozy Roberta J. Szmidta. (...) Jest misja, przymus, odpowiedzialność i smutek. I jeszcze wola przetrwania”.

Republika kobiet – Sylwia Skorstad

„Robert J. Szmidt – człowiek, od którego zaczęło się odrodzenie polskiej fantastyki w XXI wieku, który wymyślił i prowadził magazyn »Science Fiction«, kiedy wszyscy pukali się w głowę, że to totalny bezsens, wydał właśnie nową książkę. (...) To bardzo dobra, rozrywkowa space opera z ciekawymi bohaterami, wartką akcją i niepokojącymi pytaniami”.

Aleksander Kusz, szortal.com

Opinie z portalu [LubimyCzytać](#) (362 oceny, średnia ocena: 7,38/10)

„Z taką książką nawet najbardziej ponury dzień człowiekowi nie przeszkadza. Żeby nie rozwlekać: *Łatwo być Bogiem* to stara dobra fantastyka, ale napisana po filmowemu. Chwilami miałem wrażenie, że oglądam rasowe SF w kinie”.

Wojtek Grabowski

„Ta powieść zupełnie mnie nie zaskoczyła. Czemu? Bowiem po tym autorze spodziewałem się dokładnie takiej prozy: ciekawej, dynamicznej fantastyki ze znakiem wysokiej jakości, która pod wierzchnią, rozrywkową warstwą stara się pytać o rzeczy ważne i znaczące. I to właśnie w najnowszej książce Szmidta dostałem”.

Konrad

„Moim zdaniem dzięki powieści *Łatwo być Bogiem* Robert Szmidt staje w szeregu wielkich mistrzów fantastyki, takich jak Asimov, Clarke czy Aldiss. Autor serwuje nam klasyczną, twardą kosmiczną fantastykę. I okazuje się, że z takiej fantastyki się nie wyrasta. Książka jest napisana świetnym językiem – żywym, autentycznym. I naprawdę trudno odrywać się od czytania”.

McRap1972

### **O tomie drugim napisano:**

„(...) wprowadza powiew świeżości do tego gatunku. Świetni bohaterowie, dynamiczna walka, plastyczne opisy. Czego chcieć więcej? Moja ocena to 9/10”.

[Ksiazkinawieczor.blogspot.com](http://Ksiazkinawieczor.blogspot.com)

„Powiedzieć, że druga część cyklu »Pola dawno zapomnianych bitew« Roberta J. Szmidta okazała się równie dobra, jak otwierająca serię powieść *Łatwo być Bogiem*, to jawne kłamstwo. *Ucieczka z raju* okazuje się książką jeszcze lepszą, świetnie rozwijającą niektóre wątki naszkicowane wątki swojej poprzedniczki (...). Z najnowszej książki Roberta J. Szmidta jestem zadowolony jak diabli!”

Gloskultury.pl

„Szmidt w najlepszej formie – to chyba wystarczająca rekomendacja tej książki

zawarta w jednym zdaniu. Każdy fan Roberta po tej kwestii powinien sięgnąć po tę pozycję, a ci, którzy z prozą Szmidta się dotychczas nie spotkali (są tacy?), powinni nadrobić braki”.

polacyniegesi.qs.pl

„Lektura kolejnych rozdziałów jest jak zjadanie pączka: przyjemna, z każdym kęsem coraz lepsza i z czekającą wewnątrz niespodzianką. Drugi tom cyklu »Pola dawno zapomnianych bitew« potwierdza, że Robert Szmidt ma świetne pomysły i potrafi doskonale prowadzić czytelnika... na manowce”.

geek-woman.blogspot.com

Opinie z portalu [LubimyCzytać](#) (179 ocen, średnia ocena: 7,85/10)

„Polecam każdemu miłośnikowi fantastyki i science fiction! Nie zawiedziecie się, słowo harcerza!”

Wojtek Grabowski

„Fantastyczne rozwinięcie wątków zasygnalizowanych w pierwszym tomie, do tego szczypta zagadek i niesłabnąca akcja. Bohaterowie, z którymi można się zżyć i za których trzyma się kciuki, wydarzenia, które nie pozostawiają obojętnym. A to wszystko rozgrywa się w kosmosie, którego wizja nadzwyczajnie do mnie przemawia. Może dlatego, że wychowałam się na filmach space operowych, które ta książka mi przypomina? Stare dobre SF w najlepszym wydaniu! Polecam gorąco”.

Jadche

„Pełnokrwisci bohaterowie, a do tego akcja, akcja i jeszcze raz akcja. Działo się tyle, że starczyłoby na kilka książek. Intrygi, podejścia, ratowanie całych planet, wojsko, flota kosmiczna, wojna, Obcy – miodzio”.

Jacek Wesołowski

HORYZONTY

ZDARZEN



ROBERT J.  
**SZMIDT**

**NA KRAWIEDZI  
ZAGŁADY**

POLA DAWNO ZAPOMNIANYCH BITEW  
TOM III



REBIS

DOM WYDAWNICZY REBIS

# PROLOG

*System Ulietta, Sektor Zebra,*

*28.10.2354*

– Uwierzyłeś w to, że po nas wrócą?

Zabytkowa lornetka – prymitywny, w pełni mechaniczny przyrząd, którym ludzie posługiwali się w epoce, gdy przestrzeń wokół Ziemi wydawała im się ostateczną, nieprzekraczalną granicą – nie dotarła do oczu Fitz'a. Choć jej optyka była bardzo prosta, a powiększenie żałośnie małe, to tutaj, tak blisko jaskiń, dawny szef pionu badawczego kolonii nie pozwoliliby sobie na użycie jakiegokolwiek elektronicznego sprzętu.

Od rozpoczęcia ataku minęły już niemal cztery pełne doby, lecz Oliwerner nadal nie miał całkowitej pewności, czy Obcy dokończyli dzieła zniszczenia i natychmiast opuścili system, jak to mieli w zwyczaju. Wprawdzie agresorzy zachowywali się w taki właśnie sposób podczas wszystkich zarejestrowanych ataków, ale obaj – kapitan Święcki i on – zdawali sobie sprawę z jednego: Delta Ulietty mogła stanowić wyjątek od tej reguły.

Liniowce ma'lahn nigdy wcześniej nie uderzyły na tętniący życiem tlenowy świat, na którym nie wystarczyło zniszczyć infrastrukturę, by pozbawić człowieka możliwości przeżycia. Nikt więc nie mógł zaręczyć ukrywającym się w jaskiniach kolonistom, że tym razem sprawy nie potoczą się inaczej; że Obcy nie pozostaną w systemie dłużej albo że nie zejną na powierzchnię czy też że nie będą monitorować sytuacji na planecie, pozostawiając na jej orbicie sieć

uzbrojonych satelitów i sond.

Z tego właśnie powodu Fitz ustalił z Henryanem ścisły harmonogram działań. Jednym z jego kluczowych elementów było wyzbycie się przez ocalałych wszelkich urządzeń, których promieniowanie widma mogło zdradzić pozycje ukrywających się ludzi, a tych pozostało na Delcie ponad osiem tysięcy, licząc obsadę podwodnego reaktora.

– Dał mi słowo – odpowiedział wolno Oliwerner, zerkając na dawnego zastępcę, Paulissesa Brina, sześćdziesięcioletniego ciemnoskórego, skośnookiego geologa, który przed atakiem był jednym z jego najbliższych współpracowników i zarazem współautorem ryzykownego planu przeniesienia reszty kolonistów do jaskiń. – Przyleci po nas.

Tak, wierzył Świąckiemu. Nie miał wątpliwości, że dowodzący operacją ewakuacji Ulietty kapitan stanie na głowie, by ich stąd wyciągnąć. Zdawał sobie jednak sprawę, że człowiek, który obiecywał mu jak najszybszy powrót na Deltę, jest tylko niewielkim trybikiem w bezdusznej gargantuicznej maszynie floty, zatem ostateczna decyzja o wysłaniu konwoju na terytoria zajmowane przez Obcych niekoniecznie musi należeć do niego. Skrzywił się na tę myśl, jakby jej kwaśna wymowa dotarła jakimś cudem do jego kubków smakowych.

Paulisses pokręcił głową.

– A ja uwierzę, kiedy zobaczę nad horyzontem nasze wahadłowce – rzucił z niewiele weselszą miną.

W przeciwieństwie do Fitz'a od samego początku był przekonany, że ostatnich mieszkańców Deltę pozostawiono na pastwę losu. Mówił o tym wprost, bez ogródek, ale tylko wtedy, gdy znalazł się sam na sam z przełożonym. Przy reszcie kolonistów zgrywał twardego, który jest pewien rychłego ratunku i ocalenia. Podczas ostatniej fazy ewakuacji zadbał jednak o to, by do jaskiń trafiło dużo więcej liofilizowanej żywności niż trzeba. To właśnie dzięki jego zapobiegliwości pozostawionym przez Świąckiego kolonistom żarcia wystarczy na dwa albo nawet trzy miesiące, jeśli odpowiednio szybko zaczną się je racjonować.

– Nie siej defetyzmu. – Oliwerner zakończył tę wymianę zdań, przykładając okulary antycznej lornetki do oczu.

Wyszli na powierzchnię po czterech dobach, by sprawdzić, czy Obcy wykryli i zniszczyli przynęty rozmieszczone na przeciwległym krańcu szerokiej doliny. Pięćdziesięciokrotne wzmocnienie nie pozwalało dostrzec większej liczby szczegółów, ale było wystarczające, żeby Fitz zobaczył to, co powinien.

W odległości czterech kilometrów od masywu, pod którym ukryto ewakuowanych kolonistów, z morza mgieł wyłaniał się samotny szczyt. To właśnie tam, u jego podstawy, przy górnej granicy rafy – Oliwerner uważał, że nazwa ta pasuje jak ulał do ciągnących się aż po horyzont kolonii strzygorogów, najbardziej rozpowszechnionego gatunku deltańskiej fauny – zlokalizowano pierwszy z dobrze zamaskowanych obiektów: niewielki sterowiec wydrukowany tuż przed ewakuacją z ultralekkich tworzyw organicznych. Fitz potrzebował dłuższej chwili, by go namierzyć. Owalny kadłub przypominający kształtem starożytną piłkę do futbolu amerykańskiego miał tę samą barwę i fakturę co otaczające go zwierzęta, został także pokryty charakterystycznymi zgrubieniami, by oka wymalowanych na poszyciu skrzydeł wyglądały jak najbardziej naturalnie.

Otoczające go koronkowe wachlarze strzygorogów poruszały się chwiejnie na silnym wietrze niczym korony dziwacznych dwuwymiarowych drzew. Różowawe błony otoczone fioletowymi zgrubieniami kostnymi filtrowały bez ustanku przepływające przez mikropory powietrze, wyławiając każde nasiono, każdy ułomek innego osobnika, każdą cząstkę nadającą się do strawienia. Tylko w ten sposób osiadłe na rafie organizmy mogły zdobyć pożywienie. A potrzebowały go sporo, by utrzymać w dobrej kondycji liczące nawet po kilka metrów wachlarzowate skrzydła.

– Numer jeden nietknięty – mruknął z satysfakcją Fitz, kierując te słowa do zastępcy.

– Świetnie. To znaczy, że ich sondy nie zwracają uwagi na przedmioty wykonane z tworzyw organicznych, na których nie ma żadnej elektroniki –



rzucił w odpowiedzi Brin.

Oliwerner miał już na końcu języka kąśliwą odpowiedź, że Obcy mogą być podobni do ludzi i nie przykładać się do roboty jak trzeba, ale nagle dotarło do niego, że skanowaniem powierzchni planety zajmują się z pewnością roboty i komputery, które trudno podejrzewać o lenistwo.

Druga przynęta znajdowała się w odległości siedmiu kilometrów. Była to maszyna zrobiona z tworzyw sztucznych, wyposażona w dwa staromodne, mało wydajne silniki elektryczne. Jeśli i ona... – pomyślał Fitz i zmełł w ustach przekleństwo. Choć punkt, którego szukał, był bardziej oddalony, żadnych problemów nie nastąpiło namierzenie sterowca. A raczej wypatrzenie miejsca, w którym został uprzednio zawieszony. W stromym klifie skalnego masywu i w samej rafie ział wielki, czarny, wryty pociskiem kinetycznym krater.

– I to by było na tyle – stwierdził, odkładając lornetkę.

Nie musiał wyszukiwać kolejnych przynęt. Każda z nich była bardziej zmechanizowana i sztuczna, a przez to łatwiejsza do wykrycia przez skanery. Rozmieszczając je na obrzeżach doliny, chcieli sprawdzić, jak bardzo będą musieli uważać po wyjściu z jaskiń, gdyby Obcy mimo wszystko postanowili pilnować opuszczonego przez ludzi raję.

Na razie wiele wskazywało na to, że ocaleni mogą zapomnieć o używaniu pojazdów napędzanych mechanicznie, nawet jeśli zostały one wyposażone w archaiczne silniki elektryczne.

Brin przytaknął, nie odrywając wzroku od horyzontu na południowym wschodzie.

Gdzieś tam, niemal dwa tysiące kilometrów od jaskiń, znajdowała się kolonia, a raczej to, co z niej zostało. Jeśli Świątki nie zorganizuje wyprawy ratunkowej...

Fitz spojrział na zegarek, kolejny mechaniczny relikwiarz epoki prekosmicznej, także wykonany dzięki ultraprecyzyjnym drukarkom korporacji.

– Mamy jeszcze minutę.

Obaj zwrócili spojrzenia na zachód.

Pozostało im już tylko jedno. Musieli poczekać, aż uaktywni się szóstka ukrytych w głębokiej sztolni sond. Urządzenia te wystartują dokładnie za pięćdziesiąt dwie sekundy, wzniosą się na pułap sześciu tysięcy metrów, by nadawać stamtąd komunikaty kierunkowe do fikcyjnej bazy umiejscowionej pośrodku wyjątkowo bujnej rafy, położonej w odległości ponad czterdziestu kilometrów od jaskiń. Jeśli ma'lahn pozostali w systemie, powinni na to zareagować.

– Teraz!

Nie mogli zobaczyć ani usłyszeć startu niewielkich maszyn korzystających z napędu grawitacyjnego. Mimo to spoglądali w stronę majaczących za horyzontem sinich szczytów, trzymając kciuki w nadziei, że spokoju pogórza nie zakłóci w najbliższym czasie żaden błysk, żaden dźwięk. Oczekiwanie mogło potrwać nawet do stu czterech godzin, jeśli odlatujący z systemu Obcy znajdowali się aktualnie w pobliżu wylotu studni grawitacyjnej, jednakże ludzie byli na to przygotowani. Zamierzali pełnić warty na tej grani na zmiany, aczkolwiek nie tutaj, na gołych skałach, gdzie ich widma byłyby widoczne jak na dłoni, lecz kilkaset metrów niżej, na granicy rafy, gdzie wykuto w skałach dobrze zamaskowaną strażnicę.

– Wracaj do naszych – rzucił Fitz, który miał stanąć na warcie pierwszy. – Powiedz ludziom, jak wygląda sytua...

Nie zdążył dokończyć zdania. Odległą, przypominającą nieregularną piramidę górę rozświetlił jasny błysk. Oliwerner spoglądał właśnie w tamtym kierunku, zatem gdy zacisnął mocno powieki, zobaczył odbity na nich ślad. Od wielkiej plamy pośrodku biegła do góry, pod pewnym kątem, długa prosta linia.

Paulisses, którego wzrok został oszczędzony, przypadł odruchowo do skał, jakby się obawiał, że moc odległej eksplozji zmiecie ich z tej półki i ciśnie w kilometrową przepaść.

– A to skurwyklony! – wysyczał, wodząc spojrzeniem po zasnutym gęstymi chmurami niebie.

# **Część pierwsza**

## **ROZDROŻA**

# JEDEN

*System Anzio, Sektor Zebra,*

*29.10.2354*

– Wykluczone. – Rutta nie podniósł głosu, choć musiał po raz dwudziesty odpowiadać na tę samą prośbę. A może i trzydziesty, jeśli liczyć wcześniejsze pisemne kontakty ze Święckim. – I na tym zakończmy definitywnie tę sprawę – dodał.

– Obawiam się, generale, że nie widzę takiej opcji – wycedził Henryan.

– Może mi pan wytłumaczyć, kapitanie, dlaczego za każdym razem, gdy z panem rozmawiam, mam wrażenie *déjà vu*?

W przeciwieństwie do byłego pułkownika i wbrew zapewnieniom członków Rady obiecany awans Święckiego wciąż nie został oficjalnie zatwierdzony, a w każdym razie informacje o tym nie dotarły jeszcze do sztabu trzeciego metasektora.

– Nie dziwię się, generale. W kółko maglujemy ten sam temat.

– Co robimy? – zdumiał się Rutta.

– To jedno z powiedzonek mojego ojca, sir. Jeśli dobrze pamiętam, chodzi o...

– Nieważne – przerwał mu obcesowo przełożony. – Mam lepsze zajęcia niż słuchanie wyjaśnień nikomu nieznanym, archaicznym porzekadeł. Pańska prośba...

– Moje żądanie – poprawił go beznamietnym tonem kapitan.

– Pańska prośba – powtórzył Rutta, nie kryjąc rozdrażnienia – została



oddalona. De-fi-ni-tyw-nie – podkreślił. – Farland zapowiedział mi dzisiaj rano, że jeśli jeszcze raz zobaczy to nagranie, osobiście zadba, by przeniesiono pana na pierwszy lepszy niszczyciel i pozbawiono dostępu do systemu łączności sztabowej. Chce pan tego, kapitanie? – zaakcentował ostatnie słowo, jakby próbował uzmysłwić Świątkiemu, gdzie może, choć nie musi, tkwić przyczyna opóźnienia awansu.

– Nie chcę, sir, ale jak pan zapewne pamięta, dałem tym ludziom...

Wysoko uniesiona dłoń generała uciszyła go, zanim dokończył.

– Nie powinien pan obiecywać czegoś, co tak dalece wykracza poza pańskie kompetencje.

– Sądziłem...

– Jeszcze nie skończyłem, kapitanie! – Tym razem w tonie przełożonego dało się wykryć coś więcej niż tylko cień gniewu. – Zlecono panu dowodzenie ważną misją ewakuacyjną, ponieważ jest pan inteligentnym i sumiennym oficerem. Proszę mi przypomnieć, na ile admiralicja oszacowała powodzenie ewakuacji Ulietty? Czterdzieści pięć, pięćdziesiąt procent?

– Pięćdziesiąt sześć, generale.

– Właśnie, a panu udało się, wprawdzie w nieco nieregulaminowy sposób, ewakuować ponad dziewięćdziesiąt pięć procent kolonistów. Ocalił pan sto pięćdziesiąt tysięcy ludzi więcej, niż od pana wymagano, a panu nadal coś nie pasuje?

– To „coś” ma twarze ośmiu tysięcy pozostawionych na Delcie mężczyzn i kobiet, generale.

Rutta westchnął ciężko. Czas zmienić podejście.

– Zrozum mnie, człowieku – rzucił, przełknąwszy dziwnie gęstą ślinę. – Nie jestem w stanie przeforsować twojego planu, a próbowałem, możesz mi wierzyć. Farland też pociągnął za kilka sznurków, ponieważ go wczoraj o to poprosiłem, choć nie powinienem... – Zamilkł na moment, jakby zbierał myśli. – Masz rację co do jednego: oni tam, na górze – wskazał palcem sufit kajuty, mając na myśli znajdującą się setki lat świetlnych od stacji, choć niekoniecznie w tym kierunku,

admiralicję – patrząc codziennie na nowe raporty i tabele, nie widzą w nich, jak my, znanych sobie ludzi, lecz suche dane. Liczby, statystyki. Ba, nie obchodzi ich, że każda pozycja po stronie strat oznacza czyjąś osobistą tragedię, kolejne zmarnowane życie. Tak jest i choć się z tym nie zgadzasz, tak musi być. W końcu to jest wojna, w ostatecznym rozrachunku liczy się coś więcej niż dobro jednostek... – widząc, że Święcki otwiera usta, nie dał sobie przerwać i by podwładny nie wybił go z rytmu, dodał szybko: – ...nawet jeśli są ich tysiące. Nawet gdyby były ich setki tysięcy lub miliony. Tak, wiem, jak to brzmi, ale na tym właśnie polega robota ludzi odpowiedzialnych za planowanie operacyjne i strategię. Tysiąc ofiar to mniej niż dziesięć tysięcy. Lepiej poświęcić milion kolonistów z trudnych do ewakuowania planet, niż stracić przez to dwa miliony istnień. Tak się to liczy. Ty podchodzisz do kwestii Ulietty osobiście, ponieważ poznałeś ludzi kryjących się za tymi liczbami, ponieważ dałeś pozostawionym kolonistom słowo honoru, jednakże dla admiralicji rachunek jest prosty. Ryzyko wysłania na Deltę konwoju w sytuacji, gdy nie mamy bladego pojęcia, czy ktokolwiek przetrwał atak – znów uniósł dłoń, by uciszyć protest kapitana – bo tego nikt dzisiaj nie może z całą pewnością wiedzieć, jest zbyt duże. W ciągu czterech dni, jakie minęły od waszego odlotu z Deltą, sondy Obcych pojawiły się w kolejnych dwudziestu dwóch systemach. T'iru starły z powierzchni planet sześć kolonii, w tym jedną niezwykle cenną kopalnię metali ziem rzadkich w wewnętrznym pasie asteroid Tantała XIV. Tylko w te cztery dni na Rubieżach zginęło ponad trzydzieści tysięcy ludzi. Straciliśmy ich pomimo wysiłków wielu ekip ewakuacyjnych. Może nie tak heroicznych jak twoje, ale... – Generał zamilkł na moment, jakby straciwszy wątek. – Prawda jest taka, że nie mamy sił ani środków, aby przenieść wszystkich ludzi znajdujących się w strefie zagrożenia, a pan, kapitanie – widząc po minie Święckiego, że przydługi wykład odniósł skutek, Rutta wrócił do oficjalnej tytulatury – pan nalega, byśmy dali panu transportowce, nie mówiąc o okrętach eskorty, i posłali je na wskroś systemów kontrolowanych przez wroga aż do pasa U po ludzi, którzy mogą już dawno nie żyć.

– Jestem pewien, że... – wybąkał Henryan.

– Proszę mi nie przerywać! – Generał podniósł głos, przejmując ponownie inicjatywę. – Zdaje pan sobie sprawę z tego, że nasi sztabowcy uważają, iż Obcy nie pozostawili podbitych terytoriów bez kontroli? – Święcki przytaknął, choć z ociąganiem. Również był zdania, że żaden szanujący się strateg nie popełniłby tak podstawowego błędu, wyliczył jednak, że zdąży dolecieć na Uliette, zanim wróg zareaguje, i wyraźnie zaznaczył to w przesłanych dokumentach. Nie rozumiał więc, dlaczego Rutta przywołuje akurat ten argument. – Pański konwój – kontynuował tymczasem ze spokojem generał – żeby dostać się na Uliette, musiałby wykonać trzy skoki przez odebrane nam już systemy. Jak pan sądzi, kapitanie, gdzie zostalibyście przejęci? Na pewno nie na Smaugu, ale co do Torusa nie byłbym już taki pewny... – Rutta zawiesił znacząco głos.

– Wziąłem to pod uwagę w swoich obliczeniach – oświadczył z przekonaniem Święcki. – Na Smaugu będziemy tylko przez trzy godziny. Lot na Torusa potrwa szesnaście standardówek, do tego dochodzi jeszcze kwadrans na drugi transfer i czas skoku na Uliette, czyli kolejne czternaście godzin. Jak pan widzi, pojawilibyśmy się w systemie docelowym trzydzieści trzy godziny po ewentualnym wykryciu przez czujniki ma'lahn na Smaugu i około czternastu godzin po ustaleniu przez wroga prawdziwego celu moich okrętów, a to...

– Świetny plan – zadrwił generał, spoglądając na Henryana z niezwiastującym niczego dobrego krzywym uśmiechem – przy założeniu, rzecz jasna, że Obcy są skończonymi debilami i faktycznie potrzebują czterdziestu paru godzin na reakcję.

– Do tej pory tyle potrzebowali. Nic też nie wskazuje, by w tym wypadku miało być inaczej. – Święcki nadal był pewny swego, choć poczuł pierwsze ukłucie niepokoju, dostrzegając cień rozbawienia na twarzy przełożonego.

– Naprawdę? – Rutta założył ręce za plecy i zakołysał się na obcasach jak sierżant stający przed rekrutem, któremu należy się zasłużony opieprz. – A nie przyszło panu do głowy, kapitanie, że w takiej sytuacji ma'lahn mogą wysłać przeciw wam t'iru skierowane wcześniej na inny cel? Powiedzmy... – pochylił

się, by aktywować mapę sektora, a potem znów wyprostował plecy i z jeszcze szerszym uśmiechem dodał: – ...na Romulusa V, gdzie okręty Obcych są spodziewane za... – rzucił okiem na zegar – plus minus czterdzieści godzin standardowych? Jeśli dobrze liczę, gdybyście wyruszyli teraz, wasz przelot przez Torusa VI zbiegłby się z ich tranzytem przez Vickersa X – wymówił obie nazwy bardzo wolno i wyraźnie – co z kolei oznacza, że mogą tam zostać poinformowani o obecności pańskiej eskadry i o celu jej lotu. A stamtąd dolecą na Uliettę w... nieco ponad jedenaście godzin. W najbardziej niesprzyjających okolicznościach mogą więc dotrzeć do celu całe trzy godziny przed wami.

– Nigdy wcześniej... – zaczął Henryan, ale zaraz umilkł, czując gorąco rozlewające się po karku i twarzy. Nie wziął tego czynnika pod uwagę, ponieważ Obcy do tej pory ani razu nie uczynili odstępstwa od planu. Działali metodycznie, jakby ich poczynaniami kierowały komputery. Z drugiej strony ma'lahn jak dotąd nie musieli reagować na podobne ruchy uciekających przed nimi ludzi...

Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej przekonywała go argumentacja przełożonego. Nie zamierzał jednak odpuszczać. To było tylko założenie, nie pewnik.

– Odrzuciłem tę wersję zdarzeń jako mało prawdopodobną, generale – podjął, jednakże już nie tak hardo jak przedtem. – Poza tym w razie bezpośredniego zagrożenia zawsze możemy przerwać misję i zawrócić.

Rutta pokiwał głową, nie odrywając wzroku od mapy.

– A jeśli będą czekali na was przy samym punkcie skoku, tak jak pan na nich podczas ewakuacji Ulietty?

Święcki przełknął ślinę. Rutta trafił celnie. Obcy mogliby zastosować manewr, którego sam ich nauczył. „Mogliby” nie znaczy jednak...

– Zabezpieczyłbym się, wydając jednostkom rozkaz przekierowania całej mocy na ekrany czołowe oraz w razie wykrycia wroga w rejonie wylotu studni grawitacyjnej wykonania natychmiastowego skoku w podprzestrzeń. Ponieważ nie zamierzałem wdawać się w walkę, przy wcześniejszym wprowadzeniu



danych zniknęlibyśmy, zanim zrobiłoby się naprawdę gorąco. Straty byłyby... co najwyżej minimalne.

– Tak... – Ręce generała znów zawędrowały za plecy. – Jeśli daliby wam te dwanaście sekund potrzebnych na rozgrzanie akceleratorów, co jest mocno wątpliwe. Ale założmy, że byliby tak głupi. Skaczecie i co dalej?

– Nic. – Henryan wzruszył ramionami. – Każda jednostka wróciłaby do bazy na własną rękę.

– Rozumiem. Ile potrzebowałyby na to czasu?

– Nie znam dokładnych parametrów wyjściowych pierwszego skoku – zastrzegł się Henryan – więc nie mogę odpowiedzieć na tak postawione pytanie.

– Z grubsza licząc – nie ustępował generał.

Święcki wykonał kilka działań w myślach.

– Sześć do ośmiu dni standardowych.

– W najlepszym razie sześć dni, powiada pan, kapitanie – powtórzył Rutta, rozciągając wargi w uśmiechu. – Czyli nie byłoby ich tutaj w sumie osiem dni, jeśli doliczymy czas potrzebny na dotarcie do punktu skoku na Torusie, albo nawet dziesięć, jeśli weźmiemy pod uwagę bardziej wyważone szacunki. Dziesięć dni standardowych, podczas których przekazane pod pańskie dowództwo transportowce mogłyby ewakuować... – teraz Rutta musiał coś przeliczyć w pamięci – ...mieszkańców sześciu innych systemów, czyli jakieś czterdzieści do pięćdziesięciu tysięcy osób, ale nie zrobią tego, skazując tych ludzi na pewną śmierć, ponieważ wezmą udział w wyprawie po kolonistów, którzy równie dobrze mogą już być martwi. Czy rozumie pan teraz, dlaczego jakiś stary pierdziel z admiralicji, któremu zlecono analizę pańskiego planu, uznał, że z perspektywy dowództwa i tej wojny nie ma on najmniejszego sensu?

– Generał spoważniał w sekundzie. – Z jednej strony mamy osiem tysięcy czekających na ratunek kolonistów, którzy... pozwoli pan, że powtórzę... mogą już nie żyć, oraz bardzo wysokie prawdopodobieństwo utraty kilku niezwykle cennych transportowców podczas ryzykownej operacji ratunkowej, a z drugiej pięćdziesiąt tysięcy ludzi, których te same jednostki przetransportują

bezpiecznie dwa pasy dalej, do stref, od jakich udało się, przynajmniej chwilowo, odciągnąć wroga, by stamtąd mogli trafić transportem cywilnym nawet na drugi kraniec podbitej przez nas przestrzeni, gdzie będą w spokoju żyć i pracować na nasze przyszłe zwycięstwo. Jakiego wyboru dokonałby pan, kapitanie, mając przed sobą takie dane?

Henryan milczał. Od początku zdawał sobie sprawę, że nie będzie łatwo, poza tym była to dla niego, jak słusznie zauważył przełożony, sprawa osobista. Złożył obietnicę, z której nadal zamierzał się wywiązać.

– Gdybym miał wybór, nie przyjąłbym pracy polegającej na podejmowaniu podobnych decyzji – odpowiedział zdławionym głosem, czując gorycz przegranej.

– Wojna, kapitanie, jest nieprzerwanym ciągiem nieskończenie okrutnych czynów, ale ani ja, ani tym bardziej pan nie zdołamy tego zmienić. Jedyne, co możemy zrobić, to służyć jak najlepiej naszej sprawie. – Rutta spojrzał Świątkiemu prosto w oczy. – Powiem to panu raz, proszę więc mnie słuchać uważnie. Nie posłałem pana do diabła na samym wstępie tylko dlatego, że zaimponował mi pan swoją postawą na Ulietcie. Tak, podziwiam pański upór w dążeniu do celu i pomysłowość, która pozwala panu dopinać swego, ale... są pewne granice, których nie wolno mi przekroczyć, choć naprawdę gorąco panu kibicuję. I nie tylko ja zresztą. Zrobiliśmy z Farlandem co w naszej mocy, by panu pomóc, może mi pan wierzyć, ale to, o co pan prosi, jest zwyczajnie niewykonalne. W każdym razie nie tutaj i nie teraz. Potrzebujemy jeszcze co najmniej pół roku i ewakuacji paru miliardów kolonistów, zanim będziemy gotowi do podjęcia wyrównanej walki z wrogiem. A z każdym tygodniem będzie gorzej. Musi pan mieć świadomość, że w ciągu nadchodzących miesięcy zginą miliony, a kto wie, czy nie dziesiątki milionów ludzi. Obcy zabiją ich, choćbyśmy wypruli sobie żyły, dokonując podobnych cudów jak pan na Delcie. To nieuniknione, dlatego... Dlatego czasem lepiej odpuścić.

– Dałem im słowo... – zaczął niepewnie Świącki, ale niemal natychmiast zamilkł, słysząc, że komunikator przełożonego ożył.

Rutta pochylił się nad konsolą komputera, na moment tylko, lecz i tak gdy prostował plecy, wydawał się bledszy niż jeszcze przed chwilą, choć wrażenie to mogła potęgować poświata bijąca od włączonego holoprojektora.

– ...i nie dotrzyma go pan, kapitanie – generał dokończył przerwana wypowiedź podkomendnego – ponieważ nasi przełożeni nie wyrazili zgody na realizację pańskiego planu. Zatem to nie pan ponosi winę za złamanie obietnicy.

– To nie takie proste, jak by się wydawało.

– Wiem, ale zapewniam pana, że choć dzisiaj czuje się pan jak skończony szubrawiec, za miesiąc nie będzie pan nawet pamiętał o tych ludziach – oznajmił Rutta.

Henryan posłał mu jadowite spojrzenie i wycedził przez zęby:

– Wątpię.

– Ręczę za to głową. W najbliższym czasie będziemy musieli podjąć wiele gorszych decyzji. Pan, ja i wszyscy, których znamy.

– Nie rozumiem...

Rutta uśmiechnął się bez cienia radości.

– Właśnie otrzymałem informację, że Rada zdecydowała o bezzwłocznej ewakuacji Warszawy.

Święcki drgnął, słysząc znajomą nazwę. Flota i admiralicja robiły wszystko, aby odciągnąć t'iru od jedynego – jeśli nie liczyć Deltę Ulietty, rzecz jasna – systemu z planetą tlenową w zewnętrznych pasach Rubieży. Z tego, co Henryan wiedział, Obcy na razie dali się zwieść, ale... prędzej czy później odkryją prawdę. Ma'lahn kierowali się do tej pory na źródła najaktywniejszych transmisji, atakując i doszczętnie niszcząc duże, choć całkowicie wyludnione fałszywe kolonie, dzięki czemu nie zwracali uwagi na sam skraj ramienia i znajdujące się tam największe skupisko ludności w tej części metasektora. Szczęście nie mogło jednak trwać wiecznie, zatem reakcja Rady wydawała się uzasadniona, aczkolwiek Święcki, gdyby pozwolono mu decydować, wydałby ten rozkaz dopiero za jakiś czas. Chyba że o czymś nie wiedział...

– Skąd ten nagły pośpiech? – zapytał, nie mając wielkich nadziei na

wyjaśnienia.

– Wygląda na to, że wojna wkroczyła w nową fazę – odparł zamyślony Rutta.  
– W pasie Z pojawiły się nowe sondy Obcych. Są ich dziesiątki. W ciągu ostatnich trzech godzin straciliśmy stacje przekaźnikowe w czterdziestu dwóch systemach tranzytowych, a podejrzewam, że to dopiero początek problemów.

– Czy... – zaczął ostrożnie Święcki.

– Nie – odpowiedział Rutta, jakby czytając mu w myślach. – Nie przydzielono pana do operacji Warszawa. Zostaje pan w Sektorze Sierra. Odprawa dowództwa trzeciej floty za kwadrans. Za godzinę mamy opublikować nowy harmonogram misji. Tak jak mówiłem, będzie naprawdę źle.

Henryan przyjął tę informację zdawkowym skinieniem głowy.

– Damy radę.

– Nie wątpię, ale tym razem czeka pana dodatkowa trudność – oświadczył generał, wracając wzrokiem do wyświetlacza komunikatora, na który spływały kolejne dokumenty. – Admiralicja odbiera panu cztery transportowce.

– Ale... – Święcki zaniemówił.

Z dziesięciu okrętów tej klasy, jakimi dysponował, zostanie mu sześć, a zadań, podobnie jak wymagań, na pewno nie ubędzie.

– I tak został pan potraktowany ulgowo – zapewnił go Rutta. – Z tego, co widzę, kapitanie, większość eskadr ewakuacyjnych została okrojona o sześćdziesiąt do siedemdziesięciu procent stanu sprzętowego. Dajemy wszystko, co możemy, na Warszawę. Bezpośrednie polecenie Rady. Zrozumiano?

– Tak jest.

– W takim razie... – Generał wskazał mu wyjście. Henryan zasalutował, zebrał się w sobie, ale mimo to pozostał na miejscu. – Coś jeszcze? – Rutta zmierzył go zdziwionym wzrokiem.

– Gdybym przyszedł kwadrans później, mógłby mi pan oszczędzić tego kazania – rzucił Święcki, zebrawszy myśli.

– Owszem, mógłbym – przyznał przełożony – ale i tak by je pan usłyszał.



Chciałem, by dotarło do pana, że bez względu na okoliczności nie otrzymałby pan zgody na tę operację. Chciałem też, żeby pan zrozumiał, iż my, trepy, nie jesteśmy aż tak wielkimi skurwyklonami, za jakich pan nas ma. A w każdym razie przynajmniej niektórzy z nas nie zasługują na to miano.

– Ja...

– Dajmy już spokój, kapitanie. Za moment zacznie się niezła jazda, która potrwa co najmniej kilka tygodni. Proszę się skupić na nowych zadaniach i jak najmniej myśleć o Delcie. Nie żartowałem, mówiąc o okropieństwach, jakich będziemy świadkami. Przy tak okrojonym sprzęcie i wąskich ramach czasowych...

– Zrobię co w mojej mocy! – Ta deklaracja powinna zabrzmieć dobitniej, lecz Henryan nie umiał wykrzesać z siebie nawet krzty animuszu.

– Wiem, kapitanie. Może pan odejść! – Rutta odpowiedział na kolejny salut i odprowadził wzrokiem podwładnego, który niepewnym krokiem kierował się do wjazdu. – Jeszcze jedno... – dodał, zanim Święcki przekroczył próg.

– Słucham, generale?

– Dobra rada, kapitanie. Pozaregulaminowa. Kolonia na Delcie należała do megakorporacji. Zrobił pan dla niej wiele dobrego, zaoszczędził pan jej także mnóstwa pieniędzy. Proszę to wykorzystać. Proszę odszukać ocalonych ważniaków z Ulietty i porozmawiać z nimi. Może EB szarpnie się na własną misję ratunkową. Znając realia, nie oczekiwałbym od właściciela tej firmy zbyt wiele, ale kto wie... Ma pan przecież niezłego asa w rękawie.

– Asa? – zdziwił się Henryan.

– Hałdy rudy pozostawionej w kraterze – odpowiedział mu Rutta. – Szefostwo EB nie miało dostępu do pańskich raportów...

– Nie byłbym tego taki pewny – mruknął Henryan.

Ktoś przecież uprzedził zarząd kolonii o grożącym niebezpieczeństwie, umożliwiając lokalnym prezesom ucieczkę na dwa dni przed ogłoszeniem ewakuacji. Taki cynk mógł dać tylko informator mający dostęp do najtajniejszych danych. Na przykład jakiś skorumpowany admirał...

– Gdyby zapytał mnie pan o zdanie, powiedziałbym, że nasi przełożeni pragną tej rudy bardziej od jej prawowitych właścicieli – zasugerował generał. – Z tego, co wiem, pański raport jest w tym momencie jedynym dokumentem, z którego można wywnioskować, że składy na księżycu Deltę ocalały. Po śmierci dyrektora Dupree i jego ekipy prawdę znamy tylko my: pan, Farland i ja.

– Dziękuję za dobrą radę, generale.

Święcki zsalutował raz jeszcze, tym bardziej z większą werwą. Chyba pojaśniał też na twarzy, choć tego Rutta nie był już pewny. Właz zasunął się zbyt szybko, by zdążyć się przyjrzeć obliczu podwładnego.

# DWA

Święcki zatrzymał się na rozwidleniu centralnego korytarza sześćset piętnastego poziomu stacji. W głowie wciąż dźwięczały mu słowa Rutty, który powiedział na odchodnym, że nowe harmonogramy będą gotowe dopiero za godzinę. Sprawdził czas. Znając realia, mógł być pewien, że rozkazy trafią do komunikatorów dowódców eskadr zaraz po zakończeniu odprawy, czyli za mniej niż trzy kwadransy.

To jednak powinno wystarczyć...

Ponieważ na razie nie ogłoszono alarmu, nie musiał gnać na złamanie karku do doków, by wrócić na pokład *Cervantesa*. Rozejrzał się, przy obłej ścianie rozwidlenia dostrzegł wieloterminalowy punkt dostępu. Trzy z dziesięciu wyświetlaczy były wolne, nie, już tylko dwa, w czasie, gdy się zastanawiał, przed skrajnym stanowiskiem po prawej stanęła wysoka, szczupła kobieta w białym uniformie.

Tej rozmowy nie powinien prowadzić z osobistego komunikatora, stojąc w tłumie. Ruszył zdecydowanym krokiem ku ostatnim, sąsiadującym ze sobą, wolnym stanowiskom. Na szczęście nikt go nie uprzedził. Otworzył dostęp do sieci komunikacyjnej, wykorzystując sztabowy kod dostępu, czym nagiął nieco wewnętrzne przepisy. Na pewno zbierze za to opieprz po najbliższej kontroli. Zaryzykował jednak karę, gdyż bardzo zależało mu na czasie. Poza tym miał niemal całkowitą pewność, że w najbliższym czasie będzie zbyt zajęty ewakuowaniem ludzi z zagrożonych systemów, by wubecja zawracała mu głowę jakimiś pierdołami, a za kilka tygodni czarnym nawarstwi się tyle nowych

spraw, iż to drobne wykroczenie zostanie mu odpuszczone. A jeśli stanie się inaczej, poprosi Poetzego, by ukręcił łeb aferze.

Otoczony kokonem ekranu izolacyjnego sprawdził w wyszukiwarce, czy EB ma swoje przedstawicielstwo w komercyjnej części kompleksu sztabowego. Zdziwiłby się, gdyby tak duża korporacja nie zainwestowała w dostęp do najważniejszych decydentów w mundurach, i słusznie: firma otworzyła na stacji aż dwa biura. W pierwszym mieściło się centrum rekrutacyjne i informacyjne, w drugim urzędował dyrektor generalny zarządu na Rubieże. Po krótkim wahaniu Święcki wybrał tę drugą opcję. Przebijanie się przez kolejnych urzędników, którzy przy pierwszym problemie każą człowiekowi czekać na linii, ponieważ muszą zapytać przełożonego, trwałoby zbyt długo, a czas uciekał.

– Sekretariat dyrektora generalnego, w czym mogę pomóc? – Kobieta, którą zobaczył na ekranie, była jeszcze bardziej atrakcyjna, niż sugerował to jej zmysłowy głos.

EB wiedziało, co robi, zatrudniając ją na tym stanowisku.

– Mówi kapitan Święcki ze sztabu trzeciego metasektora – przedstawił się zwięźle. Formalnie należał wciąż do struktur dowództwa, gdyż w panującym ostatnio zamieszaniu nie zdążył odebrać odwołania ze stanowiska oficjalnego doradcy Rutty. – Muszę skontaktować się pilnie z menadżerem trzeciego szczebla Ninadine Truffaut, ostatnio zatrudnioną w waszej kolonii na Delcie Ulietty.

Sekretarka dyrektora generalnego uśmiechnęła się do niego, tym razem bardzo sztucznie.

– Takie sprawy załatwia się przez biuro informacyjne, kapitanie. Pan dyrektor...

– Wiem – przerwał jej. – Niestety ta sprawa dotyczy kwestii bezpieczeństwa, a nie chcę fatygować chłopaków z wydziału... – zawiesił głos.

Niewypowiedziane groźby są najskuteczniejsze, z tego, co pamiętał. Nie widział, czy asystentka dyrektora pobladła na samo wspomnienie wubecji, ponieważ gruby makijaż skrzętnie ukrył ten fakt. Za to wyraz jej oczu zdradzał

wszystko.

– Rozumiem. Ninadine Truffaut... – powtórzyła, wprowadzając kilka komend do komputera znajdującego się poza polem widzenia. Gdy ponownie spojrzała w obiektyw komunikatora, z jej oczu zniknęła obawa, widać w nich było za to przygnębienie. – Przykro mi, kapitanie, ale panna Truffaut... – głos jej zadrżał – ...figuruje w rejestrze osób zaginionych.

– Zaginionych? – Henryan zrobił wielkie oczy. – Nie rozumiem.

– Z tego, co widzę, w naszej placówce na Delcie Ulietty doszło do jakiejś katastrofy... – Głos jej się łamał, gdy rzucała w jego kierunku kolejne szybkie spojrzenia.

Święcki zdał sobie sprawę, że ludzie z EB w tym metasektorze, może z wyjątkiem dyrektora generalnego i paru innych decydentów korporacji, nie mają bladego pojęcia, co się dzieje na Rubieżach. Blokada transmisji z Terytoriów Zewnętrznych, nałożona natychmiast po pierwszym incydencie, była idealnie szczelna. Nie zamierzał tego zmieniać.

– Supernowa – rzucił tonem wyjaśnienia. – Totalnie niespodziewana sprawa.

Każdy, kto ma choć blade pojęcie o astrofizyce, wyśmiałby go w tym momencie. Henryan zakładał jednak, że jego rozmówczynie nie zatrudniono na stanowisku sekretarki z powodu pogłębionej znajomości tej akurat dziedziny wiedzy.

– Jeju... – Asystentka wróciła wzrokiem do ekranu. Zadbane dłonie o niesamowicie długich paznokciach musnęły wirtualną klawiaturę. – O, nie... Sto osiemdziesiąt sześć tysięcy ofiar... – Głos załamał jej się kompletnie.

– Słucham? – Święcki był w nie mniejszym szoku. – Ile?

– Tam zginęło prawie dwieście tysięcy naszych pracowników... – Kręciła głową, jakby nie mogła uwierzyć w to, co widzi na ekranie wyświetlacza. – Ponad połowa załogi...

– To nieporozumienie – zapewnił ją Henryan, gorączkowo się zastanawiając, skąd EB może mieć te wyliczenia. Ktoś nie uwzględnił danych dotyczących ludzi ewakuowanych w habitatach masowca. Z drugiej strony cholera wie, gdzie

i kiedy trafili, możliwe, że raporty w tej sprawie dopiero nadejdą. – Może mi pani wierzyć. Wiem, co mówię. Dowodziłem akcją ewakuacyjną tego systemu. Zabraliśmy z planety i z księżycy wszystkich ludzi... niemal.

Niemal... To jedno słowo miało twarze ośmiu tysięcy pozostawionych na pewną śmierć mężczyzn i kobiet.

Znowu spojrzała na niego, tym razem jakoś dziwnie.

– Naprawdę?

– Panno Levante, potrzebuję... – Asystentka wzdrygnęła się, gdy zza jej pleców dobiegł nosowy męski głos. Moment później w polu widzenia Świąckiego pojawił się niemłody już i bardzo otyły mężczyzna w nienagannie skrojonym marynarkerze. – O co chodzi? – zapytał ostro, gdy zobaczył, z kim rozmawia jego sekretarka.

– Pan kapitan... – kobieta przełknęła nerwowo ślinę – ...chciał się skontaktować z jedną z naszych pracownic.

– Od tego jest dział informacji w biurze rekrutacyjnym – warknął jej szef.

– Ale... – Panna Levante denerwowała się coraz bardziej. – Kapitanowi chodzi o osobę... która zginęła na Delcie Ulietty. To znaczy podobno nie zginęła, ponieważ pan kapitan twierdzi, że została ewakuowana, zanim...

– Chyba wyraziłem się jasno – przerwał jej grubas. Przez mgnienie oka się wahał, a potem zawisł nad konsolą, wyciągając pulchny paluch w kierunku opalizującej na skraju pola widzenia klawiatury. – To biuro zarządu korporacji, nie punkt informacyjny.

Wyświetlacz zgasł.

\* \* \*

Z infolinii Henryan nie dowiedział się niczego więcej, choć stracił niemal pół godziny, wysłuchując trwającego czasem po kilka minut szumu fal ziemskiego oceanu i odgłosów wydawanych przez baraszkujące w jego głębinach wieloryby, czymkolwiek były. Choć zadaniem tych nagrań było ukojenie nerwów petenta,



jemu nieodmiennie podnosiły ciśnienie. Podobnie jak kolejni, nic niewiedzący rozmówcy, którzy powtarzali jak mantrę wyuczone formułki bądź cytowali informację o stu osiemdziesięciu tysiącach ofiar wybuchu supernowej, odmawiając zarazem podania jakichkolwiek szczegółów. Zanim doczekał końca piątego już chyba popiskiwania nieznanym mu stworzeń, odezwał się jego prywatny komunikator. Czas minął. Odprawa dobiegła końca. Rozkazy zostały wydane.

Rozłączył się w chwili, gdy wyświetlacz pojaśniał i zamiast błękitu sielskiej toni na ekranie pojawił się znajomy konsultant z przyklejonym do twarzy sztucznym uśmiechem.

\* \* \*

Spotkali się po drodze do doków, w wagoniku kolejki priorytetowej, jednym z wielu, jakimi wzywani oficerowie wracali z odwołanych przepustek. Poecie wsiadł jeszcze na górnych poziomach i zajął miejsce w pierwszym z czteroosobowych, ciasnych przedziałów. Jego czarny płaszcz i tępe spojrzenie wystarczyły, by zniechęcić kilku kapitanów do zajęcia któregoś z sąsiednich foteli. Woleli tłoczyć się w przedziale głównym albo sąsiednich klitkach, niż przebywać w jednym pomieszczeniu z poirytowanym wubekiem.

Święckiemu to pasowało. Mając cały przedział dla siebie, mogli spokojnie porozmawiać, a było o czym. Udał zaskoczenie, gdy czarnuch siedzący w przedziale, do którego chciał wejść, wskazał mu władczy gestem miejsce naprzeciw siebie. Dwaj inni oficerowie, którzy stali przy tych samych drzwiach, zostali na peronie. Cieszyli się pewnie, że to nie na nich czekał wubek. I niech tak zostanie, pomyślał Henryan, opadając ciężko na fotel. Poecie zablokował drzwi przedziału służbowym pilotem.

- Wiesz, że wolałbym, aby nas razem nie widywano? – syknął.
- Wiem – przyznał Święcki. – Ale bez obaw. Masz powody, by tu być.
- Naprawdę? – Wubek uspokoił się nieco. – Oświeć mnie, bo błędę jak

sonda w mgławicy.

– Przed chwilą przekroczyłem posiadane uprawnienia. Skorzystałem z kodu sztabowego, by uzyskać priorytetowy dostęp do łączy komunikacyjnych stacji. Masz pełne prawo przesłuchać mnie z tej okazji.

Gunterest pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Człowieku, podłożyłeś się wydziałowi, żebyśmy mogli porozmawiać?

– Szczerze mówiąc, nie. W tamtym momencie nie wiedziałem jeszcze, że będziemy musieli się spotkać. Ale masz całkiem wiarygodną przykrywkę na wypadek, gdyby ktoś zainteresował się naszym spotkaniem.

Poetze uśmiechnął się krzywo.

– Aż tak nie muszę się kryć – powiedział. – Wolałbym jednak, aby moi przełożeni nie kojarzyli nas ze sobą. Tak będzie lepiej dla wszystkich zainteresowanych stron.

– Wiem. Nie prosiłbym o to spotkanie, gdybym nie musiał.

Wagonik zatrzymał się na kolejnej stacji. Ktoś, zapewne jeden z wyższych oficerów, próbował wprowadzić kod nadrzędny, a gdy drzwi przedziału pozostały zamknięte, poirytowany odmową walnął dłonią w taflę matowego tworzywa.

– Oby to było warte tego zamieszania – mruknął wubek.

– Uwierz mi, że jest. – Henryan streścił przebieg rozmowy z panną Levante. – Tutejsze przedstawicielstwo EB jest przekonane, że na Delcie zginęło prawie sto osiemdziesiąt tysięcy kolonistów, w tym kobieta, która pomagała mi w zorganizowaniu ewakuacji, chociaż wiem, i to z naprawdę pewnego źródła, że odleciała z Deltą ostatnim transportowcem.

– Spokojnie – mruknął Poetze. – W tym burdelu nie takie cuda się dzieją. Pewnie nie dostali jeszcze pełnych raportów ze stacji tranzytowych. Uchodźców jest tylu, że nawet my nie mamy pełnego rozeznania w sytuacji, choć jesteśmy pierwsi na liście, daleko przed jakimiś tam cywilami.

– Problem w tym, że muszę ją znaleźć, i to jak najszybciej. Od tego może zależeć życie kilku tysięcy kolonistów.

Czarny spojrział na niego o wiele uważniej, Święcki wyjaśnił mu więc, oczywiście najbardziej skrótowo, jak umiał, na czym polega problem ukrywających się górników i jak można mu zaradzić.

– Skurwyklonia mać... – Gunterneśt zrobił wielkie oczy.

– Mało powiedziane.

Wubek włączył komunikator.

– Lemycroft – poprosił zgłaszającego się przepisowo kolegę. – Sprawdź rejestr ewakuowanych z Deltę Ulietty. Szukam osoby o nazwisku... – Spojrział pytająco na Henryana.

– Ninadine Truffaut. Menadżer trzeciego szczebla.

– Ninadine. Truffaut. Tak, przez dwa f. Emka z trójką. Tylko ruchy tam na sprzęcie... – Obaj milczeli, czekając na efekty sprawdzania baz danych wydziału. – Jesteś pewien? Rozumiem, dzięki. – Rozłączył się. – Cesik twierdzi, że nie mamy na jej temat żadnych nowych informacji. W dzisiejszych raportach centrum ewakuacyjnego pojawia się pięć osób o takim nazwisku, ale żadna z nich nie pracowała nigdy w EB.

– Przecież nie mogła się rozplynać. Zaraz... Sprawdź jeszcze jedno, proszę. Transportowiec korporacji z Deltę, numer burtowy: coś tam czterysta sześć. Na jego pokładzie opuściła system. Jestem tego pewien.

Poetze wywołał po raz kolejny dyżurnego, a po chwili oczekiwania powtórzył uzyskaną z centrali odpowiedź.

– Jednostka o podanym numerze została zarejestrowana w systemie. Kilka dni temu trafiła na Trinity 44 razem z resztą konwoju, ale na jej pokładzie nie było nikogo o tym nazwisku.

– Niemożliwe.

– Może coś źle zapamiętałeś.

– Nie. To była czterystaszóstka. Na bank.

– Skoro tak mówisz.

Wagonik zaczął znowu zwalniać. Mechaniczny głos zapowiedział stację końcową. Zbliżali się do doków.

– Sprawdź to dokładniej, proszę. – Święcki wstał.

– Sprawdzę. Masz to jak w banku danych – zapewnił go wubek, odblokowując drzwi. – I z góry przepraszam.

– Za co? – zdziwił się Henryan.

– Za uwiarygodnienie przykrywki.

Poetze wyciągnął go jednym szarpnięciem z przedziału i mocnym kopnięciem posłał na peron. Potem wyrzucił z przedziału torbę zawierającą osobiste rzeczy Święckiego.

– I żeby mi to było ostatni raz, śmieciu! – wrzasnął, zanim usiadł ponownie, ostentacyjnie strzepując niewidzialny pyłek z kłapy błyszczącego kołnierza. – Rozumiemy się?

Drzwi zamknęły się z cichym sykiem, zanim zaskoczony Henryan zdążył odwrócić głowę.

# TRZY

*System Rwanda, Sektor Sierra,*

*04.11.2354*

Ninadine otworzyła oczy, zanim zaczęły się zapalać światła. Ten krótki jak jeden wdech moment wystarczył, by poczuła narastającą panikę. Wisiała w stanie nieważkości, otoczona dźwięczącą w uszach ciszą, nieprzeniknionym mrokiem i przenikającym do szpiku kości chłodem, jakby uznano ją omyłkowo za zmarłą, zamknięto w hermetycznej trumnie i wystrzelono w niekończącą się przestrzeń, by po trwającym dekady locie spłonęła w koronie gwiazdy. Zanim jednak zdołała otworzyć usta, by wykrzyczeć rodzący się w krtani lęk, za pokrytą szronem pokrywą coś zamigotało, najpierw w jednym miejscu, potem obok i jeszcze dalej. Eksplozje blasku momentalnie ją oślepiły. Musiała zacisnąć powieki najmocniej, jak umiała. Ból był tak silny, że natychmiast zapomniała o strachu.

To wystarczyło. Od razu wszystko sobie przypomniała. Awantury na stacji Trinity 44. Bezskuteczne próby wymuszenia na żołnierzach kontaktu z korporacją albo choćby wysłania krótkiej wiadomości do lokalnej siedziby EB. Nocowanie w cuchnącym piźmem magazynie na twardej pryczy, pod zwykłą folią z zestawu ratunkowego. Dwa dni niewysłowionego cierpienia w oczekiwaniu przydziału na transportowiec, którym miała zostać przerzucona dalej, razem z niemal pięciuset innymi kolonistami – głównie robotnikami najniższego stopnia zaszeregowania i ich rodzinami. Wreszcie moment ułożenia

się do snu; wejście do prymitywnej kapsuły hibernacyjnej, nawet w przybliżeniu nieprzypominającej urządzeń, w jakich pokonywała przestrzeń kosmiczną podczas kilkietapowej podróży na Rubieże, gdy korporacja wysłała ją na Deltę, by objęła pierwsze niezależne stanowisko kierownicze.

Interfejs komory ożył kilka sekund później. Gdy odważyła się ponownie otworzyć oczy, zobaczyła na wyświetlaczu uspokajająco zielone wykresy monitoringu funkcji życiowych oraz zegar pokładowy, pokazujący nie tylko godzinę, ale i datę.

Czwarty listopada. Spędziła w tej lodówce sześć dni standardowych. W takim czasie można wykonać kilka skoków. Można znaleźć się dziesiątki lat świetlnych od Trinity 44, a co ważniejsze, od strefy wojny. Próbowала to sobie przeliczyć dokładniej, gdy wygaszana komora stopniowo odłączała ją od aparatury.

Czternaście godzin lotu ze stacji do studni grawitacyjnej – mniej więcej tyle potrzebował masowiec korporacji, by dowieźć ją do doków Trinity 44. Od momentu wyjścia z ostatniego tunelu czasoprzestrzennego do wybudzenia pasażerów minęło pewnie trzy albo cztery razy tyle czasu. Stacja, z wiadomych powodów, znajdowała się bowiem znacznie bliżej gwiazdy centralnej i punktów skoku niż planety jakiegokolwiek systemu, do którego została wysłana – bo że trafi ponownie na tlenowy glob, nigdy nie liczyła. Dalsze kilka do kilkunastu godzin zajęły transfery pomiędzy kolejnymi tunelami czasoprzestrzennymi; niech będzie, że stracono na to całą dobę. Pozostało więc około dwóch i pół dnia standardowego na pokonanie właściwej trasy w nadprzestrzeni. Parsek na godzinę. To dawało około dwustu lat świetlnych, czyli okolice pasa M, a może nawet L.

Próbowала sobie przypomnieć, czy EB posiada w tej części Rubieży jakieś większe placówki. Nic, pustka w głowie. Niestety albo była wciąż zbyt oszołomiona stazą, albo jej firma naprawdę nie prowadziła w pobliskich sektorach żadnych znaczących prac wydobywczych.

Pokrywa kapsuły zmatowiała wolno, a potem otworzyła się z cichym



westchnieniem, wpuszczając do wnętrza nie tylko niosące z sobą przykrą woń potu cieplejsze powietrze, ale i harmider, z jakim wybudzane razem z nią robotnice witały się po podróży.

Ninadine chwyciła zgrabiałymi palcami klamrę i jednym szarpnięciem wysunęła się z ciasnej hibernacyjnej trumny. Lecąc w kierunku linek, dzięki którym będzie mogła poruszać się po komorze, by znaleźć swoją szafkę i trafić do wyjścia, myślała tylko o jednym. Miała nadzieję, że tym razem nie wyląduje w dormitorium na sto osób, z których większość chrapie głośniej od pracujących na pełnych obrotach zgniatarek rudy.

\* \* \*

– Nie zostałem upoważniony do udzielenia odpowiedzi na to pytanie.

Te słowa usłyszała od żołnierza, jednego z nielicznych członków załogi transportowca, jakich zobaczyła po tym, jak przywrócono grawitację. Spotkała go w drodze z mesy do hangarów. Klaustrofobiczne, poprzedzielane licznymi grodziami korytarze były sterylne czyste i kompletnie puste, jakby miała do czynienia nie z działającym okrętem, lecz z czekającą na wprowadzenie do użytku jednostką. Żadnych wyświetlaczy, żadnych terminali, żadnych napisów. Nic, tylko gładkie ściany o trudnym do opisanie kolorze. Stołówka, w której wybudzeni koloniści otrzymali skromny posiłek, nie różniła się zbytnio od pozostałych przedziałów transportowca. Wszystko było tam szare, gładkie i równie sterylne. Wydawana przez dyspensery papka witaminowa także trzymała wojskowe standardy. Trudno było doszukać się w niej smaku, a i z barwą też było nie najlepiej.

Większość górników nie narzekała jednak na nic. Niektórym te warunki mogły się nawet podobać, choć dla niej, osoby przyzwyczajonej do luksusów dostępnych trzeciemu szczeblowi, była to najzwyczajniejsza w świecie tragedia.

Na stacji wszystko musiała dzielić z tymi... odrażającymi, cuchnącymi indywiduami, nawet łazienkę. Nic więc dziwnego, że widząc żołnierzy,

natychmiast przeszła do ofensywy. Tak jej się przynajmniej zdawało. Jednakże podoficer, którego zaczepiła, wyrecytował odpowiedź na tyle bezbarwnym tonem, że równie dobrze mógłby być maszyną. A chciała go tylko zapytać, gdzie trafili.

– Proszę nie tarasować przejścia – dodał, zanim zdążyła pozbierać myśli i podnieść szczękę z podłogi.

Lekkie pchnięcie w ramię, dzieło stojącego za nią w kolejce zniecierpliwionego górnika, zakończyło incydent. Zrezygnowana Ninadine weszła do kabiny, przyłożyła dłoń do chłodnego panelu skanera, a gdy na wyświetlaczu nad nim pojawił się numer wahadłowca, posłusznie ruszyła wzdłuż pomarańczowej linii, która doprowadziła ją do właściwego hangaru.

Minęła kolejny posterunek, nie próbując zagadywać stojących tam członków załogi, a moment później ciasnym rękawem dostała się na pokład promu desantowego, który tylko w ogólnym zarysie przypominał wnętrza cywilnych maszyn. Była jedną z pierwszych osób, jakie skierowano do tego wahadłowca, mogła więc wybrać sobie miejsce w każdym z czterech rzędów twardych foteli wyglądających jak rozprute nożem kokony wielkich owadów.

Ninadine westchnęła i ciężko opadła na ostatnie siedzisko przy prawej burcie. Choć z jednej strony nie będą miała jazgoczącego bez przerwy uciążliwego towarzysza podróży, pomyślała, wbijając wzrok w wyślizgany opancerzonymi butami panel pokładowy.

Nie oderwała oczu od tego mało interesującego widoku nawet wtedy, gdy poczuła lekkie szarpnięcie towarzyszące zamykaniu sąsiedniej kratownicy. Nie miała ochoty na dalsze spoufalanie się z tymi prostakami ani ich równie prymitywnymi kobietami.

– Nie wygląda pani na pracownicę fizyczną – usłyszała rzuconą w jej kierunku uwagę.

Zerknęła w lewo, zaskoczona nie tylko treścią tych słów, ale też tonem, jakim zostały wypowiedziane. Mężczyzna, który zajął miejsce obok niej, nosił identyczny kombinezon jak wszyscy ewakuowani, lecz jego twarz, może

z wyjątkiem zbyt wydatnego nosa, wydawała się znacznie szlachetniejsza niż oblicza ludzi, którzy sadowili się wokół. Był starszy od niej, choć niewiele, na głowie miał wianuszek ciemnych włosów, o wiele dłuższych niż którykolwiek z ewakuowanych górników, co mogło sugerować, że pełnił w kolonii jakąś ważniejszą funkcję, aczkolwiek na pewno nie pracował w zarządzie. W wieży zarządu kolonii trzymano się ściśle norm kulturowych, a modna fryzura była jednym z podstawowych wyznaczników wyższego statusu.

– Pan też – bąknęła na odczepnego, wciąż próbując zebrać myśli.

Uśmiechnął się przyjaźnie.

– Nazywam się Gruner. Adamadeus Gruner – przedstawił się. – Byłem kierownikiem ekipy terraformującej Deltę.

– Ninadine Truffaut – odpowiedziała raczej odruchowo niż dla podtrzymania tej konwersacji.

Nie miała ochoty na socjalizowanie się z kimkolwiek, nawet z technikiem czy naukowcem. Żywiła więc nadzieję, że jej oszczędność w słowach i gestach okaże się wystarczająco wymowna. Myliła się jednak.

– Chyba widziałem panią w wieży zarządu podczas którejś z odpraw – zagaił Gruner.

– Tam pracowałam – przyznała, nie spoglądając nawet w jego kierunku.

Milczał przez dłuższą chwilę, jakby w końcu dotarło do niego, że zagadywana kobieta woli zagłębić się we własnych myślach, ale to także były pozory.

– Drugi szczebel? – zagadnął, gdy Ninadine zaczynała wierzyć, że da jej spokój.

– Trzeci – odparła z dumą, zanim pomyślała, co robi.

– Trzeci? – Pokręcił głową, co zauważyła kątem oka. – No, no.

– Ma pan z tym jakiś problem? – zapytała rozeźlona jego reakcją.

To prawda, że była stosunkowo młoda jak na swoją pozycję, ale nie pięła się tak szybko po kolejnych stopniach kariery dlatego, że...

– Najmniejszego, pani Truffaut.

– Panno, jeśli już.

– Przepraszam. – Wyglądał na lekko zmieszanego jej nerwową reakcją, nie wiedział bowiem, że ta jest spóźniona o jedno, a nawet dwa pytania. – Wiem, że nie ma pani teraz do tego głowy, ale pomyślałem, że skoro jedziemy na tym samym wózku, mogę pani pomóc.

– W czym? – Spojrzała na niego, unosząc brew.

– W zarządzaniu tymi ludźmi. – Wskazał głową pozostałych pasażerów wahadłowca.

– O czym pan mówi? – Wciąż spoglądała na niego z niepewną miną.

– Miałem czwarty stopień zaszerogowania technicznego – odpowiedział pośpiesznie. – W odniesieniu do struktur zarządu to funkcja plasująca się gdzieś pomiędzy drugim a trzecim szczeblem kierowniczym. A skoro piastowała pani stanowisko wyższe od mojego, teraz to pani jest najwyżej postawionym reprezentantem firmy w gronie ocalonych. Powinna więc pani zostać tymczasowym zarządcą naszej grupy.

Patrzyła na niego z szeroko otwartymi ustami, kompletnie zaskoczona tą niespodziewaną deklaracją. Wcześniej nie myślała o tym, że mogłaby wykorzystać dawną pozycję do przejęcia władzy nad ewakuowanymi pracownikami korporacji. Gruner miał jednak rację. Trzeci szczebel dawał jej zwierzchność nie tylko nad górnikami, ale i nad urzędnikami niższych stopni. Nad mrocznym pustkowiem jej perspektyw pojawiło się niespodziewanie kilka białych promyków słońca. Zaraz jednak zostały przesłonięte chmurami wątpienia.

– Skąd pewność, że tam, dokąd lecimy, nie ma kogoś ważniejszego ode mnie? – zapytała, choć była pewna, że jej rozmówca nie może tego wiedzieć.

– Choćby stąd – odparł ze spokojem – że to mnie kazano być szefem. Przed odlotem z Trinity 44 zostałem wezwany do komendantury, gdzie otrzymałem odpowiednie instrukcje. Nie wiem tylko, dlaczego pułkownik Papadopoulos nie zlecił pani tej roboty.

Ninadine uśmiechnęła się pod nosem. Jej to nie dziwiło. Powinna była opuścić Deltę na pokładzie któregoś z przerobionych transportowców, lecz

podczas ostatniego etapu ewakuacji panował taki burdel, że jeden zwykły ludzki błąd, nie wiadomo nawet przez kogo popełniony, sprawił, iż zaszeregowano ją do grupy kolonistów, którzy pozostali na pokładzie wahadłowca do końca lotu orbitalnego i zamiast na wojskową jednostkę, pewnie bardzo podobną do okrętu, którym teraz lecieli, trafiła do habitatu. Kiedy zorientowała się, że ma niewłaściwy przydział, było już za późno. Opróżniony wahadłowiec odleciał niemal natychmiast, by dogonić macierzysty okręt zmierzający właśnie w kierunku punktu skoku, a koloniści wypełniający wielki kontener, słysząc jej narzekania, wzruszali tylko ramionami. Nikt nie mógł jej pomóc, zatem – klnąc, ile wlezie (oczywiście w duchu) – zajęła miejsce należące wcześniej do jakiejś kobiety z pionu medycznego, która układała się do snu w przeznaczony dla niej kabine hibernacyjnej wojskowego transportowca. Gdy wspomniała o tym fakcie kilka dni później, już na Trinity 44, ku jej niepomiernemu zdumieniu zbyto ją kolejnym wzruszeniem ramion. Przyjmujący ją oficer dyżurny zmienił po prostu dane w systemie, ale jak widać, chyba nie wszystkie.

– Powiedzieli panu, dokąd lecimy? – zapytała, zmieniając temat.

– Wiem tylko tyle, że trafimy do obozu przejściowego – odparł.

– Co to znaczy?

– Z tego, co zrozumiałem, flota tworzy coś na kształt tymczasowych kolonii, z których... oczywiście za jakiś czas... mamy być odbierani i wysyłani do miejsc docelowych. – Pokręcił głową. – Totalnie nie rozumiem, o co w tym wszystkim chodzi. Ile systemów mogło być zagrożonych przez tę supernową? Pięć, dziesięć? Przecież w pasie U, prócz nas, nie było żadnych znaczących skupisk ludzi. Skąd więc te nieprzebrane tłumy na Trinity?

Gruner zadawał pytanie po pytaniu, ale ona, choć znała wszystkie odpowiedzi, milczała jak grób.

# CZTERY

*System Ulietta, Sektor Zebra,*

*04.11.2354*

Fitz nie odpowiadał. Siedział z twarzą ukrytą w dłoniach, ledwie widoczny w zielonkawym blasku lamp bioluminescencyjnych. Tutaj, bliżej powierzchni, było to na razie jedyne źródło dostępnego światła. Choć ukrywający się koloniści dysponowali kilkoma generatorami, Oliwerner uznał, że tymczasem lepiej będzie, jeśli wychodząc na powierzchnię, nie zabiorą ze sobą żadnego źródła energii, nawet tak słabego jak akumulatory do latarek. Każda próba aktywacji ukrytych przynęt – a przeprowadzili je już trzykrotnie – kończyła się bowiem niezwykle skutecznym atakiem Obcych.

Przed niespełna dwiema godzinami doszło do automatycznej reaktywacji systemów komputerowych samobieżnej wiertni, której jeszcze przed atakiem polecono zejść na głębokość kilkunastu metrów, gdzie miała czekać w uśpieniu przez kolejne osiem dni standardowych. Wielka jak czołg, służąca do rycia kopalnianych chodników maszyna została ukryta w łańcuchu górskim oddalonym o ponad sto osiemdziesiąt kilometrów od jaskiń, niemal na granicy zdolności obserwacyjnych kolonistów, by po upływie określonego czasu podjąć przerwana pracę i – oby nie! – zwrócić na siebie uwagę Obcych.

Wiertnia przetrwała sześćdziesiąt siedem minut, czyli znacznie dłużej niż obiekty wcześniejszych prób, choć sceptycznie nastawiony Brin od początku nie wierzył w sukces i – jak się okazało – miał absolutną rację. Uderzenie z orbity,



tym razem czymś znacznie cięższym od zwykłego rdzenia kinetycznego, rozjaśniło na moment mrok gwiaździstej nocy. Łuna podświetlająca dalekie turnie ciemniała powoli. Gdy obaj obserwatorzy schodzili w końcu pod ziemię, wciąż było ją widać nad północno-wschodnim widnokresem.

Dłuższy czas reakcji Obcych świadczył zdaniem Fitz'a o jednym: satelity albo sondy rozmieszczone na orbicie Delt'y wykryły obecność maszyny natychmiast, ale musiały przekazać informacje o trudniejszym do zniszczenia celu gdzieś dalej i dopiero stamtąd nadeszła właściwa odpowiedź. Dlatego przyszło im odczekać niemal siedemdziesiąt minut. To musiało oznaczać, że agresorzy faktycznie nie opuścili Ulietty natychmiast po zakończeniu bombardowań, jak to mieli w zwyczaju.

Wskazania sejsmografów wykorzystywanych przez Brin'a do monitorowania sytuacji na powierzchni uspokoiły się dopiero po dwóch dobach. Tyle czasu najeźdźcy potrzebowali, by zrównać z ziemią główną kolonię i szesnaście stacji założonych w różnych częściach kontynentu przez ekipy terraformujące.

Fitz musiał przyznać, że jego zastępca jest naprawdę łębskim facetem. Smagły, szczupły geolog, z którym współpracował od ponad trzech lat, wykazywał się ostatnio niesamowitym sprytem, czego dowodem było przerzucenie do jaskiń całej dostępnej żywności, choć pierwotny plan zakładał zgromadzenie tylko niezbędnego minimum liofilizowanych racji.

Oliwerner podchwycił ten pomysł, ponieważ zgadzał się z opinią, że człowiek przezorny powinien być zawsze ubezpieczony, nawet podwójnie, jeśli tylko ma na to szanse. Dlatego nie protestował, kiedy geolog rzucił propozycję, aby na miejscu przygotowanym dla paru tysięcy osób, które dzięki staraniom Święckiego udało się pomieścić w kolejnym habitacie rdzeniowca, rozstawić uprawy hydroponiczne, a nawet hodowle mięsa, wyszabrowane nie tylko z centrów biologicznych opuszczonej kolonii, ale i z wieży zarządu. Nie protestował, choć w skrytości ducha wydawało mu się to lekką przesadą.

Teraz zaczynało do niego docierać, że Brin, prosty geolog na zewnętrznym kontrakcie, niemający najmniejszych szans na ewakuację, od początku szykowa

się na najgorsze. Tym różnił się od przełożonego, który bezgranicznie wierzył w zapewnienia Świąckiego. A Fitz zaufał kapitanowi, ponieważ zdążył go poznać na tyle, by wiedzieć, że ma do czynienia z człowiekiem, który nie zwykł rzucać słów na wiatr. Do Oliwenera dotarło również, że aż do tej pory nie brał pod uwagę pewnego czynnika, mianowicie przełożonych Świąckiego, którzy – jak słusznie zauważył Paulisses – mogli mieć zupełnie inne zdanie w kwestii wysyłania konwoju do systemu zajętego przez agresywnych Obcych. Po kilku wykładach Brina pojął coś jeszcze. Z punktu widzenia admiralicji i Rady ta operacja zakończyła się niekwestionowanym sukcesem. Ewakuowano ponad dziewięćdziesiąt pięć procent populacji planety zamiast zakładanych pięćdziesięciu paru, i to najprawdopodobniej bez strat własnych. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zepsuje takiej okazji do awansu i przypięcia sobie paru medali, a już zwłaszcza w imię ocalenia garstki – a tym właśnie byli w odniesieniu do całej kolonii – górników.

– Słyszałeś, co powiedziałem?

Rzucone podniesionym głosem pytanie wyrwało go z zamyślenia.

– Tak.

– I co ty na to?

– Niewykluczone, że masz rację – wymamrotał Fitz.

– Niewykluczone? – zachnął się Paulisses.

– Nie znasz Świąckiego. Ten facet poruszy niebo i ziemię, żeby nas stąd wydostać – stwierdził pewnym tonem, choć sam już nie wierzył w to, co mówi.

Brin natychmiast to wychwycił.

– Nie zapominaj, że decyzja nie należy do niego.

– Nie zapominam – zapewnił Oliwerner. – Masz rację, że zdobycie zgody admiralicji może być w tym wypadku niemożliwe, ale...

Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym więcej dostrzegał przeszkód. Henryan był mistrzem w naginaniu przepisów, lecz w tym konkretnym przypadku musiałyby doprowadzić do otwartego buntu, by przejąć kontrolę nad konwojem i skierować go na terytorium zajęte przez wroga. A do czegoś takiego na pewno

się nie posunie, zwłaszcza gdy trwa wojna.

– Znasz moje zdanie na ten temat – rzucił Brin. – Im prędzej dojdiesz do podobnych wniosków co ja, tym większe będziemy mieli szanse na przetrwanie.

Fitz spojrzał na niego pytająco.

– Masz jakiś pomysł? – zapytał.

– Owszem – odparł zwięźle Paulisses.

W tonie, jakim wypowiedział to jedno słowo, kryło się coś złowieszczonego. Coś, co sprawiło, że Oliwerner zadrżał, choć w grubym skafandrze nie mógł czuć chłodu.

# PIĘĆ

*System Anzio, Sektor Zebra,*

*05.11.2354*

Nad szerokim stołem konferencyjnym pojawił się mglisty hologram przedstawiający ludzką postać. Przekazniki potrzebowały kilku sekund na zdekodowanie i zogniskowanie przekazu nadawanego z odległości ponad trzech tysięcy lat świetlnych, jakie dzieliły Ziemię od stacji krążącej po orbicie gwiazdy pierwszego pasa Rubieży. Obraz wyostrzał się błyskawicznie, zarysy i kontury przybrały bardziej konkretne kształty, dzięki czemu zgromadzeni na sali odpraw oficerowie wkrótce spoglądali prosto w oczy skromnie ubranej, szczupłej, niemłodej już kobiecie o mocno pobrużdżonej twarzy. Skutki niedawnego zamachu wciąż były widoczne. Choć ratunek przyszedł w porę, trucizna zdążyła narobić szkód w jej organizmie.

– Pani kanclerz. – Farland ukłonił się sztywno, lecz z niekłamany szacunkiem, przewodniczącej Rady Najwyższej Senatu Federacji.

– Wielki admirał – odpowiedziała równie kurtuazyjnym, choć także oszczędnym skinieniem głowy. Protokół zwalniał ją z obowiązku dostrzegania pozostałych uczestników tej rozmowy, lecz co było rzadkością, tym razem zrobiła wyjątek. – Panie i panowie – dodała bez cienia wahania.

Co ciekawe, większość zebranych przyjęła jej gest z rezerwą, a nawet swego rodzaju obawą, jak zauważył Rutta. Jego samego najbardziej dziwiła flegmatyczność, z jaką pani kanclerz podchodziła do tej konferencji. Każda

sekunda przekazu kwantowego kosztowała niewyobrażalne pieniądze, a ona zmarnowała ich już kilka, jeśli nie kilkanaście, na zbędne formalności. To mogło znaczyć, że za moment padną słowa, których nikt w sztabie metasektora nie chciał usłyszeć.

– Czemu zawdzięczamy ten zaszczyt? – zapytał Farland, również nieco zbity z tropu jej zachowaniem.

– Po niezmiernie wnikliwej analizie Rada podjęła ostateczną decyzję – oznajmiła formalnym tonem kanclerz Modo. – Zdaniem admiralicji i naszym sytuacja wymaga bardziej zdecydowanych kroków, dlatego nakazujemy trzeciej flocie jak najszybsze przejście do działań ofensywnych.

A więc jednak, pomyślał Rutta, zastanawiając się jednocześnie, czy pობadł równie mocno jak jego sąsiedzi.

– Pani kanclerz – odezwał się wielki admirał, przełknąwszy uprzednio ślinę – takim działaniem możemy wyłącznie pogłębić obecny kryzys. Admiralicja wie doskonale, że nie jesteśmy w stanie pokonać wroga. Nie mamy na to najmniejszych szans, chyba że dostaniemy okręty albo choćby uzbrojenie piątej generacji.

– Decyzja zapadła – stwierdziła Modo. – Proszę mi więc nie mówić, czego nie możecie zrobić. Macie dwadzieścia cztery godziny na przedstawienie nowego, rozsądnego planu działań.

– Skąd ten pośpiech? – zapytał zaskoczony Rutta, zanim pomyślał, co robi.

– Panujemy nad sytuacją – poparł go natychmiast Farland. – Akcja ewakuacyjna przebiega bez zakłóceń. Zgodnie z wytycznymi skierowaliśmy uwagę ma'lahn na fikcyjne kolonie. Budujemy ich w tym momencie tak wiele, że Obcy nawet po zaangażowaniu wszystkich sił nie zdołają dotrzeć do granicy Terytoriów Wewnętrznych przed wcieleniem do służby nowych pancerników. – To wyliczenie oparł na aktualnych danych, przekonany, że liczba atakujących t'iru nie powinna się znacząco zwiększyć w przewidywalnej przyszłości. Gdyby Obcy mieli dużo więcej liniowców, już by ich użyli. – Atakowanie wroga w tym momencie nic nam nie da ze strategicznego punktu widzenia, stracimy za to

niepotrzebnie wiele okrętów i jeszcze więcej ludzi.

Kanclerz Modo uśmiechnęła się pod nosem. Krzywo, jak to ona, ale chyba szczerze.

– Przedstawił pan sytuację widzianą z pańskiej perspektywy, wielki admirale – odparła łagodniej, niż zebrani się tego spodziewali. – Problem jednak w tym, że z naszego, politycznego punktu widzenia nie jest ona wcale taka wesoła... – Zamilkła na moment, jakby się zastanawiała, ile może powiedzieć. – Blokada informacyjna okazała się mniej szczelna, niżbyśmy sobie tego życzyli – stwierdziła w końcu.

Rutta zeszytniał. Farland zaklął pod nosem. Jeśli informacje o ataku Obcych pojawią się już teraz w mediach innych metasektorów, może dojść do niewyobrażalnej paniki, która z kolei doprowadzi do kryzysu politycznego, być może nawet upadku obecnej Rady, a gdy rozpocznie się walka o władzę, gdy rządzący i opozycja wezmą się za łby, zwłaszcza teraz, po niedawnej próbie zamachu...

– Jak liczne są te przecieki? – To pytanie zadał siedzący naprzeciw dowódcy metasektora szef wywiadu, wiceadmirał Duarte.

– Wystarczająco liczne, by nie dało się ich skutecznie wyciszyć – powiedziała ze spokojem pani kanclerz. – Na razie problem dotyczy tylko kilku pasów Rubieży, jednakże liczba publikacji narasta lawinowo. Codziennie dowiadujemy się o kolejnych ogniskach tej... zarazy.

– Myślałem, że rząd kontroluje media – zdziwił się generał major Korolenko, dowódca wydziału bezpieczeństwa tego metasektora, także awansowany po ostatnich wydarzeniach.

– Mamy skuteczne przełożenie na ponad dziewięćdziesiąt dziewięć procent nadawców informacji – stwierdziła Modo po kilkusekundowym wahaniu. Po zastanowieniu uznała pewnie, że nie powinna okłamywać ludzi, którzy doskonale się orientują w realiach. – Robimy, co w naszej mocy, by nie doszło do najgorszego, ale nie czarujmy się, wielki admirale, jeśli pogłoski o atakach dotrą do wystarczająco wielu światów, nawet najbardziej posłuszni nam magnaci



holoinformacyjni zostaną zmuszeni do podchwycenia tematu, żeby nie wypaść z obiegu. Co ja mówię, jeśli dojdzie do najgorszego, pozabijają się wzajemnie, walcząc o pierwszeństwo nadania najbardziej przerażających wizji tego konfliktu i jak najszerzego nagłośnienia waszych dotychczasowych porażek. Jeśli mamy zachować głowy – tym zdaniem podkreśliła, że Farland i pozostali jadą na tym samym wózku co rządzący – musimy dać im coś w zamian, i to zanim uznają, że lojalność wobec Rady mniej się opłaca niż zerowanie na opinii publicznej i włożenie w dupę opozycji. Przyszłość Federacji spoczywa dzisiaj wyłącznie w waszych rękach. Wolałabym, abyście nas nie zawiedli.

Wyłożyła wszystko jasno i prosto, chcąc uniknąć jakichkolwiek nieudomówień. Tym samym zakończyła też dyskusję. Farland to wyczuł.

– Dwadzieścia cztery godziny mogą nam nie wystarczyć – rzucił szybko.

– Na więcej proszę nie liczyć. Jutro o tej samej porze najwyższy admirał Xiao chce widzieć pełny harmonogram działań. I jeszcze jedno – dodała, pochylając się lekko. – Nie próbujcie grać na zwłokę. To nie przejdzie jak poprzednim razem. Oczekujemy natychmiastowych efektów. Musicie podjąć takie działania, by informacje o waszych sukcesach dotarły do mediów w ciągu najbliższych czternastu dni. Tylko tyle nam zostało... W najlepszym razie. – Rutta zerknął na przyjaciela, spodziewając się jakiegoś protestu, lecz Farland siedział nieruchomo, ze spuszczoną głową i wzrokiem wbitym w gładki szary blat. Wszystkie ich plany wzięły właśnie w łeb. A miało być tak pięknie. – To wszystko, panie i panowie – zakończyła kanclerz Modo grobowym tonem, kończąc spotkanie bez zwyczajowych formułek. Ona także zdawała sobie sprawę, jak wielkie brzemień zrzuca na barki swoim podwładnym.

Hologram znieruchomiał, zadrgał, a potem zaczął wolno ciemnieć. Miejsce niebieskawej poświaty zajął wszechobecny półmrok, w którym zebrani kontemplowali wydane przed chwilą polecenia. Ciszę wypełniającą salę odpraw przerwał w pewnym momencie ostry grzechot.

– Przepraszam – wymamrotał kontradmirał Standriej Lee, zostawiając w spokoju szklanekę z wodą, którą próbował podnieść drżącą ręką.

Jego słowa przełamały czar, którym kanclerz spętała żołnierzy słuchających jej wystąpienia. Wszyscy członkowie sztabu metasektora, nie mniej podenerwowani od zarządcy stoczni floty, zaczęli mówić naraz, przekrzykiwać się, gestykulować. Harmider narastał do chwili, w której Farland walnął pięścią w stół, aż zadzwoniły wszystkie leżące na blacie przedmioty. Za tym gestem nie poszły jednak żadne słowa, co było kolejnym dowodem na ogrom zdenerwowania wielkiego admirała, który uwielbiał opieprzać podwładnych, zwłaszcza gdy dawali mu powody – a ten przejaw niesubordynacji aż kłuł w... uszy.

Sztabowcy zamilkli w okamgnieniu. W sali odpraw znów zapanowała niczym niezmacona cisza. Farland wodził wzrokiem po twarzach otaczających go speszonych ludzi, lecz wciąż milczał. W końcu, gdy jego spojrzenie zatrzymało się na Rutcie, skinął głową, jakby zachęcał przyjaciela do zabrania głosu. Ten jednak nie miał nic do dodania.

– Jakież propozycje? – rzucił zatem wielki admirał, kierując to pytanie do wiceadmirała. – Allandreas? Przed chwilą tak się wydzieraleś, że mało brakowało, by ci żyłka pękła. Gębę masz wciąż siną i spuchniętą, jakbyś przeżył cztery zawały za jednym zamachem.

Ten przytyk świadczy o tym, że Farland powoli wraca do siebie, uznał Rutta.

– Przepraszam, wielki admirale. – Skruszony Duarte pochylił głowę. – Poniosło mnie, ale ta propozycja... Oni chcą, żebyśmy posłali naszych ludzi na pewną śmierć.

– To wojna, przyjacielu – wtrąciła z kpiącym uśmiechem Schwartz. – A na wojnach, jak powszechnie wiadomo, zabijasz innych albo sam giniesz. Nie powiesz mi, że ludzie wstępują do floty, nie zdając sobie sprawy z tego, że ktoś kiedyś każe im walczyć z wrogiem?

– Masz rację, Gerdagmar – odparł wyjątkowo spokojnie szef wywiadu. – Mimo wszystko to nie dwudziesty wiek. Nikt już nie posyła nieuzbrojonych ludzi na pole bitwy, by zadeptywali przeciwnika bez względu na straty. Jesteśmy cywilizowani. Walczymy, by zwyciężyć, a nie dawać się masakrować. Wątpię,

by rekruci mieli świadomość, że wstępując do floty, godzą się na popełnienie masowego samobójstwa, a tym właśnie skończy się każda próba wygrania bitwy z Obcymi przy środkach, jakimi obecnie dysponujemy. Nie neguję faktu, że kiedyś będziemy musieli podjąć wyzwanie, ale Rada wymaga od nas natychmiastowych sukcesów, a tych, jak wszyscy wiemy, nie osiągniemy bez poniesienia niewyobrażalnych strat. Nie wiem, czy w ogólnym rozrachunku wyjdzie to nam... mówię o flocie i Radzie... na dobre. Wyobraźcie sobie, że posyłamy dwa zespoły uderzeniowe do jakiegoś systemu i odpieramy atak kilku t'iru, tracąc przy tym, powiedzmy, połowę głównych sił, jak to wynika z większości przeprowadzanych symulacji. Niech będzie nawet, że pójdzie nam świetnie i zniszczymy jeden albo, co mi tam, dwa liniowce wroga. Trzy kolejne takie „sukcesy” i nasza flota przestanie istnieć. Fizycznie. Rubieże pozostaną bez obrony, Rada upadnie z hukiem, morale flot w pozostałych metasektorach spadnie do zera. Nie gdybam, tylko przedstawiam fakty. Powinniśmy uświadomić to admiralicji. Jeszcze dzisiaj. Tam przecież siedzą mądry ludzie, towarzysze broni. Z pewnością zrozumieją nasze argumenty.

– Myśli pan, wiceadmirale, że nasi wyjątkowo rozgarnięci przełożeni nie pamiętali o tym wszystkim, wydając ostatnie rozkazy? – zapytał lekko kpiącym tonem Rutta. – Idę o zakład, że odpowiedź na pańskie postulaty będzie krótka. Sąd polowy i egzekucja poprzez wystrzelenie ze śluzy w przestrzeń, bo tak chyba karze się zdrajców w czasie wojny.

Pozostali sztabowcy zaszemrali nerwowo, gdy generał przypomniał im, co naprawdę oznacza żądanie przekazane przez Modo.

– Nie posunęliby się do czegoś takiego... – wymamrotał Duarte.

– Oni także walczą o przetrwanie, wiceadmirale – nie ustępował Rutta. – Jeśli dojdzie do zmiany władzy, czystki dotkną też najwyższych szczebli dowodzenia. Może nie od razu, ale to jasne jak słońce. Nasi przełożeni będą więc walczyli do ostatniej kropli krwi, pańskiej i mojej, może mi pan wierzyć. Nawet jeśli ceną ocalenia ich głów będzie fizyczna zagłada nie jednej, ale dwóch lub nawet trzech flot.

Farland uniósł rękę, aby ich uciszyć. Odzyskał już rezon, co było widać choćby po złowieszczym błysku w oku.

– Nie rozmawiamy o tym, jak uniknąć wykonania kolejnych rozkazów admiralicji. Radzę ruszyć mózgownicami i skupić się na tym, by znaleźć rozwiązania, które po pierwsze dadzą nam upragnione zwycięstwo, a po drugie oszczędzą strat w ludziach i sprzęcie. Macie dwadzieścia godzin na przedstawienie mi konkretów. A teraz wynocha. Wszyscy.

# SZEŚĆ

*Ziemia, Sektor Alfa,*

*05.11.2354*

Modo nie poczekała, aż wszystkie holokamery znikną jej sprzed oczu. Nie miała na to czasu. Zdecydowanym ruchem wstała z fotela, zanim bariera ekranu izolacyjnego zdążyła opaść, i uchylając się zwinnie przed lecącymi w kierunku bazy miniaturowymi urządzeniami, wyszła ze sfery transmisyjnej. Nie spojrzała nawet na gnących się w ukłonach pracowników ośrodka komunikacji transsystemowej. Zamaszystym krokiem podeszła do ich szefa, przystanąła na kilka sekund – tyle wystarczyło, by rzucić słowo podziękowania okraszone bladym uśmiechem.

Gardziła tym wymoczkiem, ale nie miała na niego żadnego haka, a mógł jej się jeszcze przydać, i to całkiem niedługo.

Zniecierpliwiony Juliusain Kaup czatował na nią przy wyjściu z centrum łączności. Siedział w poczekalni dla ważnych gości, tuż przy kładce wiodącej na najwyższe, uprzywilejowane lądowisko, i przeglądał napływające wciąż komunikaty. Zerwał się jednak z wygodnego fotela, gdy tylko zobaczył, że ekran izolacyjny chroniący drzwi do studia znika, a one same stają otworem. Nie odzywając się słowem, po wymianie zdawkowych ukłonów ruszył, trzymając się krok za Modo i eskortującymi ją wubekami.

Wsiedli oboje do środkowego z trzech lśniących rządowych grawiolotów, ochroniarze i pozostali członkowie świty pośpiesznie zajęli miejsca w przednim

i tylnym pojeździe. Na dany sygnał konwój wzbił się w bezchmurne błękitne niebo, a kilka sekund później każda z maszyn została otoczona sferą mikrodron bojowych.

– Nie wyglądasz na zadowoloną z przebiegu rozmowy – zagadnął sekretarz obrony, nalewając sobie i Modo po odrobinie brandy.

Nie spodziewał się natychmiastowej odpowiedzi. Znał panią kanclerz doskonale, wiedział więc, że gdy tylko przetrawi rozmowę z Farlandem, sama zacznie mówić.

We wnętrzu grawiolotu zrobiło się jaśniej, gdy Kaup włączył tryb transparentny, w pojazdach tego typu zawsze tylko jednostronny. Pod ich nogami, daleko w dole, przemykały otoczone morzem zieleni wieże i piramidy siedzib największych korporacji, od czasu do czasu Kaup widział też znajdujące się kilkaset metrów niżej cywilne aerostrady, jak zwykle zatłoczone ponad wszelką miarę. Wschodzące słońce, które znajdowało się mniej więcej na wysokości konwoju, podświetlało sylwetkę siedzącej na wprost niego zatroskanej kobiety. Dzięki temu blaskowi wyglądała dziwnie eterycznie, jakby otaczała ją złocista aureola.

To był bardzo szczególny dzień. Zwłaszcza dla niego.

Dziesięć lat minęło od chwili, gdy Kaup wygrał kolejne prawybory i otrzymał nominację na stanowisko sekretarza obrony Federacji. Mógł więc podziwiać te niesamowite widoki od trzech tysięcy sześciuset pięćdziesięciu trzech dni, ale wciąż się nimi nie nasycił i nadal dostrzegał w nich nieznane mu wcześniej piękno. Urodzony i wychowany na planetoidzie, która była zbyt mała, by mieć nie tylko własną atmosferę, ale i odpowiednie ciśnienie, potrafił docenić luksusy oferowane przez planety tlenowe, choć zwiększenie masy o ponad dziewiętnaście procent – taka była bowiem różnica pomiędzy sztuczną grawitacją jego kolonii a standardowym ziemskim G – wciąż dawało mu się we znaki. Mimo że robił, co mógł, aby schudnąć. Ostatnimi czasy zmienił dietę, tak że...

– Wyłącz to, proszę. – Głos Modo wyrwał go z miłego zamyślenia. – Te

widoki mnie rozpraszają.

Ponieważ – sądząc po intonacji – bynajmniej nie była to prośba, wykonał polecenie mechanicznie, jak zawsze zresztą w kontaktach z panią kanclerz.

– Jest aż tak źle?

Wychyliła bursztynowy płyn jednym haustem i od razu wyciągnęła rękę w jego stronę. To też ćwiczyli wielokrotnie, wiedział więc, że Modo domaga się dolewki. Lubiła delectować się ulubionym trunkiem przez cały czas trwania lotu.

– To nie są głupcy – odparła. – Doskonale wiedzą, jakie mają szanse.

– Sądziś, że odmówią wykonania rozkazów?

Pokręciła głową, po czym upiła niewielki łyżeczek brandy, a może zamoczyła tylko wargi, aby zlizać z nich potem mocny alkohol.

– Nie odważą się tego zrobić otwarcie.

– Jeśli uznasz, że to konieczne, wymienię Farlanda i spółkę na kogoś... bardziej zaufanego. Wystarczy jedno twoje słowo – zaproponował.

Spojrzała na niego gniewnie, jednakże złość z każdym uderzeniem serca ustępowała refleksji... a może nawet zasmuceniu?

– Najgorsze jest to, że oni mają rację. Posyłając ich do walki już teraz, doprowadzimy do masakry na niewyobrażalną skalę.

– Zachowując bezczynność, doprowadzilibyśmy do czegoś znacznie gorszego – przypomniał jej.

– Tak, wiem. Niemniej tymczasowa utrata części systemów zewnętrznych jest nieunikniona. Aktywność trzeciej floty ma w tej sytuacji najmniejsze znaczenie.

– Parsknęła, unosząc szklaneczkę do ust.

– Miałem na myśli upadek naszego rządu – doprecyzował. – Jeśli ten drań Nboto zwęszy okazję, tym razem nie odpuści. A bez sukcesu nasze notowania...

– Nie musiał kończyć.

Modo uśmiechnęła się szeroko, obnażając zęby.

– Baba o niebie, a dziad o chlebie, czy jak to się tam dawniej mówiło. Wiem, dlaczego każemy im popełnić zbiorowe samobójstwo, Juliusainie. Zastanawiam



się jednak, czy to wystarczy.

– Powinno. Skalę prawdziwych strat da się ukryć, przynajmniej do czasu, aż wprowadzimy planowane regulacje wojenne i podporządkujemy sobie resztę mediów oraz wszystkich przeciwników politycznych. – Kaup także się uśmiechnął, popijając znakomity trunek.

– Zaczynam żałować – rzuciła Modo – że nie możemy wykorzystać marketingowo sukcesów tego... jak mu tam... Świąckiego. To czyste marnotrawstwo. Już widzę te nagłówki: „Bohater Rubieży ocalił życie dwustu tysiącom ludzi”. Takim tematem karmilibyśmy media i opinię publiczną przez kilka tygodni.

– A ja nie żałuję – skontrował sekretarz obrony. – Bez tylu żywych tarcz cała akcja z fałszywymi koloniami nie miałaby racji bytu. Obcy już po kilku atakach zorientowaliby się, że podsuwamy im do niszczenia nic niewarte atrapy. Poza tym powiem ci jedno: Świącki stanowi dla nas większe zagrożenie niż pożytek.

Posłała mu pytające spojrzenie.

– Wiesz o czymś, o czym ja jeszcze nie wiem?

Przytaknął, podając jej czytnik.

– Właśnie zaczął wypytywać o uratowanych kolonistów.

– Dlaczego miałyby to robić? – zdziwiła się Modo.

– Nie mam pojęcia, ale jak sama widzisz, skontaktował się w tej sprawie z biurem tamtejszego dyrektora generalnego EB, potem spędził całe pół godziny na ich infolinii... A najlepsze masz tu, na dole... – zawiesił głos, dając jej czas na lekturę.

– Czarni?

– Tak. Oficer, który aktywował protokół wyszukania Ninadine Truffaut, byłej tymczasowej zarządczyni kolonii na Delcie Ulietty, zeznał na przesłuchaniu, że otrzymał ustne polecenie od swego bezpośredniego przełożonego, niejakiego porucznika Poetzego.

– A co na to sam porucznik Poetze?

– Nie przesłuchaliśmy go jeszcze – odpowiedział Kaup, uśmiechając się

zagadkowo.

– Ponieważ?

– Nie kojarzysz tego nazwiska?

Zastanawiała się dłuższą chwilę, by na koniec zaprzeczyć:

– Nie.

– A ja tak. Obiło mi się niedawno o uszy i utkwiło w pamięci.

– Cały ty – mruknęła.

– Cały ja. Oczywiście kazałem przeświecić go dokładniej. Nie zgadniesz, co odkrył nasz system.

– Oświeć mnie.

– Poetze służył razem ze Święckim na Xanie 4. Nadzorował go w sprawie tak zwanych Bogów.

– Bogowie... – prychnęła z rozbawieniem, zanim upiła kolejny łyk. – Xiao tak pięknie się pienił, gdy przychodziły kolejne raporty z Bety.

– Poczekaj, moja droga, to dopiero początek ciekawostek. Zgadnij, kto dowodził oddziałem czarnych, którzy pojawili się na rutynową kontrolę objętego kwarantanną *Nomady*? – Kaup uśmiechnął się zimno.

Modo spojrzała na niego uważniej.

– Nasi ludzie byli absolutnie pewni, że czarni nie weszli na pokład *Nomady*.

– Wiem, ale pamiętniki dotyczące działalności świętej pamięci admirała Damiandrea wyciekły jakimś cudem z archiwów Morriseya.

– Mogły znajdować się gdzieś poza okrętem. Ten drań, jak każdy przemytnik, miał pewnie kilka skrytek, o których istnieniu nigdy się nie dowiemy.

– Jeśli my ich nie mogliśmy znaleźć, to i ten gówniarz Stachursky nie powinien mieć do nich dostępu.

– Też prawda.

– Dlatego uważam, że nasz porucznik jest o wiele sprytniejszym i groźniejszym przeciwnikiem, niż do tej pory sądziliśmy.

– To niepokojące, przyznaję. Zwłaszcza w świetle jego ostatnich poczynań.

– Jeszcze bardziej niepokojące wydaje mi się włamanie na serwery stacji

Trinity 44, do którego doszło dzisiaj niespełna dwie godziny temu. Nie wiedzielibyśmy o niczym, gdybym nie nakazał pełnej kontroli wszystkiego, co ma związek ze sprawą nadprogramowo ocalonych. Dopiero pełne skanowanie wykryło doskonale ukrytego bota indeksującego. Niestety nie udało się go zbadać. Dokonał samozniszczenia. Gdy próbowano go wyizolować, rozpląnął się jak włoki w kwasie.

Modo skrzywiła się na to porównanie. Kaup preferował stare, niekiedy bardzo prymitywne, ale zarazem niezwykle skuteczne metody usuwania śladów. Czy może raczej było to domeną ludzi, których wynajmował do mokrej roboty.

– Myślisz, że te sprawy są powiązane?

– Jestem tego pewien. Za włamaniem stał wprawdzie ktoś inny, ale nie mam wątpliwości, że za wszystkie sznurki pociągał Święcki, zapewne za pośrednictwem tego wubeka. I tu kolejna ciekawostka. Wiesz, kogo nasz bohater Galaktyki zastępował na Xanie?

– Nie.

– Niejakiego Louismaila Seiferta. Całkiem niezłego specja od łączności i jeszcze lepszego hakera, który... tylko się nie zdziw... zakończył pobyt w kolonii karnej o najłagodniejszym rygorze nie dalej jak sześć dni temu. *Hakera.*

– Zrozumiałam za pierwszym razem. Nie musiałeś powtarzać.

Modo dopiła brandy jednym haustem. Juliusain sięgnął po karafkę, zanim odsunęła szklaneczkę od ust. Sam też miał ochotę na dolewkę.

– Właśnie dlatego uważam, że w tej sytuacji najlepszy bohater to martwy bohater – rzucił.

– Masz rację, musimy ich wszystkich usunąć – zgodziła się. – Im szybciej, tym lepiej. Zanim dokopią się do czegoś, co zaszkodzi nam bardziej niż ujawnienie informacji o ataku Obcych.

– Już się tym zająłem – zapewnił ją.

– Niech zgaśnie: całą trójkę spotka seria niefortunnych wypadków?

– Całą czwórkę – poprawił ją. – Pozbyłbym się też tego podporucznika, niby

nie jest powiązany ze sprawą, ale po co zostawiać świadków...

– Rób, jak uważasz.

– Seifert, Poetze i ten tam, Cesik to łatwizna. Ich zniknięcia nikt nawet nie zauważy, zwłaszcza w takim zamieszaniu. Za to ze Świątkim będzie większy problem... To przecież pupilek Farlanda – dodał, upijając solidny łyk brandy.

– To faktycznie kłopot, ale w jednym masz rację. Wielki admirał nie jest niezastąpiony, jak sam przed chwilą wspomniałeś. Xiao mógłby...

– Mam lepszy pomysł – wtrącił, choć wiedział, jak bardzo pani kanclerz nie lubi, gdy ktoś wchodzi jej w słowo. To jednak była chwila jego triumfu. Chciał jej pokazać, jak genialnie potrafi rozgrywać takie sprawy. Modo skrzywiła się, kryjąc ten grymas za przytkniętą do ust szklaneczką, ale zmilczała, dorzucił więc szybko: – Kilka dni temu Świątki prosił o zezwolenie na wysłanie kolejnej misji ratunkowej. Chciał wrócić na Deltę Ulietty. Admiralicja uznała, że to niewykonalne. W uzasadnieniu odmowy napisano... – sięgnął po czytnik – ...że to niemal pewne samobójstwo. Skoro tak się sprawy mają, pozwólmy mu tam lecieć. Przyjrzałem się temu dokładniej. Przy odrobinie szczęścia zyskamy w dwójnasób: pozbedziemy się nie lada problemu i stworzymy jeszcze większą legendę. Świątki wyrośnie na niezłomnego bohatera, który wolał poleć w obronie obywateli Federacji, niż złamać dane im słowo. Media łykną to jak, nomen omen, supernowa pobliskie planety. Bydło go pokocha. I nas też, kiedy złożymy hołd poległemu majorowi.

– Piękna wizja, z jednym tylko zastrzeżeniem. – Spojrzała Kaupowi prosto w oczy. – To cholernie zmyślny skurwyklon. Może wyjść z tego cało.

– I właśnie dlatego, moja droga, opracowałem plan awaryjny. – Znów podał jej czytnik.

Modo przeczytała inny dokument, kiwając wolno głową.

– Masz rację, to się może udać... – Zamilkła, gdy komunikator leżący obok jej uda pojaśniał. Zerknęła na ekran, po czym szybko aktywowała połączenie. – Tak, Benadetto?

– Załatwione – rzucił zwięźle skarbnik, nie siląc się nawet na zdawkowe

powitanie. – Wszyscy troje wyrazili zgodę.

– Świetnie.

Rozłączyła się.

– Zaczynasz negocjacje? – zagadnął Kaup.

– Nie. To, co zamierzam zrobić, w ich świecie nazywa się wrogim przejęciem – odpowiedziała ze szczerym uśmiechem. – W twoim byłoby to zapewne wymuszenie.

Rozbawiła go tą uwagą. Ten sam czyn, a jakże odmienne nazwy. W świecie wielkich korporacji wrogiego przejęcia nie uznawano za przestępstwo, choć w gruncie rzeczy sprowadzało się do zmuszenia ofiary, by oddała pod przymusem wszystko, co jest dla niej ważne czy cenne. Człowiek dokonujący takiego rabunku w białych rękawiczkach zamiast trafić do więzienia, awansował i bogacił się nieprzyzwoicie. Modo postanowiła więc spożytkować sytuację i wykorzystać zbliżający się kryzys do upieczenia dwóch pieczeni na jednym ogniu.

Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z jej planem, Rada nie tylko będzie odtąd nieodwoływalna, ale też przejmie kontrolę nad aktywami trzech największych megakorporacji, a te szacowano na nie mniej niż siedemdziesiąt cztery procent kapitału zgromadzonego przez całą ludzkość.

Ta gra warta była każdego ryzyka.

Kaup doskonale znał stawkę, dlatego nie miał żadnych oporów przed wprowadzeniem w życie własnych planów, dzięki którym stanie się numerem dwa w rodzącym się właśnie galaktycznym imperium. A kiedy nadejdzie odpowiedni moment – ale to już po tym, jak ludzkość pokona aniołopodobnych najeźdźców – kto wie, czy nie ulży Modo w cierpieniu za miliony i nie sięgnie po palmę pierwszeństwa... Z tą myślą wysłał polecenie, by admiralicja rozważyła ponownie wniosek Święckiego i tym razem wydała pozytywną decyzję.

# SIEDEM

*System Rwanda, Sektor Sierra,*

*05.11.2354*

To było takie proste. Że też nie wpadła na to wcześniej, jeszcze na stacji. W habitacie nie miała najmniejszych szans na odrobinę intymności. Wielki kontener na rudę poprzedzielano jedynie gęstą siecią lin, by ludzie przebywający w stanie nieważkości mogli się poruszać, nie wpadając bez przerwy na siebie. Było to konieczne, ponieważ upakowano ich ciasno jak... sardynki w puszcze, cokolwiek to mogło znaczyć. Ninadine uśmiechnęła się na wspomnienie człowieka, który wypowiedział to dziwne, bardzo archaiczne porównanie.

– Nie ma to jak zacisze własnego gabinetu – zauważył stojący za jej plecami Adamadeus. – Nawet jeśli brak w nim okna... czy choćby jego imitacji.

Rzucona z nutą żalu uwaga sprowadziła Ninadine na ziemię. Warunki, w jakich przyszło jej czekać na kolejny transfer, były bardziej niż spartańskie. Razem z siedemdziesięcioma pięcioma innymi osobami przewieziono ją pod kopułę habitatu numer trzy – przestronnego co prawda, ale jak dotąd niewykończonego. Wszędzie, gdzie dotarła, a zadała sobie trud obejścia wszystkich trzech poziomów, pomieszczenia wyglądały identycznie: nic, tylko gołe ściany i sklepienia z surowej poromasy. Najprostsze umeblowanie ewakuowani musieli drukować sobie sami. Na szczęście Ninadine, będąc przywódczynią tej społeczności, miała pierwszeństwo, dzięki czemu mogła spędzić najbliższą noc na w miarę wygodnym posłaniu zamiast na twardej

posadzce, jak niemal jedna trzecia kolonistów ulokowanych w tym obiekcie. Podobnie przedstawiała się sytuacja w innych habitatach, szczególnie w dwóch najbliższych – piątce i jedynce – którymi zarządzali w jej imieniu: wiecznie ponury Gened Stanley, księgowy niższego zaszeregowania, oraz brygadzysta z Delty, niejaki George Lucas, niewysoki korpulentny brodacz o niebieskich wodnistych oczach i niezamykającej się nigdy gębie. Ninadine wątpiła jednak, by mieszkańcy dalszych kompleksów, z którymi nie miała na razie kontaktu, trafili lepiej.

Wybory odbyły się zaraz po wylądowaniu ostatniego wahadłowca, gdy zgromadzeni w niewykończonym budynku terminalu uchodźcy zostali poinformowani przez nadzorującego całą operację oficera, że flota zdążyła przygotować dla nich jedenaście obiektów nadających się do zamieszkania. W największym – rzeczonyj trójce – mogło się pomieścić około osiemdziesięciu osób; w najmniejszych, peryferyjnych posterunkach góra dwadzieścia. Rozlokowania zamierzano oczywiście dokonać w najprostszy z możliwych sposobów, czyli alfabetycznie. Nietrudno się domyślić, jak zareagowali górnicy, których wyczytywano kolejno, oddzielając tym samym od kolegów z pracy i znajomych.

Wtedy to, zanim sytuacja wymknęła się do reszty spod kontroli zaskoczonych reakcją cywilów porucznika, do akcji wkroczył stojący u jego boku Gruner. Zaczął od uciszenia protestów, a zrobił to w starym dobrym korporacyjnym stylu: poprosił wojskowych o użyczenie mikrofonu i korzystając z systemu nagłośnienia ich panczerzy, wydarł się na cały głos, przekrzykując rozjuszoną tłuszcę. Kilka grózb zwolnienia dyscyplinarnego połączonych z siarczystymi przekleństwami wystarczyło, by pół tysiąca rozwścieczonych górników w jednej chwili spotulniało. Zakwaterowanie na planecie tlenowej było dla tych ludzi czymś więcej niż trafienie głównej wygranej na loterii. Nawet jeśli spędzali na niej tylko kilka godzin na dobę, i to tych przeznaczonych na sen.

Gdy robotnicy umilkli, Adamadeus zaproponował, żeby sami dobrali się w odpowiednio liczne grupy, a gdy już to zrobili – zadziwiająco szybko

i sprawnie, trzeba przyznać – przeszedł do kolejnego etapu, którym było żądanie, by każda grupa wyznaczyła przywódcę, człowieka mającego pośredniczyć w kontaktach między zarządcą kolonii a mieszkańcami danego habitatu.

Oficer próbował z początku protestować, twierdząc, że nie mają czasu na takie pierdoły, ponieważ harmonogram akcji ewakuacyjnej jest bardzo napięty, a z każdego opóźnienia zostanie z pewnością surowo rozliczony, ale gdy zobaczył, że Adamadeus robi, co trzeba, i tak naprawdę oszczędza masę czasu, cofnął się o krok i tam już pozostał do końca tego krótkiego zebrania. Gruner wiedział bowiem doskonale, jak radzić sobie z ludźmi. Zjadł na tym zęby, pracując przy terraformowaniu kilku nowo odkrytych planet, do której to roboty zatrudniano najgorszy element, ponieważ warunki, zwłaszcza na pierwszym etapie procesu, były niezwykle ciężkie.

Gdy robotnicy wybrali jedenastu przedstawicieli, Adamadeus poprosił do siebie czekającą na uboczu – tam, gdzie jej kazał – Ninadine. Przedstawił ją w kilku zdaniach, powiedział, kim była na Delcie, a następnie wymienił jej niewątpliwe, choć wyolbrzymione zasługi przy ewakuacji kolonii, łącznie z podkolorowaną wersją zamiany miejsca z chorą pracownicą, która mogłaby nie przeżyć podróży rdzeniowcem. Na koniec zaproponował zarówno żołnierzom, jak i pracownikom korporacji, by zgodnie z obyczajem i prawem to ona została głównym zarządcą tymczasowej kolonii. Dodał też, odwracając się do porucznika, że z przyjemnością przekaze jej pałeczkę.

Protestów i sprzeciwów, zgodnie z jego oczekiwaniami, nie było. Górnicy kupili jego kłamstwa bez oporów, ponieważ łgał jak z nut. Oficer wpisał więc do czytnika nowe dane, zmieniając tym samym ustalenia ze stacji, co oboje – Ninadine i Adamadeus – potwierdzili odcisnięciem kciuków pod krótkim, acz niepozbawionym błędów tekstem. Tak właśnie wyglądało przejście władzy. Żadnych fanfar, kwiatów ani burzy oklasków, jakie towarzyszyły imprezie powitalnej na Delcie.

Moment później upakowano ją razem z Grunerem i siedemdziesięcioma



czterema innymi ludźmi do przedziału osobowego opancerzonego grawiolotu, którym została następnie przewieziona do śluzy cumowniczej kopuły numer trzy.

Wszystko to wydarzyło się przed ponad dwiema lokalnymi dobami, a licząc według czasu standardowego, zaledwie dwadzieścia siedem godzin temu. Planeta, na którą trafili, była mniejsza od Ziemi, ale obracała się wokół swojej osi znacznie szybciej niż kolebka ludzkości, przez co stosowanie urzędowego rytmu dnia i nocy nie miałoby na niej najmniejszego sensu.

Może i dobrze – pomyślała Ninadine – że nie mamy okien.

Oglądanie wschodu bladoniebieskiego słońca co trzynaście godzin i dwadzieścia minut oraz bardzo szybkiego nadejścia nocy mogłoby mieć zły wpływ na ludzi żyjących według standardowego kalendarza, lepiej więc, że nie musieli na to wszystko patrzeć. Zwłaszcza że atmosfera na zewnątrz była bardzo rzadka i jeszcze bardziej trująca, a widok wytrawionych kwaśnymi deszczami, poszarpanych smolistych lub brunatnych skał – a tylko takie widziała, gdy za radą Grunera weszła do śluzy awaryjnej na szczycie kopuły, czyli jedyne pomieszczenia wyposażonego w niewielki wizjer – sprawiał naprawdę przygnębiające wrażenie.

Dla ludzi mieszkających dotąd na planecie tlenowej, gdzie deszcz nie przepalał kombinezonu ochronnego już po kilku minutach, a średnie temperatury nie mroziły krwi w okamgnieniu, była to potworna degradacja. Większa nawet niż zmuszenie ich do zamieszkania w niewykończonym kompleksie, ponieważ spora część górników dawno przywykła do życia w warunkach tylko trochę lepszych od oferowanych tutaj. Nawet jeśli mieli to szczęście i podczas pobytu na Delcie zakosztowali odrobiny luksusu – oczywiście w ich słowa rozumieniu.

Adamadeus uświadomił jej kilka godzin temu, że wnętrza drukowanych seryjnie domów dla pracowników najniższego szczebla rzadko były wykańczane masą gładziową czy panelami z tworzyw, ponieważ korporacja, która zapewniała w kontraktach zakwaterowanie, starała się realizować te zapisy najniższym kosztem, w związku z czym w grę wchodził jedynie tak zwany stan surowy, i to

w dosłownym rozumieniu. Tym sposobem resztę prac wykończeniowych zrzucano na barki potencjalnych lokatorów, a że zbytek kosztuje...

Krótko mówiąc, górnicy woleli oszczędzać każdy zarobiony grosz bądź wydawać go na zupełnie inne potrzeby, przez co w domach oddawanych im w dzierżawę na czas trwania kontraktu robili niewiele albo zgoła nic. Gruner wiedział o tym, bo sam mieszkał w uboższej, choć nie najbiedniejszej części kolonii na Delcie i często odwiedzał swoich mniej zarabiających podwładnych. Ci zaś inwestowali w siedziby wyłącznie wtedy, gdy mieli pewność, że zagrzeją w nich miejsce dłużej – a takich osób z widnikiem szukać pośród ewakuowanych w habitatach rdzeniowca.

– Czas na poranny obchód – przypomniał Adamadeus, nadal stojąc w progu.

Wstawszy niechętnie zza prostego biurka, Ninadine skrzywiła się, słysząc, że odsunięte krzesło zgrzyta przeraźliwie nogami na chropowatej powierzchni poromasy. Oby pobyt w kolonii przejściowej trwał jak najkrócej, poprosiła w myślach, kierując się do drzwi.

Gruner przepuścił ją, po czym zamknąwszy gródź, ruszyli gęsiego wąskimi schodami – windy były ostatnim elementem wyposażenia, jakie flota zamontowała w tej prowizorce – na niższy, środkowy poziom, gdzie po zewnętrznej stronie korytarza ulokowano dwuosobowe przedziały mieszkalne. Było ich trzydzieści sześć, a każdy składał się z trzech pomieszczeń: niewielkiego pokoju dziennego, klaustrofobicznej sypialni i przylegającej do niej mikroskopijnej łazienki. Dzięki systemowi wewnętrznych drzwi można było połączyć dwa albo trzy takie przedziały, jeśli zamieszkiwała je jedna, za to liczniejsza rodzina. Wejścia po wewnętrznej stronie korytarza prowadziły do części centralnej, w której znajdowała się strefa rekreacyjna kolonii – oczywiście także niewykończona, z wyjątkiem mesy, gdzie flota czy też ktoś inny, kto odpowiadał za budowę tej kolonii, umieścił wcześniej lady dyspenserów. Pierwszy posiłek Ninadine zjadła na stojąco jak wszyscy, ponieważ stoły i krzesła mieszkańcy również musieli wydrukować sobie sami.

Sprawdzenie, czy wszędzie panuje spokój, a sprzęt działa, jak powinien,

zajęło im niespełna kwadrans. Zdecydowana większość ewakuowanych byczyła się bowiem w przydzielonych kwaterach, śpiąc bądź zajmując się innymi przyziemnymi sprawami. Takimi choćby jak picie darmowego destylatu (jakiś cwaniaczek już pierwszej nocy przeprogramował jeden z dyspenserów). W normalnych warunkach Ninadine powinna przeprowadzić stosowne dochodzenie, aby winnego bądź winnych wyrzucić dyscyplinarnie z pracy, Adamadeus wytłumaczył jej jednak, żeby odpuściła.

Ewakuowani górnicy jeszcze nigdy nie mieli tyle wolnego czasu, lepiej więc, by po wykonaniu swoich obowiązków chlali w przedziałach, niż szukali zwady poza nimi. A właśnie do tego by doszło prędzej czy później, ponieważ w ludziach, gdy już się znudzą czekaniem, zaczyna narastać irytacja, która rodzi agresję. Dlatego oboje, Ninadine i Adamadeus, zanosili modły do prezesów EB i admiralicji, by nie pozostawiono ich zbyt długo na tym zapomnianym przez flotę i rząd kawałku skały, w systemie, którego nazwy nie znał nikt w całej kolonii.

Żołnierze odjechali, gdy tylko ostatni ewakuowany przeszedł przez służbę. Zostawili ich bez słowa wyjaśnienia, zapewniając tylko ustami dowodzącego oficera, że każdy habitat został wyposażony w dwa razy więcej sprzętu i żywności, niż będzie im trzeba. Na pytanie, jak długo przyjdzie im czekać, porucznik wzruszył ramionami. Nie mieli do niego o to pretensji – był takim samym pionkiem jak oni, a pionkom nie zdradza się przecież tajnych planów. Nie pojmowali jedynie, dlaczego oficer uporczywie odmawia wyjawienia im nazwy systemu. Musiał ją znać, a mimo to milczał jak grób.

Zaraz po przybyciu do trójki Gruner przeszukał starannie najniższy poziom kopuły – co okazało się dość łatwe, gdyż niemal wszystkie pomieszczenia techniczne i magazyny świeciły pustkami – ale nie znalazł tam żadnego urządzenia elektronicznego, jeśli nie liczyć skromnej partii części zapasowych do dyspenserów i natleniaczy. Przekonał się przy okazji, że wojsko nie kłamało. Ukryte pod dolnym poziomem zbiorniki wody były pełne. Mieli jej tyle, że mogli się myć, a nawet kąpać dwa razy dziennie, rzecz jasna zakładając, że nie

posiedzą tu dłużej niż standardowy miesiąc, co wydawało się absolutnym maksimum. Z jedzeniem było podobnie. W chłodniach złożono kilkadziesiąt kontenerów biomasy.

Na wszelki wypadek zachował ten sekret dla siebie i dla przełożonej. Na spotkaniu organizacyjnym w mesie zapowiedział ludziom, że w habitacie obowiązuje standardowe racjonowanie wody dla mieszkańców planety tej kategorii, czyli sześć litrów na dobę. Z możliwością podwojenia racji w przypadku osób wykonujących dodatkowe prace dla zarządu i społeczności. Pozwolił za to robotnikom jeść i pić, ile dusza zapragnie. Aczkolwiek nie było to ustępstwo, lecz konieczność. Jako że dyspensery nie miały zamontowanych liczników, upilnowanie, kto ile je, nie wchodziło w grę, a Gruner nie zamierzał pełnić całodobowych dyżurów w mesie, bo tylko tak byłby w stanie wyegzekwować stosowanie się do norm. Wątpił też, by Ninadine miała ochotę bawić się w strażnika.

Wizytacja dolnego poziomu także nie trwała długo. Puste magazyny nie zapełniły się w cudowny sposób, nikt też nie ukradł pojemników z biomasą do dyspenserów, bo i po co miałyby to robić, skoro wszystko było za darmo, a do zbiorników z wodą dostęp miał tylko Gruner. Przy drukarkach nie stały już kolejki ludzi potrzebujących podstawowego wyposażenia przedziałów i kombinezonów zamiennych, za to pracowało tu teraz osiemnastu z dwudziestu czterech dyżurnych pierwszej zmiany. Sześciu z nich nadzorowało maszyny drukujące panele ściennie do mesy, pozostali zajmowali się ich dopasowywaniem, oznaczaniem i przenoszeniem na wyższy poziom, gdzie sześciu kolejnych montowało dostarczone elementy. Było to jedyne jako tako sensowne zajęcie, jakie udało się wymyślić, by ci ludzie nie zgłupieli za szybko z nudy.

Truffaut w ogóle by tutaj nie zeszła, gdyby nie sugestia Grunera: „Koloniści nie powinni zapomnieć, że nadal są pracownikami korporacji, którzy po krótszym bądź dłuższym okresie laby wrócą na dawne stanowiska, być może nawet na Delcie Ulietty, co jednak nie będzie możliwe w wypadku tych, którzy

czymś podpadną nowemu zarządowi”. Z tego też powodu oboje musieli krążyć między podwładnymi, pokazując się co najmniej trzy razy dziennie i udając, że notują wszystko w osobistych czytnikach, by przesłać raport dalej przez wymyślonych łączników z floty, z którymi rzekomo kontaktują się przez wymyślony nadajnik centrum komunikacyjnego – oczywiście znajdujący się w jednym z pomieszczeń najwyższej kondygnacji.

Po urzędzeniu mesy, co przy obecnym tempie prac mogło potrwać około trzech dni, górnicy mieli się zająć wykończeniówką reszty pomieszczeń środkowego poziomu. Na całkiem rozsądne pytanie jednego z kolonistów, dlaczego nie zacząć od poprawienia wyglądu biur zarządcy, Gruner odpowiedział, nie mrugnawszy nawet okiem, że Ninadine i on sam mogą poczekać, gdyż ważniejsze jest, aby habitat został jak najlepiej przygotowany na potrzeby kolejnych uchodźców, których flota z pewnością przetrzuci na tę planetę zaraz po tym, jak zostaną oni odebrani przez korporację. Kłamał jak najęty, ponieważ nie mogli na razie pozwolić, by ktoś z niższego poziomu dostał się do ich biur i zobaczył, że nie dysponują żadnym sprzętem. Na pytanie Ninadine, co poczną, gdy cały dół zostanie wykończony, odparł, że ma plan.

Zamierzał stworzyć atrapę nadajnika, ale by ją zrobić nocami element po elemencie, potrzebował dużo czasu.

# OSIEM

*System Anzio, Sektor Zebra,*

*06.11.2354*

– Wprowadziłeś wszystkie zmiany? – Farland przeszedł do rzeczy, ledwie Rutta usiadł przy stole sali odpraw, zajmując miejsce po jego prawicy.

Spotkali się kwadrans przed wyznaczonym terminem, by omówić własne rozwiązania, zanim pozostali członkowie sztabu powrócą, aby przedstawić swoje pomysły – zapewne mało sensowne albo wręcz niewykonalne.

– Tak – odparł generał. – W obu wariantach.

– Świetnie.

Wielki admirał pochylił się, by aktywować mapę metasektora. Podzielony na dwadzieścia sześć pasów walec, przedstawiający wycinek ramienia Oriona, obracał się wolno nad centralną częścią blatu. Większość z mrowia gwiazd w jego wnętrzu miała neutralną, błękitną barwę – oznaczono nią martwe, nienadające się do skolonizowania systemy – pośród nich tylko z rzadka połyskiwały zielenią te miejsca, które człowiek zbadał, podbił i sobie podporządkował. Jednakże na tym sielankowym obrazie, szczególnie z brzegu hologramu, pojawiła się ostatnio kłująca w oczy czerwień. Tym kolorem wyróżniono utracone terytoria, zarówno te zamieszkane, jak i bezludne. Każdy krwawy punkt oznaczał stację sygnałową, z którą utracono kontakt, a otaczającą go karminowa poświata – przestrzeń, nad którą ludzkość nie miała już żadnej władzy.

Z perspektywy admiralskiego fotela czerwone, wijące się i sięgające coraz dalej w głąb metasektora macki przypominały system korzeni niewidzialnej metarośliny: niektóre były długie i kręte, inne natomiast rozgałęziały się co chwilę, tworząc skomplikowane wzory.

Kilka ruchów dłoni i holomapa zmieniła skalę. Teraz obaj oficerowie widzieli tylko jej wycinek. Parę sektorów kątowych pasów od R do U. Miejsca, w których wkrótce dojdzie do starć decydujących o losie trzeciej floty, a może nawet całej ludzkości. Niemal tysiąc gwiazd w kilkuset systemach, z których człowiek zdołał skolonizować zaledwie szesnaście. Całą resztę stanowiły bezwartościowe martwe pustkowia, których nie warto było nawet odwiedzać. Różnobarwne karły i olbrzymy, systemy martwe od eonów albo mocno niestabilne, błędy natury, od jakich roilo się w Galaktyce i wszechświecie.

– Przyjrzyjmy się najpierw wariantowi drugiemu – zaproponował Farland, siadając prosto.

Rutta był przygotowany, wystarczył jeden ruch dłoni, by odpowiednie pliki trafiły do systemu komputerowego sali odpraw.

– Jeśli konwój Świąckiego zostanie przejęty po drodze – zaczął – co moim zdaniem jest wysoce prawdopodobne, zyskamy niepodważalny dowód na to, że Obcy nie tylko kontrolują zdobyte systemy, ale też będą reagować na każdą próbę wtargnięcia w... – zawahał się, jakby nie chciał wypowiedzieć kolejnych słów – ...należącą teraz do nich przestrzeń. Dlatego proponuję, by razem z eskadrą osłony wysłać na Deltę co najmniej trzy jednostki zwiadu.

– Dlaczego aż trzy? – zapytał Farland.

– Jeśli rozpoznanie ma być skuteczne, musimy umieścić na czele konwoju co najmniej jeden okręt tej klasy. To jedyny sposób na zarejestrowanie pełnej skali widma od pierwszych sekund po wyjściu z nadprzestrzeni. Tylko tak uda nam się namierzyć wszelkie anomalie i być może odkryć źródła transmisji kwantowych bądź innych metod wykorzystywanych przez ma'lahn do przesyłania informacji z prędkością większą od prędkości światła. Ta taktyka niesie jednak ogromne ryzyko: jeśli przy punktach wyjścia trafimy na opór, co

jest bardziej niż prawdopodobne, stracimy te jednostki już w pierwszej fazie starcia. Dlatego sugeruję, aby do konwoju dołączyć trzy fregaty kontradmirała Gongadze.

– Mówisz o okrętach czwartej generacji? – upewnił się wielki admirał. – Obawiam się, że...

– Tylko one dysponują reaktorami o odpowiednio wielkiej mocy, by teleportować tak duże ilości danych – oznajmił stanowczym tonem generał. – Poza tym mamy ich w sumie sześć. W najgorszym razie stracimy dwa, w najlepszym wszystkie wrócą do baz. W zamian natomiast możemy zyskać niezwykle cenne informacje, które w przyszłości pozwolą...

– Rozumiem! – Wielki admirał wpadł mu w słowo. – Trzy systemy, trzy okręty rozpoznania czwartej generacji. Zatwierdzone. Kontynuuj.

– Jeśli Obcy zareagują zgodnie z moimi przewidywaniami, nie pozostanie nam nic innego, jak przygotować się do bitwy na terytoriach jeszcze przez nich niezajętych, gdzieś w pasie R. – Rutta wprowadził krótką komendę i trzy gwiazdy na mapie zmieniły barwę. Dwa z jadowicie żółtych punktów były wcześniej niebieskie, jeden świecił uspokajającą zielenią. – Romulus XIV, Rwanda, Reims V. To systemy, które idealnie nadają się na zastawienie pułapki. I właśnie w ich kierunku wabimy ma'lahn fałszywymi transmisjami. Każde z proponowanych przeze mnie miejsc ma jednak nie tylko plusy, ale i minusy...

Farland podniósł dłoń, uciszając przyjaciela.

– Który twoim zdaniem nadaje się najlepiej?

– Wciąż się waham pomiędzy Rwandą a Romulusem – przyznał Rutta. – Ale jeśli kazałbyś mi zdecydować, powiedziałbym, że pierwszy z tych systemów jest najlepszym wyborem. – Zamilkł na moment, by zawęzić obraz do jeszcze mniejszego wycinka ramienia. – Układ podwójny półrozdzielony, cztery tunele czasoprzestrzenne prowadzące na Quadrę, Ramę, Sankt Petersburg V i Samarę IV. – Gdy wymieniał kolejne nazwy, na mapie pojawiały się złote linie łączące wymienione systemy. – A co najważniejsze, wszystkie wyloty studni grawitacyjnych znajdują się bardzo blisko siebie, dzieli je w zależności od



fluktuacji od 3,1 do maksymalnie 3,4 sekundy świetlnej.

– Poniżej miliona kilometrów – mruknął w zamyśleniu Farland.

– Tak. Ten system wydaje się idealny do zastosowania dwustopniowego rozwiązania, o którym ci wspominałem.

– Mów dalej... – Farland pogładził brodę palcem wskazującym, jak zwykł to robić, gdy analizował na bieżąco przedstawiane mu koncepcje.

– Zgrupowanie numer jeden wyruszy na Rwanę natychmiast po odebraniu sygnału o zniszczeniu stacji. Zgrupowania numer dwa i trzy rozmieścimy wcześniej w pasach Q i R, blokując wyloty studni grawitacyjnych na Quadrze i Ramie. Jedyńka zrobi to samo z całą strefą skoku Rwandy. Zaatakujemy ma'lahn, gdy tylko wyjdą z nadprzestrzeni, odpalimy wszystko, co mamy na niszczycielach i reszcie drobny, a jeśli to nie wystarczy, jeśli się przedrą i zbierzemy za ostro po dupie, wydasz rozkaz podzielenia sił na dwa zespoły i wykonania skoku do wymienionych systemów. Obcy powinni polecieć za nami. Wiedzą przecież, że kolonia Rwandy to drugorzędny i w dodatku stacjonarny cel, który nie zniknie, a okazja zniszczenia tylu okrętów naraz może im się szybko nie trafić. A gdy znowu wyjdą z nadprzestrzeni... – uśmiechnął się podstępnie. – Po raz pierwszy znajdą się na naszym terenie, i to bez uprzedniego rozpoznania. Nieprzygotowani na konfrontację z kolejnymi zgrupowaniami, nadwerężeni pierwszym starciem...

– Piękna wizja, Franciscollin – przyznał Farland. – A teraz powiedz mi, jak wysoką cenę zapłacimy za jej realizację.

– Już włączam symulację... – Rutta pochylił się nad czytnikiem.

– Nie – powstrzymał go wielki admirał. – Nie chcę oglądać żadnych symulacji. Podaj mi suche dane.

– Dobrze. – Generał spojrzął mu prosto w oczy. – System ocenia, że w trakcie pierwszego starcia przeciwnik zdoła wyeliminować około pięćdziesięciu pięciu procent naszych krążowników i do czterdziestu procent pancerników. Licząc wszystkie jednostki wykluczone z dalszych działań, zarówno poważnie uszkodzone, jak i całkowicie zniszczone.

– Rozumiem, że te dane dotyczą czarnego scenariusza.

Rutta pokręcił wolno głową.

– Nie. To uśredniona wersja wyliczona na podstawie stu szesnastu wariantów starcia przeanalizowanych do tej pory przez system.

– A jak wygląda... – Nie musiał kończyć.

– Osiemdziesiąt jeden i sześćdziesiąt sześć procent – wyrecytował generał.

Farland nie odpowiedział. Siedział ze spuszczoną głową, jakby szukał ukojenia w szarości blatu. Sekunda, może nawet niepełna, walki i jego flota zostanie uszczuplona o cztery pancerniki i... ponad czterdzieści krążowników. Straty w sile żywej sięgną... od ośmiu do dziesięciu tysięcy zabitych i rannych, nawet jeśli do boju zostaną posłane tylko szkieletowe załogi.

– A po ich stronie? – wydusił w końcu z siebie.

– Jeśli przylecą tylko trzy t'iru, zniszczymy co najmniej jeden, a drugi uszkodzimy. Jeśli przyleci ich więcej, możemy liczyć co najwyżej na uszkodzenie dwóch, oby na tyle poważne, że któryś zostanie wyeliminowany z dalszej walki.

– Przy takiej koncentracji sił?

Rutta przytaknął.

– Nowe oceny uwzględniają zmiany w taktyce przeciwnika, które zaobserwowaliśmy po starciu na Ulietcie – wyjaśnił.

Obcy szybko się uczyli. T'iru pojawiające się w kolejnych systemach nadlatywały parami, czasem nawet trójkami, nie zaś pojedynczo jak do tej pory, dzięki czemu wróg zyskał wzmocnienie siły ognia, a ludzie stracili możliwość koncentracji na wybranym celu.

– To będzie katastrofa – wymamrotał wielki admirał. – Nie podniesiemy się po takiej klęsce.

– Niekoniecznie. Jeśli ma'lahn dadzą się podpuścić i uskrzydleni tym sukcesem polecą za nami...

– Naprawdę wierzysz, że okażą się aż tak głupi?

– Tak, ponieważ sam postąpiłbym podobnie. Do tej pory tylko uciekaliśmy,

odgryzając się od czasu do czasu. Robili z nami, co chcieli. Teraz zetrzemy się w pierwszej dużej bitwie, którą wygrają bez trudu, mimo że przeciwstawimy im ogromne zgrupowanie naszych okrętów. Zadadzą nam porażające straty. Zmuszą do pójścia w rozsypkę i do panicznej ucieczki. Nawet ty dałbyś się ponieść takiej chwili, Theo. Poza tym nie zapominaj, że w tym wariantcie zgrupowanie numer jeden będzie się składać niemal wyłącznie z okrętów drugiej generacji.

To było kolejne założenie Rutty, z którym Farland nie umiał się pogodzić. Na pierwszy ogień, a raczej na żer, wysyłano najbardziej wysłużone, a zarazem najsłabsze okręty. Rozumiał, że jest to najlepszy sposób na uśpienie czujności wroga, by dał się potem zwabić w pułapkę bez wyjścia, gdzie sam zostanie zniszczony. Rozumiał też, że ten manewr – paradoksalnie – ograniczy straty w sile żywej, ponieważ jednostki budowane trzydzieści lat temu i wcześniej nie potrzebowały tak licznych załóg jak giganty, na których on latał. Różnica będzie pewnie minimalna ze względu na mniejszą siłę ognia i wytrzymałość starych okrętów, ale czy nie o to chodziło? Czy nie mieli zminimalizować strat za wszelką cenę?

Nie mógł zanegować faktu, że utrata tych właśnie okrętów będzie najmniej bolesna, przynajmniej ze strategicznego punktu widzenia. To wszystko były bardzo racjonalne argumenty, poparte niedającymi się źle zinterpretować danymi, ale i tak czuł się parszywie, mając świadomość, że ludzie, których pośle do tej bitwy, będą mieli minimalne szanse na przetrwanie. Na pewno o wiele mniejsze niż ich odpowiednicy z krążowników i pancerników czwartej generacji.

– Nie zapominam – rzucił, wyrwawszy się z zamyślenia. – I nie zawaham się podjąć takiej decyzji, ale nie wymagaj ode mnie, abym szczerzył przy tym zęby.

– Myślisz, że mnie to wszystko cieszy? – obruszył się Rutta.

Farland pokręcił głową.

– Myślę, że nie. Kontynuuj.

– Jeśli t'iru polecą za nami do obu albo przynajmniej jednego z systemów, powtarzamy manewr. Atakujemy wroga w strefie skoku, natychmiast po

opuszczeniu nadprzestrzeni. Walimy w niego wszystkim, co mamy. Dzięki temu okręty wycofujące się z Rwandy zyskają czas na przegrupowanie: poważniej uszkodzone wysyłamy w głąb systemu, z reszty formujemy dodatkowe zgrupowanie, by mogły zareagować stosownie do potrzeb. Liczymy, że będą gotowe do akcji dopiero po upływie dwudziestu czterech minut od wyjścia z nadprzestrzeni, zatem pozostanie im próba przejęcia uszkodzonych t'iru, które przedrą się przez naszych. Damy chłopakom szansę na szybkie pomszczenie poległych towarzyszy broni.

– Rozmieściłeś niszczyciele i okręty wsparcia tak, jak sugerowałem?

Rutta skinął głową.

– Siedemdziesiąt procent za pierwszą linią, trzydzieści w drugiej. Tak na marginesie, genialne posunięcie. Naprawdę. Po przebiciu się przez pancerniki i krążowniki wróg nie będzie się spodziewał, że trafi na kolejną falę pocisków kinetycznych i rakiet.

– Tyle że tym razem nasza drobica także oberwie...

Farland miał rację. Aby ten atak był skuteczny, niszczyciele będą musiały się znajdować wystarczająco blisko pola walki i wroga. A to znaczyło, że uciekające t'iru, jeśli przetrwają i to uderzenie, rozniosą na strzępy dziesiątki, jeśli nie setki najmniejszych jednostek floty, zanim te zdołają wykonać skok w podprzestrzeń.

– Prognozowana wysokość strat?

– Czarny scenariusz: dwadzieścia jeden procent dla pierwszej linii, jeśli nie wydamy rozkazu ewakuacji natychmiast po pierwszej salwie – odparł pośpiesznie Rutta, który znał te dane na pamięć. – Mediana siedem procent.

– A co z drugą linią?

– Czterdzieści trzy procent. Średnia trzydzieści jeden przy natychmiastowej ewakuacji.

Wielki admirał się skrzywił.

– Zresetuj ustawienia na jedną linię – polecił.

– Ale... – Generał zaczął protestować.

– Nie ma żadnego ale. Wykonać!

Rutta zaczął wpisywać coś do czytnika, jednakże zaraz przerwał.

– Nie ma problemu. Powiedz mi tylko, dlaczego chcesz to zmienić. Przecież stare ustawienie zwiększało szanse zniszczenia każdego t'iru o ponad dwadzieścia procent.

– Przy jednej linii straty tej formacji będą dużo niższe.

– Ale...

– Powiedziałem: nie ma żadnego ale! – Farland podniósł głos.

Generał skończył wprowadzać zmiany.

– Gotowe. Jeśli nasz plan zostanie zatwierdzony przez admiralicję, przerzucenie wszystkich sił na pozycje wyjściowe potrwa około sześciu dni. W tym czasie powinniśmy otrzymać i przeanalizować wszystkie nagrania zrobione przez konwój Święckiego.

– Konsultowałeś się z nim? – zapytał niespodziewanie wielki admirał.

Tym razem to Rutta się skrzywił.

– Z kim?

– Ze Święckim.

– Przesłałem mu ogólny zarys planu, ale nie nazwałbym tego konsultowaniem. Masz mi to za złe?

– Nie. Niemniej twój pupilek myśli nieszablonowo, ciekaw jestem jego opinii.

– Na razie nie odpowiedział. Podejrzewam, że ma teraz inne, ważniejsze sprawy...

Wielki admirał przyjął te słowa zdawkowym skinieniem głowy. Gdy za ich plecami syknęły rozsuwane drzwi, Rutta zerknął przez ramię. Do sali wkroczył Duarte, za nim weszła Schwartz i pozostali. W półmroku nie było widać ich twarzy, ale wymowne milczenie sugerowało, że nie zdołali wpaść na żaden sensowny pomysł.

To jednak nie miało większego znaczenia. Ani wielki admirał, ani jego doradca nie liczyli na nich w tej kwestii.

# DZIEWIĘĆ

*System Ulietta, Sektor Zebra,*

*06.11.2354*

– Chyba powinniśmy się zastanowić, co dalej.

Brin przysiadł obok Fitz'a w trzecim z siedmiu obozów, jakie założyli w skalnych korytarzach łączących jaskinie z powierzchnią. Wracali na dół po kolejnym teście, zakończonym jednak odmiennym wynikiem niż wszystkie poprzednie. Obcy pomimo kilkugodzinnego oczekiwania nie zaatakowali – albo więc zmienili taktykę, by sprawdzić, co się stanie, albo nie wykryli wiertni pracującej na głębokości dwustu metrów.

Oliwerner był zwolennikiem tej drugiej teorii, Brin natomiast skłaniał się ku pierwszej. Sprzeczali się o to, kto ma rację, do momentu, w którym zostali zluzowani przez kolejną zmianę obserwatorów. Nie mając wyjścia, musieli bowiem wtajemniczyć w swój plan kilkunastu innych kolonistów. Brin wybrał tuzin najbardziej rozgarniętych jego zdaniem gwardzistów, jak nazywał formację porządkowych, a Fitz nie bez oporów wyjaśnił im pokrótce, dlaczego ocaleni muszą kryć się w jaskiniach i co on sam naprawdę robi po wyjściu na powierzchnię zamiast rzekomych pomiarów poziomu skażenia.

Uśmieł się, choć tylko wewnętrznie, gdy zobaczył ich reakcję na wiadomość o ataku Obcych. Gdyby w jaskiniach istniał psychiatryk, pewnie zaprowadziliby go tam natychmiast, skrepowanego prześcieradłem i dobrze zakneblowanego.

Dopiero wizyta w strażnicy uzmysłowiła kolonistom, że ma'lahn to nie

wymysł chorego umysłu szefa pionu naukowego. Dotarło do nich, że Obcy są po stokroć groźniejsi od fali uderzeniowej i promieniowania, gdyż nie przeminą tak szybko jak skutki potężnego, lecz w pełni naturalnego kataklizmu.

Od tamtej pory krąg wtajemniczonych urósł ponad trzykrotnie, co było niestety nieuniknione. Oliwerner zżymał się, że to niepotrzebne, lecz Brin za każdym razem celnie kontrował, twierdząc, że dla podtrzymania iluzji będą potrzebowali mnóstwa zaufanych współpracowników, albowiem siedzący w jaskiniach ludzie lada dzień zaczną pytać, dlaczego są trzymeni w zamknięciu głęboko pod ziemią, skoro supernowa wybuchła parę tygodni temu. A kiedy już zaczną dociekać prawdy, bardzo szybko mogą dojść do niepokojących wniosków, na przykład takich, że gwiazda tej kategorii nie miała szans utracić stabilności w równie szybkim czasie czy też że promieniowanie wcale nie jest aż tak zabójcze, skoro Fitz spędza tyle czasu blisko powierzchni. Lenistwo sprzyjało rozmyśleniom, lepiej więc było dmuchać na zimne i już teraz wyłuskać z tłumu ocalonych tych, którzy mają jakie takie pojęcie o astrofizyce, niż stawiać potem czoło otwartemu buntowi, który skończy się masowym wyjściem na powierzchnię i masakrą.

– To znaczy? – zapytał wyrwany z zamyślenia Fitz.

– Na ratunek z zewnątrz nie mamy co liczyć – przypomniał mu Paulisses. – Nie przerywaj mi... – poprosił, widząc, że szef pionu naukowego otwiera usta, by zaprotestować. – Siedzimy tu już od dwóch tygodni, a nadal nie zmniejszyliśmy racji żywnościowych, mimo że to niejednokrotnie sugerowałem.

– Na to zawsze będzie czas – zdołał wtrącić Fitz.

– Z każdym dniem tej rozrzutności skracamy czas przetrwania – odpowiedział Brin, uśmiechając się melancholijnie. – Jeśli podejmiesz decyzję dzisiaj, jedzenia wystarczy na dziewięćdziesiąt sześć dni, uwzględniając produkcję przeniesionych hodowli. Jeśli tego nie zrobisz, za półtora miesiąca staniesz przed ośmioma tysiącami głodnych ludzi i powiesz im: wybaczcie, kochani, ale żarcie właśnie się skończyło, więc od teraz będziemy zjadać się nawzajem.

– Nie kpilij – poprosił Oliwerner, blednąc na twarzy.

Nie przespał zbyt dobrze kilku ostatnich nocy. Wielokrotnie budził się spocony pośród nieprzeniknionych ciemności, nasłuchując, czy ktoś się nie zakrada, by go zabić... i zjeść.

To nie była ich pierwsza rozmowa na ten temat; Paulisses naciskał coraz mocniej na ograniczenie dziennych racji o połowę i niewątpliwie miał słuszość, twierdząc, że tak będzie roztropniej, ponieważ żaden z nich nie jest w stanie powiedzieć, czy ewentualny (i negowany przez niego od początku) ratunek nie nadejdzie za późno. Fitz nieodmiennie argumentował, że odebranie ludziom jedzenia, jakkolwiek słuszne, musi się odbić na morale ocalonych, co w konsekwencji doprowadzi do fali niepokoju – nazbyt wielu kolonistów wiedziało bowiem, jak duże zapasy udało im się zgromadzić. Sami je przecież zwozili do jaskiń i układali w wydrążonych na najniższym poziomie magazynach. Jak się okazało, Brin znalazł odpowiedź i na to.

– Przemyslałem kwestię osób wiedzących, ile naprawdę mamy zapasów, i doszedłem do wniosku, że jest tylko jedno rozwiązanie. Skoro nie możemy się ich pozbyć – zaśmiał się ironicznie, widząc minę Oliwernera – nie pozostaje nam nic innego, jak wtajemniczyć je we wszystko.

– To aż dwieście dwadzieścia osób – zaprotestował szef pionu naukowego. – Nie licząc ich rodzin... – dodał markotnie, gdy uzmysłowił sobie, co żony i dzieci ochotników pracujących przy przerzucaniu zapasów mogły od nich usłyszeć w tamtych gorących dniach – ...i tych, z którymi zdążyli się podzielić tą wiedzą.

– Ilu by ich było, lepiej wtajemniczyć część ludzi, niż zostać zmuszonym do wyjawienia prawdy wszystkim – podsumował Paulisses, pochylając się bardziej.

– Wiem, że różnimy się w wielu kwestiach. Nie podzielam twojej wiary w Świąckiego, ale widzę, że twoja pewność siebie topnieje z każdym dniem. Za dwa tygodnie przyznasz mi rację, ale wtedy będziemy mieli o dwadzieścia osiem dni mniej na znalezienie rozwiązania, które pozwoli nam przeżyć.

– Jeśli po nas nie przylecą, i tak umrzemy – wymamrotał Fitz, spuściwszy wzrok.



Ekipy terraformujące we współpracy z jego pionem zdołały przystosować do warunków panujących na Delcie kilka ziemskich stworzeń, ale te, jeśli nawet jakimś cudem przeżyły atak na kolonię i wszystkie posterunki, znajdowały się dwa tysiące kilometrów od jaskiń, a miejscowa fauna i flora była nie tylko niejadalna, ale też w większości przypadków silnie trująca dla człowieka. Nawet atmosfera mogła zabić ocalonych – może jeszcze nie teraz, ale za jakiś czas, gdy wysiądzie ostatni z zabranych na dół natleniaczy...

– Niekoniecznie – odpowiedział Brin, przyglądając mu się badawczo.

– Nie żartuj, obaj wiemy równie dobrze, że...

Geolog uciszył go uniesieniem dłoni.

– Posłuchaj... To, co teraz powiem, wyda ci się na pewno szokujące, bo takie jest, nie ma co ukrywać, ale... – Zawahał się, potem zamknął usta, jakby zastanawiał się nad doborem kolejnych słów. – Teoretycznie dysponujemy na dole środkami, które pozwolą części z nas przetrwać nieokreślenie długi czas.

– Mówisz o namnażalniach mięsa?

– I o uprawach hydroponicznych – dodał Brin. – Wody nam nie zabraknie dzięki studniom głębinowym, a dopóki będą działały natleniacze, nie musimy się też martwić o to, czym będziemy oddychać. Zdołamy przetrwać, i to naprawdę długo, ponieważ nasz sprzęt, o czym doskonale wiesz, będzie działał przez całe dekady. Zatroszczyłem się o to, by do jaskiń trafiły urządzenia używane wcześniej przez terraformatorów. Najbardziej niezawodne i najwydajniejsze, jakie znamy. Najsłabszym ogniwem pozostaje żywność. Nie czarujmy się, jeśli z nas dwóch ja mam rację, a na to niestety wygląda, za pięćdziesiąt, najpóźniej za sto dni dojdzie do najgorszego.

Fitz patrzył na niego z rosnącym przerażeniem.

– O czym ty mówisz?

– O tym, do czego może dojść, jeśli...

– Nie, nie – przerwał mu Oliwerner. – Nie pytam o to, co powiedziałaś, tylko do czego zmierzasz.

Brin milczał przez chwilę, ale nie spuścił wzroku. Z jego twarzy i oczu trudno

było jednak cokolwiek wyczytać, co mocno zaniepokoiło szefa pionu naukowego kolonii.

– Nie ma zmiłuj – odezwał się w końcu Paulisses. – Pewnego dnia będziemy musieli podjąć bardzo drastyczną decyzję, jeśli choć część ocalonych ma mieć szansę na przeżycie. Chociaż mi się to nie podoba, nie będę udawał, że prawda wygląda inaczej.

– Wiesz, co to znaczy? – wyszeptał Fitz.

– Tak. Wiem. Przeprowadziłem symulacje na sto różnych sposobów, ale wynik zawsze był taki sam. Jeśli do chwili wyczerpania zapasów nie nadejdzie pomoc z zewnątrz, szansę na przetrwanie będzie mieć maksymalnie tysiąc sześćset pięćdziesiąt osób, aczkolwiek bardziej prawdopodobna wydaje mi się liczba oscylująca wokół tysiąca pięciuset ludzi.

– I kto ich będzie wybierał? – prychnął Oliwerner. – Kto skaze na śmierć pozostałe sześć i pół tysiąca mężczyzn, kobiet i dzieci?

Brin posmutniał, pokręcił głową.

– Myślisz, że mnie się podobają te wyliczenia? Naprawdę uważasz, że widzę siebie w roli sędziego i kata? – Zaśmiał się dziko. – Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie miałem koszmary, kiedy zobaczyłem te wyniki po raz pierwszy... – To akurat Fitz potrafił sobie wyobrazić, sam bowiem cierpiał katusze po każdej takiej rozmowie. – Problem jednak w tym, że nie mamy innego wyjścia...

– Jeżeli ratunek nie nadejdzie – wpadł mu w słowo szef pionu.

Ku jego zaskoczeniu Brin nie próbował po raz kolejny wyśmiać wiary w Święckiego.

– Tak, jeżeli ratunek nie nadejdzie. Jesteś naukowcem podobnie jak ja, wiesz więc, że powinniśmy być przygotowani na każdą ewentualność. Także na najczarniejszy ze scenariuszy.

– Na razie mamy czas. Żywności zabraknie dopiero za kilkadziesiąt dni.

– Wiem i dlatego proszę cię już teraz, żebyś podjął decyzję o zmniejszeniu racji dziennych. To jedyny sposób na kupienie sobie paru dodatkowych tygodni.

Fitz przytaknął.

– Dobrze. Zrobimy, jak chcesz. Zaczynij wtajemniczać ludzi z listy. Ogłosimy zmiany, gdy tylko skończysz. – W jego głosie pobrzmiwała desperacja.

Był gotów na naprawdę daleko idące ustępstwa, byle nigdy nie musieć podjąć ostatecznej decyzji. Jednakże zdawał sobie sprawę z tego, że gdzieś tam, na końcu drogi, która ich czekała, trafi na rozwidlenie i albo zginie, albo stanie się zabójcą... po czym też straci życie, tyle że z własnej ręki. Nie przyjmował bowiem do wiadomości, że mógłby egzystować dalej w miejscu przesiąkniętym odorem ludzkiej krwi. To też powiedział dobitnie geologowi.

– A nie przyszło ci nigdy na myśl – odparł po chwili zastanowienia Paulisses – że jeśli my się tym nie zajmiemy, nasze miejsce zajmie prędzej czy później ktoś znacznie bezwzględniejszy, ktoś, kto się nie zawaha i zredukuje populację ocalałych jeszcze bardziej, by zwiększyć swoje szanse na przetrwanie?

– Nie, o tym nie pomyślałem – przyznał Oliwerner.

W odróżnieniu od niego Brin przeanalizował tę sprawę dogłębnie. Dało się to wyczuć choćby ze spokojnego tonu, jakim prowadził tę rozmowę – przynajmniej przez większość czasu, pomiędzy nielicznymi wybuchami złości i momentami przygnębienia.

– A ja tak. I wolę, żeby ci, którzy muszą zginąć, nie spodziewali się do samego końca tego, co nadejdzie. Żeby mogli zasnąć, wierząc, że obudzą się nazajutrz jak co dzień.

Fitz rozdziawił usta ze zdziwienia.

– Czy ty... zaplanowałaś już, jak ich zabić?

Brin wzruszył ramionami.

– Jestem naukowcem. Kiedy powiem A, mówię też B. W przeciwnym razie nasza rozmowa nie miałaby najmniejszego sensu. Lepiej zaplanować coś zawczasu, nawet gdybyśmy mieli tego nigdy nie zrealizować, niż zwlekać i zwlekać i dopiero na sam koniec szukać w panice dostępnych rozwiązań... – Zamilkł, by jego słowa w pełni zapadły w pamięć rozmówcy. – Szczegóły trzeba rozważyć jak najszybciej. Czegoś takiego nie zorganizujesz w dzień ani nawet

w tydzień, dlatego proponuję, abyśmy rozważyli wszystkie dostępne opcje i przygotowali się na potencjalne, powtarzam: potencjalne i jak najbardziej humanitarne rozwiązanie tej kwestii. Nie uciekniemy od tego tematu, choćbyśmy bardzo chcieli, lepiej więc dokonajmy ustaleń już teraz i módlmy się, aby nigdy nie zaszła konieczność realizacji naszego planu.

– Twojego – burknął Oliwerner.

– Tak. Przepraszam, mojego planu.

Jego spolegliwość była naprawdę zaskakująca. Do tej pory hardo obstawał przy swoim, a teraz... Nie zanegował nawet wzmianki o oczekiwanym powrocie Święckiego. Czyżby nie był aż takim twardzielem, jakiego zgrywał? Czyżby ruszyło go sumienie? Nic dziwnego, zważywszy na ciężar decyzji, która prędzej czy później spadnie na jego barki.

Fitz wyczuwał jednak coś jeszcze. Jakiś wewnętrzny niepokój, którego przyczyn nie umiał nazwać. Dopiero po dłuższej chwili dotarło do niego, że Brin mówił o wybranej przez siebie metodzie likwidacji z taką obojętnością, jakby rozmawiali o usunięciu najzwyczajszej w świecie usterki.

# **Część druga**

## **CZAS DECYZJI**

# JEDEN

*Ziemia, Sektor Alfa,*

*06.11.2354*

Trzystupiętrowa monada, górująca nad kopułą Senatu, sięgała na ponad dwa kilometry w bezchmurne niebo. Nie był to jednak najwyższy budynek na Ziemi, choć szczyty iglic jego masztów dzieliło od poziomu gruntu dwadzieścia pięć metrów więcej niż w przypadku strzelistej wieży Arashi, której od niemal dziesięciolecia przypadał ten zaszczytny tytuł.

Głównym powodem tej dziwnej sytuacji był śmiały projekt architektoniczny, który zakładał, że ostatnia, dziesięciokondygnacyjna, przypominająca kapelusz grzyba sekcja budynku nie będzie połączona z resztą gigantycznej konstrukcji. Miała zawisnąć – i zawisła – na sześćdziesięciu czterech potężnych grawitronach około dziesięciu metrów nad dachem dwustudziemiędziesięciopiętrowej siedziby Rady, stanowiąc jej majestatyczne, acz całkowicie odseparowane zwieńczenie.

Było to bardzo nowatorskie rozwiązanie, które robiło tak ogromne wrażenie na każdym, kto mógł zobaczyć siedzibę Rady na własne oczy albo w holo, że jego autor został uhonorowany chyba wszystkimi nagrodami, jakie znała branża, a liczba zamówień spływających do jego pracowni zapewniłaby mu pracę na najbliższe kilka stuleci. Jako że jednym z warunków kontraktu rządowego było przekazanie Radzie wszelkich praw do projektu – nie za darmo, rzecz jasna – profesor Jeanthony Suresh na pewno nie miał powodów do narzekania.

Modo oczywiście zaanektowała najwyższą część budynku dla siebie. Tutaj na sześciu piętrach mieściły się jej biura, tu także mieszkała, połączywszy w całość trzy szczytowe dwukondygnacyjne apartamenty, przewidziane wcześniej dla wszystkich członków triumwiratu. Po zamachu na jej życie kazała zmienić Kopułę Wolności, jak nieoficjalnie nazywano tę część siedziby Rady, w prawdziwą fortecę. Część mocy reaktorów zajmujących najniższy poziom, odizolowany od reszty kompleksu, przekierowano, by zwiększyć wydajność tarcz energetycznych budowli. Podwojono też liczbę zewnętrznych stanowisk obrony. Szyby wind grawitacyjnych, które zapewniały łączność z resztą kompleksu, zostały zablokowane polem siłowym poniżej ósmej kondygnacji, by nikt niepowołany nie mógł dotrzeć nimi do całkowicie odciętych apartamentów. Podobnie postąpiono z lądowiskami okalającymi piąte, biurowe piętro. Zdemontowano większość z nich, a te, które pozostały, otoczono polami siłowymi, podobnie jak sześciostanowiskowy talerz prywatnego grawiportu na samym szczycie, z którego pani kanclerz korzystała osobiście.

Działania były przesadne, robione głównie na pokaz, ale po niedawnym zamachu nikt nie protestował, gdy powracająca do zdrowia Gerdanielle Modo popełniała świętokradztwo polegające na zawłaszczeniu symbolu Federacji. Opozycja, napiętnowana wcześniej przez media i zepchnięta do głębokiej defensywy, wciąż lizała rany, a tak zwana opinia publiczna... Pani kanclerz uśmiechnęła się pod nosem. Jeśli ten dzień będzie mogła zaliczyć do udanych, kwestia innych partii i wyborców odejdzie do lamusa, tam, gdzie powinna już dawno się znaleźć.

Czekała w głębi przeszklonego korytarza prowadzącego na płytę prywatnego lądowiska. Towarzyszyli jej tylko agenci ochrony – tej prywatnej, nie nadanej z urzędu – i kilka androidów czternastej generacji, których zadaniem będzie usługiwanie gościom podczas oficjalnego powitania. Kazała dobrać je tak, by delegację każdej korporacji podejmowały jej własne dzieła. Zawsze dbała o takie detale, ponieważ wiedziała, że diabeł tkwi w szczegółach, a ludzie, z którymi przyjdzie jej negocjować, należą do najściślejszej i najbardziej

wymagającej elity znanego wszechświata.

Dlatego przyszła tutaj osobiście, nie wyręczając się, jak to miała w zwyczaju, hologramem. Wystroiła się też, jakby zaprosiła oligarchów na obchody rocznicy założenia Federacji. Chciała, by zobaczyli już na wstępie, jak bardzo jej tym razem zależy, by zrozumieli, że jest gotowa posunąć się dalej niż zwykle. Nie byli głupcami, znali ją też wystarczająco dobrze, aby zwrócić uwagę na jej niecodzienne zachowanie. Miała tylko nadzieję, że zinterpretują je tak, jak sobie tego życzyła.

Zaczynamy, powtórzyła w myślach, gdy za transparentną ścianą z plastali dostrzegła jakiś ruch.

Na jej lądowisku było tylko sześć pól startowych, w sam raz, by zapewnić obsługę nielicznych gości i jej własnego konwoju. Przy tej okazji jednak nad Kopułą Wolności zawisło aż dwadzieścia jeden smukłych maszyn. Modo rozciągnęła wargi w uśmiechu. Pierwszy szczegółik wart odnotowania. Jej grawiolot chroniło zazwyczaj od dwóch do pięciu wozów bojowych wspomaganych przez roje dron, tymczasem każdy z właścicieli korporacji przyleciał tutaj w asyście aż sześciu najnowocześniejszych pancerników. To na pewno nie był przypadek.

Pokazywali jej, kto tu tak naprawdę jest ważniejszy. I co więcej, że ma do czynienia z monolitem, nieświętą trójcą, której nie da się poróżnić. Grawioloty Jeantoina'a, Marikotori i Abhijayusha oddzieliły się od formacji ochrony, schodząc ostrożnie na podświetlone płyty lądowiska, po czym wylądowały synchronicznie – a przynajmniej tak to wyglądało w oczach Modo. Kolejny szczegół mający jej uświadomić już na wstępie, że mimo dzielących ich różnic i wzajemnej niechęci dzisiaj występują jako równi sobie partnerzy i że nie rozegra tego spotkania po swojemu ani nie zdoła wykorzystać któregokolwiek z nich przeciw reszcie, cokolwiek planowała. Choć na co dzień każde najchętniej wyrznęłoby konkurencję do ostatniego nosiciela genów, teraz będą mówić jednym głosem.

Modo uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Niech tak myślą, niech mówią jak



najwięcej, pomyślała. Im bardziej będą pewni siebie, tym lepiej dla mnie.

\* \* \*

Sala konferencyjna, w której zasiedli tylko we czwórkę, była chyba najbardziej klaustrofobicznym pomieszczeniem na górnych piętrach Kopyły Wolności. Po przejściu z niemal trzystumetrowego, rozświetlonego słonecznym blaskiem salonu człowiek mógł odnieść wrażenie, iż ściana otaczającej go sfery jest tak blisko, że zaraz zostanie przez nią zmiażdżony. Tak przynajmniej czuła się Modo za każdym razem, gdy zmuszona była skorzystać z zabezpieczonego przed podsłuchami kulistego pomieszczenia. Wisząca na antygrawach podłoga nie łączyła się w ani jednym miejscu z siedemnastowarstwową, grubą na ponad dwa metry sferyczną ścianą, dzięki czemu można było swobodnie rozmawiać, nie obawiając się podsłuchania, nawet gdyby zabrakło energii potrzebnej do aktywacji dwóch ekranów izolacyjnych stanowiących dodatkowe wypełnienie ściany.

Ponieważ goście mieli podobne pomieszczenia w siedzibach swoich korporacji – być może jeszcze większe, by nie czuć klaustrofobii, i bardziej wyrafinowane, by nie rezygnować z luksusu – żadnemu nie drgnęła nawet powieka, gdy wchodzili kolejno, poddając się skanowaniu. Modo wkroczyła do kapsuły pierwsza, aby zobaczyli, że nie ma przy sobie niczego, co wzbudzałoby podejrzenia. Jedyнным przedmiotem, jaki wniosła do sfery, był podręczny zakłócacz, taki sam, jakim dysponował każdy z pozostałych uczestników tego spotkania. Przewrotny zawsze ubezpieczony – tę prostą prawdę znali wszyscy, nawet najwyżsi urzędnicy Federacji.

Prowadzeni przez panią kanclerz goście przeszli po przezroczystej podłodze, by zasiąść przy blacie szklanego stołu na fotelach z idealnie transparentnej plastali, twardych, ale mimo to dość wygodnych. Prócz tych mebli w sali konferencyjnej nie było niczego, żadnego wyposażenia ani aparatury. Zakłócacze, spoczywające obok kryształowych szklanek i karafek, stanowiły

jedyne nieprzezroczyście przedmioty, jakie znalazły się w tym pomieszczeniu.

Modo zajęła miejsce naprzeciw wejścia. Po jej prawej stronie usiadł Jeantoine Souza, wysoki, tyczkowaty stuczterdziestosiedmioletni dziedzic drugiej co do wielkości fortuny tego świata i aktualny prezes Etoile Blanc, korporacji posiadającej dwadzieścia siedem procent majątku należącego do całej ludzkości.

Na wprost siebie pani kanclerz miała jedyną kobietę z przybyłej trójcy: filigranową osobkę, która pomimo dziewiątego krzyżyka na karku wciąż wyglądała na młodą dziewczynę. Modo wołała nie zgadywać, ile kosztowały cykliczne zabiegi pozwalające na zachowanie niezmienionego wyglądu przez niemal siedemdziesiąt lat. Jedno musiała tylko przyznać: płomiennorude mocno kręcone włosy, wielkie zielone oczy i piegowata cera Marikotori Musashi idealnie harmonizowały ze skromną kreacją, stylizowaną zdaniem specjalistów Rady na dawne japońskie stroje. Dalecy przodkowie Marikotori należeli do nacji, która przykładała ogromną wagę do pozorów, i choćby dlatego zwierzchniczka keiretsu Arashi pozostała wierna ich tradycjom, choć trudno było się dopatrzeć w jej jak najbardziej kaukaskim obliczu klasycznych rysów dumnych wyspiarzy.

Po lewej Modo miała skośnookiego, najprzeciętniej z nich wszystkich wyglądającego młodego mężczyznę. Abhijayush Singh, człowiek, którego dwumian w dosłownym tłumaczeniu znaczył: wiecznie żyjący zwycięzca, był czarny jak najprawdziwszy heban, z którego zrobiono łoża w apartamentach kanclerskich, i tylko o pół głowy wyższy od zajmującej sąsiednie krzesło rywalki. Posturą także nad nią niewiele górował, co nie powinno jednak dziwić, zważywszy na to, że urodził się na planecie o wyższej od standardowej grawitacji. Z tego, co Modo wiedziała, mógł on być najsłabszym ogniwem triumwiratu. Do śmierci ojca, czyli do stycznia tego roku, trzymano go z dala od wielkiej polityki. Jego niespodziewana sukcesja wzbudziła zdziwienie nawet w kręgach ludzi bywałych, ponieważ do tej pory zawiadywał operacjami Industrialu w wewnętrznych metasektorach. Terryuichi Singh wyraził się jednak w najnowszym testamencie jasno i precyzyjnie, namaszczać na swego następcę

najmłodszego z pięciu synów. Na pewno nie był to kaprys konającego starca, o czym jego konkurenci przekonali się już kilkakrotnie, tam, gdzie w dalekiej przestrzeni dochodziło do konfliktu interesów. Abhijayush pojawił się na spotkaniu w idealnie białym marynarkerze o dziwnym kroju, zapewne bardzo modnym, aczkolwiek nie na Ziemi.

Gdy wszyscy usadowili się wygodnie i włączyli zakłócacze, Modo sięgnęła po karafkę. Zrobiła to rozmyślnie, żeby zobaczyli, jak drży jej ręka, i pomyśleli, iż musi być bardzo zdenerwowana, skoro sięga po brandy, zanim zaczęli rozmawiać. Nie wiedziała, czy osiągnęła cel, ponieważ żadnemu z jej gości nie drgnął nawet jeden mięsień na twarzy. Miała przed sobą graczy z najwyższej ligi.

– Domyślam się, że wasze małe przedstawienie dobiegło właśnie końca – rzuciła Marikotori, gdy w idealnej ciszy szkło zadźwięczało o szkło. – Nasze media i nadawcy niezależni na pewno nie przeoczą tego spotkania – dodała, jakby chciała przypomnieć pani kanclerz, zupełnie niepotrzebnie zresztą, że dziewięć z osiemnastu największych sieci holo należy do jej keiretsu. Pozostali przemysłowcy z triady kontrolowali jeszcze sześć międzysystemowych stacji.

Pani kanclerz odpowiedziała dopiero wtedy, gdy odstawiła karafkę. Jakby potrzebowała chwili do namysłu.

– Owszem – rzuciła zwięźle, podnosząc szklanę. – Skala ewakuacji jest już tak wielka, że nie możemy dłużej ukrywać faktu, iż zostaliśmy zaatakowani przez Obcych.

– Słyszałem, że zamierzacie kontratakować – wtrącił Souza, cedząc wolno każde słowo, jakby musiał je rozłożyć i ponownie zmontować w krtani. Dziwnie to brzmiało, choć było dla niego bardzo charakterystyczne.

Tym krótkim zdaniem dał Modo do zrozumienia, że wie już o planach admiralicji. Przynajmniej o tych, o których powinien wiedzieć. Zerknęła więc w jego kierunku, udając zdziwienie. Diabeł od szczegółów robił, co do niego należy.

– Tak. Chcemy rozpocząć doniesienia z frontu od pozytywnych informacji,

a nie ma chyba lepszej wieści niż ta, że pokonało się wroga w otwartej walce.

– Skali strat raczej nie podacie – rzucił ze stoickim spokojem młody Singh.

– Nie zamierzamy wchodzić w takie szczegóły, co chyba rozumiałe – przyznała kanclerz, po czym jednym haustem wypła siedemdziesięciopięcioletnią brandy, mimo że naląła jej sobie do szklanki na dwa palce. – Mam prośbę – wyrzuciła z siebie, gdy już złapała oddech. – Jesteśmy wszyscy poważnymi ludźmi, znamy się od lat, może z wyjątkiem pana – odwróciła się do czarnoskórego prezesa Indu-Strialu – choć podejrzewam, że został pan odpowiednio wprowadzony po przejęciu obowiązków prezesa... – Celowo nie użyła terminu „zupdatowany”, który bardziej odpowiadał jego sytuacji, ponieważ nie chciała go urazić w obecności pozostałych.

Abhijayush skinął głową po namyśle.

– To chyba oczywiste – stwierdził.

Każdy, kto zajmował tak wysokie stanowisko, musiał się poddać procedurze „uaktualnienia” wiedzy – a nie było prostszej i szybszej metody przyswojenia tak ogromnej ilości danych jak implementacja neuralna. Każde z nich przeszło ją co najmniej raz w swoim życiu. Modo także, o czym jej rozmówcy mogli, choć nie musieli wiedzieć.

– Wracając do tematu... – Pani kanclerz powiodła wzrokiem po twarzach pozostałych przemysłowców. – Darujmy sobie te gierki. Wiem przecież doskonale, że macie swoje źródła w Radzie i admiralicji, dzięki czemu jesteście informowani na bieżąco, być może nawet szybciej i dokładniej niż ja. Zawsze tak było i zawsze tak będzie, jeżeli... – zawiesiła na moment głos – ...nie przegramy tej wojny.

– Na razie nic nie wskazuje na to, abyśmy mogli ją przegrać. – Marikotori wydawała się nieporuszona jej emocjonalnym wybuchem. – Zdaniem moich analityków plany wielkiego admirała są bardzo sensowne, a co może ważniejsze, stworzono je na podstawie uśrednionych danych z setek symulacji, zatem nie ma w tym przypadku mowy o żadnym chciejstwie. Pokonanie pozostałych liniowców ma’lahn będzie niezwykle kosztowne, ale na pewno nie przekracza

możliwości połączonych flot. Dlatego zaproponowałam przedwczoraj, aby Rada rozważyła przejście do ofensywy.

– Mówimy o stratach sięgających sześćdziesięciu, a nawet siedemdziesięciu procent posiadanego aktualnie sprzętu – uściśliła Modo. – O setkach tysięcy ofiar, licząc tylko poległych w kilku kluczowych bitwach. O setkach milionów, jeśli weźmiemy pod uwagę kolonistów, których nie zdołamy przez to ewakuować z zagrożonych sektorów Rubieży. A wszystko to w sytuacji, gdy dotychczasowa polityka opóźniania otwartej konfrontacji daje nam szansę na znaczne zminimalizowanie liczby ofiar. Okręty piątej generacji trafią do służby dopiero za sześć do ośmiu miesięcy, choć moglibyśmy dysponować nimi nawet za dziewięćdziesiąt dni, gdybyście tylko dali nam większy dostęp do waszych stoczni.

– Zapłacicie, to damy – zaśmiał się Singh. – Na przykład potrójną stawkę, żeby opłacało nam się negocjować obecne kontrakty i wypłacić dotychczasowym klientom ewentualne odszkodowania.

– Proszę mówić za siebie – ostudziła go Musashi. – W naszych najlepszych stoczniach, bo o nich przecież mówimy, powstaje teraz szesnaście rdzeniowców nowej generacji, największych, jakie widział ten świat. Dzięki nim będziemy w stanie przewieźć dwukrotnie więcej towarów niż do tej pory. To dziesiątki trylionów kredytów dodatkowego zysku rocznie. Rada nie ma funduszy, którymi mogłaby pokryć straty, jakie poniesiemy w razie opóźnień wynikających z przerwania tych prac.

– Ja także nie widzę możliwości współpracy na tym polu – poparł ją ślamazarnie jak zwykle Souza. – Indu-Strial nie musi się aż tak bardzo przejmować prymatem na polu transportu międzygwiazdowego, ponieważ jego strategia odbiega od celów wyznaczonych przez EB i Arashi, ale nie możemy dopuścić, by nasza przyjaciółka zyskała tak wielką przewagę, nawet na krótką metę. – Ukłonił się z przesadną kurtuazją Marikotori. – Poza tym proszę nie dramatyzować. To tylko wojna, a na wojnach, jak powszechnie wiadomo, ludzie zawsze giną.

Modo odetchnęła głębiej, jakby brała się w garść.

– Chyba się nie zrozumieliśmy – zaczęła o wiele spokojniejszym tonem. – Każdy miesiąc opóźnienia to miliony kolonistów, którzy tracą życie. Dziesiątki zniszczonych kolonii. Wy także na tym stracie. To przecież wasi klienci, pracownicy, a co najważniejsze – udziałowcy będą tam ginąć. Wasze placówki zostaną zmiecione z przestrzeni.

– Prosiłem, żeby przestała pani histeryzować! – Souza podniósł głos, co było w jego wypadku niespotykane. – W dupie mam te miliony ofiar. Wie pani dlaczego? Bo każda wojna to świetny interes. Gdy wszystkiego brakuje, ceny rosną jak szalone. Ktoś będzie musiał odbudować zniszczone kolonie, ktoś będzie musiał je wyposażać. Ktoś to wszystko będzie musiał dostarczyć na Rubieże.

– Ci klienci, którzy przeżyją, a wciąż będziemy ich liczyć w miliardach, zrekompensują nam dość szybko straty poniesione na tych, którzy zginęli – dodała Musashi. – Nowych pracowników rekrutujemy, a drobni udziałowcy... Cóż, miejmy nadzieję, że ma'lahn zamienią ich w atomy razem z akcjami.

– Co do utraconych placówek – Singh skorzystał z chwili ciszy – to jestem pewien, że Rada z ochotą poprze projekt pełnej refundacji strat poniesionych przez korporacje w wyniku opieszałości działań i niekompetencji sztabu trzeciego, a może i drugiego metasektora.

– A ja tylko wspomnę, że EB zamierza ubiegać się o rekompensaty należne z tytułu nieuprawnionego zaboru mienia. – Gdy Modo zrobiła wielkie oczy, Jeantoine zaśmiał się radośnie. – Myślała pani, że nie dowiem się o wykorzystywaniu naszych drukarek do budowy fałszywych kolonii?

Gerdanielle westchnęła ciężko, po czym nalała sobie jeszcze jedną porcję ulubionej brandy.

– Czy wam zależy wyłącznie na pieniądzach? – zapytała, okazując irytację faktem, że nie pozwolili jej nawet na przedstawienie konkretnych propozycji. – Każde z was warte jest tyle, że nawet gdybyście żyli po sto tysięcy lat jak królowie, i tak nie wydalibyście nawet promila odsetek od zgromadzonego

kapitału.

– Moja rodzina nie po to zarządza korporacją od trzystu lat, żeby wyświadczać rządowi przysługi – odparowała Marikotori. – Płacimy, żeby was wybierano, nie po to, by słuchać poleceń, tylko by je wydawać, o czym pani kanclerz zdaje się dzisiaj zapominać. To my jesteśmy prawdziwą władzą, nie te służalcze kundły z Senatu, zatem będzie tak, jak my powiemy.

– Ja tylko próbuję ratować sytuację – tłumaczyła się Modo. – Zrozumcie, ludzie nas ukrzyżują, jeśli się dowiedzą, że ich krewni ginęli na Rubieżach, ponieważ rząd nie umiał dogadać się z korporacjami w sprawie stoczni. A jestem pewna, że jakiś skurwyklon z niezależnych mediów już grzebie w tym temacie.

– Jeśli nawet ktoś dojdzie do podobnych wniosków i wzburzeni wyborcy ukrzyżują Radę, a do tego pół Senatu, to tym lepiej dla nas – zaśmiał się Singh. – Po przyspieszonych wyborach przyjdą inni opłaceni przez nas politycy. Nowi, czyści i... równie spolegliwi. My na tym na pewno nie stracimy.

– A wracając do tak zwanych ludzi – dodał Souza. – Moim zdaniem taka hekatomba i idące za nią dokręcenie śruby bardzo im się przyda. Nie wiem, czy zauważyliście, że im jest lepiej, tym gnuśniejsi i bardziej wymagający się stają. Niedawno otrzymałem raporty mówiące, że w naszych instalacjach na Terytoriach Wewnętrznych ktoś kolportuje kryształki z odezwaniami, w których pada sugestia, iż bydło robocze powinno dostawać adekwatne podwyżki za każdym razem, gdy podnosimy normy wydobywania. Tym śmieciom wydaje się ostatnio, że jesteśmy im coś winni, choć tak naprawdę powinni całować nas po dupach za to, że mają co kupować i gdzie pracować.

– Może powinniśmy nakazać wstrzymanie operacji floty na jeszcze kilka miesięcy albo chociaż zlecić zmniejszenie skali ewakuacji? – Singh powiódł rozbawionym wzrokiem po twarzach właścicieli pozostałych korporacji. – Szczerze powiedziawszy, redukcja globalnej populacji o jeden czy dwa miliardy osobników na pewno by nam nie zaszkodziła. Nie wspominając już o niebotycznej skali zysków z odbudowy setek zniszczonych kolonii.

Modo sięgnęła po karafkę po raz trzeci.

– Gdyby ludzie dowiedzieli się, o czym teraz rozmawiamy... – wyszeptała.

– Dowiedzą się, ale tylko tego, co im powiemy po opuszczeniu Kopyły Wolności – stwierdziła Musashi, głaszcząc pieszczotliwie zakłócacz. – A zapewniam, że nie będzie to nic wesołego dla pani i reszty Rady, jeśli nie spełnicie natychmiast wszystkich naszych żądań.

– Zastanawialiście się kiedyś, co zrobicie, kiedy cały majątek ludzkości znajdzie się w waszych rękach? – zapytała Modo zrezygnowanym tonem.

Zaśmiali się wszyscy, głośno, dźwięcznie, jakby opowiedziała im doskonały dowcip.

– Myślę, że wtedy przyjdzie pora ustalić, które z nas zostanie nowym bogiem, skoro najważniejszy z obecnie funkcjonujących okazał się tak naprawdę nieco bardziej zaawansowanym od nas cywilizacyjnie konsumentem ludziny – odpowiedział jej Souza.

Rozbawiona tą uwagą Marikotori naląła sobie niedostępnej dla zwykłych ludzi sake Ondonera, którą specjalnie dla niej sprowadzono do Kopyły Wolności.

– A może, kiedy już skopiemy tyłki Obcym, warto będzie pofatygować się na Rubieże i z nimi ponegocjować – rzuciła. – Moglibyśmy im dostarczać parę milionów półtuszy najsmaczniejszej ludziny miesięcznie i całkiem nieźle na tym zarabiać.



# DWA

*System Anzio, Sektor Zebra,*

*06.11.2354*

Kanclerz Modo zgłosiła się punktualnie. Tym razem wyglądała wytworniej, jakby wracała z jakiegoś oficjalnego spotkania albo się na nie udawała. Nie była też sama. Obok niej zebrani oficerowie zobaczyli czarną jak noc, okrągłą twarz najwyższego admirała Tadama Xiao. Farland na jego widok poczuł niepokój. Przesłał na Ziemię szczegółowy plan działań z ponaddwugodzinnym wyprzedzeniem, by przywódczyni Rady po wysłuchaniu opinii doradców – w tym wypadku zapewne czołowych analityków admiralicji – miała czas na przemyślenie i zaaprobowanie jego propozycji.

To powinna być tylko formalność. Nie spodziewał się żadnych uwag – zadbał przecież, by zostały spełnione wszystkie warunki i wymagania stawiane zarówno przez polityków, jak i jego przełożonych. Bez uników, bez pozorowania, jak to miało miejsce wcześniej. Xiao i Modo dostali wszystko, czego chcieli, a mimo to... Naczelnny wódz zdecydował się pojawić razem z Gerdanielle, a to mogło, a nawet musiało zwiastować problemy.

– Pani kanclerz. Najwyższy admirale.

– Wielki admirale.

Powitanie było jak zwykle formalne i krótkie. Modo nie czekała, aż Farland usiądzie, tylko od razu przemówiła:

– Najlepsi analitycy Rady i admiralicji zapoznali się niezwykle uważnie

z nadesłanymi materiałami. Gratulujemy panu i pańskim podwładnym, wielki admirał. Doskonała robota. O coś takiego nam chodziło. – Stojący u jej boku Xiao kiwał głową po niemal każdym zdaniu. On także wyglądał na zadowolonego. O co więc może chodzić, zastanawiał się Rutta, nie spuszczać z nich oka. – Niestety... – tu pani kanclerz zawiesiła na moment głos – ... sytuacja uległa w ostatnich godzinach diametralnej zmianie.

Farland zauważył poruszenie przy stole. Jego podwładni pochylali się do siebie, zaczęli szemrać. Na oczach naczelnego wodza i przywódczyni Rady! Musiał zadziałać, choć sam był równie mocno wytrącony z równowagi. Na szczęście wystarczył jeden gest – nieznaczne uniesienie ręki natychmiast uciszyło oficerów sztabu.

– Powiem krótko. – Xiao wykorzystał moment, by przejąć inicjatywę. – Musicie opracować nowy plan, ponieważ doszedł jeszcze jeden, nadrzędny czynnik, którego nie uwzględniliście... nie ze swojej winy, rzecz jasna...

– Nadrzędny? – Farland był tak zaskoczony, że mimowolnie wszedł mu w słowo.

Najwyższy admirał nie zwrócił na to uwagi, co także było niezwykle.

– Tak – potwierdził jakby nigdy nic. – Pion wywiadu pracował od pewnego czasu nad pewną ściśle tajną operacją, od której powodzenia mogą zależeć losy tej wojny. Z tego też powodu postanowiliśmy wspólnie z Radą, że nadchodząca bitwa będzie idealną okazją do realizacji naszych planów. – Tadam Xiao poruszył głową, dając komuś znak.

Moment później na terminalach wszystkich obecnych otworzyły się nowe okna ozdobione prostym logo admiralacji. Farland aktywował przekaz równie szybko jak jego podwładni. Informacja była bardzo zwięzła, za to jej treść zaskoczyła wszystkich. Zwłaszcza konkluzja była szokująca.

Kazano im zmienić, i to całkowicie, podejście. Nie mieli zastawiać pułapki, dzięki której uda się zniszczyć – nawet za tak ogromną cenę, jaką byli gotowi zapłacić – atakujące Rwanę t'iru, lecz... zrobić wszystko, by poważnie uszkodzić co najmniej jeden z liniowców wroga, a najlepiej dwa, nie niszcząc

ich przy tym, nawet jeśli będą mieli ku temu okazję. A to w wielkim skrócie oznaczało, że okręty wyznaczone do tej misji i ich załogi nie będą miały najmniejszych szans na przetrwanie.

– Czy mogę wiedzieć dlaczego? – zapytał przez ściśnięte gardło wielki admirał.

Xiao, zanim odpowiedział, zerknął ukradkiem na Modo.

– To ściśle tajne.

Farland poczerwieniał na twarzy, zaczerpnął też mocniej tchu, jak zawsze gdy szykował się do zmiżdżenia rozmówcy. Ponieważ w tym wypadku nie byłoby to zbyt rozsądne, desperacko próbował zapanować nad nerwami, aczkolwiek przychodziło mu to z niemałym trudem.

Rutta widział wyraźnie, jak siedzący na lewo od niego przyjaciel walczy z przepełniającym go gniewem, i miał nadzieję, że ten atak wściekłości zostanie okiełznany. Doskonale zdawał sobie sprawę, czym skończy się najłżejsza choćby próba sprzeciwu. Rozumiał także powody wzburzenia Theodoreginalda, gdyż sam poczuł się bardzo podobnie po doczytaniu wiadomości do końca.

Wielki admirał wypuścił wolno powietrze z płuc, ale jego palce wciąż były białe na kostkach, tak mocno zaciskał je na oparciach fotela.

– Żądacie ode mnie wysłania na pewną śmierć wielu tysięcy ludzi, ale nie chcecie powiedzieć, dlaczego mam się na to zgodzić?

– Zgodzić? – Xiao wyglądał na szczerze zaskoczonego. – Rozkazy przełożonych się wykonuje. Dla tych, którzy tego nie rozumieją, nie ma miejsca w łańcuchu dowodzenia, panie Farland – zakończył ze złowieszczym grymasem na twarzy, silnie akcentując ostatnie dwa słowa.

Nie ulegało wątpliwości, że celowo pominął rangę dowódcy trzeciej floty. To była prowokacja.

Wielki admirał uśmiechnął się krzywo.

– W takim razie raczy pan przyjąć moją natychmiastową rezygnację – wycedził przez zaciśnięte zęby, odpłacając pięknym za nadobne.

– Załatwione! – Twarz Xiao pozostała czarna jak węgiel, tylko jego rozdęte

nozdrza świadczyły o rosnącej irytacji. – Możesz pakować manatki, tchórze...

Farland zerwał się z fotela. Na wpół przymknięte powieki pęczniały mu momentami, jakby ukryte pod nimi błyskawice próbowały się przebić przez cienką warstwę skóry, by spopielić holograficznego adwersarza. Dolna szczęka wielkiego admirała poruszała się miarowo. Rutta domyślał się, jakie piekło rozpęta się w tej sali, gdy jego najlepszy przyjaciel otworzy ponownie usta. Sądząc po minach i panice wyzierającej ze spojrzeń, pozostali oficerowie również mieli tego świadomość.

– Mordy w czarną dziurę! – Ogłuszający, dudniący wrzask spadł na nich jak grom z jasnego nieba. Generał skulił się mimowolnie w fotelu, podobnie jak większość zebranych. Dopiero po chwili zrozumiał, że nie był to głos doprowadzonego do ostateczności wielkiego admirała. – I siad!

Xiao się zapowietrzył, stał dalej z otwartymi ustami i wybałuszonymi oczami, jakby nie wierzył w to, co właśnie usłyszał. Farland zamarł w pół ruchu, pochylony, z ręką wyciągniętą w kierunku konsoli swojego terminala.

– Czy was już kompletnie popierdoliło? – Modo zamilkła, ale tylko po to, by nabrać ponownie tchu. – Trwa wojna, przegrywamy ją na wszystkich frontach, lada moment może dojść do upadku Rady i niewyobrażalnego chaosu, a wy urządzacie sobie na moich oczach konkurs, który ma większego?

– Nie może być tak, żeby podwładny... – zaczął o wiele mniej pewnym tonem Xiao.

– Nie może – przerwała mu pani kanclerz. – I dlatego masz milczeć, kiedy ja mówię. A jeśli jeszcze raz wejdiesz mi w słowo, sam zaczniesz pakować manatki. – Przeniosła wzrok na stojącego wciąż Farlanda. – Co powiedziałam?! Siadajże, człowieku! – Zrobił, co mu kazała. W jego przypadku zaskoczenie było tak wielkie, że stłumiło wszelkie inne emocje. Także te najgorsze. Wulkan wściekłości przestał nawet dymić. – Dobrze. Teraz możemy wrócić do tematu naszego spotkania. Zadał pan pytanie, wielki admirał, więc odpowiem na nie tak, jak umiem, ponieważ nie jestem fachowcem w tej dziedzinie. – Po raz kolejny zgromiła wzrokiem rozwścieczonego, ale potulnie milczącego Xiao. –

Najpierw jednak poproszę pozostałych członków sztabu o natychmiastowe opuszczenie sali odpraw.

Na tym spotkaniu miały się ważyć losy świata. Obecność na nim gwarantowała każdemu oficerowi trwałe wejście do historii, lecz jak się okazało, wśród zebranych nie było człowieka, który nie podniósłby się z fotela z ogromną ulgą, a nawet zadowoleniem.

– Mam prośbę – rzucił pośpiesznie Farland. – Chciałbym, aby generał Rutta mógł zostać. Jak pani kanclerz zapewne wie, to mój najbliższy doradca i zarazem współautor przedstawionego admiralicji planu. Poza tym to właśnie na nim spocznie obowiązek wprowadzania poprawek, więc i tak będę musiał go wprowadzić w sporą część szczegółów...

Modo wahała się, to było widać. Xiao chciał zaprotestować, ale uciszyła go równie szybko i prosto, jak wielki admirał swoich ludzi kilka chwil wcześniej. Potem sprawdziła coś na własnym wyświetlaczu.

– Dobrze – oświadczyła w końcu. – Z tego, co widzę, generał Rutta ma odpowiednio wysoki stopień dostępu do treści niejawnych.

– Dziękuję, pani kanclerz – powiedział Farland.

Rutta, oczekujący w milczeniu na jej decyzję, wrócił na swoje miejsce. Pozostali oficerowie zniknęli w tym czasie za drzwiami sali odpraw.

– Sprawy mają się tak... – Modo przeszła do sedna, gdy tylko włączono chroniący salę odpraw ekran izolacyjny. – Nasz wywiad po dokładnym przeanalizowaniu zeznań porucznika Stachursky'ego przedstawił pionowi naukowemu Federacji bardzo szczegółowe raporty, na których podstawie zespół profesora Boule'a opracował również dokładną ocenę naszej sytuacji. Wynika z niej, że nie mamy do czynienia z potężną obcą cywilizacją, która dysponuje nieprzebranymi zasobami i tysiącami okrętów wojennych, lecz... – Zawahała się. – Powiedzmy, że walczymy z nie do końca legalną, oczywiście w naszym tego słowa rozumieniu, bardzo zaawansowaną technologicznie „organizacją” o... raczej ograniczonych możliwościach. Wiem, że to brzmi niedorzecznie – przyznała – zwłaszcza w świetle naszych ostatnich porażek, ale tak niestety

wygląda prawda. Ludzkość stanęła oko w oko ze swoimi stwórcami, jeśli można tak powiedzieć. Przekonaliście się boleśnie na własnej skórze, że Obcy dysponują technologiami, o jakich możemy tylko pomarzyć. Sprzętem wyprzedzającym nasze dokonania o wiele generacji, dzięki czemu zyskali ogromną przewagę już na starcie. Ale ten medal ma także drugą stronę, a są nią niezwykle ograniczone środki, jakie ma'lahn mogą zaangażować w wojnę z nami. Oni nie posiadają tysięcy ani nawet setek t'iru i, co jeszcze ciekawsze, są, czy może raczej byli, podzieleni. A to, moi panowie, oznacza, że sprawa nie jest aż tak beznadziejna, jak nam się wydaje. Niewykluczone, że w razie odniesienia kilku zwycięstw znajdziemy po ich stronie sprzymierzeńców, na przykład tych spośród ma'lahn, którzy zaatakowali t'iru Mordamata i dokonali kolejnych interwencji na Ziemi, przyśpieszając, z nieznanymi nam jeszcze powodów, rozwój naszej cywilizacji... – Zamyśliła się na moment, jednakże żaden ze słuchaczy się nie odezwał. – Przyznaję, że słuchając po raz pierwszy porucznika Stachursky'ego, byłam bardzo sceptycznie nastawiona do jego opowieści o tym, iż nasi praprzodkowie byli dla Obcych, wybaczenie to określenie, czymś w rodzaju trzody chlewnej. Pokarmem bogów, ujmując to bardziej eufemistycznie. Z raportu profesora Boule'a dowiedziałam się jednak, że naukowcy już od dawna podejrzewali, iż ktoś grzebał w naszym genomie. Z czasem rozpracowano tak zwane „śmieciowe DNA”, wyizolowując z niego także wszystkie transpozony, niemniej kilka unikatowych fragmentów łańcucha do dzisiaj pozostawało dla nauki zagadką. Podejrzanie padło więc na Obcych, nie wiedziano tylko, dlaczego jakieś wysoko rozwinięte istoty miałyby się posunąć do ingerencji w nasz kod genetyczny. Ponieważ nie mamy czasu na brnięcie w dygresje, powiem tyle, że raport pionu naukowego potwierdza prawdziwość tej części zeznań porucznika Stachursky'ego. Dzięki pracom zespołu profesora Boule'a wiemy już, że ludzkie DNA kryje odpowiednik tabliczki znamionowej, głoszącej najprawdopodobniej: „made by ma'lahn, wszelkie prawa zastrzeżone”. Jeśli przyjmiemy to za pewnik, zrozumiemy, dlaczego Obcy nie chcą nawiązać z nami kontaktu. Dlaczego wymazują

z przestrzeni każdy ślad naszego istnienia. – Zamilkła na moment, by złapać oddech. – Ujmując to prostymi żołnierskimi słowami: jeśli wcześniej zdołali zniszczyć wroga we własnym łonie, ta wojna skończy się dopiero wtedy, gdy któraś ze stron obecnego konfliktu zostanie totalnie unicestwiona. A skoro tak, musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, by to człowiek wyszedł z tego starcia zwycięsko. Tu nie chodzi już tylko o propagandę i o to, by nie oderwano mnie od koryta, lecz o przetrwanie ludzkości. Dlatego musimy zmienić nagle priorytety. Proponowana przez was taktyka opóźniania ataków do chwili wprowadzenia do służby okrętów piątej generacji z pozoru wydaje się idealna, ale co będzie, wielki admirale, jeśli po otrzymaniu nowej broni przeprowadzimy skuteczny atak, zniszczymy jedną eskadrę t'iru, pokazując ma'lahn, że niekoniecznie musimy przegrać tę wojnę?

Farland, słuchający tej przemowy z przymkniętymi oczami, spojrzął jej teraz prosto w twarz. Sam ledwie potrafił uwierzyć w rewelacje młodego kadeta. Ludzkość jako bydlę rzeźne dla wyższych ras? Człowiek pokarmem bogów? Serio? Modo miała jednak rację. Wszystko wskazywało na to, że tak właśnie przedstawia się smutna prawda. Dzięki ingerencji innej frakcji ma'lahn galaktyczna trzoda uzyskała tysiące lat temu świadomość i dlatego musiała zniknąć z wszechświata, zanim o fakcie jej istnienia dowie się ktoś jeszcze. Ktoś potężniejszy od hodowców.

– Trudno powiedzieć – zaczął ostrożnie. – Jeśli wierzyć Stachursky'emu, ma'lahn powinni znacznie bardziej bać się tych, dla których pracują, niż nas.

– A jeśli się mylimy? – zapytała ze spokojem Modo. – Z jakiegoś powodu prowadzą tę wojnę w niezwykle metodyczny sposób. Nie zastanawia was, dlaczego tak postępują?

– Analizowaliśmy ten problem i doszliśmy do wniosku, że zachowują się jak ktoś, komu się nie śpieszy – odpowiedział jej Rutta. – Jakby byli stuprocentowo pewni swego.

– Właśnie. Postępują jak ktoś, kto wie, że wygrana jest tylko kwestią czasu. Jak ktoś, kto nie zamierza niepotrzebnie ryzykować. Profesor Boule zwrócił nam

uwagę na pewien szczegół, który być może umyka uwagi nas wszystkich, a jest nim długość życia Obcych.

Farland i Rutta spojrzeli po sobie, nie do końca wiedząc, jak rozumieć tę uwagę.

– Czyli?

– Mamy do czynienia z niemal nieśmiertelnymi istotami. Dla nich pojęcie czasu musi być zupełnie innym conceptem niż dla nas. Rok, dziesięć, sto, tysiąc lat, jaka to różnica? Czy my przejmujemy się sekundami, minutami i godzinami tego konfliktu? – Teraz zrozumieli. – Nieśmiertelność jednak to także pewne obciążenie. Ma'lahn nie chcą ginąć, skoro mają przed sobą perspektywę trwania w nieskończoność, dlatego obawiam się, że w ostatecznym rozrachunku, gdy im zagrozimy, zrobią coś, co z naszego punktu widzenia jest naprawdę nielogiczne. Powiedzcie mi, moi panowie, co będzie, jeśli aniołopodobni, czując przegraną, zwrócą się do swoich mocodawców o pomoc?

– Wtedy będziemy mieli naprawdę prze... chlapane. – Wielki admirał w ostatniej chwili powstrzymał się od wulgaryzmu.

– Otóż to. Z ma'lahn możemy sobie poradzić, choć zapłacimy za to naprawdę wysoką cenę, ale jeśli ściągną nam na głowy kogoś potężniejszego od siebie, a sądząc z analiz rozmów Stachursky'ego z Mordamatem, gdzieś tam – zatoczyła ręką szeroki łuk – istnieją tysiące zaawansowanych cywilizacji, przy których osiągnięcia ludzkości i jej wroga wydają się niczym... Z nimi nie nawiążemy już walki, nawet jeśli zdobędziemy i skopiujemy technologie stosowane na t'iru.

– Za pozwoleniem, pani kanclerz – wtrącił Rutta. – Nie wiem, czy powinniśmy aż tak bardzo polegać na zeznaniach porucznika Stachursky'ego.

– A to niby dlaczego?

Generał przełknął gęstniejącą ślinę.

– Mam nadzieję, że profesor Boule wziął pod uwagę fakt, że Obcy mógł go najzwyczajniej w świecie okłamać.

Gerdanielle Modo uśmiechnęła się pod nosem.



– Owszem, profesor Boule nie pominął w swoim raporcie i tej ewentualności, generale. Uznaliśmy jednak, że w świetle innych faktów potwierdzających prawdziwość słów Mordamata, choćby tych dotyczących naszej historii, jest ona raczej mało prawdopodobna. Na wszelki wypadek postanowiliśmy jednak przyjąć za pewnik tylko te informacje, które Stachursky uzyskał w czasie, gdy wszyscy na uszkodzonym t'iru byli przekonani o nieuchronnej śmierci. Ale nawet to wystarczyło, by Rada podjęła decyzję, o której teraz rozmawiamy. Przechodząc do sedna sprawy: nasz plan, moi panowie, jest bardzo prosty. Chcemy, abyście uszkodzili t'iru w takim stopniu, by ma'lahn musieli wycofać je do swojej bazy. Dzięki nanosondom, które umieścimy w trakcie bitwy na pancierzach uszkodzonych jednostek, dowiemy się w końcu, skąd Obcy przylatują, a gdy poznamy koordynaty najważniejszego celu, przygotujemy właściwą zasadzkę i uderzymy na nich symultanicznie, kiedy będą się tego najmniej spodziewali.

– Nanosondy? – zdziwił się Farland. – Uważacie, że będą tak głupi i nie przeskanują starannie powracających jednostek?

– Liczymy na to – przyznała Modo. – Czy my przeprowadzamy takie badania jednostek biorących udział w walkach z Obcymi? Chyba nie...

Wielki admirał zbladł. Trafiła go bezbłędnie.

– To prawda, ale... – Chciał dodać, że to nie ludzie muszą się ukrywać, ale szybko dotarło do niego, że o to właśnie chodzi obu stronom konfliktu. – Nawet jeśli tego nie zrobią, co jest naprawdę wątpliwe, będą w stanie wykryć każdą próbę aktywacji naszego sprzętu – przedstawił kolejny, jego zdaniem nawet ważniejszy aspekt tej sprawy.

W tym momencie Rutta poruszył się nerwowo, zwracając na siebie uwagę pozostałych uczestników odprawy.

– Coś nie tak? – zapytała go Modo.

– Otrzymałem prośbę o pilne połączenie – wyjaśnił niepewnym tonem generał.

– Nie zapomina pan przypadkiem, gdzie jesteśmy? – Modo zgała go nie

tylko tonem, ale i wzrokiem.

– Nie zapominam, ale... to Świącki. Dobija się od kwadransa. Mój asystent kazał mu czekać, lecz on twierdzi, że to sprawa ogromnej wagi. W dodatku wiążąca się z tematem naszego spotkania.

– Świącki... – Sądząc po tonie, Modo wydawała się nielecho poirytowana faktem, że ktoś przeszkadza im w rozmowie. – To może być coś istotnego. Proszę z nim porozmawiać, generale, byle krótko.

Rutta skinął głową, jego stanowisko natychmiast zniknęło pod kopułą pola osobistego. Henryan nie miał prawa uczestniczyć w tym spotkaniu, nawet jeśli miał coś do powiedzenia na interesujący wszystkich temat.

– Poza tym jak chcecie przesłać dane z tych nanosond? – Farland pozbierał się na tyle, by podjąć temat. – Do tego trzeba ogromnych ilości energii, a w życiu nie słyszałem o nanoreaktorach zimnej fuzji.

– Trafił pan w sedno, wielki admirał – odpowiedziała rozbawionym tonem Modo. – Nie wiem, jak działa to cholerstwo, ponieważ nie znam się kompletnie na hybrydyzacji sprzętowej, ale mogę z całym przekonaniem powiedzieć, że to coś absolutnie nowatorskiego, prawdziwy cud techniki. Dzisiaj miałam okazję przetestować jedno z takich urządzeń i stąd wiem, że w trybie pasywnym jest niewykrywalne.

– Może dla nas – stwierdził wielki admirał. – Nie wiemy jednak, jakimi sposobami detekcji dysponują ma'lahn.

– To prawda – przyznała pani kanclerz – i dlatego nasze nanosondy pozostaną nieaktywne aż do końca misji. Po dotarciu do celu ich zadaniem będzie „wchłonięcie”, jak to barwnie i celnie opisał ich twórca, każdego docierającego do nich obrazu i dźwięku. Tych informacji nie zamierzamy jednak nigdzie transmitować, generale. Sondy czekają, aż t'iru zostaną naprawione, i wrócą na nich do kontrolowanej przez nas przestrzeni, ale to może potrwać. Teraz już pan chyba rozumie, skąd takie naciski, by „zaszczepienie” liniowców odbyło się jak najprędzej?

Farland przytaknął, zaskoczony informacją o istnieniu nowego,

niewykrywalnego sprzętu szpiegowskiego. Miał przy tym bardzo niewyraźną minę. Z racji piastowanego stanowiska i pozycji w admiralicji – był w końcu jednym z trzech ludzi, których typowano na potencjalnych następców Xiao – powinien dowiadywać się o takich sprawach w nieco innym trybie i na pewno nie z ust cywila, nawet jeśli była nim pani kanclerz Modo. Zanim jednak zebrał się w sobie, by wygarnąć, co mu leży na sercu, przypomniał sobie wcześniejsze napomnienie.

– O jakiej właściwie zasadzce pani mówi? – zapytał, poruszając kwestię, która ze zrozumiałych względów wydała mu się równie ważna, jeśli nawet nie ważniejsza.

– Najwyższy admirał – Modo odwróciła się do towarzyszącego jej oficera – to pańska domena. Proszę wprowadzić dowódcę trzeciego sektora w nasze plany.

Xiao, milczący, odkąd zebrał opieprz, odchrząknął, by oczyścić krtań.

– W dniu dzisiejszym na rozkaz Rady rozpoczęliśmy przerzucanie na Rubieżę znaczących sił piątej floty. Za sześć dni zrobimy to samo z nowo uformowanymi zespołami uderzeniowymi czwartej floty. Oddelegujemy też pod pańskie rozkazy duże kontyngenty pierwszej i drugiej floty. W sumie zamierzamy wzmocnić trzecią flotę sześcioma zgrupowaniami taktycznymi, składającymi się z minimum osiemnastu pancerników, sześćdziesięciu czterech krążowników i ośmiuset jednostek eskorty. – Podając kolejne liczby, napawał się coraz widoczniejszym osłupieniem Farlanda. – W ciągu miesiąca skoncentrujemy te siły w pasie D trzeciego metasektora, skąd zostaną potem bądź przerzucone do pasa O, w którym nasi analitycy wyznaczyli sześć systemów nadających się na urządzenie podobnych zasadzek jak wasza, bądź... jeśli wróg zajmie wspomniane systemy, zanim t'iru z naszymi nanosondami powrócą do znanej przestrzeni... zostaną umieszczone na pozycjach wyjściowych w pasie M, gdzie mamy idealne warunki do zastawienia podobnej pułapki. – Mówiąc, przesyłał dane, które pojawiały się na mapie trzeciego metasektora, tym razem wyświetlanej nad konsolami terminali osobistych, by nie przesłaniać głównego

hologramu. – Podsumowując, wyślemy połowę tych sił do systemu, w którym ma'lahn urządzili sobie bazę wypadową, a gdy nasza flota znajdzie się na pozycjach wyjściowych, uderzymy symultanicznie, atakując także zwabione w pułapki t'iru. To będzie walka o wszystko, więc szykujemy wrogowi kilka paskudnych niespodzianek.

– Teraz już pan wie, dlaczego pogratulowałam wam przygotowania doskonałego planu – dodała Modo. – Mam też nadzieję, że moje wyjaśnienia kończą sprawę i mogę liczyć na jak najszybsze opracowanie nowej strategii dla Rwandy.

– Tak jest – odparł bez zastanowienia Farland. – Ile mamy czasu na wprowadzenie do planu koniecznych zmian?

– Ile potrzebujecie?

Wielki admirał przygryzł wargę.

– Sześć godzin powinno wystarczyć.

– W takim razie daję panu dwa razy tyle. Niech to będzie naprawdę przemyślany plan. – Widząc zdziwienie w jego oczach, dodała: – Nie musimy aż tak bardzo się śpieszyć. Jak już wspomniałam, sytuacja zmieniła się diametralnie. Także w przypadku Rady. Zyskaliśmy na czasie, ale jeden czynnik pozostał niezmienny. Trzydziestego o godzinie szóstej zero zero musicie zakończyć przerzucanie sił do pasa Q. Jeśli nasi analitycy są choć w połowie tak dobrzy, jak o sobie myślą i mówią, wróg powinien zniszczyć stację monitorującą na Rwandzie niecałą dobę później. To chyba wszystko... – Zamilkła na moment, po czym spojrzała ostrzej najpierw na Xiao, a następnie na Farlanda. – Nasza dzisiejsza rozmowa przebiegła w szczerzej i przyjacielskiej atmosferze, ale jeśli jeszcze raz zobaczę albo usłyszę, że skaczeecie sobie do gardeł, osobiście zadbam, by usunięto was z zajmowanych stanowisk. Zrozumiano?

– Tak jest – odparli admirałowie unisono, salutując sprężyście.

– To było ostatnie ostrzeże...

Otoczający Ruttę ekran izolacyjny zniknął.

– Przepraszam, że to trwało tak długo... – Generał wydawał się dziwnie

zmieszany.

– Co on znowu wykombinował? – zapytał Farland, wyprzedzając o włos panią kanclerz.

Rutta zaczerpnął głębiej tchu.

– Święcki zaproponował rozwiązanie, dzięki któremu podczas bitwy na Rwandzie zminimalizujemy, i to znacznie, straty w sile żywej.

– Świetnie! Powiedziałbym nawet cudownie! – Farland wyszczerzył zęby w sztucznym uśmiechu. – Proszę wytłumaczyć mi tylko jedno, generale. Dlaczego nie wyczuwam w pańskich słowach odpowiednio wielkiego entuzjazmu?

– Może dlatego, że wątpię, aby to rozwiązanie spodobało się komukolwiek poza jego autorem.

– Cały Święcki, cały on – mruknęła Modo. – Jak bardzo szalony jest tym razem jego plan?

– Nie uwierzy pani. Nie wiem, jak to powiedzieć...

– Najlepiej wprost.

– Nasz bohater zaproponował, by wymienić załogi okrętów, które mają wziąć udział w tej misji, na... więźniów z jego dawnej kolonii karnej.

Modo, Xiao i Farland zastygli na kilka sekund. Wszyscy patrzyli w kierunku Rutty, ale na pewno go nie widzieli. Spojrzenia mieli puste, nieobecne, a wielki admirał, który pierwszy wrócił do rzeczywistości, zaklął siarczyście pod nosem.

– A to skurwyklon...

– Mało powiedziane – zgodził się generał.

– Jak on to sobie wyobraża?

– Jego zdaniem więźniowie z kolonii karnych w Pasie Sturgeona zrobią wszystko, dosłownie wszystko, w zamian za możliwość wyrwania się spod opieki pułkownika Draccosa.

– Czy określenie „wszystko” odnosi się także do narażania na pewną śmierć?  
– wtrąciła podejrzliwie pani kanclerz.

– Jego zdaniem tak – zapewnił ją Rutta.

– Nie. – Farland potrząsnął zdecydowanie głową. – To niedorzeczne. Te bestie spieprzą nam przy pierwszej nadarzającej się okazji, nie mówiąc już o tym, że zabiją każdego, kto stanie im na drodze. Tam przecież siedzą najgorsze szumowiny z całego metasektora.

– Takie jak... Świątki? – zakpił generał.

– Proszę mnie nie łąpać za słowa – obruszył się wielki admirał. – Wie pan doskonale, o czym mówię.

– My znamy to miejsce tylko z reputacji i pogłosek. On tam był przez trzy lata i twierdzi, że będziemy w stanie zapanować nad osadzonymi, którzy wyrażą wolę współpracy.

– Niby jak?

– Metodą kija i marchewki.

– Kolejne durne powiedzonko z ery prekwantowej – prychnął wciąż poirytowany Farland.

– Ale jakże celne w swojej obrazowości – zauważyła rozbawiona Modo.

– Doprawdy? – Farland nie wyglądał na przekonanego.

– W trakcie rozmowy ze Świątkim sprawdziłem, czym była, to znaczy jest ta marchewka i... – zaczął Rutta.

– Daj pan spokój, generale! – warknął wielki admirał.

– Racja – poparła go Modo. – Nie bñnijmy w dygresje. Ma pan trzy minuty, generale, na przekonanie mnie do pomysłu swojego protegowanego.

– Myślę, że najlepiej będzie, jeśli sama go pani wysłucha.

Gdy skinęła głową, Rutta wprowadził krótką komendę do własnego komunikatora, potem szybkim ruchem palca przesłał wybrany plik do holosystemu sali odpraw. Pani kanclerz i najwyższy admirał zniknęli, zastąpiła ich zastygła w bezruchu, podekscytowana twarz Świątkiego.

– To nagranie rozmowy sprzed chwili – wyjaśnił generał. – Kluczowy fragment trwa dokładnie cztery minuty i dwadzieścia jeden sekund. Z góry przepraszam za używane przez nas obu słownictwo – zmitygował się w ostatnim momencie.

Obraz ożył.

– ...nie, to nie tak, generale. Może mi pan wierzyć – gorączkował się Henryan. – Nie jestem idiotą.

– Powiem szczerze, że zaczynam się poważnie zastanawiać nad stanem pańskiej poczytalności, majorze. Człowiek przy zdrowych zmysłach nie zaproponowałby swoim przełożonym, aby przekazali okręty wojenne w ręce bandy najpospolitszych zbrodniarzy.

Święcki westchnął ciężko.

– Przecież ja niczego takiego nie proponuję.

– Zaraz, moment... – zaproponował niewidoczny na tym przekazie Rutta. – Przecież sam pan przed chwilą powiedział, że chce pan zastąpić załogi tych okrętów więźniami.

– Tak. Dokładnie tak, ale nie wspomniałem słowem o przekazaniu im pełnej kontroli.

– Skoro będą sami, co im przeszkodzi w robieniu tego, na co przyjdzie im ochota? Może na przykład polecą do pierwszego lepszego systemu i urzędzą tam jatkę, jakiej świat jeszcze nie widział?

– To akurat proste. Wie pan, generale, jak wygląda resocjalizacja w Pasie Sturgeona. Na pewno czytał pan mój raport, jeszcze na Xanie 4.

– Owszem, czytałem, choć pamiętam go tylko piąte przez dziesiąte. Nie rozumiem jednak, co to ma wspólnego z pańską propozycją?

– Wbrew pozorom bardzo dużo. Panują tam tak nieludzkie warunki, że wszyscy osadzeni marzą tylko o jednym: o możliwości odebrania sobie życia. Problem jednak w tym, że system nie daje się oszukać, i właśnie dlatego jestem stuprocentowo pewien, iż każdy z więźniów zesra się na rzadko, gdy tylko usłyszy, że dajemy mu cień szansy na wyrwanie się z tego piekła. Obietnica przeniesienia do kolonii z nieco mniejszym rygorem dla tych, którzy przeżyją misję, powinna wystarczyć, by ich kupić.

Rutta zaśmiał się gdzieś poza polem widzenia.

– Nawet największy debil spośród nich zesra się ze szczęścia po raz drugi,

gdy tylko zrozumie, że ma przed sobą alternatywę. Może wybrać pełną wolność, o którą nie będzie musiał nawet walczyć. Wystarczy, że zaraz po zaokrętowaniu przejmie kontrolę nad krążownikiem albo pancernikiem i poleci, dokąd sam zechce, a nie tam, gdzie my go wysyłamy.

– Dlatego oprócz marchewki musimy mieć też kij.

– Co to jest marchewka? – zdziwił się Rutta.

– Nieważne. To takie stare powiedzenie. O metodzie kija i marchewki. W uproszczeniu chodzi o zachęcenie ludzi do czynu systemem nagród lub zmuszenie ich do zrobienia tego samego za pomocą kary. Marchewką w tym konkretnym przypadku będzie złagodzenie rygoru i przeniesienie do innej kolonii, co moim zdaniem w zupełności wystarczy, natomiast zabezpieczeniem przed buntem, i zarazem kijem, będzie pozostawienie więźniów w pancierzach pod nadzorem znanego im systemu prewencyjnego.

Rutta milczał przez dłuższą chwilę, jakby zastanawiał się nad znaczeniem tej informacji.

– Jeśli dowiedzą się, że po opuszczeniu kolonii pozostaną w pancierzach i tak naprawdę nic w ich życiu się nie zmieni, wyśmieją pana. Ja na ich miejscu nie uwierzyłbym w ani jedno pańskie słowo. Uznałbym, że zostanę wykorzystany do wykonania piekielnie trudnej misji, a potem wrócę tam, skąd mnie wzięto, i zgniję w kopalniach, odsiadując pełen wyrok, ponieważ wszyscy mają mnie tak głęboko w dupie, że łaskoczę ich w migdałki za każdym razem, gdy się mocniej poruszę.

Święcki westchnął raz jeszcze.

– Generale, mówimy o ludziach, którzy latami kombinują, jak popełnić samobójstwo. O skurwyklonach, którym wystarczy ominięcie zabezpieczeń systemu prewencyjnego na kilka sekund, by odgryźli sobie język, rozdarli własnymi pazurami tętnicę albo roztrzaskali głowę o gródź. Widziałem, jak to robią, stałem obok, czasem nawet pomagałem im w realizacji planów. Powiem panu coś jeszcze: zazdrościłem im, gdy konali na moich oczach. Wątpię więc, by któryś z więźniów nie zgłosił się na moje wezwanie, nawet jeśli mi nie



uwierzy. Mniej rozgarniętym osadzonym ta misja wyda się szansą na ewentualną niewielką poprawę losu, ale dla zdecydowanej większości to tylko bilet w jedną stronę. Okazja do ostatecznego zakończenia męki. Zrozumiałby pan, o czym mówię, generale, gdyby posiedział pan w tej kopalni choć przez tydzień. Czego, rzecz jasna, naprawdę panu nie życzę.

– Zatem twierdzi pan, że ci więźniowie zgodzą się na pańską propozycję, nawet jeśli będą podejrzewali, iż nie mamy zamiaru dotrzymać warunków umowy?

– Tak. Myślę, że polecą na Rwanę i będą walczyć jak szaleni, do ostatniej kropli krwi. Nie cofną się przed żadnym ryzykiem czy zagrożeniem, ponieważ dla nich najlepszym wyjściem będzie szybka śmierć. Nowa kolonia karna z rygorem niższym o stopień czy dwa, bo tylko tyle możemy im zaproponować, to wprawdzie złagodzenie wyroku, ale na pewno nie wyrwanie się do końca z piekła niewoli, generale. Jestem więc przekonany, że polecą ze mną, mając szczerą nadzieję, iż już nie wrócą. I nie będą próbowali ucieczki, ponieważ zapowiem z góry, że każdy przejaw niesubordynacji będzie skutkował natychmiastową stazą i bezwarunkowym odesłaniem do Pasa Sturgeona, nawet jeśli któryś skrewi tuż przed rozpoczęciem walki. Ma pan więc moje słowo, że ochotnicy zostaną i wykonają zadanie, ponieważ ten skurwyklon Draccos zdołał im wpoić jedną zasadę: na śmierć trzeba sobie zasłużyć...

Rutta zatrzymał nagranie.

– Tak on to widzi.

– Ciekawe – mruknęła Modo. – O co chodzi z tym systemem prewencyjnym?

– W Pasie Sturgeona więźniowie trafiają do pancerzy przypominających zbroje naszych oddziałów szturmowych – wyjaśnił generał. – W obu przypadkach chodzi o maksymalną ochronę użytkownika, z tym że w kolonii karnej chroni się człowieka przed nim samym. Po zamknięciu w czymś takim... – zawahał się, gdy dotarło do niego, że mówi do cywila, a nade wszystko kobiety – ...człowiek nie zrobi nic, co może mu zaszkodzić. System prewencyjny kontroluje każdy aspekt życia więźnia. To coś gorszego od

najwymyślniejszych tortur, o jakich pani słyszała. Wiem, co mówię. Świącki opisał to bardzo dokładnie w swoim raporcie.

– Chętnie bym się zapoznała z tym dokumentem – stwierdziła Modo.

– Nie chce pani tego, zaręczam.

– Skoro tak pan mówi... – Modo się zawahała. – Uważacie panowie, że Świącki ma rację? Że więźniowie nie wykorzystają sytuacji i nie narobią jeszcze większego burdelu?

– Głowy za to nie dam, ale... – Generał nie dokończył myśli. – Mój protegowany, jak to pani pięknie ujęła, nie jest głupcem. Miewa szalone pomysły, to prawda, ale nie można zarzucić mu braku rozumu, a co może ważniejsze, skuteczności.

– Jeśli wie, co mówi, ocalimy życie wielu porządnym ludziom. – Zamyślony Farland bębnił palcami po szerokim podłokietniku służbowego fotela. – Ale jeśli tym razem przesadził...

– W takim razie nie widzę przeszkód – oświadczyła po chwili wahania Gerdanielle Modo. – Przekażcie majorowi Świąckiemu, że ma poparcie Rady. Może zaproponować ochotnikom przeniesienie do kolonii karnych z rygiorem siódmego, nie, niech stracę, szóstego stopnia. Niech ta marchewka, cokolwiek to jest, wyda im się odpowiednio atrakcyjna.

# TRZY

*Ziemia, Sektor Alfa,*

*06.11.2354*

Kaup cieszył się jak dziecko.

W tym określeniu nie było cienia przesady. Urodzony i wychowany w nieco niższej grawitacji niż ziemską czuł się przytłoczony nie tylko ogromem obowiązków, jakie niosło ze sobą piastowanie stanowiska sekretarza obrony, ale i ziemskim przyciąganiem. Sławetnym standardowym G, do którego – podobnie jak do jednostek czasu – odnoszono każdą miarę w znanym ludzkości wszechświecie.

Dziewiętnaście i trzy dziesiąte procent – tyle różniło pod tym względem jego rodzimą Voltę od Ziemi. Niby niewiele, ale dla organizmu urodzonego i przez osiemdziesiąt dwa lata funkcjonującego w niższym ciężeniu aż za dużo. Poczul to już pierwszego dnia, gdy wahadłowiec schodził wolno z orbity, by dowieźć go na planetę będącą stolicą Federacji. To narastające z sekundy na sekundę obciążenie, z początku dające tylko poczucie dyskomfortu, ale z czasem wyciskające oddech z płuc. Przy każdym ruchu miał wrażenie, że jego skórę pokryto grubą warstwą ołowiu.

Tam, gdzie było to możliwe, Juliusain korzystał ze wspomagania. Jego dom, położony u stóp malowniczych, niemal stale ośnieżonych szczytów, został wyposażony w system antygravów, którymi mógł regulować ciężenie w każdym pomieszczeniu oddzielnie, redukując je o kilka, a czasami, gdy czuł się

naprawdę paskudnie, nawet więcej niż o dziesięć procent.

Lekarze powiedzieli mu wprost, że człowiek w jego wieku nie ma najmniejszych szans na całkowitą adaptację do tak odmiennych warunków, ale zarazem odradzali próby odtworzenia w domowym zaciszu środowiska panującego na rodzimej planetoidzie. Zasugerowali, by minimalizował szkody długotrwałym, rozłożonym na lata programem dostosowawczym, którego głównym elementem było stopniowe zmniejszanie redukcji ciężenia. Zdając sobie sprawę, że to jedyna droga, zastosował się ściśle do poleceń, dzięki czemu dzisiaj, po ponad stu dwudziestu miesiącach, mógł bez trudu funkcjonować przy ciężeniu wynoszącym dziewięćdziesiąt jeden procent standardowego G. Aczkolwiek był świadom, że osiągnął szczyt możliwości swojego organizmu. Liczył, że zredukuje tę różnicę o kolejny procent, może o półtora, lecz nie robił sobie większych nadziei na to, że wycisnie wiele więcej z niemal stuletniego ciała, choćby nawet odchudził się do samej skóry i kości.

Z tego też powodu tak chętnie wyprawiał się na Księżyc. Tutaj czuł się jak przysłowiowa ryba w wodzie. Przy niskiej księżycowej grawitacji znów oddychał pełną piersią – przynajmniej wtedy, gdy opuszczał kopuły chroniące kolonie, kosmoporty i instalacje przemysłowe, w których ludzie wykorzystywali antygrawy do stworzenia sobie namiastki warunków panujących w stolicy Federacji. Nic nie cieszyło go więc bardziej niż cykliczne inspekcje powstającej od kilku lat tarczy, która miała w przyszłości chronić Ziemię. Mógł nadzorować te prace z biura, a nawet z domu, ale nie zdarzyło się jeszcze, by przegapił lot na jedyne naturalne satelitę kolebki ludzkości, by nie wrócił do Krateru Kopernika, gdzie pod jego czujnym okiem powstawał kompleks, który przyszłe pokolenia nazwą – nie bez racji zresztą – największym dokonaniem XXIV stulecia.

Kaup zatrzymał grawiolot dwa i pół kilometra od pierwszej z potężnych wież. Łukowate konstrukcje emiterów miały po trzydzieści metrów wysokości, było ich dokładnie trzydzieści sześć, a wszystkie zlokalizowano co dziesięć stopni wokół gargantuicznych zabudowań dawnego Centrum Obrony Planetarnej,

z którego kierowano siecią cerberów – sferą zabójczych satelitów rozmieszczonych na orbicie Ziemi. Nic nie mogło opuścić planety ani dotrzeć do niej bez pozwolenia kontrolerów pracujących w sześciu połączonych ze sobą kopułach, osłoniętych depletacyjnym polem siłowym o mocy trzydziestokrotnie większej niż ta chroniąca pancerniki czwartej generacji.

Była to potęga, z którą nic nie mogło się równać. Ukryte głęboko pod powierzchnią gruntu reaktory produkowały tyle energii, że mogłyby godzinami powstrzymać ataki całej floty t'iru. A Juliusain zamierzał ochronić identycznym polem nie tylko Księżyc, ale i Ziemię.

Wyskakując z wiszącego tuż nad gruntem pojazdu, Kaup uśmiechał się szeroko. To, co powstaje tutaj, między górami wznoszącymi się w samym środku nieco ponadstukilometrowego krateru – myślał – przyćmi dawną chwałę Centrum Obrony Planetarnej... Wiadomość, którą otrzymał niespełna dwie godziny wcześniej od Modo, oznaczała, że bariery finansowe utrudniające mu ukończenie sztandarowej inwestycji zniknęły... a raczej znikną już za kilka dni.

To gigantyczne przedsięwzięcie, pomnik, który sam sobie postawi za życia, uczyni go nieśmiertelnym, nawet jeśli nie wypalą inne plany. Juliusain był realistą, nie dzielił surowców na niezmapowanej asteroidzie, charakteryzował się także niezwykłą cierpliwością, dzięki której osiągał więcej niż ludzie porywczy, tacy jak choćby Modo.

Stał w cieniu Gerdanielle od samego początku, udając pełną uległość wobec niej, spełniając wszystkie jej zachcianki i schlebiając co chwilę, by trwała jak najdłużej w iluzji władcy absolutnego. To także była część jego ambitnego i realizowanego cierpliwie planu.

Pani kanclerz była tak dobra w tym, co robi, że przeciwnicy polityczni – nie mogąc ścierpieć jej geniuszu – postanowili ją usunąć, organizując podstępny zamach. Przeżyła go tylko cudem, płacąc jednak wysoką cenę. Niewiele brakowało, by trucizna ją zabiła. Niewiele, lecz wystarczająco dużo, aby miała całkowitą pewność, że zażyty środek nie spowoduje nieodwracalnych zmian. Doskonale to zaaranżowała, a jeszcze lepiej wykorzystała, musiał jej to

przyznać. Z bardzo przeciętnej urzędniczki stała się w jednej chwili bożyszczem tłumów, jej notowania poszybowały w górę jak rakiety wynoszące na orbitę pionierów astronautyki, podczas gdy jej przeciwnicy, przerażeni konsekwencjami przypisywanego im nieudanego zamachu, poukrywali się w swoich norach i jeszcze długo nie odzyskają dawnych wpływów.

A kto stał za tym wszystkim? Kto podpowiedział takie rozwiązanie?

No właśnie.

Kaup zrobił kilka kroków, odbijając się za każdym razem wyżej, by ostatecznie opaść na szeroko rozstawione nogi jak akrobata kończący występ. Obłoczki poruszonego jego lądowaniem regolitu wzbiły się na wysokość metra, po czym rozpoczęły wolną wędrówkę w dół. Przyglądał im się tylko przez moment, następnie zadarł głowę na tyle, na ile pozwalał mu obszerny hełm, i popatrzył w bezgwiazdne niebo. Musiał się mocno odchylić, by zobaczyć to, czego szukał wzrokiem. Biało-niebieska kula wisiała idealnie w zenicie. Tak odległa, a mimo to bliska.

– Filtr – rozkazał systemowi kombinezonu. Czerń otaczającej go przestrzeni wypełniła się natychmiast mrowiem punktów i kształtów. Widział teraz gwiazdy i najbliższe instalacje orbitalne. – Pokaż tylko elementy projektu – uściślił.

Dziewięćdziesiąt dziewięć procent obrazu ściemniało momentalnie i zniknęło. W polu widzenia Kaup miał teraz tylko kilkadziesiąt gigantycznych kulistych reaktorów, z ogółem trzystu szesnastu, jakie w ciągu ostatnich pięciu lat udało się umieścić na orbicie. Brakowało jeszcze stu trzydziestu czterech, by projekt Sfera mógł zaistnieć. Modo zdobyła środki, które on wyda na ściągnięcie tutaj brakujących elementów układanki.

Za równo sto czterdzieści sześć dni Rada oznajmi całej ludzkości, że Ziemia, jej kolebka, stała się twierdzą nie do zdobycia. Że otacza ją tarcza energetyczna stukrotnie mocniejsza od tej, która chroniła funkcjonujące wciąż Centrum Obrony Planetarnej. Że twórcą i pomysłodawcą tego pionierskiego projektu jest nie kto inny, jak skromny sekretarz obrony, Voltanin z urodzenia, Juliusain Kaup. Człowiek, który stanie się wkrótce równie potężny i uwielbiany jak jego

dzieło...

Wirtualnie wzmocniony obraz wielkich orbitalnych reaktorów został nagle przesłonięty czerwienią. System sygnalizował pilne połączenie. Na tyle priorytetowe, że informacja o nim obeszła blokady, które Juliusain założył, by nikt nie zepsuł mu tej chwili samotności i wytchnienia. Skoro dobija się ktoś ważny...

Aktywował komunikator. Na wizjerze pojawiła się twarz Gerdanielle Modo.

– Musimy porozmawiać – rzuciła pani kanclerz, zanim zdążył otworzyć usta.

– Mów.

– Na zabezpieczonej linii rządowej.

– Mogę być w CeOP-ie za dziesięć minut.

– Pośpiesz się. Czekam. To pilne. – Modo się rozłączyła.

Kaup zmełł pod nosem przekleństwo. Zaraz jednak wziął się w garść. Pani kanclerz wyglądała na mocno zdenerwowaną, a osobę jej pokroju nie tak łatwo wyprowadzić z równowagi. Wiedział o tym lepiej niż większość członków Rady. Coś musiało się stać. Coś poważnego. Powstał problem, któremu tylko on może zaradzić, dzięki czemu dług pani kanclerz wzrośnie dzisiaj jeszcze bardziej, i dobrze...

Z tą myślą ruszył w kierunku grawiolotu.

\* \* \*

– O co chodzi? – zapytał, gdy tylko znalazł się w kokonie ekranu izolacyjnego.

Nie korzystali z łączy kwantowych. Na tym dystansie wystarczyła stara dobra sieć laserowa.

– O Świąckiego – wyjaśniła natychmiast Modo. – Musisz odwołać zamach.

– Nie ma takiej możliwości – odparł zdziwiony jej żądaniem.

– Musi być! – wybuchnęła.

Przyjrzał się jej uważniej. Nie rozumiał, skąd ta gwałtowna reakcja, zapytał więc o to, ale zamiast sensownej odpowiedzi usłyszał kolejne ponaglenia.

– Powiem wprost – wrócił do tematu. – Jest tylko jeden sposób na odwołanie tej akcji: musisz skontaktować się z *Cervantesem* i powiadomić jego dowódcę o wirusie, który na moje polecenie został zainstalowany w podstacji przekierowania mocy na napęd główny.

Modo spurpurowiała na twarzy. Żyły na skroniach pulsowały jej, jakby miały za moment popękać.

– On nie może tam zginąć – wymamrotała.

– Uspokój się, Gerdanielle. I powiedz mi wreszcie, w czym rzecz.

– Nie ma na to czasu!

– Ależ jest! – skontrolował, zerkając na osobisty czytnik. – Jeśli wszystko idzie zgodnie z planem, *Cervantes* od dziewięćdziesięciu pięciu minut znajduje się w nadprzestrzeni i nie opuści jej przez najbliższe dziesięć godzin. Przez ten czas nikt nie może nic zrobić. Nawet Bóg, jeśli mimo wszystko istnieje.

Modo uspokoiła się nieco, słysząc tę racjonalną wypowiedź.

– Świetnie – mruknęła. – W dziesięć godzin na pewno coś wymyślisz.

– Od tego jestem – skwitował. – No więc słucham, co się dzieje? Dlaczego tak nagle zmieniłaś zdanie?

– Przed chwilą prawie doszło do buntu. Ten debil Xiao doprowadził do takiej awantury, że Farland podał się do dymisji.

Kaup osłupiał.

– Czy nie o to wam chodziło? – zapytał, nie kryjąc dezorientacji.

– Owszem, ale jeszcze nie teraz, do skurwykloniej nędzy! Czy ja seplenię albo mówię niewyraźnie? Czego nie zrozumieliście w moim planie? Farland i jego ludzie muszą wziąć na siebie pełną odpowiedzialność za wszystkie dotychczasowe i przyszłe porażki. W takiej sytuacji zmiana dowódcy trzeciego metasektora wyda się każdemu naturalnym posunięciem. Wielki admirał odejdzie w niesławie, a Xiao pojawi się na scenie jako ten, który poprowadzi zjednoczone floty do decydującego zwycięstwa.

– Mnie tego nie musisz tłumaczyć – zapewnił ją. – Nie rozumiem tylko jednego, mianowicie co to ma wspólnego ze Święckim?



– Nasz major zaproponował genialne rozwiązanie, które sprawi, że Farland i pozostali członkowie sztabu trzeciej floty będą nam jedli z ręki.

– Co Henryan wymyślił tym razem? – zapytał z nieskrywanym zaciekawieniem Kaup.

– Chce, by na okręty lecące na Rwanę zaokrętować więźniów z kolonii karnych.

Juliusain splótł dłonie na brzuchu. Pomysł wydawał się szalony tylko z pozoru, aczkolwiek Kaup był zbyt doświadczonym spiskowcem, by nie wiedzieć, że diabeł zawsze tkwi w szczegółach.

– Mów dalej. – Zamienił się w słuch.

– Jeśli uda mu się namówić więźniów, a jestem przekonana, że zdoła to zrobić, trzecia flota nie poniesie nadmiernych strat w ludziach, dzięki czemu obłaskawimy Farlanda na tyle, że wykona pozostałe rozkazy...

– Dlaczego ktoś inny nie może zastąpić Święckiego w tej roli? – Nadal nie rozumiał, w czym problem.

– Choćby dlatego, że tylko on spędził trzy lata w Pasie Sturgeona, co technicznie rzecz ujmując, czyni go jednym z nich.

Juliusain przypomniał sobie zapisy z akt majora i kiwnął głową.

– Pewnie nie on jeden... – zaczął.

– Pewnie nie – wpadła mu w słowo – ale tak się składa, że jest też pupilkiem naszych kozłów ofiarnych. Poza tym jeśli Święcki zginie na Ulietcie, zacznie się szukanie kogoś, kto go może zastąpić, a na to naprawdę nie mamy czasu. Powinniśmy wysłać nanosondy jak najszybciej, jeśli chcemy mieć szansę na zrealizowanie reszty planu, zanim dojdzie do katastrofy.

– Rozumiem. – Kaup się uśmiechnął. – W takim razie najprościej będzie wezwać Święckiego...

– Chcesz odwołać tę misję?! – Modo zrobiła wielkie oczy.

– Nie. Konwój może polecieć dalej, ale już bez niego. Kazesz mu się przesiąść na któryś z niszczycieli i wrócić.

– Obawiam się, że to nie takie proste.

– Chcesz powiedzieć, że Henryan zignoruje rozkazy Rady?

– Obawiam się, że zwyczajnie ich nie wykona. Czyż nie dlatego usuwamy go ze sceny?

Miała rację. Z tego, co o nim czytał, Święcki był niezłym cwaniakiem, a w sytuacji, gdy znajdował się tak daleko od dowództwa, mógł po prostu zignorować próby kontaktu, kiedy zaś jego krążownik wykona kolejny skok...

– W takim razie nie pozostaje nam nic innego, jak ostrzec *Cervantesa* o wirusie – zdecydował.

– Oszalałeś?

– Wręcz przeciwnie. – Uśmiechnął się pod nosem. – Jeśli agent, który zainfekował komputery *Cervantesa*, zginie podczas próby zatrzymania bądź też popełni samobójstwo, nikt nie będzie w stanie połączyć jego działalności z nami, ba, więcej nawet, oczy śledczych skierują się na kogoś, kogo bardzo, ale to bardzo nie lubimy.

– Mów dalej. – Teraz to ona zamieniła się w słuch.

– W takich sytuacjach wolę korzystać z pożytecznych idiotów – wyjaśnił. – Nasz przyjaciel był przekonany, że zlecenie pochodzi od separatystów, a pośrednikiem jest ktoś ważny z opozycji. Nie wykluczam więc, a nawet jestem pewien, że podzielił się tą wiedzą z pozostałymi członkami komórki działającej przy sztabie metasektora, których tożsamość znamy od dawna. Zatem...

Modo rozciągnęła wargi w szerokim uśmiechu.

– Jesteś bardziej podstępny od Święckiego.

Juliusain ukłonił jej się dwornie.

– Z tym że ja gram po właściwej stronie, Gerdanielle.

– A co z resztą? – zapytała już spokojnie.

– Słyszałaś o katastrofie kolejki ekspresowej na Anzio?

Spojrzała na niego podejrzliwie.

– Wiesz, że nie oglądam ani nie czytam tego gówna...

– Tak się pechowo złożyło, że na pokładzie jednego z wagoników przebywali porucznik Poetze i jego podkomendny Zezik czy jak mu tam było. Cóż za

przykry zbieg okoliczności...

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że to twoja robota?

Kaup się wyszczerzył.

– Wypadki chodzą po ludziach. Ta kolejka psuła się już z milion razy. Według logów miała zostać wycofana z użytku trzy dni później.

Modo zerknęła gdzieś poza obiektyw.

– W katastrofie zginęło pięćdziesiąt osób – rzuciła po chwili.

– Sześćdziesiąt dwie. Tak wysokie straty poboczne uwiarygodniają wersję zdarzeń mówiącą o wypadku, nieprawdąż? Zresztą gdzie tu problem? Na *Cervantesie* służy ze trzy razy tyle ludzi, a nie miałaś obiekcji, gdy przyszło do zaakceptowania planu.

– Ten krążownik i tak wyruszył z samobójczą misją – przypomniała mu. – My tylko zadbaliśmy, by jej status nie uległ jakimś cudem zmianie. A co z hakerem? – zmieniła nagle temat.

– Jak się okazało, wyszedł na zwolnienie warunkowe. Za dobre sprawowanie skrócono mu karę o dwa tygodnie. Niestety w trakcie rutynowej kontroli znaleziono przy nim coś nielegalnego. Nie wiem nawet co, w każdym razie wrócił tam, skąd przyszedł, oczywiście z nowym wyrokiem. A że to recydywa i w dodatku trafił na najbardziej purytańskiego sędziego w trzecim metasektorze, którego nawiasem mówiąc, moi ludzie nagrali kilkakrotnie w bardzo ciekawych okolicznościach, wyrok mógł być tylko jeden. Dwa lata w kolonii karnej szóstego stopnia. Tylko wiesz, po starej znajomości postanowiłem skrócić mu te męki do tygodnia.

– Słucham?

– Pewien człowiek zajmie się nim wkrótce po przylocie. Ale bez obaw, nikt nie będzie przy tym grzebał, tam to ponoć normalka – zapewnił ją, siadając wygodniej.

– Dobrze. Bardzo dobrze. Tym sposobem usunęliśmy wszystkich, którzy byli zaangażowani w tę sprawę.

– Oprócz Święckiego.

- Nim się zajmiemy, jak tylko zrobi, co do niego należy – ucięła Modo.
- Jeżeli znowu nie błysnie geniuszem, pomyślał Juliusain.
- Będzie, jak sobie życzysz – powiedział na głos.
- A tak przy okazji... Chciałabym, żebyś kogoś poznał. Umówiłam nas na spotkanie, oczywiście transsystemowe, z pułkownikiem Draccosem.
- Nigdy o nim nie słyszałem.
- Pokochasz drania, jak tylko o nim poczytasz. Jestem tego pewna.
- Skoro tak mówisz, Gerdanielle... – Milczał przez chwilę. – Skoro mniej ważne sprawy mamy już za sobą, powiedz mi, moja droga, kiedy mogę się spodziewać pierwszych transz dotacji.

# CZTERY

*System Smaug, Sektor Zebra,*

*07.11.2354*

- Dziesięć sekund do wyjścia – zameldował system.  
Święcki dociągnął uprząż fotela.
- Tarcze dziobowe?
- Sześć sekund temu osiągnęły dziewięćdziesiąt osiem procent mocy nominalnej.
- Stanowiska bojowe?
- Obsadzone, aktywowane, sprawdzone. Pełna gotowość bojowa została osiągnięta jedenaście sekund temu. – Ten sam głos, gdzieś w tle, rozpoczął ostateczne odliczanie: – Trzy, dwa, jeden!

OPF *Djangonzalo Cervantes* wyszedł gładko z nadprzestrzeni, dziobem do trzech słońc systemu tranzytowego, w którym Obcy nie mieli wiele do roboty. Tydzień wcześniej t'iru pojawiły się na Smaugu, by zniszczyć jedyne dzieło człowieka w tym czteroplanetarnym układzie. Wielka orbitalna kopalnia gazu, eksploatująca złoża bliższego z niemal bliźniaczych gigantów, nie miała najmniejszych szans. Była to bardzo stara, rozbudowywana od kilku dekad konstrukcja, która nie miała ani generatorów pól ochronnych, ani napędu pozwalającego jej na dokonanie skoku, czy to pod-, czy nadprzestrzennego. Nieliczna załoga wolała więc nie kusić losu. Z tego, co dało się wyczytać w raportach, wynikało, że ostatni człowiek opuścił Smauga kilkanaście godzin

po zniszczeniu stacji monitorującej, czyli na długo przed przybyciem ma'lahn. Co się wydarzyło w tym systemie później, tego nikt już nie wiedział.

Aż do teraz.

Ciszę rozdarło wycie syren alarmowych. Mostek *Cervantesa* utonął w krwistej czerwieni. Henryan miał za mało czasu, by ogarnąć wzrokiem wszystkie panele otaczające jego stanowisko konsoli, ale był niemal pewien, że żadna z wirtualnych kontrolki nie świeci inną barwą.

– Ostrzeżenie z fregaty zwiadu: wiele kontaktów na kursie kolizyjnym – meldował spokojnym, nieco tylko mechanicznym głosem system.

Jak...?

Święcki nie dokończył myśli.

Krażownik zadrżał, jakby zaczęły go okładać pięści gigantów. W osłony energetyczne trafiły dziesiątki pocisków naraz, jednakże wydajność tarcz nie zmalała tak szybko, jak powinna przy zmasowanym ostrzale, co samo w sobie było zastanawiające.

Ledwie zdążył o tym pomyśleć, na centralnym wyświetlaczu pojawiło się nowe okno, a widoczne na nim wskaźniki – szerokie niebieskie linie – zaczęły ulegać skróceniu w zastraszającym tempie. Po niespełna sekundzie ich barwa zmieniła się z błękitnej na żółtą, a potem pomarańczową coraz intensywniej przechodzącą w krwistą czerwień.

– Raport o szkodach! – ryknął Henryan, próbując przekrzyczeć zawrodozenie licznych syren.

System zareagował natychmiast. Święcki słuchał monotonnej tyrady, czując wzmagający się błyskawicznie nacisk, co znaczyło, że okręt zaczyna robić ostry zwrot. Manewr był tak szybki, że nawet pola kompensacyjne nie zdołały zniwelować wszystkich jego skutków. Musiał jednak taki być, jeśli chcieli mieć choć cień szansy na przetrwanie. Komputery usiłowały wyprowadzić *Cervantesa* poza pole największej koncentracji ognia, by uchronić go przed całkowitym zniszczeniem, gdyż krążownik zdążył stracić wszystkie tarcze dziobowe, co w przypadku jednostki tej klasy oznaczało rychły koniec.

Henryan wiedział, że kilka najbliższych sekund będzie drogą przez mękę. Kokon fotela już się uszczelniał, co jednak nie odcięło siedzącego w nim człowieka od oślepiającej czerwieni. Przekazy były teraz rzucane bezpośrednio na siatkówki Święckiego. Widział więc wszystko równie dobrze jak do tej pory i tylko zawrodozenie syren przestało ranić mu uszy.

– Brak zasilania dziobowych generatorów tarcz energetycznych – zameldował beznamiętnym głosem system. – Utrata połączenia z systemem sterowania reaktorem zasilającym dziobowe tarcze energetyczne. Brak danych o przyczynach awarii. Utrata połączenia z systemem sterowania reaktorem pomocniczym. Brak danych o przyczynach awarii.

Straciliśmy oba reaktory pola? Wróg zdołał je zniszczyć? Ale jak? Przecież te cholerstwa ukryto w samym środku cygarowego kadłuba, za grubymi na pół metra warstwami wzmocnionego helonu i ekranami o mocy kilkakrotnie większej niż zewnętrzne deflektory. Obcy nie mogli ich zniszczyć bez uprzedniego wyprucia *Cervantesowi* wszystkich flaków, tymczasem okręt, poza utratą tarcz dziobowych, wydaje się w pełni sprawny...

Kolejny wstrząs, znacznie silniejszy od poprzednich, uświadomił Święckiemu, że nie powinien podchodzić zbyt optymistycznie do tego, co widzi. Na szczęście odwrócili się burtą do jednostek prowadzących ostrzał, dzięki czemu znów byli chronieni polem siłowym. Pytanie tylko, jak długo jeszcze?

– Co znaczy: brak danych? – wysapał po następnym, nawet mocniejszym szarpnięciu, które mogło być efektem bądź uderzenia wyjątkowo masywnego pocisku, bądź wykonania zbyt gwałtownego manewru unikowego.

– Brak dostępu do systemów obsługujących siłownię numer trzy i cztery – wyjaśniła sztuczna inteligencja.

Jakim cudem system nie ma dostępu do części swoich funkcji? Blokada? Kto ją założył? Nieważne. Trzeba działać!

– Wymuszam obejście.

Była to furka, ostatnia deska ratunku, jaką zostawiono zdesperowanemu dowódcy. Jeśli system szwankował, pewnymi jego funkcjami dało się sterować

ręcznie. Odbieranie kontroli maszynom, zwłaszcza w trakcie walki, gdy o przeżyciu lub śmierci załogi decydowały ułamki sekundy, było szalenie niebezpieczne, dlatego mało kto ważyłby się na taki krok, ale w tym wypadku nie chodziło przecież o systemy kierowania ogniem, tylko dostęp do reaktorów.

– Polecenie przyjęte, współdowódco Świącki. Operacja niewykonalna. – Kadłub zadrżał raz, drugi, trzeci. Wstrząsom nie było końca. Seria uników niewiele dała. Tarcze burtowe padły. Właśnie obrywali kolejną salwą... – Uwaga, wielokrotne przebicie kadłuba zewnętrznego w sekcjach: S1, S2, D1, D2, D3, B1, B3. Dehermetyzacja przedziałów bojowych na pokładach...

W tym momencie Świącki przestał słuchać. Czoło i kark pokrył mu lodowaty pot. To już koniec. Po utracie osłon i deflektorów stali się łatwym celem. Siedem sekcji, niemal całe poszycie w części bakburtowej, od dziobu do śródokręcia, zostało podziurawione jak rzeszoto. Wystarczyło mgnienie oka, by dumny krążownik czwartej generacji zamienił się w kupę złomu.

Czas wydać rozkaz ewakuacji.

Henryan skupił wzrok na wirtualnej projekcji własnej ręki. Wprowadzenie odpowiedniej komendy zajmie tylko chwilę. Zamarł jednak z palcem zawieszonym tuż nad połyskującą powierzchnią klawisza zatwierdzającego komendę. Coraz więcej kontroltek zmieniało kolor na żółty. Niektóre alarmy całkowicie umilkły. Henryan nie czuł już też wstrząsów. Jeśli coś nadal w nich trafiało, kompensatory fotela dawały sobie radę z przejmowaniem drgań przenoszonych przez konstrukcję okrętu. Chyba wyszli już ze strefy największego zagrożenia albo wręcz wydostali się poza pole rażenia broni wroga.

– Status?

– Przedpole czyste. Brak ostrzeżeń o obiektach na kursie kolizyjnym.

– Wizualizacja pola walki.

Dziesiątki holograficznych wykresów zniknęły, ustępując miejsca wspomaganemu elektronicznie obrazowi przestrzeni. Przed *Cervantesem* dało się zauważyć tylko kilkanaście znaczników, ale wszystkie były albo



uspokajająco zielone, albo co najwyżej żółte. Za to gdy Święcki odwrócił głowę, zobaczył tak gęste mrowie ikonek, że nawet systemy jego okrętu nie dawały sobie rady z ich właściwym sklasyfikowaniem.

Reszta eskadry przebijająca się właśnie przez to piekło. Widział, jak załogi walczą o przeżycie, jak niszczą kolejne cele, lecz tych było za dużo, dlatego...

Wielka kula plazmy – oślepiająco białej, lecz szybko ciemniejącej – rozlała się w głębi pola widzenia, za największym skupiskiem nadlatujących poci... obiektów – poprawił się szybko w myślach, bo to na pewno nie były rakiety ani rdzenie kinetyczne.

Zrobił zbliżenie. Lekki krążownik *Taran* przestał właśnie istnieć. Zanim jego ostatnie ślady zniknęły pośród wszechobecnej czerni, Henryn zobaczył jedną po drugiej trzy eksplozje, z których każda była słabsza.

– Co jest, u licha? – wyszeptał zdezorientowany.

– Według wstępnych analiz konwój trafił na rozległe wrakowisko – wyjaśnił system bezosobowym głosem.

Wrakowisko? Tutaj, na Smaugu? Skąd?

– Skanuj wybrane elementy! – rozkazał.

System wybrał losowo kilka największych zarejestrowanych przez czujniki szczątków i rzucał ich projekcje na kolejne okna wyświetlacza, próbując dopasować kształty – oczywiście po stosownych korektach – do znanych mu elementów konstrukcyjnych. Na razie jednak bez sukcesu. To antyczne cholerstwo nie przypominało niczego... Wielkie, ażurowe konstrukcje, pogięte teraz, porozrywane, tu i ówdzie jakieś rury, a wszystko nie z helonu, lecz ze zwykłej plastali... Zaraz!

Święcki uniósł brwi ze zdziwienia. Jeśli się nie mylił, patrzył właśnie na pozostałości kopalni gazu. Pokręcił głową z niedowierzaniem. Przecież to niemożliwe. Gazowy olbrzym znajdował się w odległości niemal godziny świetlnej od centrum tego systemu. Cokolwiek zostało zniszczone na jego orbicie, nawet jeśli miało rozmiary rozbudowanej kopalni (a te osiągały czasami gargantuiczne wielkości), nie mogło stworzyć zagrożenia w strefie skoku

mieszczącej się półtora miliarda kilometrów dalej. Na tak wielkim dystansie szczątki stacji uległyby niemal całkowitemu rozproszeniu... Poza tym nigdy nie wydostałyby się z pola grawitacyjnego planety olbrzyma. Musieliby mieć strasznego pecha, żeby trafić choć na jeden kawałek kosmicznego złomu, a tymczasem wrakowisko było wciąż tak skupione, jakby kopalnia została zniszczona kilka sekund świetlnych od strefy skoku...

Czyżby Obcy zastawili na nas pułapkę? Ale jak? Nie mogli przecież wiedzieć, że tutaj przylecimy. Chyba że...

Zanim Święcki zdołał przetrwać tę myśl, usłyszał zduszony głos Hinesa. Współdowódca krążownika mówił przez zaciśnięte zęby, jakby go coś bolało.

– Henryan? Jesteś tam?

– Jestem, Javiernesto. Mocno oberwałeś?

Komandor dowodził podległą mu częścią załogi z mostka nawigacyjnego, znajdującego się znacznie bliżej dziobu *Cervantesa*. Skoro tutaj, w części rufowej, z trudem dało się wytrzymać ostatnią minutę, to tam, w strefie największego zagrożenia, musiało panować niewyobrażalne piekło.

– Bywało lepiej. Właśnie przyszedł szyfrogram z admiralicji. Musisz go zobaczyć.

\* \* \*

Czterdzieści siedem sekund. Tyle OPF *Djangonzalo Cervantes* potrzebował na przebicie się przez rozprzestrzeniający się wolno obłok resztek po gigantycznej kopalni orbitalnej. Ogień zaporowy otworzono już w trzeciej sekundzie kontaktu. Reaktor padł w jedenastej. Gdyby to było prawdziwe starcie, krążownik Święckiego zamieniłby się mgnienie oka później w kulę plazmy i podzieliłby los sześciu innych okrętów, które nie miały tyle szczęścia i wyszły ze studni grawitacyjnej prosto na największe skupisko kosmicznego śmiecia.

Konwój stracił w niespełną minutę dwa lekkie krążowniki, trzy niszczyciele i jeden transportowiec. Czterystu szesnastu ludzi zginęło, siedmiuset trzech

odniosło rany, w tym czterdziestu pięciu na tyle ciężkie, że natychmiast zostali wprowadzeni w stazę. Kilka dalszych jednostek zostało uszkodzonych, ale na szczęście nie aż tak poważnie jak pozbawiony osłon dziobowych *Cervantes*. Strach jednak pomyśleć, co by się stało z resztą konwoju, gdyby Henryan nie wydał rozkazu wyjścia z nadprzestrzeni pod osłoną deflektorów.

To miał być zwykły test. Nikt nie spodziewał się problemów, a co dopiero obecności wroga na Smaugu. Ma'lahn dowiedzieliby się o obecności ludzi dopiero w chwili wtargnięcia przez nich do utraconego kilka dni wcześniej systemu, zatem – jeśli Rutta miał rację – konwój powinien napotkać prawdziwe kłopoty dopiero po przylocie na Torusa VI albo, co bardziej prawdopodobne, na Uliettę.

Niestety życie lubi zaskakiwać, o czym Henryan przekonał się właśnie po raz kolejny, i to bardzo boleśnie.

– Próba zamachu? – Kręcił z niedowierzaniem głową, czytając ponownie krótki tekst.

Choć wydawało się to nieprawdopodobne – odkąd wstąpił do floty, nie słyszał o podobnym przypadku – nagle wszystko zaczęło się układać w logiczną całość. To nie była awaria, ktoś umieścił wyjątkowo zaawansowane wirusy w programach sterujących reaktorami pola. Cholerstwo doprowadziło do wykasowania sporej części systemów obu siłowni i w konsekwencji do awaryjnego wygaszenia reaktorów, co poskutkowało niemal natychmiastową utratą wszystkich dziobowych deflektorów i tarcz energetycznych.

– Mieliśmy wielkie szczęście, że skurwyklon wpadł podczas sabotowania kolejnej jednostki. – Javiernesto poprawił się w fotelu.

Środki przeciwbólowe pozwalały mu funkcjonować, ale od czasu do czasu nawet one nie niwelowały dyskomfortu. A leżeć, zgodnie z zaleceniami automedów, nie mógł i nie chciał.

– Wiem, jak to zabrzmi, ale ta pieprzona katastrofa też była szczęściem w nieszczęściu – stwierdził Święcki po chwili zastanowienia.

Tajemnicę wrakowiska rozwikłali dość szybko. Naciskana przez Rutte

i Farlanda korporacja Arashi przyznała, że po panicznej ucieczce załogi podjęto próbę ewakuacji samej instalacji. Keiretsu postanowiło wykorzystać fakt, że lecące po urobek kopalni gazowce znajdowały się tylko kilka godzin od celu. Ich kapitanom wydano więc rozkaz, by zamiast zawrócić, co nakazywała logika, zadokowali swoje jednostki do wyznaczonych węzłów i spróbowali zaholować kopalnię do najbliższej studni grawitacyjnej.

Gdyby ci biedacy mieli więcej czasu, ocaliliby pewnie wartą biliony kredytów stację orbitalną, zabrakło im jednak dosłownie chwili. Ma'lahn pojawili się na Smaugu nieco później, niż powinni, ale i tak na tyle wcześnie, by zniweczyć wysiłki trójki kapitanów korporacji, którzy widząc nadlatującego wroga, natychmiast odłączyli gazowce od holowanej stacji i spróbowali ucieczki na własną rękę. Niestety ich jednostki nie dysponowały napędem podprzestrzennym – Arashi nie różniła się pod względem oszczędności, na czym tylko się da, od innych korporacji – przez co wszelkie próby ratunku były z góry skazane na niepowodzenie.

Człowiek jednak walczy do samego końca, takim go stworzyła... – Święcki chciał pomyśleć „natura”, lecz zdał sobie nagle sprawę, że jeśli wierzyć zeznaniom Stachursky'ego, mogło być nieco inaczej. Bez względu na to, komu ludzie zawdzięczają silną wolę przeżycia, załogi gazowców postanowiły wykorzystać nikły cień szansy, jakim był fakt, że na Smauga przyleciały tylko dwa t'iru. Cywile podjęli błyskawicznie najrozsądniejszą z decyzji – każdy frachtowiec wybrał inny wektor ucieczki, różniący się o sto dwadzieścia stopni płaszczyznowych od kursów pozostałych jednostek. Ponieważ liniowce wroga nie mogły polecieć za wszystkimi naraz, ten zbieg, któremu odpuściły na początku, teoretycznie powinien zyskać znaczną przewagę nad ewentualnym późniejszym pościgiem, co koniec końców winno dać mu szansę na dotarcie do strefy skoku i opuszczenie systemu, zanim o wiele szybsze i zwrotniejsze t'iru go dopadną, zniszczywszy uprzednio pozostałe dwa cele. Nadzieje te okazały się niestety płonne, lecz determinacja i poświęcenie trzech załóg opóźniły nieuniknione w tej sytuacji zniszczenie kopalni o kolejne kilkanaście godzin,

w czasie których gargantuiczna instalacja wydobywcza leciała przez pustkę siłą rozpędu, kierując się prosto na punkt skoku. W tym czasie t'iru rozdzieliły się, dogoniły i zniszczyły dwa pierwsze gazowce, a potem podjęły zdecydowany pościg za trzecim, który pomimo ociężałości charakterystycznej dla tego typu jednostek zyskał przewagę niemal siedmiu sekund świetlnych. Ta jednak zaczęła topnieć w oczach, gdy liniowce przyśpieszyły, idąc kursem na przejęcie. Ostatni masowiec zamienił się w obłok plazmy na niespełna dwie minuty przed zakończeniem procedur rozpoczynających skok.

Wszystko to można było wyczytać w raporcie wewnętrznym, jaki keiretsu przesłało admiralicji po monicie rozwścieczonego do białości Farlanda. Gdyby ten dokument trafił do sztabu metasektora wcześniej, flota nie straciłaby na Smaugu kilku cennych okrętów, ale Świątki nie do końca był przekonany, że przydarzyło im się najgorsze...

– Nie chcę nawet myśleć – dodał – do czego by doszło, gdyby ten wirus uaktywnił się podczas prawdziwego starcia, już po podebraniu kolonistów...

– Obcy roznieśliby nas na strzępy – przyznał Hines. – W okamgnieniu. A wtedy reszta konwoju...

– Tak... – Zamyślony Henryan nie odrywał wzroku od ekranu wyświetlacza.

Nie rozumiał w tym wszystkim tylko jednego – co zamachowiec chciał osiągnąć przez zawirusowanie wysyłanego na misję ratunkową krążownika? Nie był nawet separatystą, jeśli wierzyć oficjalnemu komunikatowi WB, lecz agentem wysługującym się lokalnemu przedstawicielowi opozycyjnej partii. Polityczne rozgrywki? Coś tu śmierdziało, i to bardzo... Aczkolwiek patrząc na tę sprawę z drugiej strony, ktoś przecież dokonał zamachu na Gerdanielle Modo. Nikt przy zdrowych zmysłach nie mógł twierdzić, że pani kanclerz otruła się sama. Może więc walka o władzę zaostrzała się bardziej niż sytuacja na Rubieżach? Może opozycja dowiedziała się jakimś cudem o wojnie i właśnie zaczynała ofensywę, której obecni członkowie Rady tak bardzo się obawiali?

To prawda, że rywale Modo mogli wyczuć krew. Dla nich, podobnie jak dla rządzących, koloniści z Ulietty byli tylko liczbami, którymi można się

pochwalić, jeśli zajdzie taka potrzeba, ale które mogą także posłużyć do zdyskredytowania przeciwnika i obnażenia jego nieudolności. Henryan nie wątpił, iż pozwolenie na akcję ratunkową otrzymał tylko dlatego, że rząd potrzebował pokrzepiających wieści z linii frontu. Czegoś, czym będzie się można chwalić w mediach. Miał jednak gdzieś, jakimi pobudkami kierowali się decydenci, z jego punktu widzenia najważniejsze było, że uratuje ostatnie osiem tysięcy ludzi, którym dał słowo, iż wróci.

Niestety po raz kolejny znalazł się w kropce. Rozum mówił mu, że lepiej odpuścić, ponieważ nie ma najmniejszych szans na pomyślne ukończenie tej misji. Serce podpowiadało natomiast, że pomimo utraty połowy eskorty i jednego transportowca wciąż ma możliwość uratowania reszty kolonistów. Wystarczyło skontaktować się ponownie z dowództwem i poprosić Rutte o wysłanie wsparcia, co opóźniłoby działania konwoju o kilka dni, w najgorszym razie o tydzień – z tego, co wiedział, koloniści dysponowali wystarczającymi zapasami żywności, by przetrwać w jaskiniach nawet parę miesięcy, w związku z czym krótka zwłoka nie powinna być dla nich problemem. Ci, którzy ukryli się w podwodnym reaktorze, dysponowali mniejszą ilością zapasów, ale nawet w ich przypadku margines bezpieczeństwa był wciąż bardzo duży.

Jeśli pani kanclerz naprawdę zależało na poprawie wizerunku, powinna poprzeć jego żądania, gdyż tak potrzebny jej propagandowy sukces mógł łatwo zamienić się w bolesną porażkę, nawet jeśli Gerdanielle zdoła umiejętnie wykorzystać asa w rękawie, jakim był schwytyany ostatnio zamachowiec. Zamiast bohatera ratującego życie cywilów dostanie długi rachunek strat w sprzęcie i ludziach oraz jeszcze dłuższą listę ofiar po stronie kolonistów, których rodziny, rozsiane po wielu sektorach i systemach, na pewno narobią sporo szumu, kiedy ta sprawa wyjdzie na jaw.

Święcki był więc prawie pewien, że dostanie nowe okręty i czas na realizację swojej misji, istniało jednak spore „ale”: kwestia rekrutacji więźniów. Jeśli będzie czekał na uzupełnienia dłużej niż trzy doby, nie zdąży wykonać drugiej,

z punktu widzenia sztabu metasektora i Rady o wiele ważniejszej, misji.

Po chwili wahania podzielił się swymi przemyśleniami z rannym współdowódcą. Javiernesto był bardzo rozsądnym człowiekiem. Nieraz też dowiódł, że umie myśleć nieszablonowo, a w razie potrzeby podejmuje ryzyko wykraczające poza regulaminowe normy. Chyba dlatego tak dobrze im się ostatnio współpracowało.

– Wydaje mi się, przyjacielu, że powinieneś zaproponować im nieco inny układ – stwierdził Hines po naprawdę długiej chwili zastanowienia i przywołaniu holomapy sektora. – Wycofajmy konwój na Rigel X. Ja poczekam tam na ewentualne wsparcie, a ty polecisz stamtąd do Pasa Sturgeona. Obrócisz tam i z powrotem w sześć dni, jeśli dobrze liczę, a kiedy wrócisz, podejmiemy drugą próbę ewakuacji Deltę, tyle że alternatywną trasą. – Planując tę operację, wybrali trzy drogi, jakimi mogliby dotrzeć na Uliettę. Przez Smauga i Torusa wiodła najkrótsza z nich, lecz gdyby Javiernesto, zamiast czekać na Rigelu X, przerzucił sprawne okręty na Rygę XI i tam spotkał się z jednostkami przysłanymi ze sztabu metasektora, konwój wszedłby na terytorium zajmowane przez ma'lahn niecałą dobę później, nie ryzykując przy tym nadziania się na zasadzkę, co mogłoby mieć miejsce w razie powrotu na Smauga. – Nie musisz przecież siedzieć w kolonii do zakończenia transferu osadzonych, ty masz ich tylko przekonać do współpracy – wyjaśnił komandor. – Reszty dopilnują przedstawiciele admiralicji. Posłuchaj mnie, przyjacielu... Zrób tak, jak mówię, a wilk będzie syty i owoc cały – zakończył, szczerząc zęby, choć zaraz skrzywił się znów z bólu.

Henryan nie poprawił go, jak to miał w zwyczaju. Javiernesto znalazł idealne rozwiązanie, które powinno się spodobać zarówno Modo, jak i Farlandowi.

– Masz rację. Tak zrobię. Mam tylko jedną prośbę. Przekierowuj do mnie kopie wszystkich wiadomości ze sztabu.

– Nie ma sprawy. – Hines syknął, gdy obręcz automechu zaaplikowała mu następną dawkę środków uśmierzających. – Czekasz na coś konkretnego?

– Nie, ale chcę być na bieżąco.

Święcki skłamał. Wolał, by nikt, nawet Javiernesto, nie wiedział, jak bardzo się niecierpliwi, czekając na wiadomości o Ninadine. Od wylotu minęło już kilka dni. Poetze z pewnością wiedział teraz więcej niż podczas ostatniego spotkania. Być może udało mu się nawet namierzyć miejsce jej aktualnego pobytu. Niewykluczone więc, że wykorzysta możliwości, jakie daje mu dostęp do centrali Wydziału Bezpieczeństwa, by dołączyć zaszyfrowany plik do kontrolowanej tam wiadomości transsystemowej.



# PIĘĆ

*System Anzio, Sektor Zebra,*

*07.11.2354*

– Widzimy się u mnie – warknął rozwścieczony czymś Farland.

– Jak tylko skończę... – wydukał zaskoczony jego ostrym tonem i brakiem zwyczajowego powitania Rutta, ale nie dane mu było dokończyć.

– Teraz!

Hologram wielkiego admirała zniknął, zanim generał zdążył ponownie otworzyć usta. Znali się zbyt długo i zbyt dobrze, by Franciscollin nie wiedział, że doprowadzenie przyjaciela do takiego stanu nie jest łatwym zadaniem. Komuś to się jednak najwyraźniej udało, zapewne przed momentem, ponieważ jeszcze pół godziny temu, gdy rozstawali się po kolejnej odprawie, na której zapadła ostateczna decyzja o wysłaniu Święckiemu wsparcia, Farland wyglądał normalnie.

Maszerując zatłoczonymi korytarzami stacji w kierunku turbowind, Rutta zastanawiał się usilnie, kto, a raczej co było przyczyną nagłego pogorszenia humoru wielkiego admirała. Nie doszedł jednak do żadnych konstruktywnych wniosków. Nie pomogło mu nawet sprawdzenie najnowszych zapisów komunikatora. Na łączach sztabu panował idealny spokój. Żadnych alarmów, żadnych szyfrogramów z admiralicji. Napływające z Rubieży raporty także nie zawierały szczególnie niepokojących informacji. Ciekawość generała rosła więc z każdym krokiem.

Prywatną kajutę dowódcy metasektora umiejscowiono bezpośrednio nad centrum dowodzenia stacji, by wielki admirał mógł szybko i sprawnie dotrzeć na miejsce, jeśli zajdzie taka potrzeba. Dostać się do niej można było na dwa sposoby: kilkoma windami grawitacyjnymi łączącymi kwatery najwyższych oficerów ze wspomnianym centrum albo bardziej okrężną drogą przez umieszczone w samym środku walcowatego korpusu stacji ogólnodostępne szyby kolejki wertykalu, którymi każdy pracownik sztabu metasektora mógł dojechać na poziomy zamknięte, a stamtąd, pokonując kolejne korytarze i strzegące ich posterunki, przemaszerać do zewnętrznej części walca, by dotrzeć do mieszczącej się w niej sektora mieszkalnego.

Gdyby Rutta, także należący do grona uprzywilejowanych oficerów, przebywał teraz u siebie, miałby zaledwie kilka kroków do przyjaciela. Niestety nie mógł sobie pozwolić na takie zbytki jak odpoczynek czy wolny czas. Przygotowania do realizacji nowego planu wymagały od niego bytności w najbardziej odległych rejonach stacji: wizytowania magazynów z amunicją, spotkań z intendentami, nadzorowania transferu części wyposażenia.

Modo wyraziła się jasno – o istnieniu nanosond nie może wiedzieć nikt postronny. Tylko on i Farland zostali wtajemniczeni we wszystkie szczegóły sekretnej części planu Rady – taką przynajmniej Rutta żywił nadzieję. Skoro więc wielki admirał nie mógł i nie powinien dokonywać osobistych inspekcji podrzędnych magazynów ani interesować się tym, czy każdy z przypisanych do danej jednostki kontenerów trafi tam, gdzie trzeba, cały ciężar dyskretnego monitorowania dystrybucji wybranej partii pocisków kinetycznych spoczął na barkach jego najbliższego doradcy.

Na razie wszystko szło gładko. Przesłana z Systemów Centralnych „amunicja testowa nowej generacji” trafiła na pokłady dwóch jednostek, prosto do magazynów tych baterii, które zostały wcześniej wyznaczone do wykonania właściwej misji. Dowódców wspomnianych okrętów poinformowano uprzednio, że rdzenie, które przekazano im pod tak szczególnym nadzorem, mają posłużyć do przeprowadzenia prób polowych, zatem będą mogli ich użyć dopiero po

otrzymaniu konkretnych rozkazów wydanych przez dowódcę eskadry specjalnej.

To nie była pierwsza akcja tego typu, nikt więc nie marudził ani nie wściubiał nosa tam, gdzie nie trzeba. Zresztą gdyby nawet ktoś zechciał sprawdzić, czym się różnią nowe rdzenie od starych, niewiele by zobaczył, ponieważ sekret nowej broni krył się w jej wnętrzu, pod grubą, solidnie wyglądającą warstwą utwardzonego helonu. A gdyby głowicom przyjrzał się ktoś naprawdę uważny, i w dodatku korzystający z odpowiedniego sprzętu, dostrzegłby tylko dziwne mikroskopijne rysy biegnące niezbyt prostą linią od samego czubka aż po podstawę głowic – na tym jednak kończyły się wizualne różnice pomiędzy starym a nowym modelem samosterującej amunicji.

Zadaniem Rutty było dopilnowanie, by wszystkie pociski, którymi hybrydowe nanosondy zostaną dostarczone w pobliże uszkodzonych t'iru, trafiły bez przeszkód we właściwe miejsca. Mało brakowało, by generał wywiązał się z niego śpiewająco. Ostatni transport rdzeni musiał jednak wrócić do magazynu głównego, ponieważ w trakcie przeładunku nadeszło od przełożonego niespodziewane i pilne wezwanie.

Franciscollin, choć nie było mu to na rękę, nie wahał się długo. Ryzyko odkrycia nanosond było naprawdę nikłe, wolał więc opóźnić zakończenie prowadzonej operacji, niż zlekceważyć prośbę wzburzonego przyjaciela. Przyczyną irytacji wielkiego admirała nie mogła być bowiem jakaś błahostka, tylko coś, co jego samego zapewne też rozwścieczy albo nawet zaboli. Nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości, kładąc dłoń na panelu skanera przy włączaniu kajuty Farlanda.

Wewnątrz panował przyjemny, kojący półmrok. Panele ścienne jarzyły się, zamiast świecić, i tylko nad stolikiem ustawionym pomiędzy dwoma głębokimi fotelami było naprawdę jasno. Na szklistym blacie, za którym siedział Theodoreginald, Rutta dostrzegł znajomy smukły kształt.

– Siadaj!

Wściekłość jeszcze nie wyparowała; nawet kieliszek pełen starej whisky, który przed momentem powędrował do ust Farlanda, nie zdołał jej okiełznać.

Franciscollin opadł ciężko na jedyne wolne siedzisko. Wielki admirał pochylił się w tym czasie, zdjął szeroką zatyczkę karafki i ustawivszy przed przyjacielem unoszący się kilka milimetrów nad blatem stożkowaty kieliszek, napełnił go po brzegi.

– Nie trzeba – mruknął generał, zaskoczony tą hojnością.

Znał historię tej butelki i jej zawartości. Przeleżała zamknięta wiele dziesięcioleci od przysięgi aż do dnia, w którym Theodoreginald otrzymał insygnia wielkiego admirała. Karafkę wykonano na specjalne zamówienie jego ojca, a potem napełniono jednym z najszlachetniejszych trunków, jakie można było kupić w tamtym czasie. Druga taka nie znalazłaby się w całym znanym wszechświecie, jednakże ostatnimi czasy wielki admirał sięgał po nią coraz częściej. A poziom bursztynowego płynu opadł już tak nisko, że jeszcze dwie, trzy kolejki i...

– Nie gadaj, pij – wycharczał Farland.

Rutta sięgnął po kieliszek z wyraźnym ociąganiem.

– Ostatnią kolejką miałeś oblać awans – powiedział. – *Ten* awans.

Theodoreginald zaśmiał się szyderczo.

– Nie będzie żadnego awansu.

Generał odstawił pełny kieliszek.

– Wiesz coś, o czym ja nie wiem?

– Owszem. – Wielki admirał pochylił się raz jeszcze. Nalał sobie szczerze, z meniskiem. – Nie chcesz pić, twoja strata.

– Wypiję – zapewnił go Rutta – ale najpierw powiedz mi, kto i czym doprowadził cię do tego stanu.

Farland wyprostował się w fotelu. Dziwnie, a nawet śmiesznie wyglądał z karafką w jednej dłoni i grzybkowatym korkiem w drugiej. Jak jakiś starodawny król albo cesarz zasiadający na tronie z najważniejszymi insygniami władzy.

– Rozmawiałem przed chwilą z tą durną szmatą – rzucił tak ochryplym głosem, jakby przez ostatnią godzinę darł się wniebogłosem.

– Z jaką znowu durną szmatą?

Theodoreginałd posłał mu naprawdę ponure spojrzenie.

– Z Modo.

– I?

– Po ostatniej odprawie coś mi nie dawało spokoju. Nie umiałem sprecyzować, o co chodzi, ale czułem, że coś jest nie tak. Znasz to uczucie, na pewno znasz... – Gdy Rutta przytaknął, dodał jeszcze: – W końcu dotarło do mnie, czego nie wiemy o tych jej skurwykłońskich nanosondach...

Generała ogarnęło zaniepokojenie.

– No więc? – ponaglił przyjaciela.

– Wystrzelimy je w trybie pościgowym, w tych wydrażonych rdzeniach, które rozpadną się przed uderzeniem w cel, uwalniając ładunki, czymkolwiek tam one są. Nanosondy zainfekują zewnętrzny pancierz uszkodzonych t'iru i polecą na nich gdzieś w pizdu, a potem wrócą tą samą drogą do któregoś z atakowanych właśnie systemów, dobrze mówię?

– Tak to ma wyglądać – przyznał Franciscollin.

– Super. A teraz powiedz mi, jak je znajdziemy i odzyskamy?

– No... – Rutta zamilkł.

Farland miał rację. Jeśli nanosonda znajdzie się w systemie zaatakowanym przez t'iru, to już w nim zostanie, ponieważ nie dysponuje własnym napędem. Z tego, co mówiła Modo, cała idea niewykrywalności polegała na wyeliminowaniu wszelkich źródeł promieniowania i całej elektroniki, żeby żaden skaner nie mógł jej namierzyć. A bez komputerów i reaktora nie da się wykonać skoku ani w podprzestrzeń, ani tym bardziej w nadprzestrzeń. Siłą rzeczy taka nanosonda nie powinna mieć też nadajnika, a gdyby nawet wyposażono ją w jakiś sprzęt do komunikacji, to na pewno nie kwantowy, gdyż do transmisji międzysystemowych potrzebne są niewyobrażalne ilości energii, a sygnał nadany z tradycyjnej radiostacji dotrze do sąsiednich systemów dopiero po kilku latach, gdy będą one... dawno podbite.

– No właśnie. – Wielki admirał odstawił w końcu karafkę, zatkał ją i sięgnął

po kieliszek.

Rutta powtórzył machinalnie jego gest, unosząc pełne szkło na wysokość oczu. Wypił do dna, podobnie jak jego przyjaciel, miał bowiem pewność, co zaraz usłyszy.

– Zapytałeś ją o to, jak rozumiem?

– Tak. Wprost. Bez owijania w bawełnę. Nawet się nie skrzywiła, kiedy mnie informowała, że zna tylko jeden sposób na odzyskanie sond.

– Musimy polecieć do takiego systemu zaraz po ataku i sprawdzić na miejscu, czy któraś nie wróciła – podsumował generał.

– Tak. Będziemy wysyłali eskadry zwiadu do każdego systemu, jaki zaatakują Obcy, dopóki nie namierzemy tego kurwirtualnego gówna! – Farland walnął pięścią w blat, aż karafka podskoczyła. – Będziemy tak latać do skutku. Jeśli trzeba, nawet przez wiele miesięcy.

– To szaleństwo. – Rutta kręcił głową. – Możemy zaskoczyć ma'lahn przy pierwszym wypadzie, może przy dwóch pierwszych, ale najpóźniej po trzecim locie zrozumieją, co robimy, obstawią strefy skoku i zacznie się regularna jatka.

– Owszem. Co gorsza, ona doskonale o tym wie. Od samego początku to planowała – kontynuował wielki admirał. – Wiesz, co mi powiedziała? „To podwójnie dobre rozwiązanie, ponieważ zwiąże siły wroga i dodatkowo opóźni jego postępy”. Rozumiesz? Za kilka dni otrzymamy pierwszą dostawę nowych detektorów, jedyne go sprzętu, jakim podobno da się wykryć obecność tych hybryd. Wiesz, ile ich przyjdzie? Trzysta osiemdziesiąt, a to dopiero pierwsza z kilku podobnych dostaw. Te skurwyklony zamierzają poświęcić połowę trzeciej floty, a może nawet całą. Wiesz, co usłyszałem, kiedy o tym wspomniałem? „To jest wojna” – wyjątkowo dobrze wychodziło mu przedrzeźnianie charakterystycznego głosu Gerdanielle – „a wy macie walczyć i jeśli zajdzie taka potrzeba, ginąć w obronie ludzkości. Skoro to panu nie pasuje, może pan zawsze złożyć rezygnację i odejść. Raz już pan to zrobił, więc to chyba nie problem. Na pana miejsce mam tuzin lepszych kandydatów”...

– Nie mam nic przeciw walce, ale to wygląda raczej na skazywanie ludzi na

pewną śmierć – stwierdził Rutta. – Jak słusznie zauważył Duarte, to nie dwudziesty wiek. Dzisiaj nie wypada posłać ludzi do walki, nie dając im szans na przeżycie. Nawet w czasach wojny domowej obie strony trzy razy kalkulowały ryzyko, zanim doprowadziły do większych bitew.

– Wiem, dlatego zapytałem też, czy mogliby nam podesłać sondy dalekiego zwiadu, które pewnie leżą teraz bezużyteczne w jakichś magazynach. Gdyby zamontować na nich te detektory, moglibyśmy zbadać naprawdę wiele systemów, zanim zaczęlibyśmy tracić ludzi.

– I co ona na to?

– A jak myślisz? Zapytała, czy wiem, ile kosztuje taki sprzęt. Nie wiedziałem, więc mnie oświeciła. No, tani nie jest, to prawda. Potem usłyszałem jeszcze, że wszystkie ocalałe sondy z naszego metasektora przeniesiono już dawno na Rubieże Wewnętrzne, gdzie wykonują równie ważne zadania, poszukując nowych złóż, by korporacje mogły jak najszybciej zastąpić utracone na naszym terytorium kopalnie. A na rozpoczęcie masowej produkcji nowych nie ma teraz najmniejszych szans, ponieważ wszystkie dostępne fundusze i moce przerobowe idą na pancerniki piątej generacji. Na koniec dźgana w pierwiastek szmata zakomunikowała mi wprost, że okręty drugiej generacji i tak wkrótce zostałyby wycofane ze służby, więc lepiej niech się na coś przydadzą, zamiast trafić na złom.

– Sprzętu mi nie żal, ale ludzi tak. Jeśli te nanosondy wrócą za kilka tygodni, nie poniesiemy znaczących strat. Jeśli jednak okres oczekiwania potrwa wiele miesięcy, zbierzemy po dupie jak nigdy. – Pochylił się mocniej w kierunku przyjaciela. – Domyślam się, że nie będziemy mogli nikomu powiedzieć, dlaczego każemy ludziom latać do tych systemów...

– To chyba oczywiste. Nanosondy są nadal supertajne. Jej propagandziści wymyślają już ściemy, którymi będziemy karmić ludzi.

– W takim razie powinieneś jej wyjaśnić, czym to się skończy.

– Myślisz, że sam na to nie wpadłem?

– Jak zbiła ten argument?

– Wyśmiała mnie. Powiedziała, że jeśli ktoś odmówi wykonania rozkazu, zajmie się nim wubecja. Teraz już rozumiesz, dlaczego postanowiłem rozpić flaszkę kariery?

– Rozumiem. – Rutta westchnął ciężko.

– Jakkolwiek potoczą się losy tej wojny, ja już na pewno nie awansuję. Przy takich stratach, jakie poniesiemy, zostanę okrzyknięty największym nieudacznikiem w historii floty Federacji i zaraz po przełomie zastąpiony kimś innym. Pewnie uwalą przy tej okazji cały sztab trójki... – Spojrzał wymownie na przyjaciela. – Myślisz, że Tadam zrobił tę pokazówkę ot, tak sobie? To nie ja jego, ale on mnie niedługo zastąpi. Idę o zakład, że Rada powierzy mu misję uderzenia na bazę Obcych, żeby to on powrócił w chwale jako pogromca najeźdźców, podczas gdy my wszyscy, okryci hańbą i niesławą, zostaniemy cichcem przeniesieni w stan spoczynku, a może nawet zdegradowani. Dlatego właśnie podjąłem ostateczną decyzję. Jutro składam tej skurwykłońskiej jędzy rezygnację.

Nalał znów do pełna, choć tym razem ręka tak mu drżała, że zachlapał blat. Wyjaśniło się, dlaczego jest przekonany, że nadszedł czas na wychylenie ostatniej kolejki. Rutta zaczynał wierzyć, że przyjaciel trafnie zdiagnozował sytuację. W jego sercu wciąż jednak tliła się iskierka buntu. Musiał być jakiś sposób...

– Wiesz co? – rzucił po chwili namysłu, ujmując wiszący nad blatem kieliszek. – Wypiję z tobą, ponieważ też jestem tym wszystkim poirytowany, ale zanim to zrobię, pozwól, że coś powiem. Siedzę naprzeciw człowieka, który ma twarz mojego przyjaciela i mówi jego głosem, ale to jedyne podobieństwa, jakie teraz dostrzegam. – Nie dał sobie przerwać, mimo że Farland spurpurowiał na twarzy i mocno się nadał. – Nie poznaję cię, Theo, naprawdę. Nigdy nie odpuszczałeś, walczyłeś o swoje do samego końca i dlatego zawsze wygrywałeś. Czemu tym razem chcesz oddać przeciwnikowi pole, i to zanim dojdzie do właściwego starcia?

– Bo ta walka, przyjacielu, jeśli jeszcze tego nie zauważyłeś, jest ustawiona.



Żeby wygrać, musiałbym znokautować obu rywali, Obcych i Radę, a na to nie mam najmniejszych szans. Przejrzyj w końcu na oczy, władza potrzebuje kozła ofiarnego, kogoś, kto będzie winny wszelkich dotychczasowych niepowodzeń. Tym razem padło na mnie. Dlatego wolę odejść teraz, zanim mnie do reszty zniszczą. I zanim sam siebie znienawidzę.

– Jeszcze nie przegrałeś – nie ustępował Rutta.

– Nie kpij ze mnie.

– Nie kpię. Wierzę, że wydymamy ich i przy tej okazji.

Farland przymknął na moment oczy.

– Powiem ci to wprost, ponieważ jesteś moim najlepszym przyjacielem. Chcę odejść teraz, zanim będę miał na sumieniu tych wszystkich ludzi, których Modo i jej przydupasy każą mi posłać na pewną śmierć. Przed chwilą zrozumiałem, co musiał czuć Święcki, kiedy zabranialiśmy mu powrotu na Deltę Ulietty. Nie wiem, jak ten człowiek mógł normalnie funkcjonować, mając takie jarzmo na karku. Ja już się załamałem. Najnormalniej w świecie się załamałem. Po godzinie myślenia miałem dość, pojmujesz? Po jednej godzinie. Nie chcę strzelić sobie w łeb ani skończyć w przytułku zaćpany na śmierć. Wolę odejść, zanim mnie do reszty zeszmacą... – Zawahał się nieznacznie. – I póki mam w miarę czyste sumienie.

Tu cię mam, pomyślał Rutta.

– Naprawdę wierzysz, że nie strzelisz sobie w łeb ani nie zapijesz się na śmierć, jeśli zostawisz trzecią w łapach oficera pokroju Tadama albo kogoś, kto bez zastanowienia wykona każdy rozkaz Modo? Spójrz prawdzie w oczy, jesteś jedynym człowiekiem, który może zapobiec masakrze na niespotykaną skalę, ale tylko pod warunkiem że zostaniesz do samego końca, nawet niesławnego, i zrobisz wszystko, by ocalić jak największą liczbę podwładnych. Wtedy i tylko wtedy będziesz mógł odejść z sumieniem na tyle czystym, by następnego dnia nie strzelić sobie w łeb.

Wielki admirał zaśmiał się chrapliwie i głośno.

– Piękna mowa motywacyjna. Problem jednak w tym, że ja stary wyga jestem

i na mnie tanie sztuczki oratorskie nie działają.

Mimo wszystko język jego ciała mówił co innego niż słowa, Rutta widział to doskonale. Ziarno zwątpienia zostało zasiane, teraz potrzebował już tylko czasu...

– Powiedziałem, co naprawdę myślę – zachnął się, udając irytację. – Skoro Święcki dał radę, ty też możesz. Weź z niego przykład.

– Czyli co, mam polecieć na Ziemię i strzelić Modo w ten jej zakuty łeb? – zakpił wielki admirał, przypominając niesławny epizod z przeszłości majora.

– Nie. Masz zacząć myśleć nieszablonowo. Patrzyć na problemy pod innym kątem, z szerszej perspektywy. Szukać rozwiązań, na które nikt inny by nie wpadł. Jak Święcki tam na Ulietcie, kiedy pakował ludzi na rdzeniowiec.

– Nie jestem pieprzonym Święckim. – Przygaszony Farland zbył go machnięciem ręki.

– Nie jesteś, ale masz go w tej walce po swojej stronie. I mnie też.

– To naprawdę pocieszające, tyle że niewiele zmienia.

– Serio? – Tym razem to Rutta się zaśmiał.

Z każdą wymianą zdań jego przyjaciel wydawał się coraz spokojniejszy. Z oczu zamiast wściekłości wyzierał mu teraz smutek.

– Serio. Zapominasz o jednym: ktoś znajdujący się o wiele wyżej w łańcuchu pokarmowym skazał nas na pożarcie. Wyrok wydano. Koniec, kropka. Nic tego nie zmieni.

– Chyba że znokautujesz obu rywali. To twoje własne słowa.

Wielki admirał pokręcił głową.

– Franciscollin, jesteś jednym z najlepszych strategów, jakich ma admiralicja, lubię cię i szanuję jak nikogo innego, ale masz też jedną, za to bardzo poważną wadę: daleko ci jeszcze do boskości. A tylko siła wyższa mogłaby mnie teraz uratować.

– Niekoniecznie.

– Wystarczy ty i Święcki?

– Może tak, może nie. Nie dowiesz się, jeśli nie pozwolisz nam spróbować.

Daj nam czas – poprosił. – Myślę, że mocno się zdziwisz, czego możemy wspólnie dokonać. Ten numer z więźniami? Wpadłbyś na coś podobnego?

– Raczej nie – przyznał Farland.

– Już dwa razy staliśmy pod ścianą – naciskał generał, widząc, że przełamuje ostatnią linię oporu przyjaciela. – I dwukrotnie udało nam się uniknąć najgorszego. My opracowaliśmy plan genialnej zasadzki, Święcki wpadł na pomysł, który pozwoli ocalić kolejne tysiące twoich podwładnych. Pomysł, co jeszcze możemy razem zrobić... – Zamilkł, jakby coś go tknęło. – Te wypadki do zaatakowanych systemów. Chyba wiem, jak zminimalizować straty.

– Mów!

– Plan Modo zakłada, że musimy wysłać okręty do każdego systemu zaatakowanego przez Obcych, ale nie określa, kiedy dokładnie mamy to zrobić.

– Zgadza się – przyznał ostrożnie wielki admirał.

– Zatem możesz je wysłać w różnym czasie, raz niemal natychmiast, a kiedy indziej nawet po paru dniach.

– Teoretycznie tak. – Na twarzy Farlanda pojawił się blady uśmiech zrozumienia.

– Jeśli ma'lahn będą chcieli przeciwdziałać tym wypadom... – zaczął generał.

– A niech mnie. Święta racja. Zmusimy ich do siedzenia w każdym systemie przez kilka dni, dzięki czemu spadnie, i to znacznie, częstotliwość nowych ataków.

– Jeżeli nie mają w zanadrzu czegoś, o czym jeszcze nie wiemy... – Rutta znów zmarszczył brwi. – Czekać, mam lepszy pomysł.

– Lepszy?

– Może zamiast wysłać te eskadry dopiero po ataku, umieścimy je tam wcześniej.

Wielki admirał spojrzał na niego dziwnie.

– Nie odjechałeś za bardzo, przyjacielu?

– Daj mi dokończyć – poprosił wciąż zamyślony generał. – Jeśli umieścimy okręty w systemach, które mają zostać zaatakowane, ale z dala od strefy

skoku... Wiesz, jaki zasięg mają te nowe detektory?

– Nie mam pojęcia. – Wzruszył ramionami Farland.

– To się dowiedz. Być może problem nie jest wcale taki duży, jak nam się wydaje. Przyjmijmy, że widma tych nanosond da się wykryć z odległości... – Rutta przeliczył coś w myślach – ...godziny świetlnej. Niech będzie nawet pół godziny. Jeśli rozmieścimy nasze eskadry w takiej odległości od studni grawitacyjnej, namierzemy cel, zanim t'iru pokonają jedną czwartą dystansu dzielącego je od naszych pozycji. Fale ze strefy skoku dotrą do sensorów w trzydzieści minut, wróg w tym samym czasie może pokonać co najwyżej dystans sześciu do ośmiu minut świetlnych.

– Zgadza się – poparł go wielki admirał.

Największa zanotowana do tej pory prędkość okrętu Obcych wynosiła niespełna dwadzieścia siedem setnych świetlnej, ale to nie musiał być szczyt ich możliwości.

– Gdyby t'iru wyciągały nawet połowę świetlnej, w co nie wierzę, i tak zlokalizowalibyśmy położenie nanosond na kwadrans przed potencjalnym kontaktem bojowym. A to daje nam więcej czasu na ucieczkę w podprzestrzeń, niż potrzebujemy.

– Ale... co z ich podjęciem?

– Podejmiemy je później, wracając do tego systemu na pewniaka.

Farland nie odzywał się przez dłuższą chwilę.

– Może faktycznie nie wszystko jeszcze stracone – rzucił, rozważywszy tę kwestię kilkakrotnie. – Boję się jednak, że jeśli Modo naprawdę zagięła na mnie parol, storpeduje każdą próbę ratowania sytuacji. Admiralicja uzna nasz plan za zbyt ryzykowny albo niedopracowany. Wystarczy, że ktoś stwierdzi, iż zasięg detektorów jest znacznie mniejszy.

– T'iru i tak pozostaną wolniejsze od prędkości światła – zbył to Rutta. – Możemy czekać na nie dziesięć minut świetlnych od strefy skoku albo pięć, a i tak nas nie sięgną.

– Pola siłowe.

Dwa słowa. Tylko dwa słowa wystarczyły, by w kajucie zapanowała grobowa cisza. Farland trafił w sedno. Nanosondy nie zdołają się oddzielić od liniowców, jeśli te będą leciały z aktywnymi tarczami. A Obcy z pewnością nie pojawią się w żadnym systemie bez takiej osłony. I zdejmą ją tylko wtedy, gdy poczują się bezpieczni.

– Myślę, że i temu moglibyśmy jakoś zaradzić – zaczął ostrożnie generał.

– Jak?

– Widziałeś nagrania ze Smauga? Te korporacyjne?

– Tak. Biedne skurwyklony.

– Może i biedne, ale na pewno nie głupie. Pamiętasz manewr, który gazowce wykonały, gdy w systemie pojawiły się t'iru?

– Tak. Jednostki się rozdzieliły, by dać choć jednej szansę ucieczki.

– Możemy czekać na t'iru w głębi systemu. Jak wspomniałem, pełną godzinę, dwie albo nawet cztery godziny od strefy skoku. To powinno dać wrogowi poczucie bezpieczeństwa, więc niedługo po wyjściu z nadprzestrzeni liniowce dezaktywują osłony, skoro od ewentualnego kontaktu będą nas dzielić całe dni lotu.

– To prawdopodobne.

– A my, kiedy się zbliżą, wykonamy ten sam manewr co gazowce. Musimy tylko zadbać, by w każdej eskadrze było co najmniej sześć, a jeszcze lepiej – osiem jednostek. Jeśli t'iru pogonią za częścią z nich, pozostałe okręty polecą w kierunku studni grawitacyjnych, symulując ucieczkę. Tym sposobem dotrzemy bez strat w pobliże strefy skoku i będziemy mogli wykryć, a nawet podebrać nanosondy.

– A skoro dysponujemy napędami podprzestrzennymi, nie musimy się też obawiać, że któryś z naszych okrętów zostanie doścignięty – dodał w zamyśleniu wielki admirał.

Był tak rozemocjonowany, że gdyby nie lekka chryпка, nie dałoby się poznać, że dopiero co przeszedł poważne załamanie.

– Otóż to.

– Miejmy nadzieję, że Xiao nie storpeduje tego planu. – Farland spoważniał w momencie. – Brak strat mocno mu nabruździ.

Może nie był już zdesperowany, ale wciąż podchodził do tej sytuacji z dużą dozą pesymizmu, czemu Rutta specjalnie się nie dziwił. Udało mu się zawrócić przyjaciela z kursu na zderzenie, lecz to była dopiero połowa sukcesu.

– Wiem – rzucił celowo weselszym tonem – i dlatego trzeba będzie uzmysłwić Radzie, że przy zastosowaniu proponowanej przez Modo taktyki Obcy dość szybko zrozumieją, że czegoś szukamy. A wtedy mogą się też domyślić, że podłożyliśmy im jakieś świństwo, i zaczną bardzo starannie skanować wszystkie t'iru, wypatrując każdej anomalii, jak ty kazałeś to zrobić po ostatniej odprawie.

Farland roześmiał się w głos.

– Jesteś niesamowity, przyjacielu.

– Przesada. Po prostu skorzystałem z własnej rady i zacząłem myśleć nieszablonowo.

Skłamał. Nie improwizował aż tak bardzo, jak mogło się wydawać. Zmodyfikował jeden z wcześniej opracowanych pomysłów dotyczących nowych metod opóźniania marszu Obcych, polegający na rozmieszczaniu dużych eskadr na bardzo dalekich orbitach wielu systemów. Wystarczyło wprowadzić kilka niewielkich zmian i dopasować ten plan do nowych potrzeb...

Farland odchylił się na oparcie fotela i spojrzał Rutcie prosto w oczy.

– Chyba powinienem ci podziękować... Miałeś rację. Nie tylko w tej sprawie... – Wskazał hologram. – Gdybym oszedł już jutro... – Przyłożył dwa wyprostowane palce do skroni.

– Wiem.

# SZEŚĆ

*System Rwanda, Sektor Sierra,*

*08.11.2354*

– Skąd je wytrzasnąłeś? – zapytała szczerze zdumiona Ninadine, dotykając palcem lśniącej pomarańczowej powierzchni skafandra.

– Wydrukowałem – odpowiedział rozbawiony Adamadeus.

– Ale jak...

Były szef ekipy terraformującej wyjął z kieszeni niewielki czarny prostopadłościan ozdobiony logo jego firmy.

– Nie rozstaję się z nim ani na chwilę. Kiedy człowiek trafia do oddalonej placówki, zwłaszcza na początkowych etapach prac, wiele może się zdarzyć. Dlatego każdemu nadzorcy i brygadziście przekazujemy taki oto niezbędnik. – Wskazał pojemnik wielkości klucza kodowego, ale kilkakrotnie grubszy i zrobiony z jakiegoś matowego metalu. – To bank danych, mam w nim plany najniezbędniejszego sprzętu i wyposażenia. Zdziwiłabyś się, co jeszcze mogę nam wydrukować.

– Nadajnik? – zapytała z nadzieją w głosie.

Mina trochę mu zrzędała.

– Owszem, ale na pewno nie takiej mocy, o jakiej myślisz. Tego typu sprzęt nie był nam nigdy potrzebny. Komunikowaliśmy się z bazami za pomocą sieci lokalnych przekaźników, mogę więc co najwyżej wydrukować komunikatory w podstawowej konfiguracji, takie, jakie nam zostawiło wojsko. Domyślam się

jednak, że ty raczej potrzebujesz wzmacniaczy i wież sygnałowych... – Zawiesił głos.

Truffaut westchnęła przeciągle.

– Szkoda.

– Przykro mi – powiedział Gruner. – Naprawdę.

– Po co ci te skafandry? – zmieniła temat, by przerwać niezręczną ciszę.

– Po naszym pierwszym i zarazem ostatnim wypadzie na zewnątrz pomyślałem, że warto mieć pod ręką coś, co nie rozpuści się na tutejszym deszczu, jak zwykle kombinezony.

– Myślisz o kolejnych wypadach?

– Owszem – przyznał. – Warto byłoby odwiedzić sąsiednie obiekty. To podniosłoby ludzi na duchu. Dzor-Dzor mówił mi ostatnio...

– Kto? – zdziwiła się.

– Lucas.

– Aha. – Uśmiechnęła się. – Georgeorge.

– Ten sam. Rozmawiałem z nim parę godzin temu. Ich habitat jest o wiele mniejszy, wykończyli więc wszystko już dwa dni temu i ludziom z nudów zaczyna lekko odbijać. Myślę, że taka gospodarska wizyta pomogłaby mu w zaprowadzeniu porządku.

– Niegłupi pomysł – uznała Ninadine.

Bardziej od możliwości wykazania się autorytetem cieszyła ją perspektywa wydostania się z kopuły. Jej też zaczynała mocno doskwierać rutynowa beczynność i przebywanie w zamknięciu. Planeta nie należała wprawdzie do najprzyjaźniejszych, lecz w takim skafandrze nie powinno im nic grozić – jeśli Adamadeus wiedział, co robi.

– Zatem mogę zapowiedzieć naszą wizytę w jedyńce?

– Oczywiście.

– Jeszcze dzisiaj czy czekamy do...

– Dzisiaj – wpadła mu w słowo. – Nawet zaraz, jeśli to nie problem. – A potem zajrzemy na kwadrans do piątki.



\* \* \*

Zarządzany przez Lucasa dwupoziomowy kompleks przylegał do skalnej ściany. Nie była to więc pełna kopuła, tylko jej połówka, ozdobiona wielką trójdzielną opuszczaną bramą z plastali. A przynajmniej tak to wyglądało z zewnątrz. Gdy Adamadeus i towarzysząca mu Ninadine minęli główne wejście i dostali się do wnętrza jedyńki bocznej, osobową śluzą, zobaczyli, że masywne płyty grodzi to tak naprawdę zwykła zamontowana na stałe poromasa, którą wygładzono od zewnątrz i pomalowano, aby przypominała z daleka metal.

Kto i dlaczego to zrobił, pozostawało tajemnicą, ale jeszcze większe zdumienie Grunera wzbudził fakt, że brama wiedzie donikąd. Wcześniej terraformator był przekonany, że ma do czynienia z zabezpieczonym wylotem jakiejś sztolni, ale gdy znalazł się wewnątrz kopuły, stanął jak wryty. Reszta konstrukcji przypominała najzwyklejszy obiekt mieszkalny. Za pseudogrodzią nie było sztolni prowadzącej pod niewielkim kątem pod ziemię, lecz pomieszczenia gospodarcze i mieszkalne. Takie same jak w jedynce.

Truffaut, nieświadoma jego spostrzeżeń, dopiero po chwili zauważyła, że zrobił się dziwnie markotny i jakby zamyślony. Zagadnięty kilkakrotnie machał tylko ręką, jednakże gdy już odwalili robotę, co zajęło im niecałe pół godziny, i wyszli ponownie na zewnątrz, chwycił Ninadine za rękę, zanim zdążyła przypiąć karabińczyk do linki, którą rozciągnęli pomiędzy oboma habitatami na wypadek, gdyby zaszła potrzeba pokonania tej trasy w trakcie pyłowej zawiei albo zbyt silnych opadów.

– Darujmy sobie wypad do piątki – poprosił. – Chciałbym coś sprawdzić.

– Coś nie tak? – zapytała wprost.

Był zmieszany, może nawet zdenerwowany. Wyczuwała to nie tylko z ruchów, ale i z wymijającego tonu, jakim jej odpowiedział.

– To pewnie nic takiego, ale wolałbym się upewnić.

– Nie możesz choć raz być całkowicie szczerzy? – fuknęła obrażona.

- Nie chcę, żebyś mnie wzięła za durnia albo jeszcze gorzej, za paranoika.
- Dlaczego miałabym cię wziąć za paranoika?
- Dlatego, że to, co powiem, zabrzmii niedorzecznie.
- Przekonajmy się – rzuciła, spoglądając mu prosto w oczy.  
Osłony ich hełmów dzieliło tylko kilka centymetrów.
- Dobrze. Powiem ci, co mi nie pasuje. – Odwrócił się twarzą do elementów z pomalowanej poromasy. – Wiesz, na co patrzysz? – zapytał.
- Na imitację bramy wjazdowej...
- Otóż to. W tym miejscu powinna znajdować się wielka śluza prowadząca prosto do sztolni, a co widziałas wewnątrz?
- Normalne pomieszczenia mieszkalne.
- No właśnie.
- Ale co w tym dziwnego? Flota przystosowuje na szybko, co się da, żeby pomieścić ludzi ewakuowanych z... – omal nie powiedziała prawdy – ...systemów zagrożonych wybuchem supernowej.
- Ty naprawdę nic nie rozumiesz? – jęknął zrezygnowany.
- Nie. Może bym zrozumiała, gdybyś mówił otwarcie, a nie zagadkami.
- Dobrze. Ujmę to tak: kolonie przemysłowe buduje się według konkretnych schematów. Budowla taka jak jedyńka to najzwyczajniejsza w świecie śluza prowadząca do szybu wydobywczego, ze sterowniami, zapleczem technicznym i tak dalej. Nadążasz?
- Tak – odparła lekko poirytowana jego protekcyjnością.
- Wnętrze jedyńki powinno więc wyglądać jak taka właśnie śluza. Pośrodku wielki korytarz biegnący pod niewielkim kątem w głąb ziemi, nad nim sterownia, po bokach pomieszczenia techniczne. Tymczasem sama widziałas, że pod tą kopułą mieści się najzwyczajniejszy habitat.
- Chyba zaczynam rozumieć, o co ci chodzi... – odparła nieporuszona. – Wciąż jednak zapominasz o pewnym szczególe. Flota przystosowywała te obiekty w pośpiechu i dlatego...
- Nie zastanawia cię, czemu zadano sobie tyle trudu, by całkowicie przerobić

wnętrze śluzy, zamiast zaadaptować inny kompleks od początku przeznaczony na habitat? – rzucił wyraźnie poirytowany. – Pomijam już fakt malowania poromasy, by udawała wejście do budowli o innym przeznaczeniu.

Tych argumentów Ninadine nie umiała już zbić.

– Może nie ma takich w okolicy i musieli improwizować... – wymamrotała po chwili.

– I dlatego kazali drukarce wymalować nieistniejącą bramę?

– Błąd oprogramowania? – desperacko szukała logicznego wytłumaczenia.

– Nawet jeśli tak, to nadal nie tłumaczy, dlaczego wnętrze jedyнки nie wygląda jak przerobiona śluza.

Tu także miał całkowitą rację.

– Co sugerujesz? – zapytała lekko zaniepokojona nie tyle faktem odkrycia anomalii, ile reakcją Grunera.

Wskazał majaczące na wschodzie skały i widniejące pomiędzy nimi zabudowania.

– Na moje oko to kopuły habitatów – powiedział. – Chciałbym sprawdzić, jak wyglądają w środku... – Gdy odpięła wolno karabińczyk, dodał stanowczym tonem: – Sam.

– Albo pójdziemy tam razem, albo oboje wracamy – oznajmiła zdecydowanie.

– To może być niebezpieczne... Wolałbym...

– Marnujesz cenny czas. I tlen.

Pokręcił głową w geście rezygnacji. Cofnęli się pod wejście do jedyнки, by podłączyć się do zewnętrznych zaworów natleniacza. Ponieważ czekał ich długi marsz i sporo wysiłku, Gruner naciskał, żeby zabrali ze sobą zapasowe, mniejsze butle, które można było zawiesić na biodrach. Nie bał się, że zgubią drogę. Środkiem wąwozu prowadzącego do sąsiednich kompleksów biegł szkielet linii kolejki magnetycznej, wystarczyło więc trzymać się jego podstawy, na której ustawiano w równych odstępach filary podtrzymujące szynę. Mapniki wbudowane w kombinezony także zostały zaktualizowane, zatem jedynym poważnym problemem będzie zmęczenie. Pokonanie dwóch kilometrów w tak

niekorzystnych warunkach – wiał silny wiatr, a z wiecznie gęstej zasłony chmur mógł w każdej chwili spaść kwaśny deszcz – na pewno da im obojgu w kość. A już zwłaszcza nienawykłej do długotrwałego wysiłku Ninadine. Niestety pozostała głucha na wszystkie prośby, a do gróźb Adamadeus wolał się nie posuwać. W końcu niejako sam zrobił z niej szefową kolonii.

\* \* \*

Dwa kilometry czterdzieści pięć metrów. W normalnych warunkach najwyżej półgodzinny spacer. Na Bezimiennej, jak nazwali na swoje potrzeby miejsce tymczasowego pobytu, ponadpółtoragodzinną przeprawą, wliczając w to kilka całkiem długich postojów, jakich Ninadine potrzebowała, by odzyskać oddech. Adamadeus nie miał zbyt wesołej miny, gdy po raz trzeci poprosiła, by przysiedli na zmoczonych kwaśnym deszczem skałach. Pocieszał się tylko tym, że powrót powinien być łatwiejszy, skoro będą schodzili w dół łagodnego zbocza.

Choć od celu dzieliło ich tylko sto kroków, Gruner wiedział, że do celu dotrą już po zmierzchu. Na Bezimiennej odległa, potrójna gwiazda z rzadka przebijała się przez ławy grubych chmur, lecz dzień mimo wszystko był o wiele jaśniejszy od nocy. Gdy zapadały prawdziwe ciemności, smoliste skały zlewały się z równie czarnym niebem, a mrok stawał się namacalnie wręcz gęsty – takie przynajmniej wrażenie odniosła Ninadine, która z coraz większym trudem powstrzymywała się od rozcierania rękami otaczającej ją atmosfery. Wiedziała, że to niedorzeczność, a jednak czuła przemożną potrzebę ulżenia palącym żywym ogniem nogom. Już dawno pożałowała, że nie pozwoliła Adamadeusowi przyjść tu w pojedynkę.

– Jeszcze chwila – usłyszała w hełmie jego głos.

Mówił bez wysiłku, nie dyszał przy każdym słowie jak ona. Szedł też nadal sprężystym krokiem, jakby wyprawa zupełnie go nie zmęczyła.

– Raczej... wieczność... – wystękała.

– Cóż mogę powiedzieć? W takim razie będzie to najszybsza podróż stąd do wieczności – zażartował, wskakując na kamień, do którego ledwie doczłapała.

Chwyliła za wysuniętą w jej kierunku dłoń i pozwoliła się wciągnąć na podwyższenie. Jej duma skończyła z wycieńczenia na poprzednim odcinku podejścia.

– Spójrz, zostało nam nie więcej niż trzydzieści metrów. – Podetknął jej pod oczy wirtualny mapnik. Tylko on miał w pełni wyposażony skafander. Drukując drugi egzemplarz, oszczędzał na czasie, uznawszy nie bez racji, że jeśli Ninadine wyjdzie z nim na zewnątrz, na pewno nie będzie grała pierwszych skrzypiec. I faktycznie, czuła się teraz jak balast. – Trzydzieści kroków i będziemy u celu.

– Powiedz moim bliskim, że ich kochałam – wymamrotała, opierając dłonie o kolana.

– Sama im to powiesz. – Poklepał ją po ramieniu, sprawdzając jednocześnie wskazania manometru.

Idąc pod górę, wyczerpali tlen ze wszystkich czterech dodatkowych zbiorników. Po tym, jak Ninadine zużyła życiodajny gaz, Adamadeus oddał jej resztę swojego zapasu, ponieważ oddychał o wiele lżej i wolniej, a wiedział, że powrót w dół z boczka będzie znacznie łatwiejszy. Systemy skafandrów na razie wskazywały, że mają co najmniej dziesięciminutową rezerwę, choć ta kurczyła się nieustannie głównie za sprawą dyszącej jak smok Ninadine.

Na razie nie skorzystali ze szperaczy. Podczas marszu trzymali się blisko siebie, wystarczały im więc wszyte w materiał diody pozycyjne. Teraz jednak Adamadeus sięgnął do pasa. Włączył najpierw dwa reflektory hełmu, potem użył ręcznej, znacznie potężniejszej latarki. Szerokie snopy światła omiotły spód obłej szarej ściany. Była już tak blisko...

Ninadine zmusiła się do ostatniego wysiłku. Teraz, na równym, twardym podłożu, szło jej się znacznie łatwiej, jakby ołowiane podeszwy odpadły wreszcie od butów. Jednakże nogi nadal bolały ją tak samo, tyle że oddychało jej się lżej.

Najbliższa śluzka znajdowała się dziesięć metrów od nich. Widzieli zarys

bocznej ściany i wystającego z niej panelu przyłączeń. Gruner, który szedł przodem, zatrzymał się nagle i zaklął siarczyście, nie zwracając uwagi na to, że ma otwarte łącze. Ninadine nie zapytała, co go tak zirytowało, wolała sama zobaczyć. Doczłapawszy do miejsca, w którym stał, jęknęła.

Tam, gdzie powinien znajdować się właz, była taka sama ściana z wymalowanym na niej pokrętem awaryjnym i bulajem. Ninadine została przy niej, gdy Adamadeus ruszył dalej – poruszał się teraz zbyt szybko, aby mogła dotrzymać mu kroku.

– Mów do mnie – poprosiła, kiedy zniknął za wybrzuszeniem kopuły.

– Druga śluza wygląda identycznie – zameldował po chwili, a gdy nawet blask jego reflektorów został połknięty przez mrok, usłyszała go po raz kolejny.

– Tu też to samo. – Wrócił z przeciwnej strony, zanim zdążyła odsapnąć. – Cztery wejścia, wszystkie zamurowane na głucho. Przyjrzałem się jednemu uważnie. To nie wstawione zaślepki, tylko lity element. – Poświecił na krawędź niby-wejścia. – Teraz już mi wierzysz, że coś tu jest nie tak?

Przytaknęła.

– Dlaczego flota zadaje sobie tyle trudu, by budować habitaty, do których nie da się wejść, a upakuje ludzi w imitacjach śluz?

– Też chciałbym to wiedzieć – odparł, przyglądając się mapnikowi. – Trzydzieści metrów stąd jest jeszcze jeden budynek. – Wskazał gdzieś na prawo.

– Poczekaj tutaj, sprawdzę, jak tam wygląda sytuacja.

– Wracaj jak najszybciej – poprosiła.

Zapaliła wszystkie światła, w jakie był wyposażony jej skafander, ale i tak czuła się nieswojo pośród smolistych, wypalonych kwasem skał.

– Dobrze – obiecał.

– I mów do mnie. Cały czas, jeśli możesz.

Wybuchnął śmiechem.

– To mi zajmie tylko chwilę, ale dobrze, będę się meldował.

Nie kłamał. Wrócił nawet szybciej, niż się spodziewała. I tak jak obiecał, odzywał się do niej co jakiś czas.

– To samo. Dwa wejścia, oba namalowane na litej poromasie. Coś tu naprawdę jest nie tak.

– Tylko co? – zapytała, nie kryjąc rosnącej obawy.

– Jest wyłącznie jeden sposób, żeby to sprawdzić – stwierdził.

– Jaki?

– Musimy się włamać do panelu sterowania którejś z przemysłowych drukarek. – Adamadeus nie odrywał wzroku od mapnika.

– To przecież nielegalne – jęknęła wystraszona Ninadine. – Jeśli nas złapią...

– Najbliższa działająca drukarka znajduje się osiem kilometrów stąd, w tej dolinie na północnym zachodzie. – Spojrzał w noc, jakby spodziewał się zobaczyć coś prócz ciemności. – Na piechotę tam nie dotrę, nawet z podwójnym zapasem tlenu... – Przeniósł spojrzenie na panel złączy, one także okazały się jedną wielką mistyfikacją. – Przepraszam, co powiedziałaś?

– To nielegalne – powtórzyła.

– Wiem.

– Jeśli nas złapią...

– O to się nie martw – rzucił nadal zamyślony. – Znam ten sprzęt jak własną kieszeń. Wejdę i wyjdę, nie zostawiając śladu. Najpierw jednak muszę znaleźć sposób, jak pokonać te osiem kilometrów.

# SIEDEM

*Pas Sturgeona,*

*10.11.2354*

Święcki stał na mostku niszczyciela – chyba najmniej uszkodzonej jednostki swego konwoju – i przyglądał się kopułom najwyższej części kolonii karnej, z której nie tak dawno został zabrany, by pomóc Rutcie w rozpracowaniu Bogów.

Pierwszy raz spoglądał z tej perspektywy na kopalnie w Pasie Sturgeona. Przywieziono go tu w pełnej stazie, a gdy odlatywał, był zbyt przerażony i obolały wielogodzinnym „pożegnaniem”, by mieć ochotę na coś więcej niż skulenie się w koi i sen.

Kolonia zarządzana przez Draccosa nie różniła się zbyt wiele od innych instalacji przemysłowych, dzięki którym ludzie wydobywali rzadkie pierwiastki w podobnych do tego polach asteroid. Wydawała się tylko nieco mniejsza niż zwykłe kopalnie, ponieważ bloki więzienne ulokowano nie na powierzchni, lecz głęboko w trzewiach kilkunastokilometrowego ułamka zniszczonej jakimś kataklizmem pozasystemowej planety – jeżeli było to kiedyś pełnoprawne ciało niebieskie, a nie zwykłe resztki pozostałe po wykonaniu Wielkiego Planu.

Niszczyciel, podobnie jak towarzyszące mu transportowce, które przed kilkoma godzinami dołączyły do jednostki Święckiego, zmniejszał od kilku minut prędkość, wchodząc równocześnie w ruch wirowy, by wylądować na obracającej się wokół dłuższej osi asteroidzie.



Wrota wielkiego hangaru w najniższej kopule otwierały się właśnie, odsłaniając przepastne, rozświetlone mrowiem świateł pozycyjnych lądowisko, na którym siadały zazwyczaj niewielkie frachtowce dowożące nowych więźniów bądź zaopatrzenie. Urobek odbierano bezpośrednio z szybów wydobywczych znajdujących się na kilkunastu sąsiednich asteroidach. Tutaj załatwiano wyłącznie sprawy administracyjne.

Im mniejszy dystans dzielił okręt od lądowiska kolonii karnej, tym większy niepokój czuł Święcki. Powrót na miejsce kaźni, ponowne zetknięcie się twarzą w twarz z oprawcami, spojrzenie w oczy kanalii, która zgotowała mu to piekło – przeżywał wszystko znacznie boleśniej, niż mógłby przypuszczać. Zaczynał się nawet zastanawiać, czy dobrze zrobił, zgłaszając się do tej misji na ochotnika. Zaśmiał się w duchu. Jeśli nie ja, to kto? – pomyślał niewesoło.

Rutta miał rację: tylko człowiek, który był kiedyś jednym z więźniów, mógł liczyć na szybkie odwalenie tej roboty. Wbrew pozorom Henrynanowi brakowało pewności siebie, a im dłużej zastanawiał się nad tym wszystkim, tym więcej potencjalnych przeszkód i mielizn zauważał.

Federacja była nie mniejszym niż Obcy wrogiem tych ludzi, a może nawet większym. Pułkownik Draccos dbał o to, by ziarno zła tkwiące w każdym ze skazanych wykiełkowało po latach tortur, przeistaczając się w niedająca się wykorzenić nienawiść do systemu, który nie pozwalał skazańcowi uciec przed karą nawet w śmierć zadaną własną ręką.

Święcki miał więc nadzieję, że osadzeni zrozumieją, iż oferuje im przede wszystkim szansę definitywnego wymknięcia się z rąk tego sadysty. Pamiętał bowiem doskonale, co sam był gotów poświęcić, by nie musieć przeżywać kolejnych dni w tym piekle. Problem w tym, że Draccos stosował w przeszłości różne chwytaki, przez które przekonanie więźniów, że to nie kolejna zmyłka, może być żmudnym procesem. Na szczęście Henrynan miał plan. Dobry plan.

Z tą myślą brnął zdecydowanym krokiem w głąb znajomego krętego korytarza. Za nim maszerowało sześciu przybocznych, dwóch czarnych i czterech mundurowych. Prowadzący ich potwornie spocony przewodnik co

chwile zerkał nerwowo przez ramię. Nie potrzebowali go, ale Henryan nie protestował, gdy przydzielono mu tego chudego jak tyczka strażnika. Zawahał się dopiero u celu, gdy poczuł znajomy zaduch i zobaczył wartownika strzegącego drzwi gabinetu Draccosa. Kości zostały jednak rzucone – nie mógł zawrócić w ostatnim momencie, choć miał na to ogromną ochotę. Przymknął więc oczy, odliczył w myślach od pięciu do zera i wkroczył do gabinetu komendanta kolonii tak sprężystym krokiem, na jaki było go stać.

Wkroczył i zdębiał zaraz za progiem.

Za biurkiem siedział... ktoś inny. Szczupły, smagły mężczyzna z wyłupiastymi oczami i wielkim nochalem. Mimo powierzchownego podobieństwa na pewno nie był to pułkownik Marconrad Draccos. Dowodziły tego choćby kapitańskie insygnia zdobiące napierśnik srebrnego pancerza.

– Czemuż to zawdzięczamy tę niespodziewaną wizytę? – zapytał oficer gwardii, uśmiechając się bezczelnie.

Święcki nie odpowiedział. Po pierwsze rozpoznał ten głos. Po drugie dotarło do niego, że plan wymaga modyfikacji. Machnął więc ręką, nie oglądając się, i poczekał na cichy syk, z jakim drzwi zamknęły się przed nosem wypchniętego na korytarz przewodnika. Zostali sami. Szcherzący się wciąż gwardzista siedzący za biurkiem komendanta kolonii, on i dwaj sierżanci.

– Wstaniesz sam czy wolisz, żeby cię podnoszono z podłogi? – rzucił Henryan, rozglądając się po zagraconym gabinecie.

– Radziłbym liczyć się ze słowami! – burknął gniewnie kapitan, ale uśmiezek szybko spelzł z jego twarzy.

Święcki westchnął, jakby ta odpowiedź bardzo go rozczarowała.

– Chłopaki, w tym posrebrzanym sedesie utkwiał po szyję kawałek gwardyjskiego gówna, które nie wie albo nie rozumie, że starszego stopniem wita się obowiązkowym salutem. Spuśćcie... wodę, proszę, może dzięki temu choć trochę oprzytomnieje.

Facet z wielkim nosem zerwał się z fotela. Wyglądał na równie zaskoczonego jak rozwścieczonego. Skurwyklony służące pod Draccosem od tak dawna miały

się za nietykalnych, że uwierzyły w swoją wyższość. Pora pokazać panu kapitanowi, gdzie jego miejsce.

Dwaj masywnie zbudowani sierżanci minęli Henryana, odkładając broń do magnetycznych kabur. Wybrał ich osobiście spośród członków załogi *Cervantesa*, wiedział bowiem, że po akcji na Ulietcie skoczyliby za nim w ogień. Pierwszy lepszy żołnierz mógłby odmówić wykonania tego polecenia, ponieważ spuszczenie wpierdolu oficerowi gwardii, nawet symbolicznego, wiązało się ze złamaniem co najmniej pięciu punktów regulaminu. Gdyby to łąjno zdecydowało się na złożenie raportu, wszyscy trzej beknęliby przed sądem polowym. Święcki miał jednak pewność, że nosaty nie piśnie słówkiem.

Inna sprawa, że nawet major nie miał prawa wydać takiego rozkazu. Brak szacunku wobec wyższego stopniem oficera nie był wystarczającym powodem do pobicia człowieka, w dodatku także oficera, nawet jeśli służył w pogardzanej powszechnie gwardii. Pas Sturgeona różnił się jednak od reszty świata. Tu nie rządziło prawo, tylko strach. Henryan był więc pewien, że najhardziejszego z nietykalnych do dzisiaj strażników, którym dano nieograniczoną władzę nad więźniami, łatwiej będzie złamać niż najsłabszego z osadzonych.

Poza tym jego plan faktycznie wymagał modyfikacji. Musiał improwizować.

Wystarczyły dwa ciosy, by niepróbujący nawet stawiać oporu nosaty zalał się juchą i padł jak długi. Znęcanie się nad ludźmi, którzy nie mogą oddać ciosu, choćby bardzo chcieli, nie jest zajęciem zbyt wymagającym, nic więc dziwnego, że tutejsi strażnicy strasznie zgnuśniali. Święcki przeszedł nad jęczącym głośno kapitanem i sam opadł ciężko na fotel komendanta.

– Dajcie panu kapitanowi jakąś szmatę, niech zatamuje krew, zanim zaplami tę piękną wykładzinę – rzucił z rozbawieniem, kładąc nogi na skraju blatu antycznego biurka. – I każcie mu podnieść wybity ząb, żeby pan pułkownik nie pośliznął się przypadkiem, jak już wróci.

– Zaflacie mi za fo! – zaseplecił podniesiony do pionu gwardzista.

Henryan skinął głową, nie patrząc nawet w jego kierunku. Młaśnięcie nie było głośne, następujący po nim krzyk – i owszem.

– Do starszego stopniem zwracamy się...? – zapytał, strzepując pyłek z lakierowanego blatu.

– Jeszli myflisz, fe...

Kolejne skinienie. Kolejny cios. Kolejny wrzask. Ci chłopcy wiedzieli, jak przyłożyć, żeby bolało najmocniej. Tego ich przecież uczono w wydziale. Tak, dla pewności zabrał ze sobą czarnych. Widok ich mundurów czynił czasami cuda. Pan kapitan jednak, sądząc po jego reakcji, albo był w głębokim szoku, albo zbyt długo przebywał z dala od cywilizacji, w każdym razie chyba zatracił instynkt samozachowawczy.

Nadszedł czas, by zmienić ton tej rozmowy.

– Pozwoli pan, kapitanie, że coś panu wytłumaczę – podjął Święcki, gdy jęki i złorzeczenia nosatego ścichły na tyle, by mógł się odezwać, nie podnosząc głosu. – Jest pan dla mnie tym, kim ja byłem dla pana, kiedy tu trafiłem. Czyli zerem, niczym. Nie nikim, ale właśnie niczym. Pan i pańscy podwładni dopuściliście się szeregu odrażających zbrodni na przetrzymywanych tu więźniach. Szczegółowy raport na ten temat trafił już do pionu prawnego admiralicji, radziłbym więc, aby spakował pan w najbliższym czasie najpotrzebniejsze rzeczy i czekał cierpliwie na rychłą wizytę ludzi w czerni. Nie trafił pan wcześniej do pancierza tylko dlatego, że mamy wojnę do wygrania. Przez to spuszczenie w kiblu takich gówien jak pan i pański nieobecny przełożony musiało ustąpić pierwszeństwa nieco ważniejszym działaniom. Proszę się jednak nie martwić, wydział pamięta o panu i cokolwiek się wydarzy, na pewno nie zapomni. Powiedzmy, że otrzymał pan dzisiaj niewielką zaliczkę na poczet przyszłej kary, której wykonanie może ulec przyśpieszeniu, jeśli zamelduję wielkiemu admirałowi Farlandowi o pańskiej wyraźnej niechęci do współpracy. Zrozumiano? – Dopiero teraz przeniósł wzrok na chwiejącego się kapitana.

– Fak jeft – wymamrotał tamten.

Emanująca z niego buta wyparowała w jednej chwili. Tacy jak on byli mocni w gębie i w kupie, i to wyłącznie wobec bezbronnych więźniów, lecz znali realia

tej kolonii wystarczająco dobrze, by wiedzieć, co ich czeka, jeśli ktoś wyciągnie na światło dzienne choćby promil tego, co tutaj wyrabiali. A Święcki mógł to zrobić. Mógł wszystkich ich posłać na samo dno piekła, które z taką pieczołowitością stworzyli.

– Gdzie pułkownik Draccos?

Kapitan przytknął do złamanego nosa podaną mu jednorazową chusteczkę.

– Kilka dni temu gdzieś polesiał.

– Gdzie?

– Nie wiem. Nie mógł nam takich szeczy.

– Kiedy wraca?

– Za dwa dni.

Ciekawe, pomyślał Henryan. To chyba nie przypadek. Draccos zniknął z kolonii w najbardziej dogodnym dla siebie momencie, zupełnie jakby ktoś go uprzedził o moim przybyciu. O tym jednak, że przylecę tu szybciej, wiedziało tylko parę osób. Farland, Rutta, może jeszcze ktoś w sztabie trzeciego metasektora, no i pani kanclerz Modo, która musiała autoryzować zmianę planów. Czyżby pan pułkownik miał aż tak dobre wtyki? Nie, to musi być jednak przypadek, uznał po zastanowieniu Święcki. Taki unik nie jest w jego stylu. Poza tym lepiej, że go tu nie ma. Z nim nie dałoby się pogrywać aż tak ostro jak z tą miernotą. A przecież nic nie wpłynie bardziej motywująco na osadzonych niż widok obitej mordy znienawidzonego oprawcy.

– Zastępuje go pan, kapitanie?

– Fak.

– Skoro tak, nakaże pan natychmiastowe przerwanie prac we wszystkich szybach i ściągnie tutaj każdego osadzonego, jaki odbywa u was wyrok. Więźniowie mają się stawić w hangarze numer trzy. Tylko on jest wystarczająco duży, by pomieścić ich wszystkich.

– Fak jeft.

Święcki spojrział na niego z politowaniem.

– Nie zapomniał pan o czymś?

Jeden zamarkowany ruch czarnego wystarczył, by gwardzista wtulił głowę w ramiona, jakby chciał się ukryć w zakrwawionym mocno pancerzu. Henryan spojrział na własną wyprostowaną dłoń, a potem przeniósł wzrok na gwardzistę, nie przestając się przy tym przyjaźnie uśmiechać.

– Fak jest, fanie majosze! – Nosaty przełożył przesiąkniętą krwią chusteczkę do lewej ręki, by zasałutować przepisowo.

\* \* \*

Zebranie wszystkich osadzonych w jednym miejscu zajęło sporo czasu. Więźniowie pracowali w sztolniach oddalonych nawet o kilkadziesiąt minut lotu wahadłowcem, a że trzeba ich było jeszcze ściągnąć z przodków i innych stanowisk, Święcki założył co najmniej trzy godziny na przygotowania. Hangar wybrał nieprzypadkowo, obawiał się bowiem, że będzie potrzebował czegoś więcej niż słów, aby przekonać najbardziej opornych. A nic tak nie przemówi do tłamszonej latami tortur wyobraźni jak widok okrętu, który może wyrwać więźniów z matni. Był on niczym wizja nieskończonej przestrzeni wolnej od sługusów i systemu kar Draccosa.

Henryan czekał na pokładzie niszczyciela, obserwując przebieg przygotowań z mostka. Chciał wejść w najodpowiedniejszym momencie i w najlepszym stylu. W kolonii karnej wszystko było reżyserowane, pułkownik często dopuszczał się prowokacji. Dawał któremuś z osadzonych cień nadziei, a potem odbierał w najbardziej brutalny sposób, pokazując, że jego ofiara nie ma najmniejszych szans na odmianę losu. Aranżowane awarie pozwalające na ucieczkę czy też fałszywe rozkazy przeniesienia do kolonii o lżejszym rygorze były ulubionymi żartami Draccosa i jego przydupasów. Dlatego właśnie Henryan obawiał się, że niejeden osadzony może podejść do bajecznej oferty admiralicji z dużą rezerwą. Nikt przecież nie był w stanie zaręczyć, że po wejściu na pokład okrętu ochotnicy nie ujrzą na wbudowanych w pancerze wyświetlaczach uśmiechniętego od ucha do ucha komendanta i nie usłyszą, że bardzo się na nich

zawiódł, a ich zdrada może zostać zmaszana wyłącznie najokrutniejszą z kar.

Draccos uwielbiał znęcać się nad ludźmi. Zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Może właśnie dlatego zniknął z kolonii. Zrejterował, by Święcki nie mógł upokorzyć go publicznie. Plan zakładał bowiem pokazanie więźniom, że ich kat nie jest bogiem i jak wszyscy ludzie odpowie kiedyś za popełnione zbrodnie. Jeśli to rzeczywiście był unik, pułkownik postąpił nader sprytnie, ale i tak nie zdołał odebrać przeciwnikowi inicjatywy. Pobity przez wubeków kapitan, którego opatrywano właśnie w ambulatorium pokładowym, powinien być wystarczającym dowodem prawdomówności Henryana. A jeśli czas pozwoli, osadzeni usłyszą wystarczająco wiele na temat Draccosa, by ten już na zawsze został w ich oczach strącony z piedestału.

– Są już wszyscy, sir – zameldował komandor porucznik Bonelli, współdowódca niszczyciela.

Wyrwany z zamyślenia major omiół wzrokiem ekran pokazujący pogrążony w półmroku hangar. Osadzonych zebrano na wprost otwartego głównego luku okrętu, z którego szeroki trap opadał aż do poziomu naprędce skleconego podwyższenia i ustawionej na nim mównicy. Więźniów ustawiono jak na apelu, po dwudziestu pięciu w rzędzie, by każdy z nich dobrze widział i słyszał przemawiającego oficera, który wyjątkowo nie będzie miał postury ani twarzy pułkownika Draccosa.

– W takim razie czas na nas – zdecydował Święcki, zrywając się na równe nogi. – Ściągnijcie mi tu tego pajaca z wielkim nosem – rozkazał, kierując się do windy. – Bez niego nie mogę wyjść do ludzi.

Niszczyciel nie był wielkim okrętem, tak więc czarni przywlekli pobitego kapitana w niecałą minutę. Automed nastawił mu już złamany nos i zatamował krwawienie, ale zgodnie z żądaniem Henryana nie założył opatrunków. Osadzeni mieli zobaczyć podbite, lekko opuchnięte oko, zaschniętą krew na wąsach i przy odrobinie szczęścia także szczerbę po wybitej dwójce – monstrualne wyświetlacze tym razem będą przedstawiały coś więcej niż tylko twarz przemawiającego.

Zewnętrzny właz pozostał otwarty od chwili lądowania, zatem Świącki oraz towarzyszący mu czarni, którzy prowadzili gwardzistę, szybkim krokiem minęli służę i zeszli po trapie na rzęsiście oświetloną scenę. Gdy stanęli przy mównicy, włączono holokamery, rzucając obraz na oba wielkie ekrany. Nie sposób było powiedzieć, czy widok skatowanego kapitana wywarł na osadzonych takie wrażenie jak na strażnikach. Hełmy więźniów nie miały przezroczystych wizjerów, a zablokowane serwomotory nie pozwalały ludziom na żaden ruch, tak więc Henryan musiał zadowolić się przekonaniem, że on sam byłby w podobnej sytuacji zachwycony.

Dał znak, by aktywowano komunikatory osadzonych i wyłączono blokady pancerzy. Niech poczują namiastkę swobody, niech wiedzą, że to nie wystąpienie Draccosa.

– Będę mówił krótko – rzucił do mikrofonu. – Część z was powinna mnie pamiętać. Nazywam się... siedem dwa jeden. Siedziałem tu z wami całe trzy lata. Kapitan... – odwrócił się do stojącego obok gwardzisty, którego pokiereszowaną twarz widać było teraz na dużym zbliżeniu – ...Nochal na pewno doskonale mnie pamięta. Zanim pozwolił mi przejść przez tę gródź – wskazał bramę prowadzącą na sąsiednie lądowisko – on i jego przydupas katowali mnie przez kilka godzin. Kilkakrotnie nawet symulowali egzekucję, mimo że formalnie nie byłem już więźniem...

Zamilkł, słysząc cichy sygnał oznaczający, że któryś z osadzonych chce coś powiedzieć. Tego nie miał w planie, lecz niedopuszczenie do głosu jednego z ludzi, których zamierzał przekonać do swoich racji, mogłoby zostać bardzo źle odebrane. Mimo wszystko się zawahał, zawieszając na moment palec nad wirtualnym klawiszem połączenia. A jeśli to prowokacja mająca na celu pomieszenie mu szyków? Jeden dwa pięć. Ktoś ze starszych stażem. Choć wyteżał pamięć, nie przypominał sobie człowieka noszącego ten numer. Trudno – uznał w duchu – powiedziałaś A, musisz powiedzieć też B...

Zdalnie włączył nadajnik pancerza wyrywnego osadzonego.

– Co znaczy ta linia? – Zniekształcony ochraniaczem głos był nienaturalnie



drżący i chrapliwy.

Henryan spojrział w prawo. Linia, którą kazał wcześniej namalować, wyszła szeroka i nierówna. Przebiegała dwa kroki od skraju formacji, a wiodły od niej wyraźne ślady stóp, ponieważ jeden z wykonujących polecenie strażników wdepnął na koniec w farbę.

– Doszedłbym i do tego, gdybyś pozwolił mi dokończyć, przyjacielu. Każdy, kto przekroczy tę linię, poleci ze mną na...

Jego słowa zagłuszył chrzęst wprawionego w ruch metalu. Kilkanaście sekund później ponad tysiąc mężczyzn tłoczyło się między białą linią a ścianą hangaru.

# OSIEM

*System Ulietta, Sektor Zebra,*

*14.11.2354*

Fitz zaczął żałować, że nie pomyślał o zabraniu do jaskiń choćby skromnej części zapasów alkoholu, które zgromadzono w wieży zarządu. Choć pijał rzadko i nie zdarzyło mu się jeszcze nigdy porządnie uchlać, to z największą ochotą osuszyłby teraz całą butelkę, ale czegoś zycznego, a nie tego syfu...

Spojrzał z odrazą na mętnawą, cuchnącą obrzydliwie ciecz, którą ukrywający się w jaskiniach górnicy pędzili w kilku zhakowanych dyspenserach. Na samą myśl, że mógłby wlać tę trutkę do gardła, robiło mu się niedobrze. Odstawił darowany mu z dobrego serca termos. Nie, z dwojga złego wolał poszukać zapomnienia w automedzie. Prochy serwowane przez zrobotyzowanego lekarza były nie mniej zabójcze dla organizmu, lecz przynajmniej nie zostawiały paskudnego posmaku w ustach. I nie rzygało się po nich całymi godzinami.

Miał to szczęście w nieszczęściu, że jeden z automatów medycznych stał w sąsiednim „gabiniecie”. Wystarczyło przejść kilka kroków, wpisać odpowiednią komendę, by ominąć zabezpieczenia, i... Nie, najpierw trzeba odwalić smutny obowiązek. Oliwerner zerknął na wyświetlacz, na którym za chwilę miał się pojawić Brin.

Miejmy to już za sobą, pomyślał, biorąc się w garść.

Zakręcił starannie termos, po czym rzucił go w kąt za posłanie, jednakże niewiele to pomogło – raz uwolnionego kwaśnego odoru bimbru nie zdoła

usunąć z boksu, i to jeszcze przez długi czas.

Z zewnątrz dobiegł odgłos szybkich kroków, moment później ktoś zapukał do prowizorycznych drzwi.

– Wejść – powiedział Fitz i wyprostował plecy.

Cieszył się, że nie musi się gnieździć w kilkudziesięcioosobowych przedziałach, jak zdecydowana większość ocalonych. W tym krótkim czasie, jaki miał do dyspozycji, i tak zdołał dokonać cudu, przygotowując prymitywne schrony dla niemal ośmiu tysięcy osób. Nie chciał nawet myśleć, co by było, gdyby Święckiemu nie udało się ewakuować niedobitków.

Paulisses, który zdążył zająć miejsce naprzeciw niego, wydawał się skupiony bardziej niż zwykle. Również cuchnął alkoholem, ewidentnie jedynym osiągalnym w jaskiniach destylatem. Milczeli obaj dłuższą chwilę, jakby żaden nie wiedział, od czego zacząć. W końcu Oliwerner westchnął ciężko.

– Miejmy to już za sobą – poprosił przez nienaturalnie ściśnięte gardło.

Brin skinął głową. Powoli, jakby ten nieznaczny ruch powodował nieznośny ból karku.

– Dobrze. Co wymyśliłeś? – zapytał.

– Nic – odparł zgodnie z prawdą Oliwerner, po czym, zauważywszy zdziwienie w oczach swego zastępcy, dodał: – Może ujmę to inaczej... Dzisiaj, zaraz po tej rozmowie, ustąpię ze stanowiska. Przekażę całą władzę w twoje ręce.

– Nie możesz... – szepnął Paulisses.

– Muszę. Mówiłem to już sto razy, ale powtórzę: nie zrobię czegoś takiego. Wolę stanąć po drugiej stronie.

Spuścił głowę, wyrzucając sobie w duchu, że jednak nie sięgnął po zawartość termosu, jak jego rozmówca.

– Czegoś takiego? – wydusił z siebie Brin po dłuższej chwili milczenia, gdy już cała twarz nabiegła mu krwią. – Czyli czego? Ja nie mówię o celowym pozbyciu się najsłabszych, tylko o próbie uratowania tylu ludzi, ilu zdołamy. Spójrz prawdzie w oczy, mieliśmy tu spędzić kilka dni, a tymczasem mija trzeci

tydzień od ewakuacji. I co? I nic. Nie wrócili i nie wrócą po nas.

– Tego nie wiemy – zaproponował Fitz.

– Czego nie wiemy? Że admiralicja nie zaryzykuje utraty wielu okrętów i służących na nich ludzi dla ratowania garstki kolonistów, o których nie wiadomo nawet, czy przeżyli? Zastanów się... Obcy nie odlecieli, jak przewidywaliśmy. Zostali, cały czas trzymają nas w szachu. Nie możemy nosa wyściubić z tych jaskiń. Nawet jeśli Święcki zdołał dokonać kolejnego cudu i przyleciał na Uliette z nowym konwojem, to albo został zmuszony do odwrotu w otwartej przestrzeni, albo zginął w strefie skoku. Tak się przedstawia sytuacja. A my musimy sobie radzić z nową rzeczywistością. Jeżeli nic nie zrobimy, zginą nie tylko ci, dla których za jakiś czas zabraknie jedzenia, ale też spora część z tych, którzy mieliby szansę na przetrwanie. Twój wybór tak naprawdę polega na podjęciu decyzji, czy pozwolimy ludziom na wzajemne wyrzwanie się, czy raczej podejmiemy działania, by zapobiec tej tragedii...

– ...skazując przy okazji na śmierć ponad sześć tysięcy mężczyzn i kobiet, którym obiecałem ratunek – dokończył podniesionym głosem Oliwerner. – Podjąłem już decyzję. Ustąpię. Nie będę ci przeszkadzał. Nie pisnę słowem do samego końca. Rób, co uważasz za stosowne, ale beze mnie.

– Nie chcesz nawet posłuchać, jak chcę to załatwić?

– Wolałbym tego nie wiedzieć.

– Myślisz, że mnie się to podoba? Myślisz, że nie czuję się równie podle jak ty? Tylko że na mnie ciąży znalezienie rozwiązania. I chyba wpadłem na całkiem humanitarny sposób. Dzięki niemu...

– Powiedziałem: rób, co uważasz za stosowne, ale beze mnie – przerwał mu Fitz. – Nie chcę wiedzieć, na czym polega twój plan. Pozwól mi dożyć swoich dni w błogiej nieświadomości.

– Sam siebie oszukujesz – warknął rozeźlony Brin. – Uważasz, że ustąpienie ze stanowiska spowoduje, że nagle o wszystkim zapomnisz? Bezczywność cię dobieje. Co dzień będziesz się staczał coraz niżej. Twój upadek dokona się na oczach tych wszystkich, których obiecałeś chronić. Jak sądzisz, co ludzie sobie

pomyślą, widząc cię w takim stanie? – Zamilkł, by ostatnie słowa w pełni dotarły do rozmówcy.

Brin nie przesadzał. Upadek obecnego zarządcy z pewnością będzie miał bardzo destrukcyjny wpływ na wszystkich. Górnicy byli biednymi, prostymi ludźmi, ale na pewno nie głupcami. Widząc, że Fitz nie wytrzymał, sami dość szybko dojdą do wniosku, że to już koniec, a wtedy... Wtedy dojdzie do najgorszego, i to znacznie szybciej, niż się obawiali.

– Masz rację – przyznał Oliwerner po chwili zastanowienia. – Nie powinienem odbierać im wiary i nadziei. Mimo to zdania nie zmienię.

– Nie możesz być za, a nawet przeciw.

– Wiem, dlatego wybieram trzecią drogę. Powiemy ludziom, że wychodzę, by sprawdzić, co z kolonią.

– Chcesz się przed nimi ukrywać? – Brin nie krył zdumienia. – W tych jaskiniach?

– Nie. Wezmę sterowiec, którego Obcy nie zdołali wykryć, i naprawdę spróbuję dotrzeć do kolonii.

– Przecież to samobójstwo.

– Pozostanie tutaj też jest formą odebrania sobie życia, tylko rozłożoną w czasie.

Zapadło milczenie. Obaj mieli rację i obaj o tym wiedzieli. Zdawali też sobie sprawę, że nie ma lepszego wyjścia, przynajmniej z punktu widzenia obecnego zarządcy.

– Dobrze – stwierdził w końcu Paulisses. – A więc zrzucasz to brzemie na moje barki. Niech tak będzie. Wezmę na siebie pełną odpowiedzialność za... – zawahał się, nie wiedząc, jakich słów użyć, ale w końcu je znalazł – ...za rozwiązanie tego kryzysu, ale proszę o jedno. Wysłuchaj mnie do końca. Pozwól sobie przedstawić szczegóły mojego planu.

– Nie. Nie chcę znać żadnych szczegółów.

– A jeśli coś spieprzyłem? Jeśli w moich założeniach jest jakiś błąd, który zamiast załatwić sprawę, doprowadzi do pogorszenia sytuacji? Jakie będziesz

miał o mnie zdanie, jeśli wszystko spieprzę...? – Zamilkł ponownie. – No tak. Trawione przez strzygorogi skwarki nie myślą – dokończył raczej z zawiścią niż z ironią.

Fitz słuchał tych połajanek ze spuszczoną głową. Tak, Brin znowu miał absolutną rację. Oliwerner wiedział, że cedując na niego odpowiedzialność, robi zastępcy ogromne świństwo, z drugiej strony jednak chciało mu się rzygać na samą myśl, że ma uczestniczyć w planowaniu zabicia ponad sześciu tysięcy ludzi, którzy zeszli pod ziemię, ponieważ obiecał im ratunek. Dlatego właśnie postanowił usunąć się ze sceny, odejść, zanim zostanie zmuszony do wybrania „mniejszego” zła. Dość już miał słuchania, że ci ludzie dawno by nie żyli, zginąwszy podczas bombardowania kolonii, w związku z czym tak naprawdę nie odbierze im niczego, gdyż zdążyli to stracić w chwili, kiedy odleciał stąd ostatni transportowiec. Paulisses używał tego argumentu coraz częściej, ponieważ znał jego siłę i skuteczność i wiedział, że to jedna z najbardziej oczywistych prawd. Nie rozumiał tylko, że jego praktyczne podejście do kwestii życia i śmierci może się wydawać szokujące. Że wybór mniejszego zła także jest złem.

Ciszę przerwały hałasy dochodzące z zewnątrz. Ktoś zbliżał się do boksów, pokrzykując głośno. Brin i Fitz wymienili zdziwione spojrzenia, gdy w progu stanął zziązany wartownik.

– Mamy problem – rzucił. – Spory problem...

Gdy wyszli na zewnątrz, sami się o tym przekonali. Usłyszeli dziwne brzęczenie, jakby ktoś rozjuszył stado os. Z tym że na Delcie nigdy nie było ziemskich owadów ani niczego, co by je przypominało. Coraz głośniejszy dźwięk dobiegał z dołu, od strony wielkiej sali, z której można było przejść do sektorów mieszkalnych i obu tuneli ewakuacyjnych.

Stanąwszy na skalnym występie, Fitz zobaczył tłoczących się kilka metrów niżej ludzi. Tłum wypełniał szczelnie przestrzeń, a jego gniew rósł z każdą chwilą.

– Tam. – Wartownik wskazał otyłego mężczyznę w brudnym kombinezonie technika, który stojąc na głazie i żywo gestykułując, przemawiał do kolonistów.

– Kto to jest? – zapytał Oliwerner, kiedy ruszyli w tamtym kierunku.

– Niejaki Draper, imienia nie znam – wyjaśniał drepczący u jego boku wartownik, jeden z wybrańców Brina. – Twierdzi, że poszedł za ludźmi z ostatniej zmiany...

– Dokąd?

Wymowny ruch brodą pokazujący sklepienie jaskini wystarczył za odpowiedź.

– Był na zewnątrz?

– Tak mówi.

Fitz rzucił Paulissesowi gniewne spojrzenie.

– Mieliście pilnować...

– Akurat – burknął Brin, nie pozwalając mu dokończyć. – W tych jaskiniach siedzi osiem tysięcy osób znajdujących się na skraju załamania nerwowego. Od dawna próbowałem ci wbić do łba, że prędzej czy później dojdzie do czegoś takiego. Jeśli ten gnój nie kłamie, będziemy mieli cholerne szczęście, jeśli...

Zamilkł, słysząc głośny ryk. Zgromadzeni w jaskini koloniści dostrzegli ich w końcu. Draper, drąc się wniebogłosy, wskazywał zbliżających się zarządców.

– Dlaczego trzymacie nas w tej ciemnicy, przekłeci kłamcy?! – wrzeszczał, gdy podchodzili do naturalnej ambony, z której dyżurni ogłaszali zazwyczaj oficjalne komunikaty. – Gnijemy w tych jaskiniach, chociaż na zewnątrz panują normalne warunki! Supernowa nie zniszczyła życia na powierzchni! Promieniowanie nie odbiega od normy! – Wykrzykując, szarpał za dozymetr przyczepiony do kieszeni kombinezону.

Nawet z daleka było widać, że okienko świeci uspokajającą zielenią.

Fitz zerknął ukradkiem na swojego zastępcę. Draper mógł przemknąć między nielicznymi patrolami, z dotarciem na grań też nie powinien mieć wielkiego problemu, skoro inni ludzie pokonywali tę drogę co najmniej dwa razy dziennie, ale skąd wziął dozymetr? Wszelki sprzęt, który mógłby posłużyć do podważenia oficjalnie obowiązującej wersji, został ukryty przed kolonistami właśnie dlatego, by nie doszło do podobnej sytuacji.

– Przyjaciele... – Oliwerner stanął obok rozwścieczonego demaskatora. Nie patrzył na niego, lecz na podekscytowany tłum u swoich stóp. – Zaraz wam wszystko wyjaśnię. To zwykłe nieporozumienie... – Musiał przerwać i poczekać, aż wzburzeni robotnicy przestaną buczeć. – Nikt was nie oszukuje. Siedzimy tutaj tak długo, ponieważ supernowa jeszcze nie wybuchła.

– Pieprzenie! – Draper dźgnął go palcem w ramię, jednakże wartownicy, których wokół wciąż przybywało, nadal nie reagowali, zupełnie jakby ktoś kazał im się trzymać z dala od tej rozróby. – Przez całe dwa dni lataliście jak powaleni, pokazując wykresy z tych tam, sejmografów, które miały świadczyć o rozmiarach kataklizmu, jaki dotknął Deltę. Co, przywidziało nam się czy to też było nieporozumienie?

Fitz spojrział na podekscytowanego technika z politowaniem, a potem przeniósł wzrok na nie mniej nakręcony tłum.

– Kto z tu obecnych zna się na astrofizyce na tyle, by wyjaśnić panu Draperowi i całej reszcie, jak przebiega i ile trwa wybuch supernowej tej klasy? – zapytał, podnosząc głos, by jak najwięcej spośród zebranych go usłyszało. Zgodnie z jego przewidywaniami nie było lasu uniesionych rąk. Ci ludzie wiedzieli, jak rozmontować najbardziej skomplikowaną wiertnię, ale praw rządzących kosmosem nie ogarniali. – Te dwie doby to była próbka, zaledwie przedsmak tego, co nadejdzie w najbliższym czasie – kontynuował tak pewnym tonem, na jaki było go stać. – Będziemy mieli cholerne szczęście, jeśli przeżyjemy główną erupcję tutaj, pod kilometrami litej skały, ale każdy, powtarzam, każdy, kogo ten kataklizm zastanie na powierzchni, wyparuje w okamgnieniu.

– Sranie w banie! – zawołał ktoś z dołu. – Od tamtego przedsmaku minęło już wiele dni! Flota mogłaby nas trzy razy ewakuować z Deltę, gdybyś gadał prawdę!

Oliwerner musiał skontrolować ostro i szybko, jeśli nie chciał utracić kontroli.

– Flota jest jak nasza korporacja – odparł bez zastanowienia dzięki temu, że dziesiątki razy układał w myślach wszelkie możliwe pytania i odpowiedzi. – Nie



zaryzykuje utraty okrętów wartych miliardy kredytów, by ratować nasze dupy, jeśli istnieje choć cień prawdopodobieństwa, że konwój znajdzie się w polu rażenia supernowej. Dlatego będziemy tutaj siedzieli dopóty, dopóki jajogłowi nie ogłoszą, że gwiazda tego systemu ustabilizowała się na dłużej... jeżeli rzecz jasna wcześniej nie pieprznie ostatecznie.

Buczenie przycichło. Ludzie wciąż byli wkurzeni, ale przynajmniej przestali się już wzajemnie nakręcać. Draper także miał mniej pewną minę, lecz wciąż nie odpuszczał.

– Kłamiesz, żeby nas uspokoić! – warknął.

– Zapewniam cię, że mówię, jak jest. – Fitz uśmiechnął się do niego przyjaźnie, rozkładając ręce, jakby pokazywał, że nie ma niczego do ukrycia.

– Mówisz, ale nie wszystko! – zawołał znowu ktoś z dołu.

– Dlaczego obcięliście racje żywnościowe?! – zawtórowała mu jakaś kobieta.

– I to o połowę! Mój dobry znajomy pracował przy przenoszeniu zapasów z kolonii. Mówił, że mamy w magazynach góry żarcia. Wystarczy go na całe miesiące! – dokończyła, podnosząc jeszcze bardziej głos.

– I co pan na to, panie prawdomówny? – zakpił Draper, uśmiechając się krzywo.

– Nic. Podjęliśmy tę decyzję po długich dyskusjach, na wniosek kolegi. – Wskazał głową stojącego za nim milczącego Brina. – Mamy tony żywności, to prawda, ale i was są tutaj tysiące. Dlatego musieliśmy zadbać o to, by w razie przedłużenia okresu oczekiwania na ewakuację o kolejne kilka tygodni nie zabrakło racji żywnościowych.

– Od samego początku wiedzieliście, że będziemy tu siedzieli miesiącami! – zaskrzeczała oskarżycielskim tonem kobieta.

– Nie – zaprzeczył Oliwerner, zerkając gniewnie na zastępcę. Tego właśnie się obawiał, gdy ulegał perswazji. Ludzie zauważyli ich posunięcie, ale go nie zrozumieli i oczywiście zinterpretowali je po swojemu. – Wybraliśmy najbezpieczniejsze rozwiązanie z punktu widzenia całej społeczności. Zrobiliśmy to na wszelki wypadek. Podobne kataklizmy nie są częste, zatem

naukowcy nie wiedzą o nich zbyt wiele i...

– Jak pan jesteś taki astrofizyk, to powiedz, ile jeszcze możemy tu siedzieć? – zapytał kolejny ocalony.

– Nie jestem astrofizykiem, ale w odróżnieniu od was uczestniczyłem w kilku spotkaniach sztabu kryzysowego, gdzie omawiano tę sprawę z fachowcami...

– Konkrety! – przerwał mu bezceremonialnie Draper.

– Konkrety są następujące... – Oliwerner zerknął na wibrujący komunikator. Dobijał się do niego Deanthony Harlan, technik, jeden z ludzi obsługujących sejsmografy. – Chwileczkę... – mruknął, decydując się odebrać wiadomość, choć wiedział, że to nie spodoba się zebrany. Spoglądał na hologram tylko przez moment. Na przesłanym mu fragmencie wykresu widać było wyraźnie kilka mocnych wychyleń. Najpierw jedno większe, a potem w równych interwałach dwa mniejsze. Sekwencja ta powtarzała się jeszcze trzykrotnie. – Konkrety są następujące – powtórzył, spoglądając ponownie na tłum. – Udacie się teraz prosto do magazynów aprowizacyjnych numer jeden i dwa. Gdy tylko je otworzymy, pobierzecie pakiety ewakuacyjne i ruszycie tunelami w kierunku obu lądowisk. – Odwrócił się do zaskoczonego Brina. – Zbierz swoich ludzi, za godzinę pierwsi koloniści mają się znaleźć na powierzchni.

– Czyś ty do reszty zdurniał? – wymamrotał zaskoczony zastępca.

– Nie – odparł z radosnym uśmiechem Oliwerner. – Nie zwariowałem. Święcki wrócił! – Pokazał Paulissesowi wiadomość od Harlana.

Był to umówiony sygnał, który konwój miał przesłać z orbity na godzinę przed rozpoczęciem ewakuacji. Jedyne, jaki ocaleni mogli odebrać, siedząc głęboko pod ziemią bez nadajników i całej reszty elektroniki.

Gdy Fitz schodził z mównicy, czuł tak ogromną ulgę, jakby pozwolono mu odejść sprzed plutonu egzekucyjnego.

# DZIEWIĘĆ

*System Ulietta, Sektor Zebra,*

*14.11.2354*

Końcówce trzeciego skoku towarzyszyło ogromne napięcie. Święcki zdawał sobie sprawę, że ma'lahn mieli wystarczająco dużo czasu, by namierzyć konwój i odkryć jego prawdziwy cel. Wprawdzie korwety zwiadu elektronicznego nie wychwyciły żadnych anomalii w systemach tranzytowych, ale to nie oznaczało, że Obcy nie przekazali dalej informacji o przelocie. Mogli to przecież zrobić już po zniknięciu ludzi w kolejnym tunelu czasoprzestrzennym, by nie zdradzić pozycji ukrytej sondy, bądź też posługiwali się technologiami, o których człowiek wciąż nie miał bladego pojęcia.

Przylot na Uliettę mógł więc zakończyć się powtórką ze Smauga, tyle że tym razem finał nie byłby tak szczęśliwy dla ludzi. Admiralicja nad wyraz chętnie zgodziła się na pośpieszne wysłanie uzupełnień i zastąpienie uszkodzonych jednostek – co samo w sobie było zastanawiające – lecz Henryan nie wątpił, że wróg czyhający przed punktem wyjścia bez trudu sobie poradzi z ośmioma niszczycielami i trzema krążownikami, które osłaniały formację transportowców.

Cudu, jakim było uszkodzenie t'iru podczas ewakuacji tego systemu, nie da się raczej powtórzyć, zatem wszyscy dowódcy pionu nawigacyjnego otrzymali jasny rozkaz. W razie wykrycia liniowców każdy okręt bezzwłocznie rozpocznie przyśpieszoną procedurę skoku w podprzestrzeń. Dwanaście sekund – tyle to potrwa i tyle muszą wytrzymać tarcze czołowe najbliższych i średnich jednostek

floty.

Czy to możliwe? Teoretycznie tak, ale jak będzie w praktyce, pokażą najbliższe minuty, pomyślał Świącki, gdy spowijał go kokon fotela.

Tym razem nie pozostawił nic przypadkowi. Konwój pójdzie w rozsypkę natychmiast po opuszczeniu tunelu czasoprzestrzennego. Okręty włączą silniki pomocnicze kilka sekund przed wynurzeniem się z punktu skoku, by w normalnej, euklidesowej przestrzeni mogły rozpocząć jak najciaśniejszy zwrot. Każda jednostka poleci też innym wektorem. Formacja rozprysnie się w przestrzeni na podobieństwo szczątków po kolizji dwóch asteroid.

Henryan miał nadzieję, że pojedynczy t'iru – wróg nie powinien zaangażować większej liczby liniowców do starcia z tak nieliczną eskadrą – nie zdoła skutecznie ostrzeliwać kilkunastu celów naraz. Symulacje były jednak bezwzględne, gdy w miejscu samotnego przeciwnika podstawił dwa żywe okręty. Jeśli ma'lahn podejda do sprawy z większą ostrożnością, po dwóch sekundach starcia z konwoju zostaną wyłącznie chmury wolno rozpraszającej się plazmy.

Końcowe odliczanie, po nim błyskawiczne, niewyczuwalne zakończenie lotu przez tunel znajdujący się poza czasem i przestrzenią, gdzie prędkość światła nie stanowi nieprzekraczalnej granicy. Kolejne sekundy upływały w tak ślamazarnym tempie, jakby timer wypełniono smołą. Świącki, wysycony adrenaliną po kres wytrzymałości organizmu, miał chwilami wrażenie, że czas się zatrzymuje. Przebiegał wzrokiem kolejne odczyty, a gdy wracał spojrzeniem do czarnych cyferek w prawym górnym rogu wyświetlacza, te wciąż pokazywały tę samą godzinę, minutę i sekundę. Zaczął żałować, że nie ustawił timera na kilka miejsc po przecinku, może wtedy zauważyłby upływ czasu.

Chociaż... jeśli stoję przed wydarzeniem, które zakończy moje życie, wolałbym, żeby spowolnienie było jak największe, pomyślał z przekąsem.

Jeszcze jedna sekunda. I następna. Kontrolki na konsolach stanowiska dowodzenia wciąż błyskały uspokajającą zielenią, mimo że powinny już zmieniać barwę, ponieważ systemy okrętu zdążyły przyjąć i przetworzyć

eksabajty danych napływających z setek czujników. Czwarta sekunda. Nic. Piąta. Nadal nic. Czas wypuścić powietrze z płuc. Szósta, wciąż zielono. Czas się rozluźnić...

Mrowienie w karku ustało, cyferki na wyświetlaczu zaczęły przyśpieszać. W dalszym ciągu nie zmieniały się tak szybko, jak powinny, ale Święcki zauważył pewien postęp. Zaraz jednak skupił całą uwagę na analizie treści przekazywanych raportów.

Miał tę przewagę nad istotami i urządzeniami przebywającymi w głębi systemu, że mógł niemal natychmiast wykryć położenie każdego obiektu orbitującego wokół centralnej gwiazdy, w przeciwieństwie do ma'lahn, którzy – jeśli nadal tutaj byli – mieli się dowiedzieć o jego przybyciu dopiero wtedy, gdy fale świetlne znajdujące się opodal strefy skoku dotrą w głąb układu planetarnego. Mogą więc upłynąć długie minuty, zanim napastnicy znajdujący się na Delcie albo w jej pobliżu zobaczą konwój, skwitował w myślach.

To była pierwsza, lepsza strona medalu. Zła wyglądała tak, że dotarcie do planety zajmie okrętom wojennym około trzech godzin, ponieważ po następnym ciasnym zwrocie rozpocznie się żmudny proces wyhamowywania, przez co przeciwnik będzie miał wystarczająco wiele czasu, aby przygotować się na ich przyjęcie.

Ogrom przestrzeni kosmicznej przerastał ludzkie pojmowanie nawet w tak mikroskopijnej skali, jaką był pojedynczy system gwiazdny, a co dopiero mówić o rozmiarach galaktyk i całego wszechświata.

To wszystko jednak było teraz mało ważne. Liczy się tylko to – pomyślał Henryan – że w pobliżu strefy skoku nie czekają t'iru, a co za tym idzie, flota nie straci podczas tej misji więcej okrętów i ludzi.

Niemniej sukces wciąż stał pod znakiem zapytania. Święcki nie mógł bowiem wiedzieć, czy Obcy nie pojawią się na Ulietcie tuż po nim, a przecież przy przewadze prędkości, jaką dysponowali, potrzebował co najmniej czterogodzinnych forów, by zyskać choćby cień szansy na podjęcie ukrywających się na Delcie kolonistów i wykonanie skoku w podprzestrzeń,

zanim transportowce konwoju znajdą się w polu rażenia ścigających je t'iru.

Tym problemem zamierzał się jednak martwić dopiero wtedy, gdy pozostawione w strefie skoku sondy przekażą informację o przybyciu liniowców wroga. Teraz całą uwagę musiał skupić na ocenie wykrytych już zagrożeń, jakimi były niezidentyfikowane obiekty znajdujące się w pobliżu Delty.

Rejestratory ujawniły do tej pory szesnaście satelitów, które ma'lahn pozostawili na orbicie planety. Czternaście z nich miało bardzo małe rozmiary, nie większe od ziemskich sond komunikacyjnych. Dwa większe także nie mogły się równać z okrętami wojennymi – nawet wahadłowce startujące z lekkich krążowników były od nich masywniejsze – mimo to Święcki wolał nie ryzykować, ponieważ nie znał przeznaczenia tych pojazdów ani ich możliwości bojowych. Wygląd tych maleństw mógł być bardzo mylący, wszystkie więc na wszelki wypadek zostały sklasyfikowane jako zagrożenie piątego, najwyższego stopnia.

Lepiej dmuchać na zimne, uznał Henryan, sprawdzając po raz kolejny, czy korweta zwiadu na pewno zostawiła w strefie skoku nadajniki kwantowe. Potrzebował każdej sekundy przewagi. Nawet te cztery i pół minuty, które oszczędzi dzięki natychmiastowemu ostrzeżeniu o pojawieniu się wroga, może zadecydować o ocaleniu życia wielu dziesiątkom, a może nawet setkom ludzi.

\* \* \*

Od Delty dzieliły ich już tylko dwa miliony kilometrów. Nadajniki pozostawione w strefie nadal milczały, natomiast obiekty znajdujące się na niskiej orbicie planety dawno już zareagowały na pojawienie się konwoju. Rozproszone dotychczas nad kontynentami, sformowały ciasny sferyczny szyk nad jednym z biegunów. Wstępne analizy sugerowały jednoznacznie, że mniejsze satelity są czymś w rodzaju platform bombardujących, które wyposażono w skanery i proste układy napędowe. Ich zadaniem było – tak przynajmniej twierdzili oficerowie wywiadu – ustawiczne przeczesywanie powierzchni planety

i likwidowanie każdego wykrytego śladu bytności człowieka. Dwie większe jednostki dysponowały o wiele lepszym uzbrojeniem – w tym turbolaserem średniej mocy – ale także zorientowanym głównie na niszczenie celów naziemnych. Wszystkie pojazdy Obcych miały też bardzo silne deflektory, co mogło oznaczać, że przygotowano je na ewentualność powrotu ludzi.

– Unieszkodliwienie tego złomu nie powinno nam nastręczyć problemów, komodorze – stwierdził pułkownik Geneville Moorcock, odpowiadający za pion taktyczny współdowódca krążownika, na który przeniósł się chwilowo Świącki.

Sytuacja była niezręczna. Henryan objął stanowisko dowódcy tego konwoju, mimo że na podległych mu jednostkach służyło wielu wyższych stopniem oficerów. Dlatego właśnie poprosił, by pułkownicy i komandorzy, z którymi miał współpracować, zwracali się do niego nie po stopniu, lecz pełnionej funkcji. Miał nadzieję, że dzięki temu zabiegowi formalnemu, wymyślonemu, nawiasem mówiąc, przez Rutkę, uda się uniknąć wielu faux pas.

– Wiem... – odpowiedział po krótkim wahaniu, odwracając fotel, by mieć w polu widzenia podoficerów obsługujących stanowisko łączności. – Przekażcie dowódcom transportowców, że nie będę tolerował żadnych opóźnień. Wszystkie wahadłowce mają się znaleźć w przestrzeni dokładnie o godzinie zero!

– Tak jest!

Konwój zaczął manewr wyhamowywania w ostatnim momencie, by jak najbardziej skrócić czas potrzebny na dotarcie do Delty i uratowanie znajdujących się na niej ludzi. Plan zakładał, że transportowce wejdą na wysoką orbitę planety, z której wypuszczą kolejno wszystkie wahadłowce, same natomiast będą zwalniać dalej i schodzić niżej, by po kilkakrotnym okrążeniu Delty podjąć wracające z ewakuowanymi kolonistami maszyny i błyskawicznie odlecieć w kierunku strefy skoku. Taki wariant pozwalał na skrócenie misji o co najmniej kwadrans.

Świącki zerknął na główny wyświetlacz. Okienka nadajników kwantowych były wciąż puste. Minęła druga z czterech godzin, których potrzebował. Zostało jeszcze sto dziewiętnaście minut, ale dopóki nie skończy się ostatnia z nich, nie

będzie miał całkowitej pewności, że zdoła wykonać powierzone mu zadanie.

Najwyższa pora na wykonanie następnego ruchu.

– Wiadomość dla dowódcy *Stiepantona Kudowkina* – wymienił nazwę niszczyciela, który zaczął właśnie odgrywać kluczową rolę w tej operacji. – Odpalić rdzenie na podane koordynaty w ustalonej kolejności: dwukilogramowy, trzy sekundy przerwy, kilogramowy, dwie sekundy przerwy, kilogramowy, trzy sekundy przerwy. Po dziesięciu sekundach interwału powtórzyć dwukrotnie tę sekwencję.

Obecność platform bombardujących na orbicie oznaczała, że Fitz i jego ludzie nie mogą korzystać z radia ani innych nowoczesnych metod komunikacji, lecz Świątkiemu to nie przeszkadzało. Metoda zaproponowana swego czasu przez szefa pionu naukowego EB była genialna w swej prostocie. Sejsmografy, które zainstalowano w jaskiniach i w sterowni podwodnego reaktora, miały za zadanie nie tylko monitorowanie aktywności militarnej ma'lahn, ale też wychwycenie w odpowiednim momencie wiadomości przesłanej z orbity. Wykresy pokażą prosty kod, którego nie sposób pomylić z niczym innym. Jeśli koloniści żyją, odbiorą wiadomość i za godzinę pierwsi z nich będą czekali przy umówionych lądowiskach, dzięki czemu operacja ewakuacyjna potrwa najkrócej jak to możliwe.

– Dziesięć sekund do odpalenia głowic! – zameldował pułkownik Moorcock.

Henryan zminimalizował ekrany wyświetlaczy, by tę fazę operacji ratunkowej obserwować na żywo przez ustawioną w trybie transparentnym plastal.

– Sześć, pięć, cztery, trzy, dwa, jeden, poszły! – odliczał na głos wachtowy siedzący za stanowiskami dowodzenia.

System zrobił zbliżenie na jeden z niszczycieli osłaniających wciąż formację transportowców. Tarcze chroniące dziobowe wyrzutnie wyłączono na ułamek sekundy, by helonowe cygara mogły opuścić wnętrze kadłuba i pomknąć w kierunku odległego o wiele setek tysięcy kilometrów celu.

– Osiągnęliśmy pełną gotowość bojową, komodorze – poinformował równocześnie pułkownik Moorcock. – Czekamy na rozkaz. – Świątki milczał,



zatem pułkownik, oficer z trzydziestoletnim stażem, odchrząknął znacząco, by zwrócić na siebie uwagę młodego i w swoim mniemaniu niedoświadczonego przełożonego. Kiedy i to nie pomogło, zaczął powtarzać meldunek, nie kryjąc irytacji: – Osiągnęliśmy...

– Słyszałem – przerwał mu Henryan, sięgając do konsoli terminala dowodzenia.

– Tak jest! – Zdezorientowany dowódca pionu taktycznego wymienił znaczące spojrzenia ze stojącym obok zastępcą i zamilkł, czekając na rozwój wydarzeń.

Czasu mieli wciąż sporo. Wróg znajdzie się w polu efektywnego rażenia dopiero za kilkanaście minut, jeżeli Świącki nie nakaże zmiany kursu albo prędkości.

Świącki sprawdził dane na kilku wyświetlaczach, po czym obrócił fotel, by spojrzeć na centralną część mostka i właściwe stanowisko dowodzenia.

– Szkoda byłoby zmarnować taką okazję, nie sądzi pan, pułkowniku? – rzucił.

– Jaką okazję, komodorze? – Moorcock nie zaskoczył od razu.

– Nigdy wcześniej nie natknęliśmy się na sprzęt bojowy Obcych tak małych rozmiarów, a teraz mamy przed sobą aż kilkanaście miniaturowych jednostek. Na pokładzie każdej znajdują się futurystyczne technologie stworzone przez obcą cywilizację, pułkowniku. Ich zbadanie mogłoby rzucić nowe światło na osiągnięcia militarne i techniczne ma'lahn, a może nawet doprowadzić do paru przełomowych odkryć, które posuną nasz rozwój o dekady lub wręcz stulecia. A pan chce je po prostu zniszczyć?

– Decyzja o tym, co zrobimy, należy do pana, komodorze – rzucił wymijająco pułkownik, czyniąc to, co dowódcy niższego stopnia opanowali do perfekcji, czyli przerzucając pełną odpowiedzialność na przełożonego.

– Skoro zgadzamy się w tej kwestii – Świącki odwrócił się ponownie do wciąż przezroczyściego poszycia krążownika – proponuję, abyśmy zneutralizowali i przejęli jak największą część sprzętu wroga. Jeżeli, rzecz jasna, nie zagrozi to pierwotnemu celowi misji – dodał bez wahania. – Jeśli wróg

spróbujcie w jakikolwiek sposób zaatakować transportowce, uderzymy z pełną mocą, jak to było planowane. W każdym innym wypadku podejmiemy próbę przechwycenia tych obiektów. Macie, panowie, trzynaście minut na opracowanie sensownej strategii tej części operacji.

Na mostku panowała przez moment grobowa cisza. Czym innym było zasypanie platform bombardujących gradem pocisków, którego obiekty tej wielkości nie mogły przetrzymać, a czym innym opracowanie strategii pozwalającej na przejęcie choć kilku z nich w stanie względnie nietkniętym.

– Nie słyszeliście komodora? – warknął Moorcock, który pierwszy się otrząsnął.

Wachtowi natychmiast pochyłili się nad terminalami, idąc śladem przełożonych i... samego dowódcy. Świącki przemyślał dobrze sprawę, zanim ją poruszył, miał więc już w głowie wstępny zarys planu. Pozostali oficerowie i wachtowi, zaskoczeni nagłym zwrotem akcji, brali się dopiero do roboty, zatem nic dziwnego, że Henryan ich wyprzedził, przeprowadzając szereg równoczesnych symulacji opracowanego rozwiązania.

– Przyjrzyjcie się tym wersjom roboczym, panowie – rzucił moment później, sprawdzając czas. Do wejścia w pole rażenia zostało jeszcze siedem minut. – Czekam na wasze uwagi.

Pliki z trzema najkorzystniejszymi symulacjami trafiły na terminale pułkownika, jego zastępcy i trzech poruczników odpowiedzialnych za systemy uzbrojenia. Przejrzenie nagrań i ponowne sprawdzenie obliczeń zajęło im tylko kilka chwil. Plan był naprawdę prosty. Henryan nie liczył więc na to, że któryś z pięciu oficerów analizujących jego wyliczenia zaproponuje konstruktywne zmiany, zdziwił się jednak, gdy zerkając ostrożnie przez ramię, zauważył, iż pułkownik pracuje nad czymś zawzięcie, zamiast biernie przyglądać się przesłanym plikom, jak robili to pozostali.

Trzy minuty później sam patrzył z zaciekawieniem na przerobioną, najbardziej obiecującą symulację numer dwanaście. Okazało się, że Moorcock jest biegły nie tylko w zrzucaniu odpowiedzialności na cudze barki. Ten

człowiek zna się na swojej robocie i ma bardzo otwarty umysł, przyznał Święcki w duchu, zapoznając się z naniesionymi poprawkami. Propozycje pułkownika nie zmieniały koncepcji pierwowzoru, lecz ją udoskonalały. Komodor musiał przyznać, że kilka z pozoru minimalnych zmian zrobiło naprawdę dużą różnicę.

– Ktoś jeszcze ma jakieś pomysły? – zapytał, akceptując wszystkie poprawki naniesione przez pułkownika. Nikt się nie odezwał. – W takim razie proszę rozpocząć przygotowania do operacji... – zamilkł, szukając odpowiedniego kryptonimu.

– Może być „Va banque”? – zaproponował Moorcock.

Święcki skinął głową. Tak, za moment zagrają o wszystko.

\* \* \*

Eskadra weszła w pole efektywnego rażenia dwanaście minut po wypuszczeniu pierwszych wahadłowców. Obcy, zajmujący wciąż pozycje obronne nad biegunem Deltą, nie mogli obserwować poczynąń dziesięciu transportowców, chyba że dysponowali dodatkowym sprzętem w pobliskiej przestrzeni, lecz jeśli nawet tak było, nie podjęli żadnych działań, gdy kolejne promy odrywały się od lecących z prędkością dziewięćset osiemdziesięciu kilometrów na sekundę okrętów.

Ma'lahn postąpili roztropnie, ponieważ ludzie działali daleko poza zasięgiem ich laserów i platform bombardujących, a każda próba złamania ciasnego szyku obronnego mogła się zakończyć natychmiastową zagładą jednostki bądź jednostek ruszających do ataku. Jedenaście okrętów wojennych floty Federacji – zgodnie z planem – znajdowało się bowiem dokładnie pomiędzy transportowcami a sferą satelitów.

Święcki zerknął na wyświetlacz, by sprawdzić, czy zgłaszające się co minutę przekaźniki kwantowe wciąż są aktywne. Sygnały nadchodziły systematycznie, zaświadczając, że w strefie skoku panuje idealny spokój. Do tej pory każda z tych niewielkich sond zdążyła już dotrzeć na wyznaczoną pozycję, odległą

o zaledwie ułamki sekund świetlnych od wylotów studni grawitacyjnych, do miejsca, z którego mogła w czasie rzeczywistym odbierać drgania czasoprzestrzeni zwiastujące rychłe przybycie gości. Wyprzedzenie było wprawdzie niewielkie – maksymalnie czteroipółminutowe – ale dla Henryana, który liczył każdą sekundę, oznaczało możliwość podjęcia co najmniej trzystu kolonistów więcej. Dlatego nie wahał się, podejmując ryzyko utraty niezwykle drogiego sprzętu.

Zaklął w myślach, gdy sobie uświadomił, jaki opieprz dostanie, jeśli ma'łahn przylecą za mniej niż... zerknął na główny timer... za mniej niż pół godziny. Tyle czasu jeszcze potrzebował, by pomyślnie zakończyć operację ewakuacyjną i wysłać eskadrę oraz chronione przez nią transportowce w podprzestrzeń.

Zbliżał się najgorętszy moment misji. Jeszcze chwila i wydarzenia zaczną biec dwutorowo. Pierwsze wahadłowce dotrą do przygotowanych w mglistej dolinie lądowisk mniej więcej wtedy, gdy padnie rozkaz rozpoczęcia ataku na sferyczny szyk Obcych. Oby tylko nie nałożyły się na to alarmujące komunikaty napływające ze strefy skoku...

# DZIESIĘĆ

– Zastanawia mnie ich bezczynność.

Rzucone w przestrzeń słowa pułkownika Moorcocka wyrwały Święckiego z niewesołych rozważań.

– Co mogą robić, jeśli nie czekać na nasz kolejny ruch? – odpowiedział na wpuł automatycznie, wciąż błądząc myślami po Delcie i studniach grawitacyjnych.

– Cokolwiek – odparł zwięźle Moorcock. – Od utworzenia szyku obronnego nie zareagowali na żadne z naszych posunięć. Nie próbowali zmienić pozycji, gdy oddzieliliśmy okręty wojenne od transportowców. Nie kontrowali w żaden sposób trzech kolejnych zmian kursu naszej eskadry. Otoczyli się ekranami i siedzą tam, jakby czekali na...

– Tak – wpadł mu w słowo Henryan. – Siedzą tam i czekają na przybycie wezwanych t'iru.

Pułkownik pokręcił głową.

– Na to mogli czekać dwie, trzy godziny temu – stwierdził. – Obecnie nie uratuje ich nawet przybycie wszystkich liniowców, jakimi dysponują ma'lahn, a mimo to...

Faktycznie. Teraz, kiedy Moorcock zwrócił na to uwagę, bezczynność Obcych wydała się komodorowi co najmniej dziwna, a nawet podejrzana. Nic ich nie trzymało nad tym biegunem, mogli spokojnie odlecieć w przestrzeń, ratując się przed zagładą, jaką musiało się zakończyć to starcie z przeważającymi siłami ludzi. Tymczasem ma'lahn czekali bezczynnie, zupełnie jak było na rzeź...

Święcki wzdrygnął się na to porównanie. Akurat w tym konkretnym przypadku to ma'lahn byli rzeźnikami.

– Uważa pan, że to może być pułapka? – zapytał tknięty nagłą myślą.

– Nie wykluczam takiej możliwości – przyznał z typową dla siebie ostrożnością pułkownik.

Henryan zagryzł wargę. Wszystkie okna wyświetlaczy świeciły uspokajającą zielenią. Otaczająca ich przestrzeń i znajdująca się pod nimi powierzchnia planety zostały wielokrotnie przeskanowane, a jednak nie wykryto żadnego odczytu sugerującego obecność ukrytych instalacji czy zamaskowanej broni. Znajdujące się na Delcie lasery, masery czy inne fazery musiałyby mieć naprawdę gigantyczną moc, by sięgnąć celów na tak dalekiej orbicie. Ich aktywacja obudziłaby wszystkie czujniki, i to na wiele sekund, a może nawet minut przed oddaniem pierwszego strzału. Tymczasem pracujące nieprzerwanie rejestratory nie wykrywały niczego niezwykłego, choć przeczesywano nieustannie całe pasmo widma.

Z drugiej strony ludzie mieli do czynienia z Obcymi, z nieznaną cywilizacją, która mogła dysponować technologiami, o jakich federacyjni inżynierowie i producenci sensorów nawet nie śnili... Tyle że jak dotąd nie użyto tych cudów nigdzie indziej, a wróg do tej pory zaatakował przecież dziesiątki systemów gwiazdnych, niszcząc na swojej drodze wszystko, lecz zawsze według jednego wzorca. O co więc mogło chodzić?

Święcki nie znał odpowiedzi na to pytanie, ale na wszelki wypadek postanowił zmienić nieco plany i zaatakować ze znacznie większej odległości, by jego okręty miały dodatkowy czas na umknienie z ewentualnej pułapki.

– Możemy przekonać się o tym tylko w jeden sposób – mruknął, muskając opuszką klawisz komunikatora, by wysłać rozkaz ataku do dowódców pozostałych jednostek.

Kokon jego fotela zamknął się natychmiast. Henryan poczuł znajome szarpnięcie, potem drugie, gdy siłowniki obracały i umieszczały go nad wylotem tunelu ewakuacyjnego, którym – gdy sytuacja stanie się krytyczna – trafi razem

z resztą obsługi mostka do przydziałowych kapsuł ratunkowych i zostanie wystrzelony w przestrzeń najwyżej trzy sekundy po wykryciu śmiertelnego zagrożenia.

Gdyby mógł, zrezygnowałby z tego standardowego środka bezpieczeństwa. Jeśli wróg zwycięży, lepiej będzie zamienić się w chmurę atomów podczas eksplozji uszkodzonego reaktora, niż dryfować długo w próżni, aby ostatecznie trafić w łapy ma'lahn. Nie ulegało bowiem kwestii, że władze Federacji z pewnością nie wyślą tutaj kolejnej ekipy ratunkowej.

A jakie szanse ma zwierzę w rzeźni?

Wzdrygnął się na tę myśl. Tak czy owak nie miał wyjścia. Procedur ratunkowych floty nie dało się obejść. Nawet admirałowie byli ich więźniami. Tak przynajmniej Henryan słyszał od ludzi bywałych, bo sam nie znał wielu admirałów.

Lekka wibracja, którą poczuł pod palcami prawej dłoni, uświadomiła mu, że atak właśnie się rozpoczyna. Rzucane wprost na siatkówkę obrazy miały taką rozdzielczość i jakość, że gdyby nie brak możliwości ruchu, odniósłby wrażenie, iż znów siedzi w normalnej pozycji na stanowisku dowodzenia krążownika.

Plan Henryana polegał na równoczesnym ostrzelaniu ośmiu jednostek przeciwnika. Tylko tyle celów można było namierzyć naraz, nie rozpraszając zbyt wielu niebezpiecznej eskadry (na co wróg bez wątpienia liczył). Po zatwierdzeniu przez komodora ostatniej poprawki otworzono ogień z niemal maksymalnego zasięgu, dając Obcym więcej czasu na obronę, lecz redukując zarazem do absolutnego minimum zagrożenie z ich strony, gdyby dotychczasowa bezczynność okazała się podstępem.

Osiem celów. Osiem niszczycieli ślących w ich stronę mrowie głowic kinetycznych. Krążowniki, zgodnie z zamierzeniem, nie brały udziału w pierwszej fazie ataku. Ich zadaniem – zgodnie z korektą Moorcocka – było położenie ognia zaporowego w razie niespodziewanej kontry, która jednak wciąż nie nadchodziła.

Obcy nadal zachowywali się dziwnie. Wzmocnili tarcze atakowanych

jednostek, prawdopodobnie ustawiając je na maksimum, co i tak nie dawało im żadnych szans w starciu z lawiną rdzeni kinetycznych – oczywiście w sytuacji, gdyby ludziom zależało na zniszczeniu celów. Plan Święckiego zakładał jednak coś zgoła odmiennego. Siedem pojazdów ma'lahn zostało ostrzelanych najzwyczajszą w świecie, pozbawioną głowic amunicją ćwiczebną, która przy tak zmasowanym ostrzale powinna wprawdzie doprowadzić do całkowitego unieszkodliwienia tarcz niewielkich pojazdów, ale na pewno nie była w stanie uszkodzić choćby średnio opancerzonego poszycia. Tylko jeden niszczyciel wystrzelił prawdziwe rdzenie kinetyczne, które miały roznieść cel na strzępy, zrobić wyłom w szyku wroga i otworzyć drogę dla rakiet z ładunkami EMP. Detonacja tych ostatnich w środku sfery, skorelowana z unieszkodliwieniem tarcz siedmiu pozostałych celów, powinna wyłączyć z walki co najmniej połowę sił, którymi ma'lahn dysponowali nad Deltą. Masakry dopełnią kolejne samosterujące głowice, które poszły w przestrzeń pół sekundy po pierwszej salwie, teoretycznie mierząc w pierwotne cele.

Święcki zerknął na okienka transponderów ze strefy skoku. Nadal brak śladów t'iru. Kolejna minuta oszczędzona. Bezzałogowe wahadłowce wyhamowały właśnie ostro przed wejściem w górne warstwy atmosfery. Ostrzej, niż mogłyby to zrobić maszyny prowadzone przez żywych pilotów. Oddanie kontroli nad ewakuacją sztucznej inteligencji było nietypowym posunięciem, którego Henryan obawiał się od samego początku. Gdyby doszło do jakichkolwiek komplikacji bądź gdyby wróg zaskoczył ludzi w najmniej spodziewanym momencie, reakcja komputerów daleka byłaby od pożądanej. Maszyny należące do floty z pewnością wybrałyby najbezpieczniejsze rozwiązanie i cały misterny plan zakończyłyby się chaotycznym odwrotem, czyli totalną klęską.

Święcki zdecydował się na skorzystanie z AI dosłownie w ostatniej chwili, ponieważ czas nadal odgrywał najważniejszą rolę, a zadanie stojące przed sztuczną inteligencją – przy założeniu, że wszystko pójdzie po jego myśli – było naprawdę proste. Promy miały dotrzeć jak najszybciej do wyznaczonego miejsca, przyziemić na moment, zabrać na pokład określoną grupę ludzi i wrócić



z maksymalnym dopuszczalnym przyśpieszeniem na macierzystą jednostkę, która w tym samym czasie, nie zwalniając, okrążała planetę. To nie mogło się nie udać!

Tylko cztery wahadłowce lecące po ludzi ukrywających się w podwodnym reaktorze miały na pokładach żywe załogi. Operacja zrzuć samobieżnych podwodnych modułów ewakuacyjnych i podjęcia przez nie kolonistów mogła wymagać decyzji daleko wykraczających poza zakres zerojedynkowy. Być może nawet będzie się wiązała z ryzykiem na tyle dużym, że obliczający szanse komputer nigdy nie wyraziłby zgody.

Dwie sekundy po wystrzeleniu pierwszej salwy wróg zaczął się bronić. Wszystkie platformy odpaliły własne pociski, a większe jednostki użyły laserów, lecz była to kropla w morzu. System wyliczył, że przy takiej koncentracji ognia zaporowego do celu dotrze nie mniej niż siedemdziesiąt trzy procent rdzeni.

Kolejna zagadka: dlaczego Obcy w obliczu nieuchronnej klęski, wiedząc, że dysponują tylko marną defensywą, nie zerwali szyku i nie salwowali się ucieczką? Rakiety przenoszące głowice kinetyczne miały dużą zwrotność, lecz na pewno nie powtórzyłyby skomplikowanych manewrów unikowych wykonywanych na pełnym ciągu, zwłaszcza przy tak niewielkich rozmiarach celów.

Mijały kolejne ułamki sekund, przestrzeń między oboma zgrupowaniami zapełniła się chmurami eksplozji i mrowiem odłamków, ale było jasne, że systemy nie popełniły znaczących błędów w obliczeniach. Gros pocisków sięgnęło celu. Jedna z platform zniknęła w oślepiającym błysku dziesiątków nakładających się na siebie wybuchów, tarcze pozostałych rozjarzyły się równie rażąco bielą i zgasły na moment przed tym, nim sześć ładunków EMP przemknęło przez chmurę stygnącej plazmy i zamieniło każdy niechroniony obiekt sfery w nieaktywny złom. Niespełna sekundę później druga salwa przemknęła między dryfującymi wrakami, by sięgnąć pozostałych ośmiu celów.

– Dziwne to było – mruknął Moorcock, zanim fotele wróciły do standardowej pozycji.

– Fakt – przyznał Święcki. Obcy nie próbowali żadnych sztuczek, po prostu czekali w miejscu na egzekucję, jakby... Uśmiechnął się nagle, gdy przypomniał sobie myśl sprzed kilku sekund, tę o bezzałogowcach. Nie było żadnej pułapki. Ma'lahn pozostawili nad Deltą najzwyczajniejsze, praktycznie pozbawione autonomii drony, które zaprogramowano na niszczenie śladów obecności człowieka, lecz których z pewnością nie przygotowano do prowadzenia walki w przestrzeni. Stąd ich dziwna bierność. – Raport! – zażądał.

– Pięć zaatakowanych platform bombardujących i dwie... większe jednostki zostały unieszkodliwione ładunkami EMP, sir! – zameldował z entuzjazmem w głosie któryś z poruczników. – Wstępne skanowanie nie wykazało dużych zniszczeń strukturalnych. Trzy obiekty wyglądają na niemal nietknięte.

Henryan wyszczerzył zęby. Ta misja może się okazać większym sukcesem, niż do tej pory zakładał. Mogo dostanie nie tylko piękny materiał propagandowy pod postacią tysięcy uratowanych kolonistów, ale i niezwykle cenny prezent innej, bardziej obcej natury...

Na pomocniczym wyświetlaczu otworzyło się nowe okienko. Święcki zamarł, lecz tylko na moment. To był przekaz z Delt.

– Pułkownik Moorcock, proszę rozpocząć akcję przejmowania wraków – rozkazał, kierując przychodzącą transmisję na główny ekran.

Kamery umieszczone na poszyciu wahadłowca pokazywały znajomy krajobraz: góry wynurzające z morza mgieł i porastające ich podnóża rzędy leniwie kołyszących się wachlarzy. Skały, zniwelowane z grubsza w dwóch miejscach, tworzyły przestronne półki, na których skraju tłoczyli się ubrani w czarne kombinezony ludzie. Henryan pokiwał głową z zadowoleniem. Ocalonych było mrowie, a to znaczyło, że Fitz wykonał swoją część roboty jak należy, w związku z czym ewakuacja przebiegła sprawnie.

Święcki zerknął na timer. Ostatni prom oderwie się od tych półek za trzy kwadransy, do tego trzeba jeszcze doliczyć dwadzieścia sześć minut lotu na orbitę i konwój będzie mógł ruszać w drogę powrotną – bądź kierując się na strefę skoku, bądź znikając od razu w podprzestrzeni.

Dawało to razem siedemdziesiąt jeden minut, od których jednak komodor musiał odjąć co najmniej pół godziny. Tyle bowiem będą potrzebować t'iru na dotarcie do Delty, jeśli natychmiast po wyjściu z nadprzestrzeni rozwiją maksymalną znaną z dotychczasowych kontaktów prędkość. Wahadłowce będą co trzy minuty zabierać z jaskiń po trzysta sześćdziesiąt osób, tylu bowiem ludzi zmieści się naraz do przedziałów osobowych czterech maszyn, które mogą przyziemić równocześnie na wyznaczonych lądowiskach. W pół godziny zabiorą z Delty ponad trzy i pół tysiąca ludzi. W czterdzieści minut liczba ewakuowanych zwiększy się do prawie czterech tysięcy siedmiuset.

Sporo, ale zarazem jakże mało...

Otwarcie kolejnego okienka zmroziło krew w żyłach Henryana. Alarm okazał się fałszywy, choć nie do końca. Wprawdzie transmitery nadal milczały, lecz dowódca jednego z wahadłowców wyznaczonych do ewakuacji reaktora zgłaszał problem.

Święcki przełączył go bezpośrednio do siebie, przerywając wachtowemu zwyczajową formułkę powitania.

– Co się dzieje? – zapytał, przechodząc do sedna.

– Dokonałiśmy terminowego zrzutu wszystkich modułów ratunkowych, sir – zameldował pilot. – Wszystko szło zgodnie z planem. Połączenie jednostek pod wodą, cumowanie do wyznaczonych węzłów...

– W czym więc problem... – Henryan zerknął na nagłówek połączenia – chorąży Hodelka?

– W żadnym z czterech punktów nikt się do tej pory nie pojawił – dokończył zdenerwowany pilot.

Niedobrze, pomyślał Święcki. Jeśli ukrywający się w reaktorze koloniści nie odebrali z jakiegoś powodu sygnału, może nastąpić opóźnienie... Sprawdził szybko harmonogram misji. Na szczęście zabranie tych kilkuset osób nie wymagało ponownego wysyłania wahadłowców, dzięki czemu ich załogi miały niemal pół godziny na rozwiązanie problemu.

– Konkrety, proszę. Co znaczy: nikt się nie pojawił? Weszliście do kompleksu

reaktora i nikogo nie zastalście w pobliżu śluz?

– Nie, sir! Zadokowaliśmy moduły i czekamy zgodnie z wydanymi instrukcjami.

Henryan zaklął pod nosem. Nauczony doświadczeniem odpowiednio wcześniej poprosił dowódcę pionu taktycznego jednostki, z której wystartowały te maszyny, by posłał na Deltę najbardziej rozgarniętych ludzi, takich, co umieją działać na własną rękę, gdy wymaga tego sytuacja. Niestety na razie nic nie wskazywało, by rozmawiał z kimś rzutkim.

– Przełączcie mnie do jednego z węzłów – rozkazał i natychmiast zobaczył ciasne, kuliste pomieszczenie o średnicy niespełna trzech metrów, w którym stali dwaj żołnierze w pełnych skafandrach ciśnieniowych. – Mówi major Święcki. Status?

– Jak widać, sir. Czekamy już ponad pięć minut, ale śluzy są nadal zamknięte.

– Dlaczego nie otwieracie ich z zewnątrz? – warknął rozeźlony Henryan.

– Nie otrzymaliśmy takiego rozkazu, sir.

– W takim razie właśnie go wydałem. Wykonać!

– Tajest!

Jedna z postaci w ciężkim skafandrze podeszła do panelu sterowania umieszczonego obok okrągłego wjazdu, otworzyła pokrywę i wetknęła do gniazda komunikacyjnego klucz szyfrujący. Po trwających wieczność sekundach logowania nad powierzchnią metalu otworzyło się opalizujące okienko holograficznego komunikatora. Żołnierz wprowadził komendę, poczekał moment, spojrział na wjazd, a potem ponownie zaczął coś pisać. Cztery trójkątne skrzydła blokujące wejście do kompleksu reaktora były wciąż szczelnie zespolone.

– Co jest nie tak? – spytał zniecierpliwiony Święcki.

– Nic z tego nie rozumiem – odparł żołnierz obsługujący panel sterowania. – System odmawia otwarcia śluzy ze względu na wykrytą nieszczelność, a jak sam pan widzi, sir... – Wskazał na przylegający idealnie kołnierz wjazdu.

– Sprawdźcie, czy da się namierzyć lokalizację tej nieszczelności – polecił

Henryan.

– Tajest! – Żołnierz znów pochylił się nad opalizującą klawiaturą. Tym razem musiał wpisać kilka poleceń, zanim znów się wyprostował. – Dziwne – rzucił, zapominając o formalnym tonie i tytułaturze. – Komputer nie wskazuje źródła przecieku, ale śluza jest według niego zalana, a właz wewnętrzny... – zawahał się – otwarty.

– Przecież to niemożliwe – mruknął nie mniej zaskoczony Święcki.

– Chyba że wewnątrz kompleksu wypełnia woda – wtrącił przytomnie drugi żołnierz, do tej pory tylko przysłuchujący się wymianie zdań.

Henryan poczuł zimny pot na karku. To by znaczyło, że... Przełączył się ponownie na chorążego dowodzącego czterema wahadłowcami.

– Widzieliście to? – zapytał.

– Widziałem, sir.

– Każcie pozostałym ekipom sprawdzić, jak wygląda sytuacja w ich węzłach, i meldujcie bezzwłocznie. – Wydawszy ten zwięzły rozkaz, wrócił do obserwowanego węzła. – Sprawdźcie, czy macie dostęp do jakichś systemów wewnątrz kompleksu.

– Tajest! – Żołnierz mozolił się przy terminalu jeszcze dłużej niż poprzednio. Wreszcie zameldował: – Nie mogę wywołać żadnego z głównych systemów, sir!

– A do czego macie dostęp?

– Tylko do modułów znajdujących się w obrębie śluzy.

Henryan się zamyślił.

– Nie wiem, jak z tym jest w cywilnych instalacjach tego typu, ale my mamy chyba w każdej śluzie stacji podwodnych i orbitalnych po kilka dron remontowych, na wypadek gdyby trzeba było wykonać jakieś proste prace na zewnątrz.

Żołnierz skinął głową.

– Są tu trzy takie drony – potwierdził – ale bardzo prymitywne.

– Jakie mają systemy rejestracji? – zapytał Święcki.

– Zwykłe holo, skanery podczerwieni...

– Mapowanie?

– Brak, sir. To cywilne gówno. Skwarki nie kwarki.

– Dadzą się uruchomić?

– Tak, sir, ale trzeba poczekać na podładowanie akumulatorów, bo stały nieuży...

– Na jak długo wystarczy aktualny poziom energii? – przerwał mu Henryan.

– Na kilka minut najwyżej, sir. Zależy, co...

– Aktywujcie natychmiast jedną dronę – rozkazał Święcki, znów wchodząc mu w słowo. – Chcę zobaczyć, jak wygląda sytuacja. Wystarczy mi zwykłe holo.

– Tajest! – Żołnierz pochylił się nad klawiaturą, lecz zaraz zamarł. – Jeśli tam nie ma źródeł oświetlenia, sir, będziemy musieli użyć reflektorów, a to znaczy, że akumulatory padną po kilkunastu sekundach, sir.

– Trudno. Poza tym macie jeszcze dwie drony w zapasie. Wykonać.

Henryan wyprostował się, wiedząc, że wykonanie tego polecenia zajmie ratownikom dłuższą chwilę. W tym czasie mógł się przyjrzeć działaniom na pozostałych frontach. *Iandrew McDougal*, jedyny krążownik drugiej generacji w tej eskadrze, wysyłał właśnie holowniki w kierunku chmury dryfujących szczątków, by podjąć unieszkodliwione pojazdy Obcych. Na Delcie lądował kolejny rzut wahadłowców. W strefie skoku panował idealny spo...

– Sir, pozostałe ekipy meldują, że sytuacja w ich węzłach wygląda podobnie. Śluzę są otwarte od wewnątrz i zalane.

– Przyjąłem! – Henryan ucisnął nasadę nosa, czując pierwsze ukłucie zwiastujące ból głowy.

Kark miał lodowaty, zimny pot rosił mu już nie tylko okolice szyi, ale także czoło, ramiona i połowę pleców. Czuł już, nie, wiedział, że ma'lahn wykryli jakimś cudem reaktor i zbombardowali ukrytą na głębokości trzystu metrów instalację. Obecność wody w głównym korytarzu kompleksu nie mogła oznaczać niczego innego.

– Macie na pokładzie sprzęt mapujący? – zapytał chorążego.

– Mamy. Zwykłe sondy do badania szczelności poszycia, ale od biedy można

ich użyć do mapowania obiektów.

– Będą działały pod wodą?

– Raczej tak. Są szczelne jak każdy sprzęt przeznaczony do pracy w przestrzeni, tylko... – Podoficer się zawahał.

– Tylko co?

– Nie wiem, jak napędy grawitacyjne dadzą sobie radę w takim środowisku. Zejść na dno zjedzą, ale z powrotem na powierzchnię może już być problem.

– Biorę to na siebie – zapewnił go Henryan, wiedząc, że rozmowa jest rejestrowana przez system. – Zrzućcie kilka takich urządzeń dokładnie nad reaktorem. Chcę mieć jak najszybciej wizualizację zewnętrznego poszycia.

– Tak jest!

Święcki skupił ponownie uwagę na obserwowanym węźle. Żołnierz kończył właśnie programowanie drony.

– Możemy zaczynać?

– Procedura wybudzania skończy się za sześć sekund, sir!

– Świetnie, przełączcie transmisję na moje stanowisko.

– Tajest!

Komodor powiększył nowo utworzone okno. Niewiele było na nim widać poza pogłębiającym się mrokiem. Przed obiektywem kamery przepływały też co chwilę jakieś bezkształtne śmieci.

– Czy mogę coś zaproponować, sir? – odezwał się drugi z żołnierzy.

– Mówcie.

– W tych warunkach i tak niewiele widać, może więc przejdziemy na podczerwień, która zużywa o wiele mniej energii od sprzężonych reflektorów, a te możemy włączać, ilekroć trafimy na coś ciekawszego.

– Dobry pomysł – przyznał Henryan. – Wykonać.

Przez kolejne parę minut wpatrywał się w kolorowe plamy, kilka razy zmieniające się w zielonkawe kształty, gdy operujący droną żołnierz przechodził na pasmo widzialne. Na razie nie udało się ustalić nic ponad to, że wnętrze kompleksu, a przynajmniej jego korytarze są kompletnie zalane.

– Rozpoczynamy mapowanie poszycia, sir – zameldował tymczasem chorąży Hodelka.

– Kontynuujcie i meldujcie, jeśli traficie na coś godnego uwagi – rzucił Święcki na kanale łączącym go z węzłem, a następnie zmniejszył okno przedstawiające zatopiony korytarz, by przyjrzeć się powstającej trójwymiarowej plamie.

Zewnętrzny blok reaktora miał kształt spłaszczonej mocno sfery. Osiem sond mapowało jego fragmenty, poczynając od krawędzi zewnętrznej, przy której Henryan zauważył zarysy cygarowych modułów ratunkowych. Licznik w prawym górnym rogu wskazywał procent przeskanowanej powierzchni. Wojskowy sprzęt miał wysoką wydajność, tak więc cyfry zmieniały się szybko. Po niespełna dziesięciu minutach elektroniczne odwzorowanie podwodnego kompleksu było gotowe w pięćdziesięciu siedmiu procentach. Chwilę później pierwsza z sond natrafiła na odkształcenie, którego nie powinno tam być.

Powiększenie tego wycinka poszycia nie pozostawiało żadnych wątpliwości. Wystrzelony przez którąś z platform bombardujących rdzeń przeszedł przez gruby helonowy pancierz i zapewne eksplodował w środku kompleksu. Otwór powstały w wyniku uderzenia był niemal idealnie okrągły, a metal wokół niego wklęsły.

W ciągu najbliższych kilku minut sondy natrafiły jeszcze na sześć podobnych otworów. Święcki nałożył ich lokalizację na posiadane plany reaktora. Rdzenie wycelowano w centralną część podwodnego kompleksu, tam gdzie znajdował się wygaszony reaktor i reszta obsługującej go maszyny. Część mieszkalną i obsługową, w której mieli się ukrywać technicy wraz z rodzinami, ulokowano na samym obrzeżu spodka, dość daleko od miejsc penetracji i potencjalnych eksplozji – potencjalnych, gdyż ciężkie rdzenie kinetyczne mogły przebić tę cywilną instalację na wylot. Jeśli nie doszło do wybuchów wewnątrz kompleksu, przynajmniej część kolonistów mogła przeżyć ten atak. Jeśli uderzenie nie odcięło zasilania najważniejszych systemów, ci z kolonistów, którzy byli w swoich kwaterach, zostali w nich zamknięci. Wszystkie drzwi w tym



kompleksie były hermetyczne, istniała więc niewielka szansa, że gdzieś tam znajdzie się ktoś żywy.

– Przerwijcie mapowanie poszycia – rozkazał Henryan. – Wprowadźcie wszystkie sondy do wnętrza reaktora. Mają jak najszybciej dotrzeć do tych sektorów. – Zaznaczył sporą część kwater.

– Tak jest!

– Sir?

To wezwanie pochodziło z węzła.

– Słucham.

– Powinien pan to zobaczyć...

W powiększonym oknie czerwono-żółte plamy zmieniły się nagle w opalizujące zielonkawe znajome kształty. Przed obiektywem kamery dryfowało napęczniałe i przegniłe ciało.

– Pułkownik – Świącki obrócił się w fotelu – proszę przekazać tę transmisję do pionu medycznego. Muszę wiedzieć, jak długo te zwłoki przebywały w wodzie!

Czekając na odzew, zmniejszył okienko. Topielec nie stanowił przyjemnego widoku. Henryan wolał się skupić na reszcie przekazów, które wciąż miał otwarte na bocznych ekranach wyświetlacza. Chwilę później ciche piknięcie uświadomiło mu, że otrzymał nowe połączenie.

– Dokto... – zaczął bezceremonialnie, ale zamilkł w pół słowa. To nie był nikt z pionu medycznego. Świącki miał przed sobą komunikat nadany ze strefy skoku. Prosty wykres mówiący więcej niż miliony słów. Za cztery i pół minuty na Ulietcie pojawią się co najmniej trzy t'iru. – Kurwirtual...

Zerknął na timer. Dwadzieścia trzy minuty do punktu zero. Zatem do wykonania zadania zabraknie mu niespełna pół godziny. Pieprzone dwa kwadransy, przez które życie straci prawie trzy tysiące ludzi...

Nie. Kurwirtual, nie! Nie tym razem.

Plum. Na ekranie wyświetlacza pojawiła się mocno poryta bruzdami, pociągła twarz lekarza pokładowego.

– Majorze, zanim odpowiem na pańskie pytanie, chciałbym zaznaczyć, że na stan zwłok wpływa wiele czynników, takich jak...

– Nie mam czasu na głupoty. I nie chodzi mi o określenie dokładnego czasu śmierci denata. Chcę wiedzieć, czy takie zmiany to kwestia godzin czy raczej dni...

– Powiedziałbym, że dni, a nawet tygodni, ale jak już wspomniałem, jest wiele...

– Dziękuję. – Święcki przełączył się na inny kanał. – Chorąży, ile czasu potrzebujecie na wycofanie swoich ludzi z reaktora?

– Około czterdziestu minut.

– A bez podbierania wszystkich modułów?

– Ale...

– Ile?

– Nie więcej niż kwadrans.

– Wykonać. Polecicie do drugiego punktu ewakuacyjnego i zabierzecie tylu ludzi, ilu pomieścicie w ładowniach. Bez odbioru. – Obrzucił wzrokiem pozostałe ekrany. – Dajcie mi dowódcę eskadry transportowej.

– Czym mogę służyć, komodorze? – Pułkownik Hagström wyprężyła się, gdy tylko otwarto połączenie.

– Od tej chwili pakujecie do wahadłowców tylu ludzi, ilu się da.

– Ale...

– Ma'lahn przylecieli. Nie ma czasu na dyskusje. Ilu ludzi zdołacie upchnąć w przedziale osobowym?

– Dodatkowe dwadzieścia osób, może dwadzieścia cztery, jeśli wykorzystamy uprząż na sprzęt. Jeśli jednak wpadniemy w turbulencje, będzie niewesoło.

– Wykonać. Cokolwiek trzeba zrobić, żeby zabezpieczyć dodatkowych pasażerów, zajmiecie się tym już po starcie. Zrozumiano? Przeprogramujcie natychmiast kolejne maszyny, żeby siadały po trzy na każdym lądowisku. Musimy zakończyć ewakuację pół godziny przed czasem.

– Nie wiem, czy damy radę...

– Musicie. Z tego, co widzę, w tunelach wciąż czekają tłumy ludzi, więc ze strony kolonistów nie powinno być opóźnień. Aha, podsyłam wam też te cztery maszyny, które miały ewakuować reaktor. Uwzględnijcie je w harmonogramie.

– Tak jest!

Prowadząc tę rozmowę, uaktualniał symulację aktualnej sytuacji. Gdy skończył, do pojawienia się t'iru pozostały już tylko dwie minuty.

– Pułkowniku, jak to wygląda na pańskim odcinku?

– Za kwadrans ostatni wrak znajdzie się na pokładzie.

– Świetnie. Natychmiast po zabezpieczeniu ładunku *Iandrew McDougal* ma wykonać skok w podprzestrzeń. Te pojazdy Obcych muszą trafić do naszych laboratoriów.

– Rozkazy admiralicji... – zaczął ostrożnie dowódca pionu taktycznego.

– Rozkazy admiralicji nie uwzględniały naszego obecnego położenia – przypomniał mu Henryan. – Poza tym autoryzuję wam wszystko na piśmie.

– Przyjąłem.

Święcki skupił się na jedynym elemencie, który miał teraz znaczenie. Hagström zrobiła, co trzeba. Na obu lądowiskach przysiadły właśnie po trzy maszyny zamiast dwóch. Liczniki nad ich włazami, które z braku załóg służyły za wyznaczniki, ile osób ma wejść na pokład, powinny wskazywać znacznie większe liczby niż poprzednio. Czekający zauważyli to, Henryan widział, jak tłumek zafalował. Timery odliczające czas załadunku także wskazywały inną wartość.

Tylko mi teraz nie spanikujcie, błagał w myślach Święcki, patrząc na rosnącą nerwowość kolonistów. Sam zareagował zbyt nerwowo, powinien był uprzedzić ich o zmianie, co by z pewnością złagodziło skutki niezrozumiałego dla ewakuowanych ludzi posunięcia floty. Wywołał dowódcę eskadry transportowej, ale ku jego zdziwieniu pułkownik Hagström nie odebrała od razu, choć musiała widzieć, kto się do niej dobija. Dopiero pół minuty później na wyświetlaczu pojawiła się jej okrągła twarz.

– Dlaczego musiałem tyle czekać? – warknął Henryan.

– Przepraszam, sir, ale nie mogłam przerwać transmisji na Deltę. Zauważyłam, że ludzie panikują, więc przekazałam im komunikat o konieczności przyśpieszenia ewakuacji ze względu na ponownie rosnącą aktywność gwiazdy centralnej. Zapewniłam ich też, że panujemy nad sytuacją i dzięki temu posunięciu zyskamy odpowiednio duży margines bezpieczeństwa.

– Rozumiem. Właśnie to chciałem pani zasugerować. – Kątem oka Święcki obserwował wyłaniające się z nadprzestrzeni liniowce.

Jego symulacja przestała być nagle niewiadomą. Miał na wykresie wszystkie elementy równania. Zgodnie z przewidywaniami ma'lahn nie marnowali czasu na niszczenie sond monitorujących sąsiednie studnie grawitacyjne. Rozwalili tylko tę, którą mieli najbliżej, nie zbaczając nawet na moment z kursu. Dwie pozostałe przekazywały więc co piętnaście sekund zaktualizowane dane o prędkości i wektorze kursu wroga. Za niespełna osiem minut i to nie będzie potrzebne. Światło niosące informacje o t'iru dotrze do Deltę, rozpoczynając ostatni rozdział tego dramatu.

Dziewiętnaście minut. Jeśli wszystko pójdzie jak z płatka, ostatnie zmiany pozwolą nadrobić tę stratę. Niedobitki z jaskiń trafią na transportowce dwie minuty przed wejściem w pole rażenia wroga...

Kolejne połączenie. Święcki zeszywniał. Znowu Hagström. Oby tylko nie chciała zgłosić problemu...

– Komodorze, sprawdziłam rejestratory maszyn, które zdążyły już wrócić na pokłady moich okrętów. Wszystkie loty przebiegły na tyle spokojnie, że po konsultacjach z kilkoma pilotami doszliśmy do wniosku, iż możemy bez obaw dorzucać po kilkanaście osób do każdego transportu, a w ostateczności nawet po dwa tuziny.

– Ponad setka ludzi na kurs?

– Tak. Te ptaszki mają odpowiedni udźwieg, a przy tak stabilnym locie jedyne, co grozi pasażerom, to niemożność skorzystania z toalety – zażartowała pułkownik Hagström.

– Świetna wiadomość. Policzyliście, ile czasu dzięki temu oszczędzimy?

– Co najmniej osiem minut, a w najlepszym razie dwanaście, licząc według nowego harmonogramu. Może pan odwołać te maszyny znad morza. W tej sytuacji nie będą mi do niczego potrzebne.

– Tam też nie na wiele się przydadzą – odparł Henryan. – Po powrocie ma pani u mnie flaszkę czegoś naprawdę dobrego, pułkowniku.

– Tylko ja? Koledzy będą zawiedzeni! – zaśmiała się Hagström.

– Zatem niech będzie skrzynka – obiecał Świącki i szybko się rozłączył.

Maszyny znad morza nie były potrzebne przy jaskiniach. Mógł je więc odesłać na transportowce albo zawrócić na wybrzeże, żeby odebrały moduły ratunkowe. Zerknął na timer. Nie, na to nie ma już czasu... Kwatermistrzostwo z pewnością zażąda jego głowy za stratę trzech sond monitorujących i ośmiu dron. Na wspomnienie tych ostatnich znów zrobiło mu się zimno.

– Mokry Jeden? – wywołał dowódcę eskadry wahadłowców.

– Mokry Jeden zgłasza się, odbiór.

– Wybaczcie zamieszanie, chorąży Hodelka, możecie wracać na orbitę. Górale dadzą sobie radę bez was.

– Przyjąłem. Wracamy do bazy.

– I jeszcze jedno. Powyłączajcie te drony. Mam przekazy z nich na połowie otwartych łączy.

– Już się robi, sir. Bez odbioru.

Świącki opadł ciężko na oparcie fotela, obserwując, jak kolejne okienka znikają z ekranów jego wyświetlacza. Wkrótce zostały tylko dwa. Wielkie, pokazujące liniowce od tyłu, i małe, ukazujące przebieg ewakuacji. Przesłany przez Hagström nowy harmonogram zmieniał diametralnie sytuację. Tym bardziej że Obcy wcale się nie śpieszyli. Wyciągali obecnie .27 świetlnej, o pięć setnych mniej, niżby mogli i powinni. A to dawało ludziom kolejne sekundy przewagi.

Walcie się na te skrzydlate ryje, pomyślał z satysfakcją Henryan. Wywiozę stąd każdego, kto jeszcze oddycha, a wy możecie na to tylko patrzeć.

\* \* \*

– Tam coś jest – upierał się Connorson.

– Przywidziało ci się – zbyła go Tovera, nie ruszając się z posłania.

– Nie. Na pewno nie! Zobacz! Tam się coś świeci.

Stał z nosem przyciśniętym do bulaja, próbując dostrzec cokolwiek w mroku po drugiej stronie włazu.

– Odbija ci już od tego siedzenia w zamknięciu – podsumowała żona, podnosząc się na łokciu, by sprawdzić, czy nie pobudził dzieci.

– Tobie odbija – oburzył się. – Śpisz całymi dniami, niedługo zapomnisz, jak się chodzi.

– Oszczędzam tlen, żebyś mógł go marnować na te twoje napady podniecenia – odgryzła się, czując narastającą złość.

W chwili ataku na reaktor siedzieli oboje w mesie, pilnując, by dzieciaki kolonistów z ich sektora zjadły śniadanie. Czysty przypadek. Padło na nich, ponieważ tak zapisano w grafiku. Huk, wstrząs, wrzaski spanikowanych ofiar, a potem nagle ciemność. Światła zgasły, właz zatrzasnął się z hukiem tuż przed tym, zanim ściana wody sunąca szerokim korytarzem zmiotła skamieniałych ludzi, w tym Ragnartura, jej brata, trzeciego z dyżurnych, który zareagował najbardziej nerwowo i wybiegł na zewnątrz, by sprawdzić, co się dzieje. Ona i Connorson zostali tutaj, odcięci od reszty zalanego kompleksu grubymi na sześć centymetrów drzwiami. Oni dwoje i szesnaścioro dzieci. Mieli dyspensery i dostęp do toalet, w których umieszczono jeden z zapasowych natleniaczy. Tylko dlatego przetrwali te jedenaście dni, jeśli Tovera dobrze liczyła.

Przez tydzień jakoś się trzymali. Kilkanaście małych wyświetlaczy z otaczających ich maszyn dawało wystarczająco dużo światła, by przyzwyczajony do ciemności wzrok pozwalał im się poruszać bez ustawicznego wpadania na siebie nawzajem i na meble. Potem jednak zaczęły się problemy. Dzieciaki popadały w apatię albo miały napady lęku. Connorson natomiast spędzał coraz więcej czasu, stojąc przy drzwiach i wpatrując się

w mrok, z którego miał nadejść ratunek.

Głupek. A teraz jeszcze zaczynał mieć przywidzenia. Światelka widział. Akurat.

– Tam... Tam! Naprawdę! – wydarł się znowu, budząc część dzieci.

Tovera zerwała się z ławy. Tym razem miała tego naprawdę dość. Facetowi odbiła szajba.

– Zamknij się, durniu! – syknęła, podchodząc do drzwi.

– Tam! Tam! – piszczał, nie zwracając uwagi na jej napomnienia.

Była od niego dwa razy cięższa i o połowę młodsza. Rękę miała wypracowaną, jak każdy operator ciężkiego sprzętu. Jak go ściśnie, to odechce mu się wszystkiego, nie tylko gapienia się w mrok... Zamarła, zauważywszy refleks na okrągłej szybcie. Odsunęła Connorsona jednym szarpnięciem i sama przywarła policzkiem do bulaja. Korytarzem coś sunęło. Jakieś urządzenie. Jego bliźniacze reflektory rozświetlały mętną wodę, w której unosiły się strzępy ubrań, ciał, sprzętów i wykładzin. Maszyna była niedaleko, zaledwie kilkanaście metrów od wjazdu, i nadal się zbliżała.

– Teraz mi wierzysz? – zapytał, chichocząc jak szalony.

– Przylecieli po nas – wyszeptała, nie mogąc oderwać wzroku od drony. – Przylecieli! – zawołała, odwracając się do Connorsona i stojących za nim dzieciaków.

W tym właśnie momencie blask po drugiej stronie wjazdu zaczął blednąć.

– Nie... – jęknęła i znów przywarła do bulaja, waląc pięścią w metal, jakby maszyna mogła ją usłyszeć.

Drona opadała na pokrytą śmieciami podłogę korytarza. Jej reflektory matowiały wolno, aż w końcu całkiem ściemniały.

# **Część trzecia**

## **BITWA**



# JEDEN

*Ziemia, Sektor Alfa,*

*17.11.2354*

Modo przygotowywała się do tego wystąpienia przez kilka dni. Skrycie, u siebie, by nikt niepowołany – a nawet żaden z jej mniej ważnych współpracowników – nie zorientował się, że ma zamiar ogłosić coś więcej niż tylko oficjalną informację o ataku Obcych, z towarzyszącym jej stosownym komunikatem o ogłoszeniu stanu wyjątkowego i krótkim orędziem do obywateli Federacji.

Ten dzień miał zmienić wszystko zarówno tutaj, na Ziemi, jak i w najodleglejszych systemach. Za niecały kwadrans – taką Modu miała przynajmniej nadzieję – nieświadoma niczego ludzkość zmierzy się z nową rzeczywistością. Zmiany dotkną nie tylko sfery swobód obywatelskich, które, jak powszechnie wiadomo, ulegają daleko idącym ograniczeniom podczas każdej wojny. Prawdziwe przekroczenie horyzontu zdarzeń nastąpi chwilę po tym, jak społeczeństwo usłyszy o ataku bezwzględnych Obcych i zobaczy wybrane transmisje z niedawnych rajdów t'iru. Gdy oglądający orędzie ludzie oniemiają ze zgrozy, święcie wierząc, że nic gorszego nie może się zdarzyć, zacznie się właściwa część wystąpienia, po której runie dawny porządek polityczny i gospodarczy. Zostanie ona wyemitowana przez wszystkie media i z pewnością trafi łączami nadświetlnymi do najdalszych pasów Rubieży.

Pani kanclerz siedziała nieporuszenie, jakby za życia zastygła we własny hiperrealistyczny posąg, podobny do tych, które zdobią wnęki senackiego holu,

upamiętniając najważniejsze osobistości Federacji. Krótco po zamachu, gdy jej życie – przynajmniej teoretycznie – wisiało na włosku, zapytano ją, w jakiej pozie chciałaby zostać utrwalona. Odpowiedziała wtedy, że skoro jej wizerunek ma trafić przed oczy senatorów i zwiedzających, chce wyglądać spokojnie i skromnie, właśnie tak jak teraz. Nie życzyła sobie wzniosłych gestów, srogiej miny ani stylizowania na heroinę świata antycznego. Pragnęła się wyróżnić z tłumu nadętych bufonów, którzy od niemal trzystu lat zasiadali na stolcu kanclerskim. Jej sekretariat przekazał nawet stosowny hologram, na którym przycupnęła w niemal identycznej pozycji, czekając przed laty na ogłoszenie nominacji. Oczywiście holo zrobiono w innym, pośledniejszym pomieszczeniu niż to, w którym znajdowała się obecnie.

Dziś mogła korzystać z gabinetu przylegającego bezpośrednio do sali obrad. Z racji piastowanego urzędu pojawi się na scenie ostatnia, gdy wszyscy pozostali senatorowie zajmą już miejsca. Od mównicy dzieliło ją trzysta trzydzieści sześć kroków. Wyliczyła to już dawno, zaraz po objęciu stanowiska, podczas którejś z wyjątkowo nudnych ceremonii. Gdy usłyszy irytujące uderzenie w mosiężny dzwon – co było kolejną niezrozumiałą tradycją, którą najchętniej by zniosła i być może zniesie, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem – wstanie z fotela, zdecydowanym krokiem minie otwierające się przed nią drzwi i w kompletnej ciszy wmaszeruje pod gigantyczną kopułę, przy której rozmiary najpotężniejszych świątyń minionego tysiąclecia wydają się żalnymi miniaturami.

Następnie ruszy wąskim pomostem unoszącym się sześć metrów nad marmurową posadzką, by dotrzeć nim prawie na sam środek ponadpółkilometrowego kręgu wyznaczonego przez grube, zdobione freskami mury. Tam stanie za skromnie wyglądającą mównicą, pamiętającą ponoć czasy, gdy ludzkość dopiero marzyła o wyprawieniu się na orbitę Ziemi. To z tego miejsca obwieści Galaktyce nastanie nowej ery.

Jej ery.

Skrzywiła się w duchu, słysząc przenikliwy dźwięk wezwania, lecz na jej

twarży nie drgnął nawet jeden mięsień. Wcisnęła na trzymanym w dłoni czytniku połyskujący zielenią klawisz, po czym wstała energicznie i natychmiast skierowała się do drzwi. Kości zostały rzucone, jak powiedział w podobnej sytuacji ktoś niezwykle mądry całe milenia temu.

Nie było sensu zwlekać.

Machina została wprawiona w ruch. Zanim Modo dotrze na koniec pomostu, setki tysięcy starannie wyselekcjonowanych przez Kaupa funkcjonariuszy WB i żołnierzy jednostek floty zabezpieczą wyznaczone cele. Ludzie ci oczekiwali na kluczowych pozycjach już od dawna, rozmieszczani sukcesywnie, by nie wzbudzać niczyich podejrzeń, lecz rozkazy otrzymali dopiero teraz, gdy jednym ruchem palca zatwierdziła ostatnią fazę planu.

Dziesięć minut – tyle zajmie czarnym i marynarzom wykonanie zadań, dzięki którym druga część transmisji nie powinna zostać zablokowana przez stacje należące do korporacji. Przy odrobinie szczęścia Gerdanielle Modo utrzyma dziewięćdziesiąt pięć procent łączy, przy wyjątkowym pechu siedemdziesiąt cztery, co i tak wystarczy z nawiązką, ponieważ dzisiejsze przemówienie to tylko element znacznie większej układanki.

Weszła na rozświetloną i pogrążoną w ciszy salę obrad. Zwykle nie było tutaj tak cicho, za to z kolei zakryty puszystym dywanem pomost tłumił odgłosy kroków mówcy. Przy tej okazji kazała go zwinąć, by sam wstęp do wyreżyserowanego w każdym szczególe widowiska zasiał niepokój w sercach zebranych. Tylko garstka z obecnych na sali trzech tysięcy siedmiuset dwunastu reprezentantów znała prawdę, a i to nie całą. O skali nadchodzących zmian miał pojęcie wyłącznie triumwirat: ona, Kaup i Giancarlouis Benadetto. Pozostali członkowie Rady czy Senatu, jeśli odgrywali jakąś rolę w planie pani kanclerz, wiedzieli tyle, ile musieli, czyli przeważnie niewiele albo zgoła nic. Było to konieczne, ponieważ tego dnia Modo zamierzała się rozprawić z wrogiem znacznie niebezpieczniejszym od ma'lahn i Partii Równowagi razem wziętych.

Szła pomostem, wystukując obcasami szybki, równy rytm, który wzmacniany znakomitym systemem nagłośnienia odbijał się głośnym echem od wiszącego

niemal pół kilometra wyżej sklepienia. Puk, puk, puk. Zebrani usłyszą ten dźwięk jeszcze trzysta razy, zanim pani kanclerz stanie za mównicą i przed holokamerami. Jednakże rozumieją, czemu ten stukot tak złowieszczo brzmiał, dopiero wtedy, gdy wygłosi drugą część swego przemówienia.

Na trzymany przez nią komunikator napływały kolejne raporty. Nie musiała nawet spoglądać na ekran. Każde z cichutkich piknięć w słuchawce oznaczało wykonanie jednego rozkazu. A ponieważ były ich dziesiątki, dźwięk zlewał się w przeciągły pisk i trwał nieprzerwanie, dopóki nie stanęła w centralnym punkcie sali plenarnej, przy antycznym podeście tak bardzo niepasującym do tego wnętrza i tej epoki.

Wyciszyła urządzenie, zanim trafiło na grubo lakierowane, poznaczone setkami wgnieceń i zadrapań drewno. Odczekała pięć sekund, potrzebnych operatorom holokamer na przygotowanie sprzętu, a kiedy obie lampki wbudowane w górne obramowanie pulpitu zapłonęły zielenią, nabrała tchu.

– Obywatele i obywatelki Federacji. Wyruszyliśmy do gwiazd, by szukać tam nie tylko nowych planet nadających się do zasiedlenia, ale także braci w rozumie. Dzisiaj muszę wam oznajmić z ogromnym żalem, że po niemal trzech stuleciach eksploracji kosmosu trafiliśmy w końcu na wyżej od nas rozwiniętą i niestety wrogą cywilizację... – Zamilkła na parę sekund, by umożliwić zaskoczonym senatorom przyswojenie tej wiadomości. Celowo podkreśliła wyższość ma'lahn, aby żaden z tych durniów nie pomylił ich z Gurdami i Suhurami, których ostateczne starcie chcieli niedawno oglądać. – Niestety z niezrozumiałych dla nas powodów – kontynuowała, nie bacząc na wciąż słyszalne szmery – już podczas pierwszego kontaktu, zamiast nawiązania spodziewanego dialogu, zostaliśmy zaatakowani. Pragnę to podkreślić ze szczególną mocą, by uniknąć wszelkich niejasności: ta wojna rozpoczęła się od zdradzieckich, bestialskich i niczym niesprowokowanych ataków na kilka przygranicznych systemów Rubieży. Dysponujące ogromną przewagą technologiczną okręty wojenne wroga kontynuują te ataki, nie oszczędzając niczego, co stworzył człowiek, nawet podrzędnych kolonii przemysłowych

i cywilnych, których mieszkańcy poddali się, rezygnując z jakichkolwiek prób obrony. – Wiedziała, że wszystkie stacje pokazują równolegle wybrane z niezwykłą starannością fragmenty nagrań ilustrujących bezwzględność działań Obcych. – Co gorsza, wróg ignoruje nasze wezwania. Wszelkie próby pokojowego kontaktu pozostają bez odpowiedzi. Nie wiemy, z kim ani dlaczego musimy walczyć, lecz jedno jest pewne: rasa, która nas zaatakowała, zmierza do fizycznego unicestwienia ludzkości. Z tego też powodu jestem zmuszona ogłosić stan wyjątkowy na terytorium całej Federacji. – Ponownie zamilkła, tym razem po to, by złapać oddech i pokazać widzom, że nie jest to dla niej łatwa decyzja. Potrzebowała też chwili, by sprawdzić podsumowanie raportów. Dziewięćdziesiąt siedem procent zespołów zgłosiło wykonanie rozkazów. Poszło lepiej, niż się spodziewała, może dlatego, że ludzie oniemieli, słysząc o inwazji Obcych. – Drodzy rodacy! – dodała raźniej, podniesiona na duchu tym wynikiem. – Zapamiętajcie proste hasło. Modo. Tak, Modo. Wpisując je w spacenet, bez względu na rodzaj sprzętu, jakiego używacie, znajdziecie dziś na pierwszym miejscu linki przekierowujące was na rządowe i publiczne serwery, gdzie umieściłam pakiety dokumentów i nagrań niezwyklej wagi. Jeśli dziwnym zrzędzeniem losu nagle stracie sygnał na waszym ulubionym kanale, po prostu wpiszcie moje nazwisko do komunikatora... – Odczekała moment, aż ta informacja zapadnie wszystkim w pamięć. – Przedstawię wam teraz materiał zarejestrowany podczas jednego z niedawnych nieoficjalnych spotkań. Zapis, który godzi w interesy właścicieli najpotężniejszych firm, a zatem też wielu multisektorowych stacji holowizyjnych. – Zerknęła na czytnik; okienko na samym dole ekranu pokazywało stopień obciążenia łączy nadświetlnych. Kilka sekund temu było to pełne sto procent. Teraz liczba ta malała w zastraszającym tempie. Modo mogła bardziej się przyłożyć i odkryć wszystkie zabezpieczenia, jakie właściciele stacji umieścili w systemie, by nie dało się go wykorzystać przeciw nim. Nie zrobiła tego jednak, ponieważ to, co działo się w tym momencie, obciążało skurwyklonów jeszcze skuteczniej niż treść zablokowanego nagrania, którego w innych źródłach szukają już miliardy ludzi.

Medialni magnaci przegrali w chwili, gdy pozwolili jej podać hasło. – Choć może się wam to wydać nieprawdopodobne, udało mi się zarejestrować rozmowę z właścicielami trzech największych korporacji, rozmowę, podczas której doszło z ich strony, jeśli wierzyć najbardziej znanym konstytucjonalistom, do zdrady stanu. Wspomniani oligarchowie odmówili bowiem wsparcia wysiłku wojennego Federacji, zadając nam równie zdradziecki cios jak Obcy. Co więcej, jak sami zaraz zobaczycie, wydają się zadowoleni z ogromu zniszczeń, które przynosi ta wojna, gdyż nasze cierpienie jest dla nich niczym więcej jak tylko kolejną okazją do pomnożenia zysków... – Przerwały jej nasilające się gwizdy i krzyki.

Czas podkreślić głośność – uznała i dała znak operatorowi.

Gdy po raz kolejny zerknęła na czytnik, transmisja szła nadal przez siedemdziesiąt osiem procent łączy, lecz, co ciekawe, niedawna tendencja uległa odwróceniu. Pracownicy stacji, którzy widzieli nagranie, być może nawet jego wersję ściągniętą ze spacenetu, przywracali zablokowane kanały wbrew woli szefów, działając na własną rękę. Nic dziwnego – treść rozmowy, której teoretycznie nie dało się zarejestrować, była naprawdę porażająca.

– Większość szanownych reprezentantów zasiadających dawniej i dzisiaj na tej sali – podjęła, a jej grobowy głos rozbrzmiał z podwójną mocą, zagłuszając wszystkie inne dźwięki – służyła tylko jednemu panu. Nie ludziom, którzy oddawali na nich głosy, lecz garstce bezwzględnych sponsorów. Radzę wam, panie i panowie, zapoznać się ze wspomnianym nagraniem, zanim otworzycie ponownie usta, ponieważ wokół nas roi się od holokamer i za moment będziecie musieli tłumaczyć się nie mnie, tylko waszym wyborcom, dlaczego tak żarliwie popieraliście zdegenerowanych oligarchów, mimo że przedstawiono wam dowody ich oczywistej zdrady! – Słusznie przypomniała im o tym fakcie. Gdy kilka sekund później kończyła przemówienie, burząc dotychczasowy porządek tego świata, nikt nie zerwał się z fotela, by z niej szydzić albo ją wygwizdać. – Nie byłam pierwszym kanclerzem, którym wysługiwali się ci ludzie, ale na pewno jestem ostatnim. Koniec ze sprzedajnością! Ogłaszam, że dzięki

ofiarności setek tysięcy funkcjonariuszy Wydziału Bezpieczeństwa wszyscy zdrajcy zostali już ujęci i właśnie trafiają przed zwołane na mocy ustawy o stanie wyjątkowym trybunały polowe. Po zapadnięciu wyroków, które w zaistniałej sytuacji mogą mieć tylko jedno brzmienie, Rada przejmie i znacjonalizuje majątek wspomnianych trzech korporacji.

# DWA

*System Anzio, Sektor Zebra,*

*17.11.2354*

– Nacjonalizacja? – Farland kręcił głową z niedowierzaniem.

Podobnie jak zdecydowana większość oficerów jego sztabu obejrzał przekaz z Ziemi na żywo, spodziewając się pełnej frazesów politycznej przemowy, a tymczasem Modo zaskoczyła go, i to bardzo. Pół godziny po zakończeniu transmisji wezwał do siebie Rutkę, ale nie do gabinetu, tylko w zacisze prywatnej kajuty, gdzie zapoznawał się przez niemal dwa kwadransy z porażającymi materiałami, które kanclerz udostępniła na wielu publicznych serwerach. Franciscollin pojawił się niemal natychmiast, co znaczyło, że on także przebywał w swojej kwaterze, zapoznając się z tymi samymi plikami i sprawdzając, ile prawdy kryje się w słowach o zdradzie stanu.

– Teraz już wiemy, dlaczego Rada do samego końca zwlekała z udzieleniem nam wsparcia – powiedział generał, opadając na wskazany przez gospodarza fotel.

– Sądzisz, że o to właśnie chodziło?

– Takiej operacji nie da się przygotować w kilka dni. Modo planowała ją od wielu tygodni, może nawet miesięcy. A najprawdopodobniej od chwili, gdy dowiedziała się o istnieniu tych hybrydowych rejestratorów. To nagranie... – Pokręcił głową. – Majstersztyk.

– Nie musiała się specjalnie trudzić – zauważył wielki admirał.



– Też prawda. Podali jej głowy na złotej tacy, ale to akurat dziwi mnie najmniej. Trzysta lat bezkarności uspiłoby czujność największego paranoika.

– Osiem planet... – mruknął zamyślony Farland, spoglądając na nadal włączony wyświetlacz.

– Słucham?

– Delta Ulietty nie była wyjątkiem. Korporacje miały pełną kontrolę nad ośmioma planetami tlenowymi w trzech metasektorach – wyjaśnił wielki admirał, odrywając wzrok od wyświetlanych informacji. Wezwawszy Rutte, poprosił adiutanta o przygotowywanie skrótowych raportów w razie pojawienia się jakichś nowych rewelacji i właśnie otrzymał jeden z nich. – Przy okazji akcji Świąckiego, tej pierwszej rzecz jasna, rozpowszechniono liczne dokumenty pokazujące, w jaki sposób oligarchowie naciskali na Radę i admiralicję, aby ukryć przed opinią publiczną fakt przywłaszczenia sobie kolejnych nowo odkrytych planet tlenowych. Wyobrażasz to sobie? Te skurwyklony... – Wziął głęboki oddech, żeby się uspokoić. – Każdy z nich miał całą planetę tylko dla siebie. Poważnie, do trzech tlenówek znajdujących się na Terytoriach Wewnętrznych mieli dostęp jedynie członkowie rodzin właścicieli i zapraszani przez nich goście. Pierwszą dostali siedemdziesiąt trzy lata temu... – Farland opadł na oparcie fotela z taką siłą, że całkiem solidny mebel zakołysał się niebezpiecznie. Na twarzy wielkiego admirała widać było czysty niesmak. – Zastanawiałem się, czy ta akcja z natychmiastowym pojmaniem, osądzeniem i straceniem szefów korporacji nie zostanie odebrana przez ludzi negatywnie, ale skoro ujawniane fakty bulwersują nawet mnie, a przecież wiedziałem wcześniej niejedno, to wyobraź sobie, co czują w tej chwili zwykli obywatele.

Rutta wyprostował się nagle, jakby poraziła go jakaś myśl.

– Mamy na stacji przedstawicielstwa wszystkich ważniejszych korporacji – rzucił przez lekko zaciśnięte gardło.

– Racja. – Wielki admirał pochylił się, by wybrać połączenie z centrum dowodzenia. – Monitorujecie sytuację na poziomach cywilnych? – zapytał, ledwie na wyświetlaczu pojawił się hologram oficera dyżurnego, nie pozwalając

temu ostatniemu wyrecytować zwyczajowej formułki powitania.

– Tak jest – odparł po sekundzie wahania mężczyzna w mundurze kapitana. – Wszystkie przedstawicielstwa korporacji zostały zamknięte w trakcie transmisji, sir. Większość pracowników opuściła biura jeszcze przed końcem przemówienia pani kanclerz. Wcale im się nie dziwię. To nagranie, sir... I te materiały ze spacenetu...

– Jak wyglądają nastroje na stacji?

– U nas jest... całkiem spokojnie – zameldował kapitan niezbyt regulaminowo, na co przełożeni nie zwrócili większej uwagi. Im samym daleko było w tej chwili do spokoju.

– A u cywilów?

– Wrze jak w ulu. Takiego transferu danych jak dzisiaj w życiu nie widziałem. Chyba każdy na bieżąco ściągał materiały udostępniane przez Modo.

– Przez kogo? – warknął Farland.

– Przez panią kanclerz, sir! – poprawił się natychmiast oficer dyżurny. – Łączy grzeją się teraz od rozmów. Sensory wskazują, że w mesach i barach poziomów cywilnych gromadzi się coraz więcej ludzi.

– Rozumiem. Wzmocnijcie na wszelki wypadek patrole. Zezwalam na użycie trzech dodatkowych plutonów żandarmerii. I na wydanie podwładnym sprzętu do tłumienia zamieszek, z wyjątkiem broni ciężkiej. Nie chcę, żeby ktoś sfrustrowany wyżył się na Bogu ducha winnych urzędnikach. Uświadomcie ludziom, że lokalni promineneci Wielkiej Trójcy to pracownicy co najwyżej średniego szczebla, wątpliwe więc, aby właściciele korporacji wtajemniczali ich w swoje najskrytsze plany.

– Tak jest!

Wielki admirał się rozłączył.

– Muszę przyznać, że ta kobieta ma jaja – rzucił Rutta, nie kryjąc podziwu. – Trzy największe megakorporacje, państwa w państwie, superrząd... – Sapnął. – Prawdziwi władcy tej części Galaktyki, można powiedzieć. Ludzie nietykalni, otoczeni armiami prawników i formacjami paramilitarnymi... A ona usunęła ich

ze sceny jednym ruchem.

– Na twoim miejscu powstrzymałbym się jeszcze chwilę z tymi pochwałami – mruknął Farland.

– A to niby dlaczego?

– Pomyśl... Skoro Modo nie miała najmniejszego problemu z załatwieniem takich graczy, co zrobi z nami, jeśli nie wykonamy kolejnych idiotycznych rozkazów Xiao?

Generał nie odpowiedział. Jego przyjaciel trafił w sedno. Gerdanielle Modo stała się tego dnia najpotężniejszym i najbardziej podziwianym człowiekiem w znanym wszechświecie. Jej notowania poszybują wyżej niż kiedykolwiek, a że politycy – jak uczy historia – uwielbiają popularność, zrobi wszystko, by pozostać jak najdłużej na szczycie.

Na pokonanych oligarchach i Święckim da się ujechać góra kilka tygodni, pomyślał Rutta. Potem będą potrzebne inne, nie mniej spektakularne sukcesy, tyle że militarne, jak na przykład rozgromienie liniowców Obcych w otwartej bitwie albo odbicie wcześniej zajętych systemów... Modo domagała się czegoś takiego już kilkakrotnie, lecz na szczęście wielkiemu admirałowi za każdym razem udawało się, czy to fortelem, czy to kontrpropozycją, wyperswadować jej wprowadzenie tych planów w życie. Jednakże teraz niesiona falą sukcesu polityczka z pewnością zacznie ich naciskać, a oni nie będą mogli odmówić jej żądaniom bez narażenia się na zarzuty.

– Trzeba ci przyznać, że potrafisz sprowadzić człowieka na ziemię – mruknął Rutta z goryczą w głosie.

– Czyżbyś sądził, przyjacielu, że ty jeden masz ten talent? – Wielki admirał zaśmiał się bez cienia radości, po czym zmienił szybko temat: – Jak idzie szykowanie więźniów do bitwy?

– Większość przeszła kiedyś przynajmniej podstawowe szkolenie, a że mamy ich zapakować na okręty drugiej generacji, na których w ciągu ostatnich lat nie wprowadzono wielu modyfikacji, wyniki przygotowań są całkiem zadowalające, chociaż nie ma co ukrywać, że ci ludzie wskutek długiego pobytu w kolonii

karnej stali się wrakami. Trzeba czasu, by wrócili do formy. Mogę obiecać, że za tydzień, góra dziesięć dni, będą gotowi do służby, nie spodziewałbym się po nich jednak cudów. Mimo że naprawdę się starają, to nawet nieliczni prymusi nie osiągają jeszcze siedemdziesięciu procent skuteczności podczas ćwiczeń na symulatorach.

– Ale swoje zrobią?

– Bez dwóch zdań. Jeśli masz na myśli to, żeby nawiązali kontakt bojowy z liniowcami i wytrzymali do chwili, gdy będziemy mogli odpalić te pieprzone sondy, jestem gotów dać... może nie głowę, ale mały palec u lewej ręki, że możemy na nich liczyć.

– Dopilnowałeś, by rdzenie trafiły, gdzie trzeba?

– Osobiście nadzorowałem każdy transport – poinformowałem generała. – Na moich oczach zamknięto i zaplombowano magazyny amunicji wybranych wyrzutni na obu niszczycielach. Wszystko poszło gładko i, co najważniejsze, bez niepotrzebnego zwracania uwagi.

– Świetnie. Przygotuj na jutro wyczerpujący raport dotyczący postępów prac z więźniami.

– Ten raport jest już gotowy – zaskoczył go Rutta. – Codziennie wieczorem nanoszę poprawki, żeby w każdej chwili był aktualny.

– Doskonale, doskonale... – Widać było, że wielki admirał błędzi myślami gdzie indziej.

– Co cię znowu gryzie? – zapytał wprost Rutta. Znali się zbyt długo, by nie reagował, widząc przyjaciela w takim stanie.

– Cały czas to samo.

– Czyli?

– Zastanawiałeś się, co będzie, jeśli nam się nie uda? Jeśli więźniowie nie zdołają uszkodzić liniowca w wystarczającym stopniu, by zainfekować go hybrydami?

– Owszem. – Rutta zaśmiał się pod nosem. – Przecież kazałeś nam opracować plan awaryjny.

– Plan awaryjny – powtórzył nieobecny głosem wielki admirał.

– Coś ci się w nim nie podoba?

– Pytasz, czy coś mi się w nim nie podoba? – Rozmowa z Farlandem zaczęła przypominać konwersację z chorym na echolalię.

– Mógłbyś wrócić do rzeczywistości choć na chwilę – zachnął się poirytowany generał.

– Wybacz. – Farland otrząsnął się, jakby istotnie właśnie się obudził. – Od kilku dni dręczy mnie niejasne przeczucie, że coś przeoczyliśmy. Nie umiem tego zwerbalizować, choć wciąż mi się wydaje, że mam to na końcu języka.

– Znam to uczucie, ale gwarantuję ci, że nasz...

– Daj mi sekundkę! – przerwał mu bezceremonialnie Farland, odsuwając wyświetlacz, by odsłonić klawiaturę wbudowanego w stół terminala.

Wyszukał i ściągnął wszystkie symulacje wspomnianego przez Rutte planu awaryjnego, nad którym pracowały zespoły najlepszych analityków sztabu. Zaproponowane przez nich rozwiązanie zakładało sprowadzenie na Rwandę dwóch zgrupowań, by atakujące t'iru, gdy przedrą się przez formację starych pancerników, musiały stoczyć drugi bój z regularnymi siłami floty. Plusem było nadwerężenie wroga w pierwszym starciu, minusem natomiast brak elementu zaskoczenia oraz...

– Kurwirtual... – jęknął nagle wielki admirał. – Wiem już, co mi nie pasowało!

– Zamieniam się w słuch.

Rutta obserwował przyjaciela z rosnącym zaciekawieniem. On sam nadal nie widział żadnego problemu. Wszystko było jak należy. Osobiście przewalkował każdy szczegół, by admiralicja nie mogła się przyczepić. Tymczasem Farland wklepywał coś zawzięcie, a potem uruchomił nową symulację i nad stołem między nimi pojawił się widmowy system i rozmieszczone w nim okręty.

– Nie myliłeś się, Franciscollin. Nawet jeśli więźniowie mimo swego poświęcenia nie zdołają zainfekować uszkodzonego t'iru, wszystko zagra idealnie. Chwilę później do walki włączy się drugie, silniejsze zgrupowanie.

Poniesiemy spore straty, to fakt, ale na pewno dopniemy swego.

– W czym więc problem?

– W tym, że mogą wywiązać się ze swojego zadania śpiewająco. Co będzie, jeśli uda im się uszkodzić poważnie któryś liniowiec?

– Tym lepiej dla nas, nie będziemy musieli ginąć bez po... – Rutta zamilkł w pół słowa, gdy zobaczył przebijające się przez pierwsze zgrupowanie liniowce i timer odliczający czas nad czekającymi kilka sekund świetlnych dalej okrętami.

Skupili się na ewentualnym niepowodzeniu tak bardzo, że na śmierć zapomnieli o szerszej perspektywie. Ma'lahn musieliby być skończonymi kretynami, żeby nie nabrać podejrzeń, kiedy o wiele potężniejsze siły ludzi uciekną przed nimi, i to w sytuacji, gdy kolejne starcie musiałoby się zakończyć niemal pewnym zniszczeniem wszystkich liniowców.

– Jeśli sprowadzimy na Rwanę drugie zgrupowanie okrętów, będziemy musieli go użyć bez względu na wszystko. A to może oznaczać konieczność zniszczenia zainfekowanego liniowca albo...

– Otóż to. Musimy walczyć, ponieważ ucieczka w tej sytuacji byłaby bardzo podejrzana. Równie dobrze moglibyśmy im wysłać holo, że właśnie podrzuciliśmy zajebiste pluskwy, dzięki którym zostaną namierzeni.

Z chmurnymi minami obejrżeli do końca połączone przez wielkiego admirała symulacje.

– Co zatem proponujesz? – zapytał po dłuższej chwili generał.

– Musimy przemyśleć to jeszcze raz. Przekaż sprawę szkoleń swojemu zastępcy, zbierz analityków i... – Zamilkł skonsternowany. – Sam wiesz najlepiej, co robić. Znajdźcie rozwiązanie tego problemu, zanim ktoś w admiralicji dojdzie do tych samych wniosków co ja przed chwilą.

# TRZY

*System Rwanda, Sektor Sierra,*

*17.11.2354*

– Nie. Nie zgadzam się. To samobójstwo! – Ninadine po raz pierwszy podniosła głos.

Siedziała naprzeciw Grunera w jego apartamencie zajmującym niemal ćwiartkę najwyższego poziomu kopuły. Było to lustrzane odbicie pomieszczenia, w którym sama mieszkała, przez co momentami czuła się dziwnie. Gdyby nie pewne różnice w wyposażeniu, miałyby wrażenie, że przeszła na drugą stronę lustra.

Adamadeus westchnął ciężko.

– Muszę to zrobić. Inaczej nigdy się nie dowiemy, gdzie jesteśmy i po co tak naprawdę nas tu przywieziono.

– Nie brnij w teorie spiskowe, proszę. – Truffaut wzdrygnęła się mimowolnie.

Chwilę wcześniej usłyszała z jego ust tuzin wyjaśnień, dlaczego otaczające ich zabudowania są atrapami. Tak, atrapami. Gruner dzień wcześniej wydrukował kilka ciężkich młotów i kilofów, którymi z pomocą Lucasa rozwalił ścianę w obiekcie oglądanym wcześniej razem z Ninadine. Chciał sprawdzić, na ile niewykończone są tamte zabudowania. To, co odkrył i pokazał jej później na nagraniach, nie nastrajało optymistycznie. W środku nie było nic – żadnych ścian działowych, żadnych poziomów. Kopuła ziała pustką.

Odkrycie to zrodziło kolejne pytania. Ewakuowani z Delty koloniści siedzieli

tu już niemal tydzień, a nadal nikt się do nich nie odezwał. Sami także byli ślepi i głusi, mimo że Adamadeus wydrukował na prośbę Ninadine niewielką i bardzo prostą radiostację, która odbierała masę stacji komercyjnych. Pomimo wielogodzinnych wezwań nie udało im się jednak z nikim skontaktować, co mogło oznaczać, że w promieniu kilkudziesięciokilometrowego zasięgu ich sprzętu nie ma żywej duszy.

Ludzie, gdy się o tym dowiedzieli, zaczęli szemrać, że korporacja zostawiła ich na pastwę losu. Ninadine musiała zwołać kolejne zebranie, aby uspokoić swoich tymczasowych podwładnych, co zrobiła najlepiej, jak umiała. Zapewniła, że przy tej liczbie kolonistów, którą ewakuowano naraz z Ulietty, nawet taki gigant jak EB może mieć problemy logistyczne, zwłaszcza że w podobnej potrzebie mogły się znaleźć inne instalacje należące do koncernu. Mówiła z pełnym przekonaniem, stanowczo, tak jak uczono ją na kursach liderów biznesu, lecz w głębi ducha była bardziej przestraszona od swoich słuchaczy.

W odróżnieniu od przeciętnego kolonisty wiedziała bowiem, że otaczają ich drukowane masowo makiety budynków i instalacji, które miały tylko przypominać prawdziwą kolonię górniczą. Gruner zmapował całą okolicę dzięki bardzo prostej dronie, na której druk zużył niestety mnóstwo cennych komponentów, ograniczając tym samym produkcję części zapasowych do natleniaczy i dyspenserów. Ninadine pozwoliła mu na to wyłącznie dlatego, że sama czuła coraz większy niepokój. Niemniej nawet ona miała świadomość istnienia nieprzekraczalnych granic – a jedną z nich Adamadeus zamierzał właśnie przekroczyć.

– To nie są teorie spiskowe – zaprotestował. – Przecież widziałas, jak wygląda reszta tej niby-kolonii. Okłamywano nas od samego początku. Do zamieszkania nadawały się tylko te obiekty, w których zostaliśmy rozlokowani. Pozostałe kopuły to puste skorupy. Poromasa i trochę kwasoodpornej farby. Flota nikogo więcej tutaj nie przrzuci.

– Może przywiozą następnych ewakuowanych, a nas stąd zabiorą. – Ninadine próbowała się trzymać racjonalnych wyjaśnień.



– Sama chyba w to nie wierzysz. Jaki sens miałaby taka wymiana?

– Prosty. EB przysłała jakiś statek, którym zabiera nas do innego pasa albo metasektora, a flota przywozi na nasze miejsce kolejnych oczekujących na transfer z Trinity 44. Loty międzysystemowe kosztują, pamiętaj o tym.

– Drukowanie makiet w tej skali też jest drogie, a jakoś nikt na tym nie oszczędza – zakpił.

Koszty tej operacji, jakkolwiek był jej cel, szły w miliony, jeśli nie miliardy kredytów. Nagrania z drony pokazały, że w tej części planety pracuje sześć wielkich samowystarczalnych drukarek przemysłowych. Od najbliższej dzieliło ich osiem kilometrów, od następnej aż dwadzieścia dziewięć, czyli mniej więcej doba nieprzerwanego marszu, bo więcej niż półtora kilosa na godzinę, jak wyraził się Adamadeus, nikt w tych warunkach pogodowych nie zrobi. A to znaczyło, że każdy, kto wybierze się w taką trasę, przypłaci to życiem.

Skafandry miały zapas tlenu na maksymalnie trzy godziny, jednakże przy zwiększonym zużyciu związanym z dużym wysiłkiem główny zbiornik opróżni się w półtorej, góra w dwie godziny, jeśli Gruner rzeczywiście był tak doświadczonym wędrowcem, jak mówił. Dodatkowe butle, które mógł zabrać, dałyby mu drugie tyle tlenu, ale ich łączny ciężar wycisnęłyby z niego ostatnie poty, a więc i średnie zużycie także by wzrosło.

Na tym kończyły się możliwości i zarazem szanse na powodzenie tej wyprawy. W najlepszym razie Adamadeus miałby zapas tlenu przez dwie trzecie trasy. Mimo to upierał się, by podjąć próbę. Po kilku godzinach spędzonych w odosobnieniu – tak podobno najlepiej mu się myślało – wezwał ją do siebie i wyłuszczył jej nowy plan.

Chciał wydrukować wózek. Prostą konstrukcją, na której zmieściłby kilka „odchudzonych” zbiorników. Z jego wyliczeń wynikało, że razem z zapasem skafandra będzie miał powietrza na prawie dziesięć godzin, zatem margines bezpieczeństwa pozostanie całkiem spory. Ninadine wyśmiała go, pukając się w głowę. Ból w nogach nie pozwalał jej bowiem zapomnieć, jak trudno się idzie z takim obciążeniem po nierównym terenie, w strugach kwasu, przy porywistym

wietrze. Poza tym nie wierzyła w zapewnienia kolegi, że wielkie drukarki mają sterownie awaryjne, w których muszą być systemy podtrzymywania życia, a więc i źródła tlenu. Ale on się upierał, że ekipy serwisowe nie mogą pracować, nie mając zapewnionych podstawowych wygód. Pokazał jej nawet na nagraniu miejsce, w którym jego zdaniem znajdowały się te pomieszczenia. Faktycznie, na jednym z czterech teleskopowych filarów, czy też nóg, drukarki dojrzała dziwne wybrzuszenie. Niestety nie była w stanie sprawdzić, co się kryje za ścianą z plastali.

Zresztą nawet gdyby było tam to wszystko, o czym mówił Gruner, pozostawała jeszcze kwestia samej drogi. Czym innym jest swobodny marsz, a czym innym mozolenie się z ciężkim wózkiem, który w tych warunkach musiałby ważyć co najmniej pięćdziesiąt kilogramów. I tutaj Adamadeus zaskoczył ją najbardziej. Wybuchnął śmiechem, kiedy rzuciła mu w twarz, że nie zdoła jej pokazać trasy, którą dotrze na miejsce, bo taka nie istnieje. W dobie napędów grawitacyjnych nikt nie tracił czasu i funduszy na budowanie powierzchniowych dróg.

– I tu się mylisz, moja droga – odparł Gruner, wprowadzając kilka poprawek do holomapy. Gdy ją powiększył, Ninadine opadła szczęką.

Adamadeus zamierzał się wspiąć na niewykończony tor kolejki elektromagnetycznej i po nim dostać się w pobliże drukarki. Truffaut nadal widziała same problemy, które on zbył wzruszeniem ramion. Wyjaśnił jej też cierpliwie, dlaczego się myli. Mówił krótko i rzeczowo, a co najważniejsze, bardzo wiarygodnie.

– Wspięcie się na tor to żadna trudność – stwierdził. – Na początek wystarczy zwykły hak i przytwierdzona do niego lina. Wózek wciągnę na górę w częściach i zmontuję na podstawie szyny, szerokiej na ponad dwa metry. Będę tylko musiał wszystko dokładnie wymierzyć, aby zawieszenie było wystarczająco wysokie i nie tarło o wystający element toru, na którym powinny być zamontowane elektromagnesy. Koła nie muszą być wcale pionowe, wystarczy, że zrobię obręcze pod odpowiednim kątem...

Słuchając go, miała wrażenie, że wszystko jest dla niego łatwe i proste, a mimo to przepełniało ją przecucie, iż nie powinna pozwolić mu na tę wyprawę. Pomysł był czystym szaleństwem, za które cała odpowiedzialność spadnie na nią.

Gdyby coś się stało Grunerowi...

Choć nie przyznałaby tego otwarcie, nie wyobrażała sobie życia tutaj bez Adamadeusa. Nie, nie zadurzyła się w nim – na to nie pozwalała jej blokada hormonalna, którą kazała sobie założyć jeszcze przed wylotem na Deltę – bała się po prostu, że nie da rady zapanować nad kolonistami, gdyż ci z każdym dniem stawali się bardziej zniecierpliwieni i tylko on, twardy facet, wiedział, co zrobić, by usadzić prowodyrów. Jeśli firma nie zabierze ich w najbliższym czasie z tej zapomnianej przez bogów i ludzi planety, może dojść do najgorszego. Dlatego właśnie zaproponowała, by Gruner poczekał kilka dni, przemyślał wszystko jeszcze raz. Liczyła, że razem wpadną na lepszy pomysł. Albo doczekają się upragnionej ewakuacji.

– Albo zrobię to teraz, albo nigdy – odparł, ponownie włączając nagranie z drony. – Spójrz, ta drukarka wykonała już prawie czterdzieści procent kopuły. Kiedy skończy, moduł transportujący przerzuci ją w nowe miejsce. Jeszcze odleglejsze. Najprawdopodobniej tutaj. – Wskazał palcem przeciwne zbocze szerokiej doliny, na której dnie ulokowano niby-hutę. – Mam maksymalnie pięć dni na dotarcie do celu. To naprawdę ostatnia szansa, by sprawdzić, co się tu dzieje.

– Chcesz się tego dowiedzieć z OS-u zwykłej drukarki?

– Jeśli człowiek wie, gdzie i czego szukać, może znaleźć wiele cennych informacji. Na przykład koordynaty systemu, do którego trafiliśmy.

– A ty wiesz, gdzie szukać?

– Owszem. I uprzedzając kolejne pytanie, wiem także, jak się steruje tym cudem techniki. Na pewno zdołam opóźnić jej przeniesienie.

– Po co? Co nam to da?

– Spróbuję wydrukować za jej pomocą coś bardziej skomplikowanego, na

przykład najprostszy transporter kołowy, a może nawet grawiolot...

– Nie wciskaj mi kitu.

– A co powiesz na... nadajnik dużej mocy?

Przestała się uśmiechać.

– Nie mam mnie obietnicami bez pokrycia – poprosiła.

– To MK-809, moja droga – rzucił z rozbawieniem, skupiając wzrok na hologramie przedstawiającym pracującą wśród skał drukarkę. – To urządzenie może prawie wszystko. Jeśli na planecie znajduje się wystarczająca ilość potrzebnych surowców, sprzęgnięte z nim wiertnie dotrą do nich, dostarczą je do rafinerii i przesypią do zespolonych kartridży, które my potem przejmujemy. Gdy już będziemy mieli wszystkie pierwiastki, wystarczy wprowadzić do procesorów drukarki odpowiednie plany, nacisnąć magiczny klawisz i za jakiś czas tadam! otrzymasz, co tylko ci się zamarzy. Od takiej kopuły – wskazał obły sufit – po największą instalację przemysłową, jaką sobie potrafisz wyobrazić. Tak to działa.

– Naprawdę zdołasz wydrukować nadajnik dużej mocy? – zapytała z zauważalnym entuzjazmem.

– Tak. Nawet łącze kwantowe nie byłoby problemem, gdybyśmy mieli dość czasu, surowców, energii, no i... plany.

Cała radość i uniesienie uszły z niej jak powietrze z przekłutego balonu.

– Zatem nie wiesz, czy banki danych tej drukarki obejmują plany nadajnika?

– Pewności nie mam – przyznał – ale patrzysz na model przeznaczony do budowy kompletnych kolonii. Wątpię, aby ktoś wykasował z niego tę część danych, która może się przydać w kolejnym systemie.

Jak zwykle znalazł dającą nadzieję odpowiedź.

– Dobrze – odpowiedziała Ninadine po chwili namysłu. – Zróbmy to. Ale pamiętaj: naszym głównym priorytetem jest zdobycie nadajnika. Wszystko inne może poczekać.

Uważała, że tylko powiadomienie zwierzchników może polepszyć ich położenie. Flota z jakiegoś powodu zapakowała ich do tego odległego systemu,

w którym budowano idiotyczną makietę kolonii, a potem odcięła od wszystkiego, w tym także od łączności. Jeśli jednak zdobędą nadajnik o odpowiednio dużej mocy, sygnał dotrze do stacji tranzytowej znajdującej się w pobliżu strefy skoku każdego zamieszkanego systemu, a stamtąd powędruje łączami kwantowymi najpierw do węzła pasowego, skąd – także drogą nadświetlną – trafi do siedziby głównej korporacji.

Ninadine była przekonana, że EB nie daruje admiralicji takiego traktowania personelu, a już zwłaszcza kogoś z kierownictwa, nawet jeśli jest to tylko menadżerka trzeciego szczebla.

# CZTERY

*System Sparta, Sektor Victor,*

*21.11.2354*

Henryan zacisnął obie dłonie w pięści, gdy otrzymał informację z mostka mówiącą o tym, że ze studni grawitacyjnej wyłonił się ostatni, dziesiąty transportowiec. Po przybyciu t'iru konwój otrzymał rozkaz jak najszybszego wykonania skoku w podprzestrzeń. Wcześniej Święcki zalecił każdej z podległych mu jednostek obranie innego wektora, tak by okręty dotarły mniej więcej w tym samym czasie do kilku systemów znajdujących się w pasie T, skąd miały polecieć dalej, wykorzystując ten sam rodzaj napędu, by po wykonaniu trzeciego wolnego skoku znaleźć się na kontrolowanej wciąż przez ludzi, a raczej niezajętej jeszcze przez wroga Sparcie.

To właśnie tam, w tym peryferyjnym, niezamieszkanym dotąd systemie, wyznaczono punkt zborny. Pierwsza na miejsce dotarła eskadra niszczycieli. Następnie w ciągu kilkunastu godzin na Sparcie pojawiły się cztery transportowce, trzy krążowniki i obie korwety zwiadu elektronicznego. Na pozostałe jednostki trzeba było poczekać kolejną dobę, w końcu jednak w przestrzeni otaczającej gasnącą od milionów lat karłowatą gwiazdę zgromadziły się wszystkie okręty, jakie flota wysłała na Uliette.

Dopiero wtedy Święcki przestał się denerwować. Media Federacji już dawno odtrąbiły sukces jego misji, tego był pewien. Po przesłaniu ostatniego meldunku z Ulietty Rada awansowała go po raz kolejny. Tym razem nie musiał czekać na

kontrasygnatę admiralicji. Xiao podpisał stosowne dokumenty, zanim flagowiec Henryana dotarł do pasa T. Stamtąd właśnie szesnastego listopada, podczas krótkiego tranzytu, wysłano krótki komunikat do sztabu metasektora, na który ku zdziwieniu wszystkich przyszła niemal natychmiastowa odpowiedź. W przesłanym z Anzio pliku był tylko jeden dokument – wspomniana nominacja.

Odtąd podwładni tytułowali go przy każdej okazji pułkownikiem, mimo że na mundurze nosił wciąż insygnia majora. Członkowie załogi byli niezwykle dumni z tego, że ich tymczasowy dowódca został doceniony; widział to w ich twarzach, podobnie jak napięcie towarzyszące wyczekiwaniu, kto jeszcze zostanie nagrodzony. Wszyscy byli pewni, że posypie się na nich grad medali, może nawet kilku szczęśliwcom uda się pójść w ślady komodora i także będą mogli przypiąć do naramienników kolejne belki albo gwiazdki.

Henryan nie przyjął insygniów przyniesionych na mostek przez Moorcocka, który, jak na porządnego oficera przystało, miał pod ręką nie jeden, lecz kilka zapasowych mundurów. Nie zlecił też wydrukowania nowych sortów, choć intendentura wykonałaby to zamówienie w dosłownie kilka minut. Wyjaśnił współdowódcom, że wiadomość o awansie pomimo zatwierdzenia przez górę jest tylko informacją, zatem on sam poczuje się pułkownikiem dopiero wtedy, gdy odbierze nominację z rąk wielkiego admirała, a to nastąpi już po powrocie na Anzio.

Tak brzmiała wersja oficjalna. Naprawdę zaś chodziło mu o to, by nie zapeszyć, skoro definitywne pokonanie wroga stoi wciąż pod znakiem zapytania. Przynależał sobie, że nie zacznie świętować sukcesu, dopóki nie zbierze ponownie wszystkich jednostek. Nie z innego powodu pozwolił sobie teraz – ponad cztery doby od opuszczenia Ulietty – na pierwszy uśmiech i coś jeszcze. W zaciszu kajuty wychylił szklaneczkę brandy, którą ku swemu wielkiemu zaskoczeniu otrzymał tuż przed wylotem od samego Ruddy. Generał wcisnął mu ją w rękę, gdy spotkali się przy terminalu na kilka minut przed odcumowaniem, i powiedział z szerokim uśmiechem na ustach, że czymś przecież trzeba będzie

podjąć Fitzę i jego pomocników.

Szef pionu naukowego EB ewakuował się z jaskiń ostatni, nic więc dziwnego, że transportowiec, na który trafił, musiał obrać wektor prowadzący do najodleglejszego systemu pasa T, by nie znaleźć się w polu rażenia zbliżających się do Delty t'iru. Święcki, mimo opuszczenia Ulietty kilkadziesiąt sekund później, miał znacznie większy wybór. Jego krążownik jako jedyny okręt eskorty pozostał w systemie do zakończenia ewakuacji. Z jednej strony zależało mu na dopilnowaniu wszystkiego – wolał nie myśleć, co z jego psychiką zrobiłoby te kilka dni niepewności – z drugiej był ciekaw reakcji ma'lahn, którzy po raz pierwszy mieli do czynienia z rajdem na zajęte przez siebie terytorium. Nakazał więc komandorowi Vilajnenowi, współ dowódcy krążownika odpowiadającemu za pion nawigacyjny, by ten zaraz po wydaniu pozostałym jednostkom rozkazu ucieczki oddalił się od Delty, ale pozostał w normalnej przestrzeni do chwili, gdy ostatni transportowiec zniknie z systemu.

To ryzyko opłaciło się zdaniem Henryana w dwójnasób. Teoria, na którą wpadł, obserwując nieco wcześniej drony Obcych, wydawała mu się teraz jeszcze bardziej prawdopodobna i spójna. Wstępne raporty z pokładu jednostki, która przejęła zdobyczne wraki, potwierdziły jego przypuszczenia. Platformy bombardujące i większe satelity były klasycznymi bezzałogowcami. Nie znaleziono w nich też ani odrobiny biomasy, o której mówił Stachursky, opisując wnętrze t'iru. Te pojazdy wykonano wyłącznie ze stopów, a przynajmniej tak twierdzili badający je technicy z ekip remontowych.

Pokrzepiwszy duszę, Święcki odświeżył także ciało, biorąc krótki powietrzny prysznic. Później włożył świeży mundur i przeszedł pośpiesznie na mostek, by nawiązać kontakt ze sztabem metasektora. Załoga będzie musiała mu wybaczyć obcięcie limitu dostępnej w najbliższych godzinach energii. Musiał jak najszybciej porozmawiać z Rutką, by generał i wielki admirał mieli czas na przemyślenie strategii zbliżającej się bitwy, biorąc pod uwagę także jego nowe „odkrycie”.

Zajął miejsce w fotelu, skinął na czekającego w polu widzenia wachtowego



z działu łączności, a gdy otoczyła go sfera holokamer, aktywował szyfrowanie i włączył ekran izolacyjny. Złocista kopuła odcięła stanowisko dowodzenia od reszty mostka, izolując je całkowicie od świata zewnętrznego.

– Generale. – Święcki zaszutował przepisowo, nie wstając jednak z fotela, co akurat nie było podyktowane brakiem szacunku, lecz wymogami technicznymi, w tym wypadku rozmiarami otaczającej go kopuły.

– Pułkowniku – odpowiedział równie formalnie Rutta. – Jak rozumiem, możemy już panu pogratulować sukcesu? Tego sukcesu – uściślił, nawiązując do treści poprzedniej wiadomości, w której świeżo mianowany pułkownik zapowiadał, że zgłosi się po zebraniu całego konwoju.

– Tak, sir. Ostatni transportowiec przybył właśnie na Spartę – odpowiedział uśmiechnięty od ucha do ucha Henryan. – Niniejszym potwierdzam ewakuowanie z Ulietty ośmiu tysięcy stu szesnastu osób. Niestety Obcy zdołali wykryć reaktor i zbombardowali go z orbity już kilka dni po zajęciu systemu, sir.

– Wiem, pułkowniku, wysłuchałem uważnie pańskiego wcześniejszego raportu. – Rutta wyglądał na zmęczonego; na holograficznym odzwierciedleniu jego twarzy, niemal dwukrotnie większym od naturalnych rozmiarów, było wyraźnie widać wory pod oczami i bruzdy na policzkach. Henryan nie pamiętał ani jednych, ani drugich. Gdyby ludzie wciąż mieli zarost, szczęki generała byłyby zapewne pokryte gęstą szczecią. – Domyślam się, że pańska prośba o pilny kontakt miała na celu coś więcej niż tylko oznajmienie mi tej radosnej wiadomości...?

– Jak zwykle ma pan rację, sir. Chciałbym podzielić się z panem pewnym spostrzeżeniem, które może mieć istotne znaczenie podczas planowania nadchodzącej bitwy.

– Zamieniam się w słuch. – Rutta odsunął się nagle od holokamer, opadając na oparcie fotela.

Henryan przełknął ślinę. Przygotowywał ten wywód od dwóch dni, przećwiczył go w pamięci ze sto razy i powtórzył przed lustrem dziesięciokrotnie, a mimo to, patrząc w podkrążone oczy przełożonego,

natychmiast zapomniał języka w gębie. Układane i cyzelowane zdania wyparowały bezpowrotnie, szybciej niż okręty trafione prosto w reaktor. Nagle też utracił pewność, że poskładana przez niego teoria ma sens. Było już jednak za późno, aby się wycofać.

Zaczął mówić, zanim na twarzy generała pojawiło się zdziwienie.

– Jak pan zapewne wie, przejeżdżaliśmy na Ulietcie kilka platform bombardujących i dwie nieco większe jednostki bojowe...

– Wiem, pułkowniku. – Rutta wykorzystał jego niezdecydowanie i wszedł mu w słowo. – Skoro już przy tym jesteśmy, radziłbym przygotować raport na temat tego, dlaczego kazał pan usmażyć sprzęt wroga, zamiast próbować przejąć go w stanie nienaruszonym.

Zaskoczony Henryan zamilkł. Wszystkiego się spodziewał, ale nie ataku z tej strony. I to w wykonaniu tego akurat człowieka.

– Napisałem taki raport zaraz po odlocie z Ulietty, sir – poinformował generała. – Pierwotnie brałem pod uwagę takie rozwiązanie, ale po przeprowadzeniu kilku symulacji odrzuciłem je jako zbyt niebezpieczne. – Sięgnął do konsoli, by przesłać Rutcie przygotowane wcześniej nagranie i dołączone do niego pliki. – Chciałem zastosować taktykę polegającą na przerzuceniu kilku niszczycieli znacznie bliżej sfery, zmuszając tym samym przeciwnika nie tylko do wystrzelenia całej amunicji stałej, ale też do maksymalnego wyczerpania reaktorów, dzięki czemu moglibyśmy zyskać szansę na przejęcie platform bombardujących w nienaruszonym stanie. Problem polegał na tym, że kompletnie nic nie wiedzieliśmy o sprzęcie używanym przez Obcych. Musiałem więc wziąć pod uwagę możliwość, że zostanie wdrożona procedura samozniszczenia unieszkodliwionych przez nas satelitów. Wie pan przecież, że wszystkie nasze okręty mają takie zabezpieczenia na wypadek, gdyby wpadły w ręce wroga. Ponieważ czas naglił, przyjąłem, że przeciwnik stosuje podobne rozwiązania, co wydawało się tym bardziej prawdopodobne, iż mieliśmy do czynienia ze zwykłymi pojazdami bezzałogowymi, które każdy by poświęcił w tej sytuacji. Dla mnie wybór był prosty: mogłem albo podjąć większe ryzyko,

być może nic nie zyskując, albo podejść zdobycz ostrożnie, za to skutecznie.

Rutta kiwnął parokrotnie głową, po czym powiedział:

– Proszę mnie źle nie zrozumieć, pułkowniku. W pełni się z panem zgadzam, ale... Admiralicja jest teraz w rozsypce. Pani kanclerz dokonała trzy dni temu wielkich czystek, pozbywając się z floty najbardziej zagorzałych stronników straconych oligarchów, w wyniku tego ocaleni z pogromu... a między nami mówiąc, jest to typowy zabiurkowy plankton... wyłazą od tamtej pory ze skóry, by zapunktować w oczach przełożonych, ponieważ dzisiaj każdy najdrobniejszy nawet sukces oznacza automatyczny awans.

Henryan słuchał tych słów, czując, że jego żuchwa opada coraz niżej. Był w takim szoku, że nie mógł temu zaradzić, choć bardzo się starał.

– Czystki w admiralicji?

Rutta osłupiał.

– To wy tam nic nie wiecie? – zapytał w końcu.

– O czym?

– Mieliśmy tutaj prawdziwą rewolucję – wyjaśnił generał. – Szkoda czasu i pieniędzy na czcze gadanie. Proszę zapoznać się na spokojnie z tymi materiałami, zaczynając od orędzia Gerdanielle Modo. – Zniknął na moment z pola widzenia, sięgając do klawiatury swojego terminala.

– Jest aż tak źle? – tyle tylko zdołał wydukać Święcki.

– Piekło na ziemi, pułkowniku. Piekło na ziemi i w kosmosie. Przepraszam za tę dygresję, ale bałem się, że jeśli zaczniemy zgłębiać poruszony przez pana temat, zapomnę o pytaniu, które przesłał dzisiaj rano nowy szef pionu taktycznego. Przekażę mu pańską analizę, co powinno zamknąć sprawę, jeśli jednak zechce drążyć dalej, spróbujemy się tym zająć. Przejdźmy do tego, co chciał mi pan powiedzieć.

– Tak jest. Chodzi o to, generale, że od początku zakładaliśmy, iż jesteśmy atakowani przez ma'lahn... – Henryan zamilkł, gdy zdał sobie sprawę, jak to musiało zabrzmieć. – Źle się wyraziłem, przepraszam, sir. Może ujmę to tak: od samego początku przyjęliśmy za pewnik, że na pokładach t'iru muszą

przebywać Obcy. – Mina Rutty zdradzała, że ten nadal nie rozumie, do czego zmierza jego podwładny. – Rzecz w tym, że pułkownik Moorcock, dowódca pionu taktycznego mojego nowego flagowca, zwrócił uwagę na dziwne bierne zachowanie pozostawionych na Ulietcie jednostek wroga. Początkowo sądziłem, że to zapowiedź jakiegoś podstępu, ale po przemyśleniu sprawy uznałem, że musi chodzić o coś innego. To były autonomiczne jednostki bezzałogowe. Zaprogramowano je na wyszukiwanie i niszczenie wszystkiego, co pozostawiliśmy na planecie. W momencie zagrożenia kierująca tymi platformami sztuczna inteligencja zajęła postawę obronną. Wybrała najprostsze, choć zarazem najgorsze rozwiązanie: zgrupowała wszystkie jednostki, by mogły chronić się wzajemnie. Przyzna pan, sir, że to wiele mówi o zdolnościach taktycznych istot, które tworzyły te systemy.

– Proszę kontynuować, pułkowniku. – Rutta zaczął coś notować.

– Po odlocie z Ulietty przejrzałem wszystkie dostępne nagrania z wcześniejszych ataków i odkryłem pewną prawidłowość. Zauważyłem mianowicie, że t'iru stosują jedną strategię, podlegającą kilku zaledwie drobnym modyfikacjom w zależności od warunków starcia. Moim zdaniem dowodzi to, że mamy do czynienia z reakcjami sztucznej inteligencji, nie istot rozumnych. Proszę przypomnieć sobie Vandala. Nie sam atak, ale fazę niszczenia wszystkiego, co znajdowało się w tym systemie. Oglądając nagrania, nabrałem pewności, że obserwuję poczynania maszyn. Wykonane później analizy potwierdziły to w stu procentach. Niszczenie stacji i instalacji powierzchniowych było zbyt metodyczne jak na istoty podlegające emocjom. My wybieramy na początek potencjalne punkty oporu, nie przejmujemy się duperełami, bo to nie ma najmniejszego sensu z punktu widzenia taktyki i strategii, tymczasem Obcy niszczą cel metodycznie, nie zostawiając kamienia na kamieniu. Na Vandalu każde dzieło ludzkich rąk zostało namierzone i ostrzelane. To samo można zaobserwować na pozostałych, niestety niezbyt licznych nagraniach. Zdjęcia kolonii na Delcie... – zamilkł, by przełknąć ślinę. – Proszę im się przyjrzeć, tam także nie został kamień na kamieniu... To

bombardowanie musiało trwać dwie albo trzy doby. Czy pan niszczyłby płot oddzielający zabudowania na peryferiach od ściany niby-lasu? I to tak, by nie ostał się ani jeden słupek?

– Zmierza pan do tego, że ma'lahn nie biorą osobiście udziału w tych misjach? – zapytał Rutta, przerywając na moment pisanie.

– A czy pan, będąc praktycznie nieśmiertelny, ryzykowałby życie w starciu z czymś tak godnym pogardy jak... należące do pana bydło rzeźne?

Generał zastanawiał się przez chwilę.

– To zależy, jak bardzo byłbym znudzony życiem – odparł.

– Podchodzi pan do tego jak człowiek, a to poważny błąd – przestrzegł go Henryan.

– Dlaczego ma'lahn mieliby myśleć inaczej?

– Dlatego, że są inni, *obcy*, a w dodatku praktycznie nieśmiertelni. Dlatego, że jest ich naprawdę niewielu.

– Z zeznań Stachursky'ego nie wynika nic takiego.

– Może nie bezpośrednio, ale jeśli poczyta pan między wierszami, może pan odnieść takie wrażenie. Proszę zresztą spojrzeć na tę kwestię z szerszej perspektywy. Jeśli to liczna rasa, dlaczego dysponuje tylko kilkudziesięcioma okrętami wojennymi? Nie powinni mieć na każde zawołanie setek albo tysięcy t'iru?

– To niezbyt trafiony argument – stwierdził bez namysłu Rutta. – Nas jest wiele miliardów, ale we wszystkich flotach nie mamy nawet stu pięćdziesięciu pancerników.

– Proszę dodać do tego tysiąc krążowników – skontrował Świącki – i dwadzieścia razy więcej mniejszych jednostek. Czy pan trzymałby takie siły z dala od teatru ważnej wojny? Zwłaszcza że zależy panu na wyparciu przeciwnika ze znanej przestrzeni?

– Raczej nie – przyznał Rutta.

– Mnie też wydaje się to nieprawdopodobne. Dlatego twierdzę, że gdyby ma'lahn dysponowali większą flotą, użyłoby jej choćby do niszczenia mniej

ważnych celów albo przeprowadziliby z jej pomocą szybkie rozpoznanie. Wysyłając na nasze terytorium kilkaset jednostek, mogliby podbić całe Rubieże w parę tygodni.

– Zapomina pan, pułkowniku, że mówimy o istotach żyjących setki tysięcy, a może nawet miliony lat. Ich koncepcja pośpiechu może różnić się od naszej, i to znacznie.

– Wiem, generale, niemniej musi pan przyznać, że moja teoria jest spójna i całkiem sensowna. Jeśli spojrzy pan pod tym kątem na analizy wcześniejszych nagrań, sam pan zobaczy, że mam rację. U licha, nawet ich milczenie i brak reakcji na nasze wezwania pasują jak ulał do mojej tezy.

– Nie przeczę, że coś może być na rzeczy.

– Jeśli mam rację, ta wojna może być o wiele łatwiejsza do wygrania, niż nam się do tej pory wydawało.

Generał się uśmiechnął.

– Oby tak było, pułkowniku, bo idą naprawdę ciężkie czasy.

# PIĘĆ

– O której przycumuje wahadłowiec przewożący Fitzę i jego ludzi? – zapytał Święcki zaraz po zakończeniu rozmowy z Rutką.

– O jedenastej sześć, dokładnie za dwadzieścia minut, sir – zameldował wachtowy z pionu logistyki.

– Ile czasu zostało do skoku?

– Trzydzieści jeden minut, sir.

– Świetnie. – Henryan wstał z fotela. – Przygotujcie kajuty gościnne dla wszystkich, którzy przylecą. Goście zostaną na pokładzie do opuszczenia nadprzestrzeni.

– Na pokładzie nadlatującego promu jest jeden pasażer – dodał podoficer, zanim komodor odwrócił się do Moorcocka.

– Jak to jeden? – obruszył się Święcki.

– Tak podaje lista pokładowa, sir. Z pokładu dziesiątki maszyna zabrała tylko mężczyznę nazwiskiem Oliwerner Fitz.

– Nieważne... – Henryan próbował zamaskować zaskoczenie. Wyraźnie zaznaczył, że zaprasza też do siebie wszystkie osoby, które pomagały Fitzowi. Nie rozumiał, czemu cywile zignorowali jego słowa, lecz nie wątpił, że wkrótce się tego dowie. Na razie jednak nie zamierzał drzeć z tego powodu szat, przeniósł więc wzrok na dowódcę pionu taktycznego. – Pułkowniku, przejmie pan tymczasowo moje obowiązki. Nie spodziewam się żadnych niespodzianek, ale gdyby zaszło coś nieprzewidzianego, proszę mnie natychmiast wezwać.

– Tak jest... – współdowódca krążownika się zawahał – komodorze.

Mógł tytułować Henryana nowym stopniem, który regulaminowo ich zrównywał, jednakże po krótkim zastanowieniu uznał, że pozostanie przy przyjętej uprzednio tytulaturze.

Święcki opuścił mostek, żegnany zwyczajowym gwizdkiem dyżurnego. Kajuta, którą mu przydzielono, znajdowała się parę kroków od centrum dowodzenia, mógł więc wrócić na swoje stanowisko bezzwłocznie po ogłoszeniu alarmu. Idąc teraz w przeciwnym kierunku, dotarł na miejsce po dosłownie dziesięciu sekundach, choć wcale się nie śpieszył, a przynajmniej takie sprawiał pozory. Pliki przesłane przez Rutkę przekierował od razu na swój terminal. Był niezmiernie ciekaw, co za rewolucja wydarzyła się zdaniem generała. Sądząc po wyglądzie przełożonego, w sztabie metasektora musiało się wiele dziać ostatnimi czasy. Henryan nie pamiętał, by zawsze zadbany Rutta kiedykolwiek wydawał się taki zapuszczony. To musiało coś znaczyć.

Generał polecił mu, żeby oglądanie plików rozpoczął od wystąpienia Gerdanielle Modo, ale palec Święckiego dotknął wirtualnej klawiatury, zanim jego wzrok dotarł do odpowiedniego pliku. „Ninadine” – tak nazwano dokument, który zaintrygował go bardziej niż poczynania Rady.

Od wyruszenia na tę misję wiele rozmyślał o panie Truffaut, jednakże nie robił nic, co przeszkodziłoby mu w wykonaniu zadania. Odnalezienie jej było dlań ważne, aczkolwiek nie aż tak jak uratowanie ośmiu tysięcy kolonistów, którzy zostali na Delcie. Poza tym zlecił poszukiwania osobie, którą doskonale znał i której mógł w pełni zaufać. Był to ktoś, kto potrafił zhakować pocztę generała i dołączyć do przesyłanych plików dokument, o którego istnieniu nikt inny nie powinien wiedzieć.

Dlatego właśnie wiedziony ciekawością Henryan zaczął przeglądanie folderu od nielegalnego załącznika.

Nie było to nagranie, lecz najzwyczajsza w świecie pisemna notatka. W dodatku bardzo zwięzła.

*GEP nie żyje. Podobno zginął w wypadku, ale dziwnym trafem trójca czarnych zapukała do drzwi*



mojej kwatery dokładnie pięć minut po tym, jak rozbił się wagonik kolejki, którą jechał nasz wspólny znajomy. Moje szczęście, że wyskoczyłem akurat po coś do jedzenia. Ukrywam się, ale wiem, że mam godzinę, góra dwie, mimo że pozbyłem się baterii. Ta stacja jest skrzętnie monitorowana, a w systemie bezpieczeństwa figuruję już, nie wiem nawet dlaczego, jako zbieg winny licznych wykroczeń i przestępstw. Numer jeden na liście najbardziej poszukiwanych – ja, uwierzyłbyś w coś takiego? Człowieku, lista moich zbrodni jest tak długa, że chyba zrzucili na moje barki wszystkie nierozwiązane dotąd sprawy tego metasektora. Od opuszczenia kolonii karnej nie zrobiłem nic, by nadeprnąć czarnuchom na odcisk. Jedyne wykroczenie, jakie popełniłem, to „wyszukanie” informacji dla naszego wspólnego przyjaciela (jeśli nie liczyć włamania do kompa Bruttala, ale to zrobiłem już po oskarżeniu o wszystkie zbrodnie świata, więc nie może się liczyć). GEP poprosił mnie, abym namierzył dla Ciebie kobietę, której imieniem nazwałem ten plik. Włamałem się do najpilniej strzeżonych (akurat!) baz danych trzeciej floty, przeszukałem wszystkie banki, ale prawdę mówiąc, głównie znalazłem. Po dotarciu na Trinity 44 ślad Ninadine nagle się urywa, jakby tam wyparowała. Zdziwiło mnie to, ponieważ co jak co, ale intendenturę mamy na poziomie. Zacząłem więc grzebać głębiej i wtedy zauważyłem coś dziwnego, a nawet niepokojącego. Takich jak ona, zaginionych bez wieści, można liczyć na setki tysięcy. Z samej Delti „wyparowało” około osiemdziesięciu tysięcy kolonistów. Dotarli na Trinity 44, zostali zarejestrowani i... puf, zniknęli.

Nie rozumiem, o co w tym wszystkim chodzi, naprawdę nie mam pojęcia, ale wiem jedno – ktoś tak namieszał, że dla zatuszowania sprawy jest gotów zabijać. Jeśli mam rację, to zamordował kilkadziesiąt niewinnych osób, by dostać Poetzego. Ja jestem kolejny na czarnej liście. Pewnie zostanie zastrzelony podczas próby ucieczki albo ktoś mnie sprzątnie po osadzeniu.

Uważaj na siebie, tylko tyle mogę Ci poradzić. Tam, daleko od stacji, pewnie jesteś bezpieczny, ale po powrocie lepiej udawaj, że zapomniałeś o tej całej Ninadine, bo to gruba sprawa. Nie daj im się załatwić!

Tej wiadomości nigdy nie namierzają, bo nie korzystałem z łączności nadświetlnej, jak w przypadku weryfikacji danych z Trinity 44, a furtkę do terminalu Bruttala zrobiliśmy jeszcze na Xanie 4, więc tak naprawdę nie musiałem się nigdzie włamywać.

Louismail

Louismail? Louismail Seifert, haker, którego zastępowałem po wyjściu na warunkowe z kolonii karnej...? – Henryan znów poczuł zimny pot na karku, zupełnie jak podczas decydujących momentów na Delcie Ulietty. Poetze nie żyje? Z Seiferta zrobili zbrodniarza numer jeden w całym metasektorze? Tylko dlatego, że poprosiłem ich obu, by się dowiedzieli, gdzie wysłano Ninadine?

Zimno stało się jeszcze bardziej dotkliwie, gdy przypomniał sobie ostrzeżenie o wirusie. Jego też próbowano uciszyć!

Zginałbym razem z resztą załogi krążownika, pomyślał, czując znajome

ciarki. Z ponad setką marynarzy, żołnierzy i oficerów...

Przełknął nerwowo ślinę. Jeśli Seifert nie przesadzał, na Rubieżach wydarzyło się coś bardziej przerażającego niż ataki Obcych.

Setki tysięcy ludzi znikających ze stacji tranzytowej? Uwierzyłbym w jeden taki przypadek na milion, albowiem nawet w najbardziej skomputeryzowanej i zbiurokratyzowanej maszynie wszechświata zdarzają się błędy, ale żeby na stacji, przez którą przepływa tygodniowo... – sprawdził w bazie danych przepustowość instalacji Trinity 44 – dwa miliony ludzi, „zgubić” kilkaset tysięcy kolonistów? Nie. Coś tu śmierdzi. To już nie czasy wojny domowej, gdzie takie indywidua jak Dread mogły bezkarnie mordować przeciwników politycznych albo przerabiać ich w obozach koncentracyjnych na najbardziej zagorzałych fanatyków swojej sprawy.

Federacja wyciągnęła wnioski z tamtej lekcji: nie ma już uprzywilejowanego centrum i dojonych bez umiaru systemów zewnętrznych, których mieszkańcy są pozbawieni prawa głosu. Każda kolonia ma przedstawicieli na lokalnym, metasektorowym, a nawet centralnym szczeblu. Przecież sekretarzem obrony jest ten, jak mu tam... Nie pamiętał nazwiska człowieka z Rubieży, który kilka lat temu dołączył do triumwiratu, jak nazywano trójkę najpotężniejszych polityków Rady.

Zajęty podobnymi myślami, a nade wszystko zaniepokojony groźbą wiszącą mu nad głową, Świącki obejrzał wystąpienie Gerdanielle Modo. Był tak rozkojarzony, że musiał puścić nagranie dwukrotnie, by zrozumieć, co zaszło po ogłoszeniu, że Federacja znajduje się w stanie wojny. Przejrzał też pobieżnie kilka innych dokumentów, a potem pochylił się, by użyć komunikatora.

– Pułkownik Moorcock, mówi Świącki. Proszę natychmiast stawić się w mojej kajucie. To pilne.

Połączył się jeszcze z komandorem Cellinim, drugim ze współdowódców krążownika, i powtórzył wezwanie.

Zjawili się w odstępnie minuty. Mostek taktyczny znajdował się znacznie bliżej niż podrzędny w czasie działań bojowych mostek nawigacyjny. Ten podział

władzy na okręcie, znany już w zamierzchłej starożytności, choćby w rzymskiej marynarce wojennej, uległ zapomnieniu na całe tysiąclecia, ale został restytuowany w pierwszych dekadach eksploracji przestrzeni pozaziemskiej, gdy okazało się, że zasób wiedzy potrzebnej do dowodzenia okrętami kosmicznymi przekracza zdolności pojedynczych osób. Ponieważ trzeba było lat, żeby zapanować nad skomplikowanymi technologiami, które w dodatku nieustannie zmieniano, ktoś wygrzebał martwy, zdawałoby się, pomysł i zaproponował, by wrócić do starożytnej tradycji.

Do ogłoszenia alarmu bojowego okrętem dowodził oficer odpowiedzialny za pion nawigacyjny, ponieważ to on znał lepiej możliwości swojej jednostki. Natomiast gdy rozbrzmiewały syreny i dzwonki, pełnia decyzyjności przechodziła w ręce jego partnera z pionu taktycznego, który wiedział lepiej, jak walczyć. Ten powrót do antyku, zapoczątkowujący modę na rzymskie rozwiązania, był najrozsądniejszym kompromisem, co zgodnie potwierdzili kolejni główni stratedzy floty, a historia przyznała im rację. Współzależność dwóch oficerów, z których każdy jest ekspertem w innej dziedzinie, dawała niesamowite efekty, choć trzeba było kilku lat i nierzadko dwóch albo i trzech zmian, zanim powstawały czytające sobie w myślach tandemy.

Moorcock i Cellini nie należeli z pewnością do najbardziej zgranych asów trzeciej floty, lecz pracowali ze sobą od tak dawna, że można było na nich polegać nawet w trudnych sytuacjach. Nie różnili się nie tylko pod względem charakteru – co notabene zaliczało się do podstawowych kryteriów doboru – ale też wyglądu. Obaj byli tego samego wzrostu, wysocy i szczupli, mieli takie same pociągłe twarze i piwne oczy, a nawet mogli na pierwszy rzut oka sprawiać wrażenie braci, choć urodzili się na planetach odległych od siebie o ponad tysiąc lat świetlnych.

Święcki wskazał Moorcockowi miejsce, ignorując jego lekko zaniepokojone pytające spojrzenie, po czym zaproponował mu szklaneczkę brandy. Wiedząc, że Fitz pojawi się sam, uznał, iż może uronić nieco przedniego alkoholu, i poczęstował nim zaskoczonego pułkownika, po czym zrobił to samo

z przybyłym chwilę później komandorem.

– Panowie – rzucił, gdy tylko umościł się na swoich miejscach. – Chciałbym, abyście zapoznali się z ostatnim wystąpieniem pani kanclerz.

Trzy kolejki wypili, zanim dobrnęli do końca orędzia szefowej Rady i przejrzeni zapis jej rozmowy z oligarchami. Obaj współdowódcy byli w równie wielkim szoku jak wcześniej Święcki, choć nie domyślali się nawet, że najgorsze obawy komodora dotyczą zupełnie innej sprawy.

– Co z tym robimy? – zapytał Henryan, polewając im po raz czwarty, ledwie otrzymał informację o wprowadzeniu wahadłowca z Fitzem do doku.

– Powinniśmy udostępnić te materiały wszystkim załogom – odparł Moorcock po chwili zastanowienia i opróżnieniu szklaneczki.

– Zgadzam się z opinią Geneville’a – poparł go Cellini. – Dodałbym tylko, że należy to zrobić, zanim wejdziemy w nadprzestrzeń. Jest tego sporo – wskazał na listę dokumentów – a czeka nas kilkunastogodzinny tranzyt. Chłopcy zdążą ochłonąć, zanim pojawimy się w pasie R, gdzie znajduje się spora kolonia, w której pewnie wrze już jak w ulu. Nasi podwładni dowiedzieliby się o nacjonalizacji tak czy inaczej...

– Coś takiego jest w ogóle możliwe? – wpadł mu w słowo Moorcock, kręcąc głową. – Ta cała nacjonalizacja?

– Prawnie tak, zwłaszcza że poprzedni właściciele zostali fizycznie zlikwidowani, ale czy da się coś podobnego przeprowadzić, nie mam pojęcia – przyznał Święcki, podając pułkownikowi kryształ, na który skopiował wszystkie otrzymane od Rutty pliki, oczywiście prócz notki Seiferta.

– Te trzy korporacje zawiadywały większością majątku, jaki wypracowała ludzkość – zauważył Cellini.

– Szacowano, że ich aktywa sięgają siedemdziesięciu pięciu procent wartości wszystkich firm, wliczając w to własność rządową.

– Wcześniej się nad tym nie zastanawiałem, ale... jak to możliwe, że doszło do aż tak wielkiej koncentracji majątku? – zapytał Moorcock, odstawivszy opróżnioną szklaneczkę.

– Proces trwał nieprzerwanie od ponad trzystu pięćdziesięciu lat – wyjaśnił Święcki, zgarniając puste szkło, by dać obu oficerom znak, że więcej poczęstunku nie będzie. Fitz powinien dotrzeć do jego kajuty za minutę, najdalej dwie. – Pod koniec dwudziestego wieku mieliśmy na Ziemi setki wielkich koncernów, potem z chwilą zniesienia ograniczeń antymonopolowych nastąpiła złota era konsolidacji. Silniejsi wchłaniali albo wykupywali słabszych. Słabsi łączyli siły, by rywalizować z silniejszymi. W ciągu zaledwie półwiecza z setek olbrzymów zrobiły się dziesiątki gigantów, a potem, z kryzysu na kryzys, peleton topniał jeszcze bardziej.

– Pele co? – zapytał zaskoczony Cellini.

– Przepraszam. To przez mojego ojca – wyjaśnił Henryan. – Lubię wtrącać dawno zapomniane powiedzonka. Chodziło mi o to, że liczba korporacji malała stopniowo, aż na polu walki zostały tylko trzy megakorporacje. Trzy i pół wieku to szmat czasu, panowie, a skoro o czasie mowa... – Wstał, pokazując im wyjście. – Zaraz będę miał następnego gościa.

– Oczywiście. – Zerwali się z miejsc, nałożyli czapki, zasalutowali przepisowo, a potem ruszyli w stronę włazu, nerwowo szukając po kieszeniach absorbantów, które pozwolą im zniwelować skutki oszołomienia spowodowanego wypitym w takim tempie alkoholem.

Wyszli na kilka sekund przed pojawieniem się Fitz'a.

# SZEŚĆ

*System Rwanda, Sektor Sierra,*

*21.11.2354*

Najpierw musiał odczekać chwilę, by uspokoić oddech. Oparł się o pustą burkę wózka pomiędzy wolnymi uchwytami, w których wcześniej spoczywały dodatkowe zbiorniki z tlenem. Został mu już tylko jeden, ten, który miał na plecach, aczkolwiek życiodajnego gazu było w nim już niewiele.

Przeliczył się. Zarówno z siłami, jak i z dystansem. Osiem kilometrów, które dzieliło habitat od drukarki, na Delcie albo na Ziemi pokonałby w nieco ponad godzinę, góra dwie, biorąc pod uwagę dodatkowe obciążenie. Na tym zlanym kwasem kawałku skały potrzebował trzy razy więcej czasu, by dociągnąć wózek do stacji końcowej. Musiał też przyznać, oczywiście tylko przed sobą, że niewiele brakowało, by zawrócił, zanim zużył połowę zapasu tlenu.

Przesiedział ponad kwadrans na płaskim odcinku między dwoma wzniesieniami, po których musiał piąć się ostro pod górę. Przekalkulował wszystko raz, potem dla pewności drugi. Komputer uparcie twierdził, że powinien zdążyć, jeśli nie opadnie zbytnio z sił. Tego ostatniego jednak nie był taki pewien mimo swych wcześniejszych buńczucznych zapowiedzi.

Nie miał kondycji. Ostatnie dwa lata przepracował głównie koncepcyjnie, chodząc w teren tylko wtedy, gdy naprawdę musiał – czyli bardzo rzadko – i dlatego płacił teraz tak wysoką cenę, dysząc jak pies po każdym kilometrze tej drogi przez mękę.

Zaryzykował nie dla siebie – sobie nie musiał niczego udowadniać – lecz dla niej. Tak bardzo w niego wierzyła i tak wiele nadziei pokładała w tej misji, że... Bał się nawet pomyśleć, ile by stracił w oczach Ninadine, a przecież ogromnie mu na niej zależało. Pierwszy raz miał do czynienia z kobietą – i to niezwykle atrakcyjną kobietą – która zaszła tak wysoko. Do tej pory kręcił co najwyżej z asystentkami podobnych jej menadżerek, raczej z dość miernym skutkiem, nawiasem mówiąc.

Nie łudził się, że w kilka dni przełamie lody, ale starał się zacieśniać łączące ich więzi z każdą chwilą, by dopiąć swego. Cel uświęca środki, powiadają, a ta wyprawa miała być jednym ze sposobów na szybsze dotarcie do upragnionego celu. I będzie! Ostatnia myśl skłoniła Grunera do dalszej wędrówki, mimo iż znał cenę.

Zaczerpnął głębiej tchu, gdy tylko poczuł, że palenie w płucach mija.

– Melduję posłusznie, że stoję właśnie przed naszą ślicznotką – rzucił do mikrofonu, siląc się na luz.

– Właśnie miałam cię wywołać – odpowiedziała niemal natychmiast. Wyczuwał w jej głosie spore napięcie. Chyba naprawdę martwiła się o niego. – Jak tam z tlenem?

– Kończy się dopiero przedostatni zbiornik – skłamał, trzymając się wcześniej ustalonej wersji. – Została mi cała godzina zapasu.

Wskaźnik ciśnienia umieszczony na rękawie robił się już czerwony. W zbiorniku na plecach zostało mu tylko siedem procent powietrza.

– Nie wiem, jak ty to robisz – odetchnęła z ulgą.

– Praktyka – odpowiedział. – Słuchaj, muszę się rozłączyć, bo strasznie tu wieje. Wolałbym nie spać na samym finiszu.

– Jasne. Bez odbioru.

Całe szczęście, że nie przedłużała tej rozmowy, jak wiele razy wcześniej. Musiałby się rozłączyć w pół słowa, a potem szukać logicznego wytłumaczenia, dlaczego tak nagle zniknął.

Przeciągnął linę przez otwory w podstawie elektromagnesów i opuścił ją na

ziemię. Ręce nie bolały go aż tak bardzo jak nogi, dzięki czemu w miarę sprawnie opuścił się na nich na połyskujący czarny grunt. Niespełna dwadzieścia metrów dalej stała najbliższa noga konstrukcji, do której musiał się dostać.

Drukarka przemysłowa to gigant. Cztery jej cylindryczne teleskopowe łapy, na których się opierała, przy pełnym wysunięciu wszystkich członów mogły mierzyć nawet po sto dwadzieścia metrów. Łącząca je ażurowa konstrukcja, na której zamocowano reaktor, miała podobną długość i szerokość. Gdyby ktoś obudował tę maszynę, z daleka wyglądałaby jak megalityczny sześcian. Konstruktorzy mieli jednak inną wizję. Drukarki służyły do budowy całych kompleksów, zatem ograniczanie ich czymś takim jak ściany nie wchodziło w grę, ponieważ drukowane budowle często miały rozmiary wielokrotnie większe od rozstawu nóg tych potworów.

Tak było i w tym przypadku. Kopuła, którą maszyna zbudowała w połowie, łączyła się z sąsiednimi kompleksami kolonii. Prowadzący do nich kilkupoziomowy łącznik biegł więc pomiędzy dwiema łapami, a jego sklepienie kończyło się metr pod dolną krawędzią połyskującego pola. Ochronę urządzeń, tak potrzebną na ociekającej kwasem planecie, zapewniały tarcze energetyczne zasilane z tego samego reaktora, który dostarczał energii ramionom budującym. Parasol ochronny kończył się jednak kilkanaście metrów nad ziemią. To wystarczało, ponieważ teleskopowe nogi i przylegające do nich elementy rafinerii zostały wykonane z metalu, któremu nawet żrący kwas niewiele mógł zrobić.

Gruner obszedł szybkim krokiem kanciastą przybudówkę magazynu, przyglądając się uważnie umieszczonym na niej włazom i panelom. W końcu znalazł to, czego szukał. Wysunął dźwignię i przekręcił ją zdecydowanym ruchem o dziewięćdziesiąt stopni zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Gdy płyta ochronna odsłoniła tablicę z kilkoma otworami, sięgnął do pasa skafandra, odpiął przewód ciśnieniowy i szybko wpiął go w jedno ze złączy. Kolor tarczy manometru natychmiast pojaśniał. Kompresor rafinerii w pół minuty napełnił zbiornik do maksymalnej wartości.



Teraz pora na wspinaczkę.

Wejście do wnętrza filaru znajdowało się po wewnętrznej stronie. By dotrzeć na wąski występ z włazem, trzeba było się wspiąć na wysokość dwóch kondygnacji, gdzie widniało pierwsze, najniższe z trzech wejść, którym robotnicy mogli się dostać do windy łączącej poziom gruntu ze sterownią awaryjną, będącą celem wyprawy Adamadeusa. Nowi pracownicy często żartowali z tych utrudnień, lecz jeśli ktoś pracował przy terraformowaniu dłużej, wiedział, że jest to najsensowniejsze rozwiązanie. Grunt, na którym funkcjonowały te gigantyczne maszyny, miał różną konsystencję i twardość. Bywało, że nogi grzęzły w pokładach mułu albo że miejsce pracy zalewała woda. W takich sytuacjach – a były one wbrew pozorom dość częste – korzystano z jeszcze wyżej położonych włazów.

– Jestem przy wejściu – zgłosił się ponownie.

Teraz mogli przegadać i całą noc, która na tym kamyku była i tak wyjątkowo krótka.

– Super. Żadnych problemów?

– Musiałem pokonać trzy kilkumetrowe robale, żeby przedostać się z toru do rafinerii, ale bez obaw, teraz robią takie protezy, że zupełnie mi nie brak odgryzionych nóg.

– Bardzo zabawne – zaśmiała się nerwowo, ale dopiero po sekundzie czy dwóch, jako że powiedział to wszystko z całą powagą.

– Na razie wszystko idzie zgodnie z planem.

– Oprócz nieznacznego spóźnienia – ofuknęła go nadal lekko obrażona.

– Które wkalkulowałem w harmonogram, więc nie ma o czym mówić.

Otwieram właz.

Przypiął karabińczyk do poręczy, by nie ryzykować upadku, i sięgnął do pierwszego z dwóch zamków. Zasada była podobna jak przy panelu. Należało wysunąć uchwyt i przekręcić go w prawo, aczkolwiek tym razem o sto osiemdziesiąt stopni. Powtórzył te same czynności przy drugim zamku. Przez moment nic się nie działo, a potem usłyszał zgrzyty, z jakimi puszczały kolejne

rygle. Gruby właz rozsunął się wolno, z oporami. Widać, że dawno z niego nie korzystano.

Adamadeus wszedł do wąskiego korytarzyka, który prowadził do windy magnetycznej. Wszedł na okrągłą podstawę – wystawał z niej półtorametrowy pręt zakończony czterema uchwyty. Przypiął się do jednego z nich, po czym aktywował wirtualny panel, który pojawił się na wysokości jego pasa, ledwie postawił stopę na podłodze windy.

Jazda w kompletnym mroku na wysokość prawie stu metrów nie jest niczym przyjemnym, zwłaszcza gdy kabina nie ma ścian, jednakże Gruner wiedział, że innej drogi na górę nie ma.

– Jestem w sterowni – rzucił, gdy minął ciasną śluzę i w końcu mógł się pozbyć nie tylko hełmu, ale i ważącego tonę skafandra. Powietrze w pomieszczeniu było świeże, wpuszczone przed momentem, ale on i tak miał wrażenie, że wyczuwa woń stęchlizny.

– Ekstra – zapisała podekscytowana Ninadine.

Kolista sterownia, biegnąca wokół najwyższego elementu nogi drukarki, wydawała mu się bardziej przestronna niż w czasach, gdy często musiał w niej przebywać.

– Wróciłem na stare śmieci – mruknął, wysupłując ręce z grubego, kwasoodpornego stroju.

– Słucham?

– Do siebie mówiłem – odparł. – Wszystko jest tak, jak zapamiętałem.

– To chyba dobrze.

– Nawet lepiej – zapewnił ją, siadając przed komputerem.

System zastartował natychmiast. Większość opcji była niedostępna, ale tryb awaryjny gwarantował Adamadeusowi dostęp do wszystkiego, czego potrzebował. Mężczyzna postanowił jednak zacząć od czegoś innego. Wszedł do katalogu nawigacyjnego i wybrał ostatni zapis.

– Nie uwierzysz, gdzie nas rzucili – szepnęła, kiedy wyświetlacz ożył.

Sam nie mógł w to uwierzyć.

# SIEDEM

*System Anzio, Sektor Zebra,*

*25.11.2354*

Farland stał na podwyższeniu centrum dowodzenia, salutując pojawiającym się kolejno co kilka sekund hologramom dowódców jednostek, które sunęły majestatycznie na tle pustki w paradnym, niezwykle ciasnym szyku, zmierzając ku odległemu o dwie godziny lotu punktowi skoku.

Trzecia flota wyruszyła na wojnę. Ci oficerowie, ich załogi i okręty po raz pierwszy stawiały czoło wrogowi w dużej bitwie. Wielki admirał dodał do oficjalnego komunikatu to ostatnie określenie, by prawdzie historycznej stało się zadość. Nie zapomniał bowiem o poświęceniu admirała Khumalo i jego dzielnych ludzi, którzy pierwsi zmierzyli się z liniowcami wroga, oddając życie na polu chwały, by admiralicja mogła poznać prawdziwą wartość bojową okrętów Obcych.

Na czele wyruszył zespół uderzeniowy, którego zadaniem będzie urządzenie zasadzki na Rwandzie. Farland obserwował, jak cztery wielkie, obłe pancerniki odrywają się od ramienia dokującego stacji. Czterystuszesnastometrowe giganty drugiej generacji przypominały z wyglądu antyczne zeppelin, z tym że każdy z nich miał dziwnie wyglądające zgrubienie pomiędzy śródkręciem a rufą. W czasach, gdy konstruowano te monstra – a służyły w trzeciej flocie od kilku dekad – reaktory zimnej fuzji, którymi je napędzano, miały znacznie większe rozmiary niż dzisiaj produkowane siłownie. Gdy się okazało, że

wyprodukowany reaktor nie wystarczy do zasilenia tego giganta, projekt okrętu był już w zbyt zaawansowanym stadium, by można było zmienić całą konstrukcję kadłuba. Rada nakazała więc admiralicji pójść po linii najmniejszego oporu. Przeprojektowano tylko sekcję maszynowni, poszerzając kadłub na długości sześćdziesięciu metrów, aby nowy, większy, kulisty reaktor zmieścił się pod helonowym opancerzeniem. To było jedyne rozsądne rozwiązanie, dzięki któremu okręty te mogły wejść do użytku planowo, ale ludzie i tak wykpiłi oszpecenie pancerników, nazywając je „brzemiennymi”.

Federacja posiadała ich jeszcze jedenaście, z czego tylko jeden, *OPF Terryan Cussler*, podlegał Farlandowi. Trzy inne pancerniki drugiej generacji, które miały wziąć udział w tej misji, zostały czasowo „oddelegowane” do trzeciej floty, wchodząc w skład wsparcia przesłanego przez Radę.

Wsparcie...! Wielki admirał prychnąłby pogardliwie, gdyby nie otaczał go tłum oficerów. Modo i Xiao oddelegowali na Rubieże cały złom z pozostałych metasektorów. Może w holo wyglądało to imponująco, lecz rzeczywistość okazała się znacznie bardziej przyziemna. Trzecia flota otrzymała w sumie dwadzieścia sześć pancerników – w tym dziesięć, jakżeby inaczej, brzemiennych i szesnaście jednostek nieco tylko lepszej, trzeciej generacji. Do tego przyleci w sumie trzysta sześć krążowników – czterdzieści największych staroci i tylko dziesięć jednostek czwartej generacji, które mimo znacznie mniejszych rozmiarów dorównywały siłą ognia najstarszym pancernikom. W przypadku pozostałych, mniejszych klas okrętów proporcje były podobne. Admiralicja przetrzymała do floty Farlanda wszystko, co było jej zbędne, polecając ustami naczelnego wodza – oczywiście nieoficjalnie – by wielki admirał posyłał na pierwsze misje przede wszystkim najstarsze jednostki.

Dlatego właśnie w skład pierwszego zespołu wchodziło czterdzieści osiem bardzo leciwych krążowników, czyli niemal wszystkie, jakimi dysponowała tego dnia Federacja, a spośród ośmiuset jednostek eskorty tylko jedna eskadra, ta specjalna, miała w swoim składzie najnowocześniejsze maszyny. Modo wolała nie ryzykować, więc Farland został przez nią poinstruowany, że sondy mają się

znaleźć na pokładach najnowocześniejszych i najbardziej niezawodnych jednostek.

Wielki admirał zrobił, co mu kazano, choć czuł ogromny niesmak, ponieważ jako żołnierz starej daty wiedział, że ludziom nie spodoba się fakt, iż na tak niebezpieczną misję zostaną wysłane okręty, których najlepsze lata minęły, zanim oni się urodzili. Z tego właśnie powodu poprosił Rutkę, by ten za pośrednictwem swoich kontaktów rozpuścił po stacji pogłoski mówiące, że admiralicja wysyła do boju najstarsze okręty nie tylko dlatego, by nie oddać w ręce więźniów wartościowego sprzętu, ale też by dodatkowo zmylić przeciwnika i nie pokazać mu podczas tego starcia prawdziwej siły floty Federacji. Perfidię intendentury i polityków przekuł w podstęp. Musiał tak się zachować, żeby morale podległych mu załóg nie spadło przed decydującym starciem.

Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem – na co Farland bardzo liczył – straty ograniczą się do dwóch, może trzech pancerników i kilkunastu krążowników walczących w pierwszej linii, a więc do okrętów, na których dziewięćdziesiąt sześć procent załóg stanowić będą więźniowie, a za nimi, był tego pewien, nikt płakał nie będzie. Sam wiele by dał, żeby zginęli wszyscy co do jednego. Wystarczyło przejrzeć kilka kartotek, aby zapalać odrazą do tych ludzi. Jego zdaniem zasługiwali na najgorsze, aczkolwiek po przeczytaniu starego raportu Święckiego uznał, że to, co robiono z nimi w Pasie Sturgeona, było równie potworne, jeśli nawet nie gorsze, niż ich uczynki.

Przed stacją pojawiła się kolejna formacja. Po pancernikach i lecących tuż za nimi krążownikach przyszła kolej na eskortę. Liczące po dwadzieścia siedem okrętów eskadry przesuwają się za ustawionym w tryb transparentny helonem, tworząc kolumny zwartych prostopadłościaków. Trzy warstwy, a w każdej z nich po dziewięć okrętów – tak wyglądał podstawowy pododdział. Sześć eskadr składało się na skrzydło. Pięć skrzydeł oznaczało pięć kolejnych salutów. Na samym końcu odleciała samotna eskadra specjalna, przenosząca nanosondy, i na tym skończyła się pierwsza część pożegnalnej parady. Transportowce

z więźniami wyruszyły kilkanaście godzin wcześniej z Beowulfa, gdzie mieściła się akademia tego metasektora i gdzie doszkalano przez ostatnie dwa tygodnie prawie trzy tysiące osadzonych, których ściągnięto aż z pięciu kolonii karnych o najostrejszym rygorze.

Mogąc w końcu odpocząć, Farland opadł ciężko na fotel, a towarzyszący mu sztabowcy zrobili sobie chwilę przerwy. Za kwadrans miała się zacząć druga, nieco dłuższa część oficjalnego pożegnania. Kotwiczowisko sztabu metasektora opuszczą kolejne dwa zespoły uderzeniowe, niemal tak liczne jak pierwszy. Oto jak wyglądał nowy plan, sklecony dosłownie w ostatniej chwili przez zespół analityków Rutty. Generał sprawił się, jak zawsze zresztą. Skoro flota nie może ubezpieczać więźniów na Rwandzie, zrobi to zdalnie z dwóch pobliskich, niezaatakowanych jeszcze systemów pasa R.

Z początku wydawało się, że problem przedstawiony analitykom nie ma rozwiązania. Potem jednak nastąpił przełom. Farland nie wiedział, czy na ten pomysł wpadł któryś z oficerów zamkniętych w zapasowej sali odpraw, czy był to efekt codziennej burzy mózgów, jaką Rutta zwykł otwierać kolejne narady. W każdym razie ktoś zauważył, że choć nie da się powtórzyć ataku z zaskoczenia na samej Rwandzie, można zastawić identyczną pułapkę na powracające stamtąd t'iru.

Obcy po zniszczeniu kolonii mogli wybrać dwie drogi – albo wrócić tą samą studnią grawitacyjną, którą przylecieli, albo skorzystać z sąsiedniego, również prowadzącego do pasa S tunelu czasoprzestrzennego. Trzeba więc obsadzić obie te trasy i poczekać na pojawienie się wroga. Ma'lahn będą potrzebowali co najmniej dwóch dób na wymazanie wszystkich śladów obecności człowieka na Alfie – jedynym kwaśnym, wulkanicznym globie Rwandy – których to śladów dzięki planowi budowy pseudokolonii było tam naprawdę sporo. Czasu powinno więc wystarczyć na przerzucenie obu rezerwowych zgrupowań na Sankt Petersburg i Saratogę V. A gdy strefy skoków w tych systemach zostaną zablokowane, wróg, którąkolwiek studnię by wybrał, po wyjściu z nadprzestrzeni ponownie trafi na ludzi. Ta modyfikacja wymagała jednak

pewnej trudnej zmiany. Rutta musiał przerzucić część nanosond z Grenadiera 1 i Hoplity 27 na inny niszczyciel, by każdy z trzech zespołów dysponował podobną ilością „amunicji testowej”. Było przy tym sporo zamieszania, lecz generał zdążył dokonać stosownych przesunięć.

– Sir?

Farland drgnął. Znajomy głos wyrwał go z głębokiego zamyślenia.

– Tak? – zapytał niezbyt przytomnie.

Obok jego fotela stał wachtowy z pionu łączności.

– Właśnie otrzymaliśmy pilny przekaz z admiralicji – zameldował podoficer, stając na baczność.

– Pilny, powiadasz – mruknął wielki admirał, wyciągając rękę.

Na ceremonialnym podeście było tylko miejsce na fotele i sprzęt nagłaśniający. W trakcie defilad i innych oficjalnych uroczystości nikt nie korzystał z terminali. Wachtowy podał mu więc służbowy czytnik, zasalutował przepisowo i obróciwszy się na pięcie, odmaszerował. Kolejny idiota, sklął go w duchu Farland, którego irytowały takie przesadne pokazy dyscypliny. Zaraz też zaklął po raz drugi, tym razem znacznie dosadniej, choć też w myślach.

– Znajdźcie mi generała Rutte! – rozkazał, podnosząc głos, albowiem nie dostrzegł nigdzie znajomej sylwetki. – Migiem!

Gońcy z kilku stanowisk wystrzelili ze swoich kątów. Wachtowi, niemający w tym momencie żadnych obowiązków, zaczęli się nerwowo rozglądać i sprawdzać coś na wyświetlaczach. Znalezienie generała zajęło marynarzom nie więcej niż minutę, po kolejnych trzydziestu sekundach wzywany dotarł na stanowisko dowodzenia.

– Wielki admirale.

– Generale.

Tutaj, między tyloma ludźmi, musieli zachowywać pozory. Zaraz po zdawkowym powitaniu Farland podał przyjacielowi czytnik.

– Czy ich tam całkiem popie... – Rutta zbyt późno ugryzł się w język.

W spojrzeniach obserwujących ich dyskretnie oficerów pojawiło się jeszcze

większe zaciekawienie. Wielki admirał powstrzymał się jednak od włączenia pola osobistego. Nie chciał wprowadzać większej nerwowości niż to konieczne.

– Na to wygląda – odparł spokojnie, odbierając generałowi urządzenie.

– Czy to w ogóle możliwe? – zastanawiał się na głos Rutta. – Przecież Święcki nie zdążył jeszcze wrócić z poprzedniej misji.

– Wiem o tym równie dobrze jak oni – powiedział wielki admirał. – W załączniku masz szczegółowy harmonogram transferów.

– A co z tym całym nagłaśnianiem jego bohaterskiej postawy, o którym tyle mówiła Modo?

– Nic. Załatwią to zdalnie. Po dotarciu na Mo-hen-džo Da-ro... – Farland skrzywił się, próbując prawidłowo przesylabizować odczytywaną nazwę. – Przy strefie skoku będą na niego czekać przedstawiciele najważniejszych mediów. Tam udzieli wszystkich wywiadów, potem odbierze z rąk jakiegoś miejscowego kontradmirała insygnia pułkownika i gdy cały ten cyrk zostanie nakręcony, odłączy się od konwoju, by polecieć na Nową Islandię, przez którą niecały dzień później będzie przelatywał pierwszy zespół uderzeniowy.

– Sprytnie to sobie wykombinowali. Szkoda tylko, że nie pomyśleli o tym, że mają do czynienia z człowiekiem, który właśnie wykonał cholernie trudną misję.

– Ty naprawdę uważasz, że kobieta, która skazała na śmierć trzy najbardziej wpływowe rodziny Federacji, będzie miała problem z kopnięciem w dupę jakiegoś mało ważnego pionka? Tak, przyjacielu, on jest dla niej w najlepszym razie pionkiem na szachownicy. Czyli nikim, tak samo jak ty albo ja.

Rozmawiali bardzo spokojnym tonem, nie podnosząc głosu, jakby tematem ich konwersacji był nowy model śmigacza. Wachtowi, widząc, że nie doczekają się przedstawienia, zaczęli wracać do swoich zajęć.

– I oczywiście to my mamy go o wszystkim poinformować.

– Jakżeby inaczej. Pan Nikt przekaże innemu panu Nikt, że na powrót do domu na razie nie ma co liczyć. Na twoim miejscu poradziłbym Święckiemu, żeby się przyzwyczajał, bo to ścierwo nie zdejmie go z pierwszej linii, dopóki...

– Urwał, zanim dokończył to zdanie. – Henryan bohater Galaktyki. W tym



tempie przed końcem roku zostanie pierwszym od lat marszałkiem przestrzennym.

– Z drugiej strony wolę mieć na tym niszczycielu jego niż jakiegoś miernego, ale wiernego oficera, o którym obaj nic nie wiemy – stwierdził po chwili zastanowienia Rutta.

– Też prawda – przyznał Farland. – To najważniejszy element tej układanki. No i będzie na miejscu, gdyby któryś z więźniów nagle się rozmyślił.

– Nawet o tym nie mów.

– Nie wierzę tym draniom. Nic a nic. Gdybyś widział ich kartoteki...

– Świątki za nich ręczy – uspokoił go Rutta, choć wcale nie był pewien, czy osadzeni nie wytną im w ostatniej chwili jakiegoś numeru. – To mi wystarcza.

– Świątki...

Trzy krótkie dzwonki były sygnałem, że czas wracać na podest. Do rozpoczęcia drugiej części pożegnania zostały już tylko trzy minuty. Spora część oficerów czekała kilka kroków od podwyższenia, ale nie zbliżali się na razie, nie chcąc przeszkadzać przełożonym w rozmowie. Rutta odmeldował się więc przepisowo, po czym stanął za plecami wielkiego admirała, jak podczas przelotu pierwszego zespołu uderzeniowego. Konwój Świątkiego znajdował się obecnie w nadprzestrzeni i miał tam pozostać jeszcze przez ponad trzy godziny, zatem kontakt z nim będzie możliwy dopiero po zakończeniu skoku.

# OSIEM

*System Rwanda, Sektor Sierra,*

*30.11.2354*

Osiem dni po tym, jak dotarł do drukarki, Gruner dopiął swego. Wcześniej przeprogramował system, zmuszając pracujące dla tej właśnie maszyny wiertnie, by gromadziły nie tylko podstawowe surowce wykorzystywane do budowania fałszywej kolonii, ale też wszystko to, czego sam potrzebował, a raczej co miało posłużyć drukarkom w jedyńce, trójce i piątce do wyprodukowania nadajnika, a także kilku innych, nie mniej przydatnych rzeczy. Gdy sześć samobieżnych kopalń wyruszyło ku pobliskim złożom, obrotny terraformator zajął się organizacją transportu, którym przetworzone w module oczyszczającym pierwiastki trafią do kopuł. Na kluczu miał kilka projektów bezzałogowych maszyn jeżdżących i latających, ale po dłuższym zastanowieniu oraz rozważeniu wszystkich za i przeciw zdecydował się na wydrukowanie najzwyczajszego w świecie muła – maszyny kroczącej o udźwigu niemal tony. Był to pojazd powolny, lecz przy tym najpewniejszy na powierzchni wciąż niestabilnej wulkanicznie Alfry Rwandy.

Transport torem kolejki, którym sam wcześniej przyszedł, odpadał z bardzo prostego powodu: aby wykorzystać tę trasę, musiałby wyprodukować kilka dron śmigłowych, którymi urobek byłby unoszony na sześć metrów w górę, gdzie trafiałby na specjalnie zaprojektowany pojazd o wysokim zawieszeniu. O ile wydrukowanie maszyn latających nie powinno stanowić większego problemu,

o tyle stworzenie projektu cięższego transportera wykraczało poza możliwości Adamadeusa. Lekka modyfikacja planów dostępnych w bankach danych – proszę bardzo, jednakże projekt tworzony od podstaw wymagałby co najmniej kilku dni przy komputerze.

Właśnie dlatego już po paru godzinach grzebania w archiwach zaproponował Ninadine, że będzie zaopatrywał kolonie jednym z najprymitywniejszych robotów, jakie wykorzystywano przy terraformowaniu planet od niemal dwustu pięćdziesięciu lat. Największą zaletą muła była jego prostota. Konieczne naprawy zdoła przeprowadzić każdy technik poziomu drugiego, a tych w trójce nie brakowało. Szef jedyńki, George Lucas, także miał spore doświadczenie pozwalające mu na serwisowanie maszyny kroczącej, co mogło się okazać niezbędne po każdorazowym marszu z drukarki do kolonii – choćby z powodu kwaśnych deszczów, które w tych okolicach były bardzo częste.

I tak, ósmego dnia od przejęcia drukarki, objuczony do granic muł wyruszył z pierwszym ładunkiem. Przejście spod rafinerii do kopuły numer trzy zajęło mu prawie szesnaście godzin, ponieważ musiał iść okrężną drogą, by ominąć przepaść, nad którą biegł tor, ale zdołał dostarczyć kolonistom, i to za jednym zamachem, tysiąc sześćdziesiąt kilogramów oczyszczonych i sproszkowanych pierwiastków, z których Dzor-Dzor będzie mógł wyprodukować nie tylko zdecydowaną większość elementów nadajnika, lecz także wiele innych potrzebnych kolonistom urządzeń.

Rozpoczęcie prac nie oznaczało jednak, że Ninadine lada moment skontaktuje się z ludźmi przebywającymi w odleglejszych częściach Alfry bądź na statkach, które przemierzały pobliską przestrzeń. Mimo maksymalnego obłożenia drukarek znajdujących się pod wszystkimi trzema kopułami budowa nadajnika nie mogła zostać zakończona z bardzo prostego powodu. Po początkowym ferworze musiał nastąpić parodniowy zastój.

Biorąc pod uwagę trudności z pozyskaniem odpowiedniej ilości lantanu, neodymu i baneckitu, Gruner obliczał, że potrzebny Ninadine sprzęt uda się wydrukować nie prędzej niż piątego grudnia. Na cud nie mieli co liczyć.

Wszystkie pierwiastki ziem rzadkich występowały na Alfie, to prawda, ale też mapy geologiczne nie kłamały – najbliższe złoża surowców niezbędnych do ukończenia nadajnika znajdowały się w odległości niemal stu kilometrów od rafinerii, co znaczyło, że wiertnie będą potrzebowały nie godzin, lecz dni na dotarcie do nich, wydobycie wybranych pierwiastków i powrót. Oczyszczenie i rozdrobnienie parusetkilogramowego ładunku zajmie kolejne dwie doby, albowiem – choć koloniści potrzebowali nie więcej niż kilkadziesiąt gramów każdego z trzech pierwiastków – trzeba będzie poczekać, aż rafineria drukarki przerobi całość dostarczonego urobku. Tego nie dało się zmienić z poziomu sterowni.

Tymczasem na Alfie nie działo się wiele. Ninadine robiła codzienny obchód trójki, co zajmowało jej góra godzinę. Co trzy dni wyprawiała się z nudów do jedyńki, gdzie Lucas podejmował ją z kurtuazją, wpięrow chwaląc się postępami w pracach nad nadajnikiem, następnie zaś żaląc się na ich brak. Raz w tygodniu zaglądała też do maleńkiej piątki. Resztę czasu spędzała na górnym poziomie kopuły, nudząc się, czytając lub oglądając dzięki naczelnikowi nagrania z ogólnodostępnej biblioteki, którą stworzyła tydzień po przylocie. Nakazała wtedy zgranie zawartości wszystkich kryształów, które posiadali koloniści – z pominięciem treści prywatnych, rzecz jasna – a było tego z piętnaście tysięcy godzin, dzięki czemu nawet ona ze swoim wysublimowanym gustem znajdowała coś dla siebie. Głównie jednak gapiła się dla zabicia czasu na bezdennie głupią papkę medialną, którą ekscytowali się prości robotnicy.

Czymkolwiek się zajmowała, co dzień czekało ją wiele godzin totalnej nudy. Nigdy jednak, nawet w chwilach najczarniejszej rozpacz, nie odważyła się sięgnąć ponownie po mętny bimber pędzony w przerobionych dyspenserach. Wystarczyło jej pierwsze podejście, po którym rzygała pół nocy, czując się przy tym tak podle, jakby ktoś przepompowywał przez jej wnętrzności najbardziej żrące chemikalia.

Ponieważ brakowało jej urozmaicenia, sięgała po komunikator i prowadziła z Grunerem długie rozmowy. Z początku odbierał niemal natychmiast, lecz

z czasem Ninadine zaczęła odnosić wrażenie, że przestał być tak szczery i spontaniczny jak w trakcie pierwszych nocnych pogaduch. Gdyby ktoś ją zapytał, nie umiałaby sprecyzować, co zmieniło się w jego zachowaniu, niemniej intuicyjnie czuła, że z dnia na dzień jest inaczej, chłodniej, bardziej sucho, zupełnie jakby postanowił trzymać ją na większy dystans.

W końcu któregoś wieczoru nie odebrał w ogóle, mimo że dobijała się do niego przez co najmniej pół godziny, z początku wysyłając żądanie co pięć minut, a później, gdy nieomal wpadła w panikę, raz za razem. Po setnej próbie cisnęła komunikator w kąt, a sama padła na posłanie jak kłoda i gapiąc się w sufit, zaczęła... płakać.

Łkała bezgłośnie, jakby obawiała się, że mieszkający poziom niżej koloniści mogą usłyszeć jej szloch. Wiedziała, że to niemożliwe, że gruba na metr warstwa poromasy jest dźwiękoszczelna, że mogłaby drzeć się godzinami, a pies z kulawą nogą...

Skuliła się jeszcze bardziej, wręcz zwinęła w kłębek, jak gdyby wspomnienie jednego z powiedzonek Święckiego sprawiło jej fizyczny ból.

Miesiąc poniewierki, miesiąc życia w warunkach urągających wszystkiemu. Zapewne tylko pierwszy z wielu, jeśli dalej tak pójdzie. Firma nie śpieszyła się z przysłaniem po nich transportu, wojsko miało ich gdzieś – odkąd się tu znaleźli, żaden mundurowy nie zajrzał do kolonii i nie zapytał, czy w ogóle żyją...

Ostatnia myśl przygnębiła ją jeszcze bardziej. Wylądowali w pasie R, do którego Obcy – jeśli nie zostali jeszcze powstrzymani – dotrą raczej prędzej niż później, może nawet dzisiaj.

Ku swojemu wielkiemu zdziwieniu nie poczuła strachu. Było jej obojętne, czy zginie na miejscu rozerwana na strzępy, czy będzie konała powoli, dusząc się i skomląc z bólu na kwaśnym deszczu, gdy rdzenie kinetyczne, które być może mkną już przez pustkę, skruszą chroniącą ją kruchą kopułę.

Naprawdę miała to gdzieś. Zdradzona przez wszystkich, odrzucona zwłaszcza przez niego, pozostawiona sam na sam z bydłem, którym szczerze gardziła,

przyjęłaby dzisiaj śmierć z otwartymi rękami...

Pogrążona w czarnych myślach dopiero po dłuższej chwili usłyszała ciche brzęczenie, jakim leżący poza zasięgiem jej rąk komunikator dawał znać, że ktoś domaga się rozmowy. W pierwszej chwili nie miała ochoty sprawdzić, kto dzwoni. Szybko jednak uznała, że jako zarządca kolonii nie może być niedostępna. Tym bardziej że sprawa musiała być ważna, gdyż już na wstępie zapowiedziała kolonistom, iż nie życzy sobie meldunków o byle bzdurze.

Wygrzebała się z pościeli i podniosła wibrujące wciąż urządzenie. Pierwszy rzut oka na wyświetlacz wystarczył, by komunikator – nadal nieaktywowany – wylądował na posłaniu, a ona sama pognąła do aneksu łazienkowego i przejrawszy się w lustrze, spróbowała usunąć ślady niedawnego załamania widniejące na twarzy. Pomijając zapuchnięte, zaczerwienione oczy, z którymi nic nie mogła zrobić, musiała wytrzeć nos i poprawić makijaż. Nawet tutaj, między robotami, dbała o to, by prezentować się odpowiednio. Zmyła prędko czarne, wijące się ślady łez i przymknąwszy powieki, przyłożyła twarz do makijażera. Dwie sekundy później wyglądała prawie jak nowa. Prawie...

Gdy wpadła ponownie do aneksu sypialnego, komunikator wciąż wibrował.

– Jestem. Jestem... – wymamrotała, aktywując połączenie.

– Coś się stało? – zapytał wyraźnie zaniepokojony Gruner.

– Tutaj? Nic takiego, może poza tym, że zaskoczyłeś mnie podczas wieczornej toalety i z wrażenia prysnęłam sobie w oczy zmywaczem.

Tylko takie kłamstwo przyszło jej do głowy; może nie było najwyższych lotów, ale przynajmniej tłumaczyło nietypowy wygląd, na który Adamadeus nie zwrócił nawet uwagi.

– Tak się do mnie dobijałaś, że uznałem... – zaczął niepewnie.

– Dobijałam się, ponieważ nie odbierałeś przez ponad pół godziny. Bałam się o ciebie.

– Przepraszam. – Sądząc po minie, chyba zaczynał podejrzewać, skąd u niej tak naprawdę zaczerwienione i podpuchnięte oczy. – Wracający muł utknął kilkadziesiąt metrów od rafinerii. Zdiagnozowałem go zdalnie, ale musiałem

wyść na zewnątrz, żeby wymienić parę elementów i ściągnąć go pod dach, zanim nadejdzie ta parszywa ulewa... Takich chmur jak dzisiaj na Alfie jeszcze nie widziałem.

– Nadal nie rozumiem... – Zawiesiła znacząco głos. Wycieczka na zewnątrz nie oznaczała wcale, że Gruner nie mógł odpowiedzieć na jej wezwanie.

– Problem w tym, że musiałem włożyć nowy skafander – tłumaczył się spokojnie i rzeczowo. – Wydrukowałem przedwczoraj dwa, ponieważ tamten zrobiony w kolonii zaczynał się już rozpuszczać, lecz albo ja coś spieprzyłem, albo tutejsza drukarka szwankuje, bo w obu brakuje części obwodów, w tym niestety należących do systemu łączności. Nie chciałem jednak wystawiać starego na działanie kwasu, który leci teraz z nieba.

– Nie możesz znikać bez śladu! – Przybrała ostrzejszy ton, którym próbowała zamaskować coraz wyraźniejsze drżenie głosu. Jeśli ją okłamywał, robił to bardzo umiejętnie. Poprzednio faktycznie jej wspomniął, że musi się przyjrzeć drukarce, bo zauważył w ostatnich przedmiotach poważne błędy. – Tylko od ciebie zależy, czy przetrwamy.

– Wiem. Jeszcze raz przepraszam, ale w tej sytuacji nie miałem wielkiego wyboru. Kapitałny remont muła przy nawalającej drukarce... jeżeli to błąd maszyny, a nie moje przeoczenie... mógłby nas wiele kosztować.

– Mimo to... Nie powinienes tam siedzieć sam! – rzuciła, zanim zdążyła pomyśleć.

Zauważyła, że zbladł, jakby bezbłędnie zrozumiał, do czego ona zmierza, jednakże jego odpowiedź kompletnie ją zaskoczyła.

– Masz rację. Ta centralka pomieści bez trudu cztery osoby, a pomocna dłoń bardzo mi się przyda.

– Świetnie. Porozmawiam rano z Lucasem, on lepiej zna ludzi z naszej grupy. Każę mu wybrać trzech najzdolniejszych techników drugiego poziomu.

– Nie przesadzajmy, dwóch w zupełności wystarczy, ale dzięki za pomysł. Że też sam na to wcześniej nie wpadłem. Niech Dżor-Dżor zapakuje ich na muła po następnej dostawie. W ładowni jest wystarczająco dużo miejsca dla dwóch ludzi.

Z dodatkowymi zbiornikami tlenu nie będą ważyć więcej jak... – przeliczył coś szybko – ...czteryście kilogramów. Damy radę.

– No to jesteśmy umówieni.

– Doskonale. A teraz wybacz mi, chciałbym się umyć, godzina w skafandrze bez klimatyzacji, wyobrażasz to sobie?

– Jasne, mną się nie przejmuj.

– Jeśli chcesz, mogę odezwać się później, za jakieś pół godziny – zaproponował.

– Chyba wezmę coś na sen. Oczy strasznie mnie szczypią – skłamała, nie wiedząc nawet dlaczego.

– W takim razie do jutra – odpuścił zbyt szybko jak na jej gust.

– Jeżeli odbierzesz... – mruknęła, gdy już przerwała połączenie.

Rzuciła komunikator na blat biurka, po czym znów padła w rozgrzebaną pościel. Rozmawiając z Grunerem, poczuła ulgę, choć złość nie minęła jej do końca. Tliła się jeszcze gdzieś na skraju świadomości, zbyt słaba jednak, by powrócić z pełną mocą. Na szczęście nie groził jej kolejny atak przygnębienia. Ninadine doszła bowiem do wniosku, że załamanie, które właśnie przeżyła, świadczy o problemie całkiem innej natury. Teoretycznie nie miała prawa poczuć niczego do żadnego mężczyzny – ani pociągu, ani nawet zauroczenia. A już na pewno nie mogła się zakochać.

Przesunęła palcem po ledwie wyczuwalnym zgrubieniu za uchem. Lekarze, którzy wszczepili jej bioregulator, gwarantowali w umowie co najmniej pięć lat niezawodnego działania, a przecież od opuszczenia kliniki nie minęło nawet trzynaście miesięcy. Tak czy inaczej, jeśli się stąd wydostanie, natychmiast wykona w niezależnym instytucie pełną diagnostykę tego cudu medycyny. Jeśli okaże się, że panowie profesorowie coś spieprzyli... Kontrakt gwarantował jej odszkodowanie w kwocie, która mogła przyprawić niejedną zamożną kobietę o palpitacje.

\* \* \*



Komunikator, przełączony w tryb nocny, wydawał o wiele głośniejsze dźwięki. Wibrował też mocniej, przez co wszystkie twarde przedmioty leżące na blacie biurka mu wtórowały, tworząc przeraźliwą kakofonię nakładających się na siebie trzasków i brzęknięć.

– Tak? – Zaspana Ninadine nie spojrzała nawet na wyświetlacz. To musiała być pilna sprawa, skoro dzwoniło w środku nocy.

– Mamy problem – usłyszała głos Grunera.

Jego alarmujący ton sprawił, że senność wywołana zaaplikowanym przez automed specyfiką wyparowała w ułamku sekundy.

– Co się dzieje?

– Nie wiem.

– Co znaczy: nie wiesz? – Zirykował ją tą zwięzłą, niczego niewyjaśniającą odpowiedzią.

– Z jakiegoś powodu drukarka przeszła nagle w tryb awaryjny.

Ninadine zdążyła wygrzebać się spod pościeli i usiąść.

– Która drukarka?

– Ta właściwa. – Rozłożył ręce, wskazując ściany pomieszczenia, w którym się znajdował. – Myślisz, że budziłbym cię w środku nocy, żeby pogadać o awarii jakiegoś gównianego urządzenia peryferyjnego, które...

Nie czekała, aż skończy.

– Co rozumiesz przez „przeszła w tryb awaryjny”?

– Straciłem dostęp do interfejsu – odparł.

To wyjaśnienie, choć zwięzłe, niosło naprawdę wiele treści.

– Ktoś się zorientował, że mieszasz w jej oprogramowaniu? – zapytała Ninadine, w ułamku sekundy uświadamiając sobie, co oznacza całkowita utrata kontroli nad przejętą drukarką przemysłową. Jeszcze nie wszystkie brakujące pierwiastki dotarły do rafinerii, a bez nich nie będzie nadajnika. Nie będzie niczego.

– Nie. Raczej nie... – Urwał nagle.

Ninadine uznała, że Gruner nie jest do końca pewien, ale kiedy dostrzegła jego minę, zrozumiała, że wygląda na... zmieszanego.

Ciekawe, co też... – pomyślała. A niech mnie!

Sięgnęła szybko po narzutę, by osłonić nagie piersi. Zaskoczona nocnym wezwaniem zupełnie zapomniała, że kładąc się, zdjęła wszystko, nawet bieliznę. To, że dostrzegł jej nagość dopiero po wymianie kilku zdań, świadczyło dobitnie o jego wielkim rozkojarzeniu i zdenerwowaniu, a więc czymś bardzo nietypowym w przypadku Grunera.

– Skąd wiesz? – Postanowiła pominąć milczeniem niezręczną sytuację, gdyż nie mieli czasu na pierdoły.

– Wszystko wskazuje na to, że drukarka otrzymała z zewnątrz polecenie zakończenia pracy.

– Mówiłeś, że kopuła, nad którą aktualnie pracuje, będzie gotowa dopiero za trzy dni...

– Tyle czasu wskazywał do dziś jej komputer. Przed chwilą jednak timer operacyjny został zresetowany i odtąd na liczniku widnieje tylko sześć godzin. Wszystkie wiertnie, które znajdują się w zasięgu, przerwały już pracę i wracają. Rafineria jest właśnie wygaszana. Moduł budujący kontynuuje pracę, ale teraz kładzie tylko cienką siatkę poromasy. Kopuła nie zostanie ukończona, maszyna po prostu zamaskuje otwór najcieńszą możliwą warstwą tworzywa. Na to potrzebuje sześciu godzin – dodał.

– Skoro... – Przerwała po tym jednym słowie, jakby nie wiedziała, co powiedzieć.

W głowie nie miała jednak mętliku. Zamilkła, ponieważ zastanawiała się, czy powinna powiedzieć Adamadeusowi całą prawdę. Dla niego to awaryjne zakończenie pracy mogło być ogromną zagadką, ale ona знаła prawdziwe powody nagłej ewakuacji cennego sprzętu, który ma posłużyć flocie do stworzenia jeszcze niejednej pseudokolonii w sąsiednich pasach tego metasektora.

Gruner nie zwrócił uwagi na jej nietypowe zachowanie. Na wyświetlaczu

znajdującym się gdzieś obok obiektywu holokamery musiało pojawić się coś nowego, ponieważ nie odrywał od niego wzroku.

– To definitywnie start awaryjny – stwierdził moment później. – Tyle że chodzi nie o przeniesienie w inne miejsce Alfy, lecz o opuszczenie planety. Holownik orbitera podejmie naszą drukarkę dokładnie za sześć godzin i pięć minut. – Nagle zmarszczył brwi, potem zniknął na moment z pola widzenia. – Nie uwierzysz, cała okolica świeci jak... – rzucił, nie kończąc zdania.

– O czym ty mówisz? – Była nie mniej zdziwiona niż on.

– Wszędzie pozapalały się światła. Na tej niby-fabryce, którą widzę na horyzoncie, i na wszystkich kopułach w polu widzenia. Świecą nawet diody na tym pieprzonym torze. Co tu się wyrabia? – Wrócił przed holokamerę, po czym opadł na fotel, kręcąc głową.

– Muszę ci o czymś powiedzieć. – Wzmianka o światłach sprawiła, że Ninadine podjęła decyzję. – To naprawdę ważne.

– Wiem. Uwierz mi, że wiem – rzucił rozgorączkowany, przysuwając się ponownie do komputera. – Na szczęście jeszcze nie wszystko stracone...

– Zamknij się! – wrzasnęła tak przeraźliwie, że aż sama się wystraszyła.

– Co?

– Powiedziałam: zamknij się i posłuchaj, co mam do powiedzenia – dodała nieco tylko spokojniejszym tonem. – Ewakuowano nas z Delty nie dlatego, że Ulietta zamieniała się w supernową. Trwa wojna. Zostaliśmy zaatakowani przez Obcych, którzy...

– Co ty pieprzysz? – Spojrzał na nią jak na wariatkę.

– Nie pieprzę. Nie mam pojęcia, dlaczego Rada i admiralicja nie mówią ludziom prawdy, ale wiem jedno: skurwyklony z zarządu kolonii ewakuowały się dwa dni przed nami, zostawiając cały burdel na mojej głowie. Wyłącznie dlatego znam prawdę. Moim zdaniem ta nagła ewakuacja sprzętu oznacza, że za dzień albo dwa będziemy mieli tutaj powtórkę z Delty.

– To jakiś żart? – Nadal spoglądał na nią, jakby zaczęła gadać od rzeczy.

– Nie, kurwirtual, ja nie żartuję! – krzyknęła. – Jakieś skurwyklony, za zgodą

EB, zostawiły nas na tej planecie, żebyśmy byli żywymi tarczami. Wiesz, czym są te pseudokolonie? Flota mnoży cele, aby opóźnić marsz Obcych. Rozumiesz już, dlaczego oni budują te wszystkie puste kopuły?

– To... to... – jąkał się. – To niedorzeczne.

– W takim razie wytłumacz mi, dlaczego trafiliśmy do pasa R, skoro w tym samym czasie i za te same pieniądze można nas było przerzucić do M-ki albo jeszcze dalej? I dlaczego od prawie miesiąca nikt się do nas nie odezwał.

– Ja nie...

Był zdezorientowany, podenerwowany, zaczynał się bać. Wszystko to wyczytała z jego twarzy.

– Już po nas... – mruknęła zdjeta nagłym strachem. Nagle wszystko ułożyło się w logiczną całość.

– Mnożymy cele dla wroga, żeby spowolnić jego marsz? – wyszeptał po chwili, ale sprzęt wzmocnił jego głos na tyle, że usłyszała wyraźnie każde słowo.

– Tak. A ta bezsensowna iluminacja ma uwiarygodnić istnienie kolonii.

– Jeśli to, co mówisz, jest prawdą...

Wpadła mu w słowo:

– Człowieku, to najczystsza prawda. Dostałam zakaz puszczenia pary z ust, ale teraz, gdy wystawili mnie na odstrzał...

– Jeśli to, co mówisz, jest prawdą – powtórzył, nie pozwalając jej skończyć – wszyscy tu zginiemy.

– Idę o zakład, że dla Federacji zgineliśmy już na Delcie. Ale masz rację, na Rwandzie nie pojawi się ktoś pokroju kapitana Święckiego.

– Ubieraj się! – rzucił, znów pochylając się nad komputerem.

– Daj spokój – warknęła – zasłoniłam się, więc...

– Mówię poważnie. Ubieraj się i leć po skafander.

– Po co mi pieprzony...

– Nie traćmy czasu na jałowe dyskusje, proszę. – Spojrzał prosto w obiektyw holokamery. – Masz sześć godzin na to, by do mnie dotrzeć. Ta drukarka

zostanie ewakuowana z Alfy. Opuści ten system, zanim dopadną nas Obcy. Rozumiesz? Rozumiesz?! Możemy nią odlecieć. Pomieszczenie, w którym się znajduję, jest hermetycznie zamknięte i dobrze izolowane. Stworzono je z myślą o robieniu przeglądów w trakcie transferów. Sama wiesz najlepiej, że korporacje nie lubią marnotrawić czasu.

Skinęła głową. Przed kilkoma sekundami zaczynała godzić się z losem, ale jego słowa znów tchnęły w nią nadzieję. Gruner miał rację, nie musiała ginąć na tym zlewany kwasem kawałku skały. Ale – bo zawsze musi być jakieś ale – z kolejną myślą przyszło zwątpienie. Sześć godzin to za mało... Stanowczo za mało. Pokonanie tej trasy zajęło Adamadeusowi podobną ilość czasu, a jest przecież od niej znacznie silniejszy i sprawniejszy.

– Jak mam się dostać do drukarki w sześć godzin, skoro ty potrzebowałeś prawie siedmiu? – zapytała, nie ruszając się z miejsca.

– Pamiętaj, że ja musiałem ciągnąć wózek pełen dodatkowych zbiorników z tlenem – odparł, łącząc komunikator z konsolą terminala.

– A ja nie będę musiała?

– Nie. – Zerknął w kierunku holokamery. – Marnujesz cenny czas, Ninadine. Biegnij po ten skafander. Wiem, co robię.

Powiedział to z takim przekonaniem, że wbrew obawom postanowiła mu zawierzyć. Co miała do stracenia? Siedząc w tej pułapce, mogła co najwyżej czekać i modlić się o szybką śmierć. Wyprawa do drukarki, jakkolwiek szalona się wydawała, oznaczała szansę na przeżycie. Innej mieć nie będzie.

Zerwała się z posłania, nie myśląc o tym, co Gruner zobaczy. Ubrała się najszybciej i najwygodniej, jak to było możliwe, po czym zbiegła do służby, trzymając włączony komunikator w dłoni.

Przed pojemnikiem, w którym wisiał jej skafander, przeżyła nawrót zwątpienia.

– Tłumaczając się, dlaczego nie odbierałeś, stwierdziłeś, że twój stary skafander utracił szczelność czy coś takiego – rzuciła, przyglądając się podejrzliwie grubemu pomarańczowemu materiałowi, który odbarwił się w wielu miejscach

i jakby zmechacił.

– Tak, ale ja dużo łąziłem na zewnątrz – zbył ją, nie odrywając się od pracy.

– Dużo, to znaczy ile? – zapytała.

– Ponad trzydzieści godzin – odparł bez zastanowienia.

– Mój ma na liczniku... – podłączyła się do systemu skafandra – prawie trzydzieści sześć godzin kontaktu z atmosferą.

Najpierw zamarł, pochylony nad wirtualną klawiaturą, a potem spojrzał na nią ostro.

– Jakim cudem?

– Czasem... – zawahała się. – Czasem po wyjściu do jedyńki nie wracałam od razu, tylko wspinałam się na szczyt kopuły i siedziałam tam, rozmyślając i obserwując okolice.

– Szlag... Prześlij mi te dane.

Zrobiła, o co prosił.

Przyglądał się wykresom przez krótką chwilę, by w końcu walnąć pięścią w konsolę, aż obraz zadrgał.

– Kurwirtual...

Poczuła, że zwątpienie, które zastąpiło euforię, zaczyna ustępować przerażeniu. Ty melancholijna kretynko, skłęła się w myślach. Zachciało ci się oglądać gwiazdy, więc teraz zdechniesz razem z resztą tego bydła...

– Jakie są szanse, że wytrzyma jeszcze pięć, sześć godzin? – zapytała raczej po to, by usłyszeć wyrok, niż odzyskać nadzieję.

– Zerowe. – Gruner nie owijał w bawełnę.

– Ile czasu trzeba na wydrukowanie nowego?

– Najprostszy zrobisz w trzy godziny, jeśli drukarka ma wszystkie potrzebne surowce. Jeśli darujemy sobie niepotrzebne wyposażenie, zyskamy jeszcze z kwadrans. Nie, nie, nie...

– Może wezmę kombinezon Dzor-Dzora albo któregoś z jego pomocników? – zaproponowała. – Oni siedzieli cały czas na dupie. Nie mają na licznikach więcej niż parę godzin.

– Jeśli nie znajdę innego rozwiązania, będziesz musiała iść do jedyńki, chociaż wolałbym, aby obeszło się bez tego.

– Czemu?

– Pojawisz się tam w środku nocy i co mu powiesz? Daj mi jeden z waszych skafandrów, bo mój się zużył, a nie mogę spać, to sobie chociaż po okolicy pospaceruję?

– Powiem mu prawdę. Sam mówiłeś, że masz miejsce dla trzech, a nawet czterech osób – przypomniała.

– Tak, mam, ale jeśli będzie z tobą ktoś jeszcze, nigdy nie dotrzecie na czas. Posłuchaj mnie, Ninadine. Mam tu dronę, którą zrobiłem, żeby nie nosić części zamiennych do muła. To niewielka maszyna, ma maksymalny udźwig stu kilogramów.

– To przynajmniej o pięćdziesiąt za mało – wtrąciła, uświadamiając sobie, ile będzie ważyła z dodatkowymi zbiornikami tlenu.

– Wiem, Ninadine, ale ta drona nie ma cię unieść, tylko ciągnąć wózek.

– Jaki wózek?

– Ten, który wydrukowaliśmy na zapas, kiedy wyruszałem. Powinien być wciąż w magazynie. Chciałbym, żebyś go przeniosła na tor. Dżor-dżor zamontował wciągarkę, więc to nie powinien być kłopot. Potem będziesz mogła załadować do niego tyle zbiorników tlenu, ile się da. To wszystko nie zabierze ci więcej niż godzinę. W tym czasie drona doleci na twój koniec toru. Wystarczyłoby, że podepniesz się do niej, i... po wszystkim.

– Sto kilogramów? – prychnęła. – Wózek ze mną i zbiornikami będzie ważył dwa razy tyle.

– Czy ty mnie nie słuchasz? Tu nie chodzi o podniesienie ciężaru, lecz o jego ciągnięcie. Według moich obliczeń jest to możliwe.

– Ale ja nie mam skafandra! Mogę go zdobyć wyłącznie w jedyńce. Może byśmy tak wtajemniczyli Lucasa?

– Proszę bardzo. Tylko miej świadomość, że on, mając do wyboru uratowanie żony i dziecka albo ciebie, zawsze wybierze tę pierwszą możliwość.

Dla niej Dżor-Dżor, jak go nazwał Gruner, był niechcianym partnerem potrzebnym tylko do zaprowadzenia porządku w sąsiedniej kopule. O tym, że miał tu rodzinę, nawet nie wiedziała.

– To co zrobimy? – zapytała z paniką w głosie.

Opcje topniały w zastraszającym tempie, a czas płynął.

– Czekaj... – Znów zaczął coś pisać. – Podejdźmy do tego problemu z drugiej strony. W trzydzieści sześć minut wydrukuję ci coś innego. Prosty strój przeciwichemiczny. Uszczelnię go podwójnie, więc jeśli nie trafisz na wyjątkową ulewę, powinien wytrzymać tę trasę. A nawet jeśli nie, będziesz mieć pod spodem swój stary skafander, który też się jeszcze jakoś trzyma. Innego rozwiązania nie widzę.

– Ja też – przyznała, otwierając obudowę schowka, by się ubrać.

– Sprawdź, ile masz pełnych zbiorników tlenowych. Jeśli mniej niż cztery, zacznij od podłączenia pustych do kompresora. Potem zasuwasz po wózek. Zmontowanie go jest naprawdę proste. To tylko rama i koła. Za pięćdziesiąt cztery minuty masz czekać na torze zwarta i gotowa, bo każde opóźnienie może nas drogo kosztować. Zrozumiałaś?

Skinęła głową, zanim nałożyła hełm.



# DZIEWIĘĆ

*System Rwanda, Sektor Sierra,*

*30.11.2354*

Uwinęła się w czterdzieści siedem minut, wykonując wszystkie polecenia Grunera. Zadbała o napełnienie czterech zbiorników, przeniosła wózek z magazynu i zmontowała go po wciągnięciu na tor. Nie miała z tym najmniejszego problemu; wystarczyło ustawić ważącą tylko parę kilogramów ażurową ramę na podstawie szyny, założyć jeszcze lżejsze koła na osie i zabezpieczyć je prostymi bolcami. Wciągnięcie ciężkich butli dzięki wielokrążkowi też nie było specjalnie trudnym zadaniem. O wiele więcej wysiłku musiała włożyć w przeniesienie ich z kopuły, a potem zamontowanie w uchwytach na ramie.

Zwarta i gotowa czekała w mroku alfiańskiej nocy, wypatrując nadlatującej drony. Dzięki światłom, które zapłonęły niespełna godzinę wcześniej na okolicznych budowlach i samym torze, nie było już tak ciemno jak zazwyczaj. Świeżo wydrukowany żółty strój ochronny, który naciągnęła na skafander, upodobił ją do wielkiej bezkształtnej larwy, lecz, o dziwo, nie krępował zbytnio ruchów i nie był aż tak ciężki, jak się obawiała. Adamadeus odwalił kawał dobrej roboty, znajdując proste rozwiązanie problemu, który mógł jej uniemożliwić ratunek.

Na szczęście ten facet miał głowę na karku. Czekaając na wysłaną przez niego dronę, Ninadine zastanawiała się, co by zrobiła, gdyby stanęła w pojedynkę

przed podobnym wyzwaniem. To nie skończyłoby się dobrze, przyznała sama przed sobą na myśl o wtajemniczeniu Lucasa. Na jego miejscu też ocaliłaby własną rodzinę, zamiast pomagać znieprawionej biurwie. Zdobyła się w duchu na szczerość, gdyż nie miała wątpliwości, co sądzą na jej temat tutejsi koloniści. Nie przejmowała się nimi jednak, ponieważ nie należeli do jej świata. To znaczy tam, poza Alfą Rwandy, w realnym świecie. Tu niestety była skazana na bliskie obcowanie z nimi, co dodatkowo pogłębiało jej awersję do cuchnących roboli.

Pochodziła z dobrej rodziny. Jej ojciec był wziętym prawnikiem na Gammie Trytona, jednej z trzech najludniejszych beztlenowych planet Rubieży. Zarabiał tak dobrze, że jego żona nie musiała pracować, a jedynej córce nigdy niczego nie brakowało, zwłaszcza w dzieciństwie i okresie dorastania. Jednakże nic nie trwa wiecznie i w jej wypadku nadszedł czas, by się usamodzielić. Po ukończeniu – oczywiście z wyróżnieniem – prowincjonalnej, choć całkiem niezłej uczelni Ninadine wybrała ścieżkę kariery w jednej z trzech największych korporacji. Została drobnym trybikiem w idealnej maszynie do zarabiania ogromnych pieniędzy, obejmując niewiele znaczące stanowisko drugiego poziomu, aczkolwiek dzięki ambicjom i zdecydowaniu nie zagrzała na nim długo miejsca. Dostrzeżono ją szybko, doceniono i awansowano. Po osiemnastu miesiącach standardowych była jedną z najmłodszych trójek w metasektorowym oddziale Etoile Blanc, transfer na Deltę zaś potraktowała jako dodatkową nagrodę. Trafiała bowiem na najprawdziwszą planetę tlenową. Do takiego rajku nie mieli wolnego dostępu nawet jej dobrze ustosunkowani rodzice. Nic dziwnego więc, że rozpierała ją duma, a gdy szef przekazał w jej ręce tymczasowe zarządzanie całym kompleksem, poczuła się niemalże jak młoda bogini.

To była przepustka do świata marzeń. Tak wtedy myślała.

Szkoda tylko, że wszystko okazało się najzwyklejszą fatamorganą. Awans nie był dowodem zaufania, lecz wyrokiem. Rozmowa ze Świątkim uświadomiła jej to naprawdę boleśnie. Co ważniejsze osobistości ewakuowały się z Delty, doskonale wiedząc, do czego tam dojdzie. Ją natomiast zostawiono na pożarcie. Dla zarządu była kozłem ofiarnym, kimś, kogo można spisać na straty, gdy

sprawy przyjmą zły obrót. Przerzut na Alfę Rwandy utwierdził ją w tym przekonaniu. Została wykorzystana i porzucona. Dwukrotnie w ciągu miesiąca. I właśnie dlatego zamierzała zrobić wszystko, by wyrwać się z tej matni...

Ninadine ocknęła się z zamyślenia, gdy coś przesłoniło jedną z lamp oświetlających tor. Blask przygasł na ułamek sekundy, po czym znów stał się jaśniejszy. Spojrzała na timer. Już czas. W słuchawce rozległo się ciche pikanie.

– Drona już dolatuje – powiadomił ją Gruner.

– Chyba ją widzę – odpowiedziała.

Kolejne mrugnięcie i... tym razem dostrzegła niewyraźny płaski kształt. Kilka sekund później nad uchwytem wózka zawisła bardzo prosta, czterowirnikowa maszyna, długa na dwa metry i o połowę węższa. Z centralnej części plastalowego szkieletu zwisały dwa grube gumowane pasy, na których Adamadeus zapewne podwieszał części wymagające przetransportowania na miejsce naprawy. Teraz miały posłużyć do stworzenia swobodnego zaprzęgu. Wystarczyło owinąć końcówki sprężystego materiału wokół rączki wózka i zapiąć karabińczyki.

– Gotowe – zameldowała, uporawszy się z tym zadaniem.

Wirniki zakreśliły się szybciej, konstrukcja przechyliła się do przodu, napięte pasy zatrzeszczały, ale koła nawet nie drgnęły.

– Zejdź – poprosił Gruner.

– Ale... – zaczęła protestować. – Mówiłam, że to się nie uda. Wózek jest za ciężki! – z każdym słowem podnosiła głos.

Adamadeus udął, że nie zauważa rodzącej się w niej paniki.

– Posłuchaj mnie uważnie. Dawno temu pewni ludzie... sportowcy, których nazywano strongmanami... przeciągali siłą własnych mięśni ważące wiele ton maszyny kołowe.

– Pieprzenie! – Irytował ją protekcyjny ton i niedorzeczność tych słów.

– Nie, mówię poważnie. Zabawa polega na tym, że najtrudniej ruszyć takiego kolosa z miejsca. Jak już drgnie, będzie z górki, sama zobaczysz. Wózek jest teraz za ciężki, ale ma koła, więc jeśli z niego zejdziesz, na pewno pojedzie.

Usiądziesz ponownie, gdy dotrzesz do płaskiego odcinka, czyli za jakieś pięćset metrów. – Zaznaczył na planie miejsce, w którym tor przestawał bieć lekko pod górę.

Jęknęła w duchu. Nie będzie tak lekko, jak przypuszczała, ale co robić.

Przerzuciła lewą nogę przez ramę i zsunęła się po obu lewych zbiornikach tlenu na dolny poziom toru. Wózek ruszył, zanim zdążyła dotknąć stopami surowej poromasy. Najpierw wolno, ale z każdym obrotem ażurowe koła poruszały się szybciej. Wkrótce mogła iść już normalnym krokiem. Zerknęła na timer, cyferki świeciły uspokajającą zielenią. W takim tempie powinna dotrzeć do celu za cztery godziny i trzydzieści sześć minut. Miała cały kwadrans zapasu. Uśmiechnęła się, ale zaraz spoważniała. To niewielki margines, zważywszy na fakt, że dopiero ruszyła, a po drodze może się jeszcze wiele wydarzyć.

Pięćset metrów. Sześćset kroków. W normalnych warunkach pokonałaby taki dystans w kilkanaście minut, lecz mając na sobie ciężki skafander i mimo wszystko krępujący ruchy strój przeciwchemiczny, spociała się natychmiast jak mysz. Dyszała ciężko przy każdym kolejnym uniesieniu nogi. Musiała też kilka razy przystanąć, ponieważ stromizna toru, choć z pozoru niewielka, dawała jej dodatkowo w kość. Parę tygodni wymuszonego lenistwa wystarczyło, by do reszty straciła kondycję. Serce waliło jej jak młot, gdy dowlokła się w końcu do miejsca, które Gruner zaznaczył na mapie.

Zaklęła pod nosem, widząc, że rezerwa czasu zmalała niemal o połowę. Na szczęście zaraz zaczęła odrabiać straty. Wózek dogoniła na początku długiej prostej, potem trasa skręcała łagodnie, tak jak wąwóz, którego dnem biegł tor. Tysiąc osiemset metrów najłatwiejszej drogi, ale później...

Ninadine oparła jedną stopę na podstawie ramy wózka, drugą odepchnęła się kilkakrotnie od podłoża, pomagając pracującej na pełnych obrotach dronie.

– A nie mówiłem? – Drgnęła, gdy usłyszała rozbawionego Adamadeusa.

Obserwował ją cały czas przez kamerę latającego pomocnika, niepostrzeżenie, aby nie denerwować jej jeszcze bardziej. Obwody automedu w skafandrze – zbyt prymitywne, by zapewnić Ninadine jakąkolwiek stymulację – pokazywały, że

kobieta ma bardzo przyśpieszone tętno i zbyt płytki oddech. Na szczęście kiedy usiadła i odsapnęła, wyniki zaczęły powoli wracać do normy.

Drona parła do przodu, nie zwalniając nawet na moment. Timer zmienił szybko barwę, przechodząc z żółtej w seledynową, a następnie zieloną. Po kilometry maszyna odrobiła cztery i pół minuty, a pięćset metrów dalej – kolejne trzy. Ninadine wróciła do punktu wyjścia, lecz to był koniec dobrych wiadomości, przynajmniej na ten moment. Teraz czekał ją kolejny, jeszcze większy wysiłek.

Miała przed sobą dziewięćsetmetrowy odcinek, który z przerwami, ale za to na ponad trzech czwartych długości, wznosił się o trzy do pięciu stopni, a więc o maksymalną wartość dopuszczalną w przypadku szybkobieżnej kolejki magnetycznej. Niby niewiele, choć dla kogoś tak słabego jak Truffaut mogła to być droga przez mękę.

– Siedź na wózku, dopóki drona zauważalnie nie zwolni – poradził jej Gruner.  
– Potem zrób to, co przy starcie na płaskim terenie. Nie schodź, tylko odpychaj się jedną nogą.

– Dobrze – obiecała, wpatrując się z nadzieją w smukłą maszynę wiszącą niespełna dwa metry przed uchwytem wózka.

Chwilę później skupiła całą uwagę na wyświetlaczu komunikatora. Prędkość jazdy malała potwornie szybko. Po pierwszych pięćdziesięciu metrach podjazdu drona zwolniła o połowę.

– Teraz – podpowiedział Adamadeus.

Nie poszło tak łatwo, jak przypuszczała. Stopa ześlizgnęła się jej z wąskiej podstawy. Opadła na tor, ciężko, niezdarnie, prawie upadając. Na szczęście zdołała się chwycić wózka i nie wyrznęła jak długa na szorstką poromasę. Machnięciem ręki zbyła głośne syknięcie w słuchawce. Trzy szybkie kroki i znów mogła wskoczyć na podstawę ramy. Nagłe zwiększenie obciążenia zarzuciło dronę, ale Ninadine już się odpychała, tak więc wózek tym razem nie stanął. Minęli w ten sposób setny metr, potem sto dwudziesty, docierając do największej stromizny.

– Pora na krótki spacer.

– Dobrze ci mówić, bo siedzisz w wygodnym fotelu – wysapała.

– Mnie drona nie ciągnęła, kiedy tu szedłem – odgryzł się, choć bez cienia złośliwości w głosie. – Nic nie mów – dodał zaraz, by uciąć dalszą dyskusję. – Oszczędzaj oddech.

Mruknęła coś niezrozumiale, a potem Adamadeus słyszał już tylko jej coraz głośniejsze i szybsze sapanie.

– Zaraz dojdiesz... – rzucił po chwili, urywając celowo, by słowa te zabrzmiały bardziej dwuznacznie.

Próbował odwrócić jej uwagę od natrętnych myśli o rosnącym zmęczeniu i dalszej wspinaczce. Była zbyt wykończona, by go opieprzyć, zbyła więc ten żart milczeniem, a raczej kolejnym sapnięciem połączonym z jękiem, który tak ciekawie mu się skojarzył. Czekał – pomyślała, zapominając na moment o bólu i ogniu wypełniającym płuca – już ja ci dojdę, jak dotrę na miejsce... Był to jednak tylko moment rozkojarzenia. Niemal natychmiast musiała ponownie skupić całą uwagę na stopach. Podnoszenie ich teraz, gdy ktoś obciążył podeszwy grubą warstwą ołowiu, wymagało bowiem ogromnej desperacji i siły woli.

– Wystarczy...! Wystarczy! – Gruner musiał powtórzyć, by zrozumiała, o co mu chodzi. – Wracaj na ramę, ale jeszcze nie siadaj. Odpychaj się, wykorzystamy ten prosty stumetrowy odcinek na maksymalne rozpędzenie wózka, dzięki temu zyskasz następne pięćdziesiąt do sześćdziesięciu metrów. Następne podejście będzie na szczęście krótsze i mniej strome, a trzecie, ostatnie, najłagodniejsze. Teraz!

Z trudem odbiła się od poromasy i opadła ciężko prawą nogą na dolną część ramy. W tej samej chwili usłyszała alarmujące pikanie.

– Tlen mi się kończy! – pisnęła.

– W pierwszym z pięciu zbiorników – odpowiedział uspokajającym tonem. – Przepnij przewód do dolnego gniazda po lewej, a pusty zbiornik po prostu wypnij i zrzuć. Tym sposobem zmniejszymy ciężar ładunku o co najmniej

dwadzieścia kilogramów. Tylko się pośpiesz, musisz to zrobić, zanim dotrzesz do kolejnego podjazdu, inaczej stracisz cały pęd.

Wielokrotnie przećwiczyła ten manewr na sucho, kiedy łądowała zbiorniki na wózek. Zatem teraz zeskoczyła ostrożnym ruchem, chwyciła za kryzę i przekręciła zdecydowanie wtyczkę przewodu, a gdy ta została uwolniona, szybko wbiła ją w gniazdo umieszczonego niżej zbiornika. Usłyszała uspokajające kliknięcie, a rzut oka na wyświetlacz kombinezonu wystarczył, by cały jej niepokój zniknął. Manometr połyskiwał zielenią. Pochyliła się więc i szarpnęła za dźwignię górnego mocowania. Ciężki stalowy pojemnik, dzięki któremu oddychała przez ostatnie półtorej godziny, poleciał w dół, odbił się od progu i poszybował w ciemność. Nie patrzyła, gdzie spadł, tylko ledwie zniknął jej z oczu, wskoczyła na próg ramy i zaczęła się odpychać lewą nogą.

Choć zrobiła wszystko jak trzeba, nie zdążyła na czas. Musiała opuścić wózek już na trzydziestym metrze podjazdu. Tyle dobrego, że Adamadeus tym razem nie skłamał, by ją pocieszyć. Nawet jeden stopień kąta pochylenia toru robił różnicę. Dla niej ogromną. Pamiętając o stracie na pierwszym wzniesieniu, zacięła się jednak i pokonała ten odcinek, przystając zaledwie raz, a i to wyłącznie dlatego, że Gruner kazał jej odpocząć.

Trzecią stromiznę poprzedzał ponadkilometrowy płaski odcinek, na którym mogła znowu odetchnąć. Niestety już wkrótce dotarło do niej, że te chwile wytchnienia są bardzo zdradliwe. Ruszenie się po nich potęgowało uczucie zmęczenia i bólu. Gdybym tak mogła dłużej posiedzieć, pomyślała, z zawiścią zerkając na ciągnącą ją dronę. Zaraz chyba...

– Jak wyglądamy z tlenem? – zapytała.

– Dobrze – odparł Gruner, nie rozumiejąc, do czego Ninadine zmierza.

– A konkretnie?

– To zależy, o co pytasz.

– Czy mogłabym odrzucić jeszcze jeden zbiornik, żeby zmniejszyć obciążenie wózka?

Odpowiedź nadeszła po dłuższej przerwie. Adamadeus musiał to przeliczyć.

- Nie. Na razie nie.
- A kiedy będzie to możliwe?
- Masz w tej chwili tlenu na nieco ponad cztery godziny. Zbiornik skafandra jako rezerwowowy i dwa zewnętrzne, z czego tylko jeden pełny. Pokonałaś dwa i pół kilometra z ośmiu, ale najtrudniejszy odcinek jest już za tobą, dlatego nie przejmuj się aż tak bardzo timerem. To, że straciliśmy osiem minut, na razie nic nie znaczy. Nadrobisz tę stratę na następnych odcinkach.
- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.
- Musisz opróżnić ten zbiornik do końca... – zaczął ostrożnie.
- Dlaczego?
- W momentach zwiększonego wysiłku zużywasz za dużo tlenu. Masz go teraz dokładnie tyle, ile trzeba, z tylko kilkuprocentowym zapasem – wyjaśnił i zauważywszy, że jej tętno rośnie, dodał: – W obliczeniach uwzględniłem podwyższoną średnią, więc spokojnie, nic ci nie grozi. Przynajmniej z tej strony.
- Następnym razem, gdy będziesz projektował taki kombinezon, zamontuj w nim jakiś zawór, najlepiej w podeszwie, żeby mogła się pozbyć hektolitrów potu.
- Dla szanownej pani dieta ekspresowa Adamadeusa Grunera kompletnie gratis – zażartował. – Dziesięć kilogramów w sześć godzin.
- Jeśli tyle schudnę, zostaną ze mnie same kości – jęknęła, ciesząc się z tego, że Adamadeus robi, co może, by odciągnąć jej myśli od zbliżającej się stromizny.
- Nie wiem, czy schudniesz aż tyle, ale na pewno pozbędziesz się całego zbędnego tłuszczu – zapewnił ją. – Ale my tu gadu-gadu, a ćwiczenia czekają. Zeskakujemy i kolejna seria odepchnięć. Raz, dwa. Raz, dwa.
- Zamknij się, draniu – warknęła, zsuwając się na tor.

\* \* \*

Godzina i dwadzieścia siedem minut. Tyle zostało do odlotu, gdy Ninadine



pokonała szósty kilometr toru. Następne półtora kilometra mogła przejechać, odpoczywając, ponieważ na tym odcinku trasa kolejki magnetycznej biegła łagodnym łukiem wzdłuż stromego klifu. Teraz, niemal w samo południe, gdy lokalna gwiazda stała w zenicie, widoczność poprawiła się na tyle, że dało się dostrzec wiele szczegółów krajobrazu, w tym sąsiednie pasma gór, a nawet oświetloną rzęsiście instalację przemysłową, której górna część wystawała zza poszarpanej, czarnej jak smoła grani.

Jedynym przykrym akcentem, jaki Truffaut zauważyła, przyglądając się okolicy, była ława nie tak odległych, skłębionych chmur zwiastujących rychłe nadejście kwaśnej ulewy. Gdy wózek minął krótki tunel, za którym tor biegł już nad na oko bezdenną przepaścią, Ninadine poczuła mocne szarpnięcie, jakim powitał ją silny wiatr. Zerknęła w dół; pionowa ściana niknęła gdzieś daleko w kompletnym mroku. Z mapy wynikało, że od podnóża góry dzieli ją ponad dwa tysiące siedemset metrów, nad sobą miała jeszcze pół kilometra gładkiego, lśniącego, wytrawionego kwasem klifu.

– Jak z pogodą? – zagadnęła.

– Nieciekawie – przyznał Gruner.

Wyczuła w jego głosie cień niepokoju.

– Jak bardzo nieciekawie?

– Idzie ulewa. Jedna z mocniejszych, ale dotrze do ciebie dopiero za jakieś pół godziny, więc nie przejmowałbym się kwasem. Strój ochronny powinien wytrzymać dwa razy dłużej, niż potrwa ekspozycja, a poza tym intensywne opady zazwyczaj szybko się kończą. Po kwadransie będzie już tylko siąpiło.

– Oby – mruknęła, nie do końca uspokojona.

– Masz dwadzieścia dwie minuty zapasu, a zostały ci już tylko dwa kilometry, w tym zaledwie czterysta pięćdziesiąt metrów stromizny. Powinnaś ją pokonać, nie zsiadając ani razu, skoro za chwilę będziesz mogła odrzucić ostatni pusty zbiornik.

– Martwi mnie ten wiatr – stwierdziła, gdy kolejne szarpnięcie zachwiało nią i droną.

– Jaki wiatr?

– Nie widzisz? – zdziwiła się. – Wyłącz stabilizację kamery.

Czterowirnikowiec kołysał się coraz mocniej, ale systemy przekazu wizji miały dobre zabezpieczenia. Operator nie mógł przecież patrzeć na wiecznie skaczący przekaz.

– Widzę – odparł kilka sekund później Gruner. – Nie wiem, dlaczego tam tak dmie. Wszędzie indziej jest w miarę spokojnie.

– Może to ta góra. – Wskazała ręką na przesuwany się po lewej klif.

– Niewykluczone... – Zamilkł na dłuższą chwilę. – Wiesz co... – dodał znacznie poważniejszym tonem – ...poodbijaj się trochę.

– Na płaskim?

– Na płaskim. Rozpędź się najbardziej, jak potrafisz.

– Coś jest nie tak? – zaniepokoiła się nie na żarty.

– Nie mam pewności, ale wolałbym, abyś jak najszybciej minęła tę przepaść. Masz rację co do wiatru, ta góra strasznie miesza, a prosto na ciebie idzie front burzowy.

– Mógłbyś mówić konkretniej? – Teraz miała już niezłego stracha.

– Jasne. Chodzi o to, że tuż przed ulewą solidnie powieje, znacznie mocniej niż teraz. Umówmy się tak. Gdy dam ci znak, natychmiast wypniesz dronę.

– Oszalałeś?! – zaczęła panikować.

Miała zostać sama podczas huraganu nad ponaddwukilometrową przepaścią?

– Natychmiast, rozumiesz? – kontynuował, nie zwracając uwagi na jej wybuch. – Wolę nie ryzykować. Przy tak silnym wietrze może nią miotnąć o tor.

– A co ze mną?

– Ty w skafandrze ważysz prawie sto kilogramów. Gdy nadejdzie najgorsze, po prostu schowaj się za podstawą szyny. Masz tam jakieś kable albo pasy? Mogłabyś się przywiązać. W poromasie są otwory do instalacji elektromagnesów.

– Będzie aż tak źle?

– Dmucham na zimne. Stracimy kilka minut, najwyżej dziesięć, a gdy zacnie

łać, podeślę ci znów dronę. Przypniesz ją ponownie i pojedziesz dalej. Będiesz u mnie na czas, gwarantuję. Masz coś, czym możesz się przywiązać? – powtórzył zadane wcześniej pytanie.

– Tak.

W schowku znalazła kilka metrów linki. Nie wiedziała, czy jest kwasoodporna, ale przecież i tak miała ją zostawić, gdy tylko zacznie padać.

– Świetnie. W takim razie ruszaj. Dzięki temu rozwiniesz znacznie większą prędkość. Nadgoń, ile się da, a potem przeczekaj najgorsze.

– Dobrze.

– Nie schrzań tego, Ninadine, jesteśmy już tak blisko celu...

– Powiedziałam: dobrze.

– Na mój znak odpinasz karabińczyki. Natychmiast.

– Nie musisz mi tego powtarzać! – odwarknęła zła na niego, że traktuje ją jak dziecko.

Ponad kwadrans jechała pod wiatr, zatem pomimo mniejszego ciężaru wózka poruszała się niewiele szybciej niż na pierwszych odcinkach trasy. Timer wskazywał nieubłaganie, że zamiast nadrabiać czas, straciła ponad minutę. Niby niewiele, ale...

Drona zakołysała się mocniej po kilku silniejszych porywach, zniosło ją też o ponad pół metra, lecz niezależne napędy wirników sprawnie kontrowały każde większe wychylenie i maszyna uparcie wracała na swoje miejsce. Robiło się jednak coraz nieprzyjemniej i niebezpieczniej. Ława chmur zajmowała już trzy czwarte nieba; mimo że do zachodu zostało jeszcze sporo czasu, zapanowały ciemności. Wrażenie to pogłębiała dodatkowo czerń majestatycznej ściany.

– Chyba już pora. – Ninadine usłyszała głos Grunera po kolejnym uderzeniu, które omal nie zrzuciło jej z wózka.

– Myślę...

– Wypnij dronę! – podniósł głos.

Zerknęła na wyświetlacz, potem na niebo. Widziała lejącą się z chmur tafłę kwasu. Dziesięć minut, nie więcej. Tak pokazywało urządzenie. Pochyliła się, by

sięgnąć do pierwszego karabińczyka, ale porywisty wiatr stawiał jej opór. Strój ochronny był bardzo luźny, zadziałał więc jak żagiel. Zdążyła tylko jęknąć i już leżała na wąskiej, co najwyżej metrowej podstawie toru. Ból w barku był tak przeraźliwy, że natychmiast straciła oddech.

Nic nie widziała. Słyszała tylko swoje jęki i przebijające się przez nie urywane wrzaski Adamadeusa. Czuła, że sunie po szorstkim podłożu, lecz nie wiedziała, czy wiatr popycha ją w kierunku przepaści czy wzdłuż konstrukcji toru. Nagle się zatrzymała, obróciło ją jak szmacianą lalką.

Przewód – zrozumiała w jakimś przebłysku – przewód tlenowy!

Próba ruszenia rękami przyniosła kolejny paroksyzm bólu. Lewy bark był złamany albo wybity. Mogła więc liczyć tylko na prawą rękę. Na szczęście wiatr zelżał na moment, miała więc parę sekund, by wymacać podstawę szyny i wsunąć dłoń w otwór. Wyjść z bólu, przysunęła się bliżej ścianki z poromasy i wpiła się w nią, jakby chciała zlać się w jedno z tą niedokończoną konstrukcją.

– Ninadine?! Co tam się dzieje? Słyszysz mnie? Odezwij się! Powiedz coś! – Adamadeus darł się bez przerwy.

– Jest źle! – wyjęczała.

– Żyjesz! Nie spadłaś! – wpadł jej od razu w słowo.

– Utrzymał mnie przewód tlenowy – zdołała wyjaśnić, zanim wiatr i towarzyszący szarpnięciu ból powrócił.

– Wypnij go! Już!

– Nie sięgnę – mruknęła, nie do końca rozumiejąc, dlaczego Gruner aż tak się gorączkuje. – Leżę trzy metry od wózka.

– Ze swojej strony wypnij!

– Dobrze, tylko przestań krzyczeć.

Łatwiej było powiedzieć, niż zrobić. Lewą ręką nie mogła ruszyć, prawą trzymała się szyny. Nie podobał się jej jednak nagły ton, z jakim Adamadeus powtarzał, by natychmiast odłączyła się od wózka, zaryzykowała więc pomimo panicznego strachu i puściła poromasę. Wymacała pośpiesznie gniazdo i nagłym szarpnięciem wyjęła wtyczkę.

– Gotowe.

Odetchnął tak głośno, że usłyszała to poprzez wycie wiatru. Zanim zdążyła otworzyć ponownie usta, mignął nad nią jakiś cień – coś poleciało w stronę klifu. Wichura przesunęła i ją, sprawiając jej potworny ból, lecz spanikowana Ninadine zdołała wymacać inny otwór i znów przyłgnęła do podstawy szyny.

Nie wiedziała, ile czasu to trwa. Według niej wieczność albo i dłużej. Adamadeus mówił do niej bez przerwy. Zadawał pytania, pocieszał, gadał coś, czego nawet nie rozumiała. Rewanżowała się sporadycznie głośniejszym pomrukiem albo zwykłym „tak”. Ból, jaki przeszywał ją systematycznie przy każdym szarpnięciu, odbierał chęć życia i otępił zmysły. Z początku, nie mogąc się opanować, reagowała zwierzęcym skowytym; gdy nie miała już sił, by nabierać tyle powietrza do płuc, piszczała tylko jak mała skrzywdzona dziewczynka.

Już po wszystkim. Przyjęła to do wiadomości dopiero wtedy, gdy Gruner wykrzyczał te słowa po raz piąty albo szósty. Spięta do granic wytrzymałości czekała na kolejne szarpnięcie, ale to nie nadchodziło. Za to coś stukało. Tysiące, miliony maleńkich paluszków dotykały kombinezonu, zbyt delikatnie jednak, by mogło to spotęgować ból.

Zaczęło padać.

– Wstań, proszę.

Ręka, którą obejmowała podstawę szyny, ścierpła jej zupełnie. Potrzebowała więc dłuższej chwili, aby odsunąć się ostrożnie, centymetr po centymetrze, nie urażając przy tym uszkodzonego barku. Później było gorzej, musiała przetoczyć się na bok i podnieść, a tego bez kolejnego paroksyzmu bólu, który za pierwszym razem posłał ją znów na tor, nie dało się zrobić. Leżąc tak i dysząc ciężko, dostrzegła komunikator. Przyczepione do rękawicy kombinezonu urządzenie wciąż działało. Zobaczyła idealnie zielone cyfry timera, mapę i odległość. Dokładnie osiemset czterdzieści sześć metrów dzieliło ją od celu. Na jej oczach głęboka zieleń pojaśniała o kilka tonów. Czas ucieka, uświadomiła sobie, a otaczającą ją dźwięczącą ciszę przebiły zduszone, z każdą chwilą

wyraźniejsze dźwięki. Adamadeus znów krzyczał, powtarzał w kółko jej imię. On też mnie kocha... – pomyślała wciąż zamroczona. Zieleń stała się jeszcze jaśniejsza, jakby kwas wypłukiwał barwę z timera.

Kwas. Timer.

Otrzeźwiała w momencie. Adrenalina i strach pozwoliły jej przezwyciężyć ból, choć niewiele brakowało, by padła po raz kolejny. Wspierając się na wciąż odrętwiałej prawej ręce, podniosła się na kolana. Chwilę później zdyszana stała na miękkich nogach, opierając się o podstawę szyny.

– Weź się w garść, kobieto – poprosił ją Gruner. – Musisz iść dalej. Już!

– Iść? – zdziwiła się. – Gdzie jest wózek?

– Dwa i pół kilometra od ciebie, tam gdzie drona – odpowiedział tak ponurym tonem, że przeszły ją ciarki.

– Co?

– Nie mamy czasu na gadanie – uciął. – Musisz jak najszybciej ruszać dalej.

Zrobiła krok, potem drugi, za każdym razem sycząc z bólu. Zwisające bezwładnie lewe ramię kołysało się przy każdym ruchu. Zatrzymała się więc i oparła o poromasę.

– Nie dam rady.

– Musisz.

– To tak boli...

– Wiem, ale straciłaś właśnie jedną trzecią zbiornika tlenu. Jeśli nie ruszysz teraz, nie starczy ci... – zamilkł, nie chcąc kończyć zdania.

– To dlaczego kazałeś mi się wypiąć? – naskoczyła na niego.

– Gdybyś tego nie zrobiła, leżałabyś teraz na dnies przepaści obok wózka i drony – odparł ze złością. – Idź dalej, błagam.

Ninadine zerknęła na wyświetlacz. Musiała pokonać osiemset czterdzieści sześć metrów w niespełna godzinę, przy jedenastu minutach zapasu. Nawet ona nie miała problemu z wyliczeniem, czym to się skończy. Zwłaszcza gdy spojrzała na poziom tlenu w ostatnim zbiorniku.

– Nie dam rady. Mogę iść, ale w ciągu godziny nie pokonam nawet połowy

tego dystansu.

Zdziwiło ją, z jakim spokojem wypowiedziała te słowa. Jeszcze przed momentem była przerażona, balansowała na skraju paniki, a teraz...

– Dobra. Wiem, co zrobimy – odezwał się zasapany Adamadeus. – Idę po ciebie. Jestem wypoczęty, mogę biec... Jeśli wyjdiesz mi naprzeciw, nawet tak wolno jak teraz, spotkamy się za jakieś... dwadzieścia minut. Będziemy mieli prawie pół godziny na powrót. Damy radę.

– Nie!

– Ruszaj, ja już mam na sobie skafander. Idę po ciebie.

– Powiedziałam: nie.

– Z moich wyliczeń wynika, że mamy ponad pięć minut zapasu.

– Nawet jeśli po mnie przybiegniesz, nie dam rady iść z tobą tak szybko, jak byś chciał.

– Poniosę cię.

– Chcesz mnie przenieść do drukarki w takim samym czasie, w jakim pokonasz biegiem dzielący nas odcinek? – zaśmiała się chrapliwie. – Bądźmy poważni.

– Nie możemy zrezygnować – upierał się. – Nie teraz. Nie tak blisko celu.

– Zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy – odparła stanowczo. – Jestem ci za to cholernie wdzięczna, ale trzeba wiedzieć, kiedy powiedzieć: dość.

– Ninadine! Idę po ciebie, czy tego chcesz czy nie! – Jego głos brzmiał teraz inaczej, chyba rzeczywiście zdążył już uszczelnić skafander.

– Ani mi się waż. – Spojrzała w mroczną przepaść.

Strugi kwaśnego deszczu spływające po osłonie maski nie pozwalały dojrzeć zbyt wiele, poza tym zrobiło się ciemno jak w nocy. Dwa i pół kilometra...

– Nie ty będziesz o tym decydować! Zabieram muła. Wysyłam go na skraj przepaści, żebyśmy mieli czym wrócić. Zabiorę też przenośnego automeda, znieczulę cię...

– Jak? – Wiedziała, że Gruner robi wszystko, aby ją ocalić, lecz właśnie zaczął fantazjować. – Mam zdjąć skafander na tym kwasie?

– Przepalę materiał. Zrobię małą dziurkę.

Spojrzała na komunikator. Cyfry na timerze były ciemnopomarańczowe. Jeszcze raz spróbowała policzyć, jakie mają szanse. Zrobiła też kilka kroków, ale ból w uszkodzonym barku był tak potworny, że musiała przystanąć. Od tunelu na końcu przepaści dzieliło ją dwieście pięćdziesiąt metrów. W godzinę nie pokona nawet tej odległości, on zaś... Nie było szans na to, by przebiegł osiemset metrów i przeniósł ją na tę samą odległość. Nie zdążą nawet wtedy, gdy ją znieczuli i pociągnie za sobą. A skoro tak...

– Posłuchaj mnie uważnie. Ktoś zostawił nas tutaj na pewną śmierć. Nie wiem, czy EB czy rząd, ale to bez znaczenia. Jesteś jedyną osobą, która może powiedzieć o tym świecie, dlatego musisz za wszelką cenę przeżyć. Rozumiesz? Za wszelką cenę, a to znaczy, że nie możesz ryzykować... zwłaszcza dla mnie.

– Ninadine, co ty bredzisz?!

– Znajdź Święckiego, opowiedz mu o wszystkim. Nie o mnie, ale o losie tej kolonii. O tym, co zrobiono ludziom ewakuowanym z Delt. I jeszcze jedno, przekaz moim rodzicom, że żałuję, naprawdę szczerze żałuję, iż nie potrafiłam im okazać, jak bardzo ich kocham i...

– Ninadine!!!

Robiąc pierwszy kroczek w stronę krawędzi, miała wrażenie, że jego wrzask rozrywa jej bębenki.

– Ciebie też kocham... – dodała po chwili wahania.

Zacisnęła powieki i usta, zanim się stoczyła, by razem z kropelkami kwasu polecieć w bezdenny mrok, słuchając po raz ostatni dźwięku swojego imienia.



# DZIESIĘĆ

*System Rwanda, Sektor Sierra,*

*30.11.2354*

Eskadra specjalna wyszła z nadprzestrzeni ostatnia, sześćdziesiąt trzy minuty po pojawieniu się na Rwandzie rdzeniowca, którym przerzucono jednostki eskorty. W czasie takich zmasowanych działań, kiedy w grę wchodziła szybka relokacja wielu setek mniejszych okrętów, flota wykorzystywała odpowiedniki cywilnych frachtowców, by przemieścić naraz od stu do nawet trzystu niszczycieli, fregat i korwet. Oszczędzało to czas, ponieważ nawet przy sekundowych odstępach skoku trzeba wielu minut, by całe zgrupowania weszły w nadprzestrzeń i, co chyba ważniejsze, wyszły z niej pomyślnie.

Nauka nie знаła jeszcze odpowiedzi na pytanie, dlaczego w studniach grawitacyjnych mogą się pomieścić co najwyżej cztery niezależne obiekty równocześnie – przy czym, co ciekawe, ich masa i rozmiary nie miały żadnego znaczenia. Uczni głowili się nad tą zagadką od niemal dwustu pięćdziesięciu lat, lecz nadal nie byli bliżsi odkrycia prawdy niż ich prekursorzy, którzy w najboleśniejszy z możliwych sposobów przekonali się o istnieniu tego dziwnego ograniczenia.

Ta forma transportu pozwalała na oszczędzenie nie tylko cennego czasu, ale też paliwa do reaktorów oraz samych napędów, które – zwłaszcza w przypadku najmniejszych okrętów – musiałyby pracować przez wiele godzin na pełnym ciągu.

Użycie rdzeniowców rozwiązywało oba te problemy. Cztery największe okręty tej klasy, jakimi dysponowała obecnie flota Federacji, mogły przenieść po tysiąc dwieście jednostek eskorty, które już po dwunastu sekundach od chwili odłączenia od statku matki osiągały pełną zdolność bojową. W przypadku samodzielnych lotów czas ten wydłużał się nawet do minuty, kiedy to tarcze czołowe nie miały pełnej mocy.

Mimo że tym razem czas nie miał wielkiego znaczenia, ponieważ wróg powinien się pojawić dopiero kilkanaście godzin po zajęciu przez ludzi pozycji bojowych, admiralicja wolała dmuchać na zimne. Kolejnym punktem tej taktyki było też celowe opóźnienie przylotu eskadry Świąckiego, by w przypadku ewentualnej zasadzki nie utracić połowy niezwykle cennych sond.

Henryan rozumiał, dlaczego Farland podjął taką, a nie inną decyzję. Jego konwój nie zdołał wykryć żadnej transmisji w systemach tranzytowych, lecz liniowce i tak pojawiły się na Ulietcie. To zaś bezsprzecznie znaczyło, że wróg monitoruje ruch na zajętych wcześniej terytoriach. Admiralicja uznała zatem, że istnieje tylko jeden sposób na całkowite zaskoczenie ma'lahn – zespół uderzeniowy winien pojawić się na Rwandzie jak najpóźniej, już po tym, gdy lecące do tego systemu t'iru znajdą się w nadprzestrzeni. Aby tak się stało, ludzie musieli zaryzykować i przerzucić siły do sąsiadującego z Rwandą niezamieszkanego systemu, ponieważ tylko z niego mogli dotrzeć do celu w wymaganym czasie.

Okręty trafiły więc na Roanoke, gdzie po ponad dwóch dobach oczekiwania odebrały ostatni sygnał wysłany ze stacji monitorującej ruch na Rwandzie. Trzydzieści godzin później wydano rozkaz skoku. Jedno było bowiem pewne – t'iru pojawią się w atakowanym systemie pomiędzy czterdziestą drugą a czterdziestą piątą godziną od zniszczenia stacji – ta wartość, ku nieodmiennemu zdumieniu strategów oraz naukowców, pozostawała niezmienna, mimo że liniowce musiały w tych dniach pokonywać ponad sto lat świetlnych więcej niż na początku wojny. Ludzie natomiast potrzebowali tylko ośmiu godzin, by dotrzeć do celu z odległego o trzydzieści dwa lata świetlne

Roanoke.

Czasu było więc aż nadto i dlatego Xiao wydał rozkaz, aby zespół uderzeniowy został podzielony. Przodem posłano główne siły, a kluczowa dla tej operacji eskadra Święckiego musiała odczekać pełną godzinę, zanim pozwolono jej podążyć za pancernikami i krążownikami.

\* \* \*

Henryan przeżył pierwsze duże zdziwienie dosłownie minutę po opuszczeniu nadprzestrzeni, gdy jego wyświetlacze zapełniły się strumieniami danych odbieranych przez czujniki systemu. Iluzja stworzona przez pion inżynierski była idealna. Gdyby nie wiedział, że ma do czynienia z wabikiem, byłby przekonany, że Alfa, jedyna skała w tym systemie zasługująca na miano prawdziwej planety, tętni od wielu lat życiem. Na głównym ekranie widział powiększony rzut nocnej strony globu, który na sporej przestrzeni pokrywała pajęcza sieć światła. Skanery okrętu odbierały także setki równoczesnych transmisji, choć ich liczba malała szybko i systematycznie, jak powinno być w przypadku pośpiesznej ewakuacji.

– Wie pan, dlaczego nie skolonizowaliśmy Alfę? – zapytał, spoglądając na wsłuchującego się w ten szum medialny komandora porucznika Mwabe, współdowódcę *Grenadiera 01*.

Zawiadujący pionem taktycznym kapitan Davidson został oddelegowany czasowo na inny okręt, by Święcki mógł przejąć dowodzenie eskadrą. Jako że nawet najnowszej generacji niszczyciel był za mały, aby pomieścić dodatkowych członków załogi, dawnego współdowódcę przeniesiono po prostu na krążownik, którym przyleciał Henryan.

– Jak to: nie skolonizowaliśmy? – zdziwił się drobny skośnooki Mwabe.

– Najzwyczajniej w świecie. Warunki na Alfie są wyjątkowo zabójcze. Wystarczy kwadrans, żeby tamtejszy deszcz rozpuścił ludzkie ciało. Trzeba by wyprodukować specjalne wersje sprzętu, z pięć razy droższe od zwykłych, aby

koloniści mogli tam normalnie żyć i pracować.

– A to wszystko...? – Komandor porucznik wskazał na ekrany wypełnione odbieranymi transmisjami.

– Nie słyszał pan o taktyce multiplikacji celów? – Święcki spojrzał na niego uważnie.

– Raczej nie... – odparł ostrożnie komandor porucznik.

W tym momencie Henryan uświadomił sobie ostatecznie, że trafił na okręt należący wcześniej do drugiej floty.

Dowództwo Rubieży musiało dozować prawdę znacznie oszczędniej, niż robił to Farland, uznał po chwili zastanowienia. A sztab trzeciego metasektora nie miał czasu lub też nie wpadł na to, by naprawić ten ewidentny błąd sąsiadów.

– Proszę wejść do bazy danych trójki i wyszukać rozkaz O 734/10/54 – zasugerował współdowódca, nie chcąc wdawać się w szczegóły.

Mwabe wykonał jego polecenie, a gdy skończył czytać, zmrużył skośne oczy.

– Niesamowite. To by tłumaczyło, dlaczego nie widziałem w pobliżu planety żadnego transportowca, którym można by ewakuować ludzi. Są tam tylko korporacyjne orbitery służące do przerzucania ciężkiego sprzętu.

– Te jednostki należą teraz do nas – przypomniał mu Święcki. – A drukarki polecą zaraz do kolejnego pasa, by dalej mnożyć cele.

– To ma sens. – Komandor porucznik wyszczerzył równiutkie zęby, ale niemal natychmiast spowaźniał. – I oni się na to łapią?

– Oni?

– Mówię o Obcych.

– Nieodmiennie. – Henryan pochylił się nad konsolą, przewinął listę dostępnych transmisji i wybrał jedną. – Proszę spojrzeć.

Mwabe rozdziawił usta. Na głównym ekranie jego wyświetlacza pojawiła się sceneria, która łudząco przypominała wnętrze głównego studia GNN. Różnica była tylko jedna – nie znał żadnego z trojga prezenterów omawiających najnowsze wydarzenia.

– To też podrabiamy?

– Oczywiście. Na wypadek, gdyby ma'lahn zapragnęli się dowiedzieć czegoś więcej o naszej sytuacji. Jednakże holo i cała rozrywka są retransmitowane z głównych zamieszkałych systemów tego pasa, naturalnie bez kodowania, dzięki czemu oczekiwanie na bitwę po raz pierwszy w historii nie będzie nudne – dodał, uśmiechając się pod nosem. – Mogę pana jednak solennie zapewnić, że nie znajdzie pan w całym tym szumie ani urywka prawdziwej wiadomości.

Mwabe słuchał go, oglądając transmisję. Roztrzęsiona prezenterka, znana mu skądinąd, przedstawiała właśnie sytuację Federacji, kreśląc ją w naprawdę czarnych barwach. Panika, bezwład, flota w rozsypce...

Komandor porucznik spojrzał z niepokojem na Henryana. Wyglądał na równie przejętego jak gwiazda holo.

– Myślę, że lepiej będzie, pułkowniku, jeśli wyjaśni pan to reszcie naszych załóg. Prawdę powiedziawszy, taka informacja przydałaby się wszystkim z naszego metasektora. Jeśli ktoś tego teraz słucha, nie wiedząc o waszej taktyce...

Święcki nie tracił czasu na odpowiedź. Przeszedł na kanał mającego dowodzić tą misją admirała Corteza, zastępcy Farlanda. Cierpliwie czekał na połączenie dłuższą chwilę, świadom, że człowiek przygotowujący do walki tak wielki zespół uderzeniowy może być bardzo zajęty, ale po upływie pięciu minut zdecydował, że ta sprawa jest zbyt istotna, ważniejsza nawet od kwestii organizacyjnych, rozłączył się więc i przy drugim logowaniu użył starego kodu sztabowego, sugerującego znacznie wyższy priorytet wiadomości. Miał nadzieję, że Poetze nie kazał go anulować po niefortunnej akcji.

Tym razem hologram admirała pojawił się niemal natychmiast.

– Co to ma znaczyć, u licha? – zapytał Cortez, wyraźnie poirytowany faktem, że rozmawia z dowódcą zwykłego niszczyciela, a nie kimś naprawdę ważnym. – Skąd znacie ten kod?

– Admirale, melduje się pułkownik Święcki. Kod otrzymałem w sztabie sektora od generała Ruty. Jestem, to znaczy byłem, jednym z jego głównych analityków.

– Wiecie, pułkowniku, że używając tego kodu w tej sytuacji, przekroczyliście uprawnienia i naruszyliście regulamin?

– Wiem, sir, i godzę się na poniesienie wszelkich konsekwencji, ale proszę poświęcić mi pół minuty. Obawiam się, że doszło do poważnego niedopatrzenia, wskutek którego morale większości załóg okrętów drugiego metasektora może...

– Co wy mi tu pieprzycie o morale?! Ja mam bitwę na głowie! – obruszył się admirał, sięgając do wyłącznika.

– System dezinformacji nie został jeszcze wyłączony, a niekodowany przekaz dociera do wszystkich okrętów, sir! – wypalił pośpiesznie Henryan, próbując go ubiec.

Na dźwięk słowa „dezinformacja” Cortez zamarł.

– Jesteście pewni?

– Tak jest. – Świąćki dołączył nowe okno transmitujące GNN.

– Dziękuję za zwrócenie uwagi na ten fakt, pułkowniku... – Admirał spojrzał uważniej na rozmówcę. – To pan był tym majorem z holo?

– Tak jest.

– Zasłużony awans, pułkowniku.

Szybki salut i hologram znikł.

– To było... – zaczął Mwabe.

– ...nieregulaminowe, wiem – dokończył za niego Henryan, zadowolony, że udało mu się dopiąć swego.

– Chciałem powiedzieć: niesamowite – zaprzeczył komandor porucznik. – Nie znam nikogo, kto odważyłby się na wycięcie głównodowodzącemu takiego numeru.

\* \* \*

Plan był prosty. Wychodzące z nadprzestrzeni t'iru miały zostać zasypane gradem klasycznych głowic kinetycznych, nie tak gęstym, jak zakładały

wcześniejsze symulacje, lecz na tyle intensywnym, by osłabił tarcze liniowców, które nieco ponad sekundę później wejdą w pole rażenia pancerników i towarzyszących im formacji krążowników. Wymiana ognia w tej fazie starcia będzie tak intensywna, że zgodnie z szacunkami analityków floty powinna doprowadzić do zniszczenia pierwszego t'iru i uszkodzenia drugiego – admiralicja zakładała, że do systemu takiego jak Rwanda ma'lahn wyślą najwyżej dwa liniowce. Nie było tutaj tylu celów, by Obcy musieli angażować większe siły, ale zespół uderzeniowy został przygotowany na ewentualne starcie z trzema jednostkami wroga. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że drugiej takiej szansy na zaskoczenie Obcych może już nie być, nic więc dziwnego, że Farland i Rutta starali się zabezpieczyć swoich podwładnych na wszelkie sposoby.

Zdecydowano się na mocniejsze uderzenie niż to, jakiego żądała pani kanclerz, Farland upierał się bowiem, że tylko tak będzie można uwiarygodnić przebieg starcia. Nie chciał też, by utrata tylu dużych okrętów wojennych nie szła w parze z jakimkolwiek sukcesem, którym dałoby się przykryć rozmiary klęski. Trzy albo cztery pancerniki w zamian za jeden liniowiec zniszczony i jeden poważnie uszkodzony brzmiało jego zdaniem o wiele rozsądniej niż układ, w którym jedna ze stron wychodzi z bitwy, zachowując zerowy bilans strat.

\* \* \*

Wszystkie okręty znalazły się na wyznaczonych pozycjach na dziewięćdziesiąt minut przed rozpoczęciem ostatecznego odliczania. Początek operacji wyznaczono na czterdziestą drugą godzinę, licząc od zniszczenia stacji monitorującej. Taki był najkrótszy okres między rekonesansem a pojawieniem się t'iru, jaki odnotowano podczas trwania wojny.

Od tej chwili wszyscy czekali w napięciu na sygnały z sond kontrolujących każdą z czterech studni – monitorowano aktywność wszystkich, choć Obcy mogli wykorzystać tylko dwie z nich. Znów chodziło o wyeliminowanie

jakiegokolwiek ryzyka. Farland zarządził, by pilnowano nawet tunelu czasoprzestrzennego, którym zespół dotarł na Rwandę.

Pancerniki i krążowniki sformowały dość ciasny – oczywiście jak na warunki panujące w kosmosie – szyk, ustawiając się pięć sekund świetlnych od strefy skoku, pomiędzy obiema studniami prowadzącymi do pasa S. W przestrzeni zawisła więc ściana okrętów wojennych, w której równo co pięćdziesiąt tysięcy kilometrów rozmieszczono pancerniki otoczone czterema liniami oddalonych od siebie o dwadzieścia tysięcy kilometrów krążowników. Całość wyglądała imponująco – ale tylko na wyświetlaczach, gdyż człowiek znajdujący się teraz w przestrzeni miałby spory problem z wypatrzeniem jednostek, z których najbardziej oddalone od siebie dzieliło sto dziewięćdziesiąt tysięcy kilometrów. Było to jednak maksymalne sensowne zagęszczenie, pozwalające dowódcom poszczególnych okrętów na prowadzenie walki indywidualnie, bez ryzyka spowodowania kolizji.

Mowa oczywiście o walce pozycyjnej, jak nazywano wolny, liczony w setkach kilometrów na sekundę dryf, który okręty będą mogły przerwać dopiero wtedy, gdy sondy wykryją nadlatującego wroga. Inaczej nie dało się zastawić tej pułapki. Gdyby wprowadzić te giganty w ruch już teraz i rozpędzić choćby do .1 świetlnej, szanse na zastawienie pułapki zmalałyby niemal do zera.

Jak bowiem umieścić całą formację tam, gdzie trzeba, jeśli od wykrycia drgań przestrzeni do wyjścia wroga ze studni grawitacyjnej upływają zaledwie cztery i pół minuty? W tym czasie wszystkie okręty musiałyby dotrzeć na wyznaczone pozycje, odległe o mniej niż sekundę świetlną od wylotów tuneli nadprzestrzennych, a najbardziej ciasny krąg, jaki mógł zatoczyć zespół, miał promień długości niemal jedenastu sekund świetlnych, co znaczyło, że jednostki floty mogłyby potrzebować kilkakrotnie więcej czasu na nawiązanie walki z wrogiem.

Z tego właśnie powodu wybrano inny wariant, pozwalający pancernikom na znacznie wcześniejsze zajęcie pozycji wyjściowych i rozpoczęcie przyśpieszania dopiero po wykryciu wroga, aby w momencie, gdy t'iru wyjdą z nadprzestrzeni,



znalazły się dokładnie tam, gdzie powinny być. Gdyby w tej bitwie chodziło o osiągnięcie innych celów, ogromnym minusem takiego rozwiązania byłaby bardzo mała prędkość okrętów, narażająca je na dłuższe przebywanie w polu rażenia liniowców.

Na szczęście Farland nie musiał się tym przejmować.

Zanim trwające około sekundy starcie ogniowe dobiegnie końca, w kierunku t'iru polecą kolejna fala rdzeni wystrzelonych przez ariergardę zespołu, składającą się z około dwustu pięćdziesięciu cięższych jednostek eskorty. W zależności od sytuacji zostanie ona rozproszona na wszystkie liniowce lub skupiona na tylko jednym z nich. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem i więźniowie zdołają wykonać zadanie, uszkodzony t'iru zostanie pominięty. Jeśli natomiast wszystkie okręty wroga przetrwają w niezłym stanie, niszczyciele, korwety i fregaty trzeciej fali będą musiały zaatakować tego, który wcześniej najmocniej oberwał, aby operująca na tyłach zespołu eskadra Święckiego mogła zainfekować pozbawiony osłon energetycznych t'iru.

A wszystko to rozegra się w przysłowiowym okamgnieniu.

\* \* \*

– Jest sygnał!

Krótki komunikat zelektryzował wszystkich na pokładzie *Grenadiera 01*.

– Skąd leca?

– Z Sankt Petersburga. – Wachtowy z trudem wymówił zbyt trudną dla niego nazwę.

– Czyli zgodnie z przypuszczeniami. Ile odczytów mamy?

– Trzy, odstępy sekundowe. Amplituda drgań odpowiada rozmiarom korwety, więc to prawie na pewno t'iru.

– Aż trzy? – Święcki zmarszczył brwi.

Czyżby ma'lahn przejrżeli nasze plany? Nie, raczej nie... gdyby znali liczebność zespołu uderzeniowego, wysłaliby tutaj więcej liniowców. Ja bym tak

zrobił, dla pewności. Trzy t'iru nie dają zbyt wielkiej przewagi...

O co więc mogło chodzić? Kolonia, choć wyglądała imponująco, nie należała do największych. Czyżby liczba transmisji okazała się za duża? Nie, na pewno nie. Cały sztab specjalistów czuwał nad tym elementem dezinformacji. Na wszelki wypadek Henryan sprawdził szybko odczyty. W tym szumie nie było niczego przypadkowego, a jego natężenie nie odbiegało od norm przyjętych dla drugorzędnej kolonii.

Ta kwestia musiała na razie pozostać zagadką. W cztery i pół minuty nie da się jej rozwikłać, a tylko tyle czasu zostało do wyjścia liniowców z nadprzestrzeni i rozpoczęcia bitwy.

– Ogłosić alarm bojowy! – rozkazał Świącki.

Na wszystkich pokładach zawyły syreny. Podobnie rzecz się miała z pozostałymi jednostkami eskadry specjalnej.

– Sześćdziesiąt procent mocy na główny napęd.

– Jest sześćdziesiąt procent mocy na główny napęd.

– Ekran czołowy na sto procent.

– Jest ekran czołowy na sto procent.

– Aktywować wszystkie wyrzutnie.

– Jest aktywować wszystkie wyrzutnie.

*Grenadier 01* odpali pociski ze wszystkich dwudziestu czterech stanowisk bojowych, podobnie jak pozostałe okręty jego zgrupowania, aby późniejsze analizy przebiegu bitwy nie ujawniły dziwnego i łatwego do wyłapania odstępstwa. W przypadku wyrzutni pozostała już tylko jedna decyzja – jakiej amunicji użyć podczas ataku – ale tę system wyda dopiero wtedy, gdy t'iru zetrą się z pancernikami.

Cztery minuty sześć sekund bezczynności, tyle musieli wytrzymać we względnym bezruchu, mimo że adrenalina podkręcała reakcje do granic. Kokony foteli spowiły ich błyskawicznie, szarpnięć serwomotorów nawet nie poczuli.

Sprzęt ostatniej generacji, pomyślał Świącki. Cud techniki.

Cztery minuty i trzy sekundy.

Serce uderza od czasu do czasu, jakoś rachitycznie, jakby zabrakło mu paliwa. Wszystko zwalnia, komunikaty, których człowiek zazwyczaj nie może doczytać do końca, teraz zdążyłby wykuć na pamięć, tyle razy może je powtórzyć. I cyfry na timerach, przelewające się wolno, jakby czarne pola wypełniono nie holograficzną grafiką, lecz rozgrzaną smołą. Świącki przymknął oczy. Nienawidził tego czekania i towarzyszącego mu pobudzenia. Nie mógł też znieść narastającego stopniowo napięcia.

Kilkanaście sekund da się wytrzymać, w niektórych przypadkach może nawet pół minuty, ale później człowiek ma ochotę rozedrzeć gołymi rękami chroniącą go skorupę kokonu i odetchnąć w końcu pełną piersią, a nie sączyć jak przez słomkę coraz radsze atomy tlenu...

\* \* \*

– Kontakt!

Eskadra znajdowała się na tyłach zespołu uderzeniowego, niecałe pięć sekund świetlnych od wylotu studni grawitacyjnej, ale i tak korzystała z transmisji nadawanej przez sondę monitorującą połączenie nadprzestrzenne z Sankt Petersburgiem, aby wszystkie jednostki mogły reagować w czasie rzeczywistym, ponieważ przy tak niewielkich dystansach i tak zawrotnej prędkości zdarzeń nawet przysłowiowe mrugnięcie oka mogło zrobić ogromną różnicę.

Tam, gdzie ułamek sekundy wcześniej widać było tylko pustkę i świecące w tle gwiazdy, pojawił się nagle czarny obiekt. Pół sekundy później na jego masywną, owalną powierzchnię spadł grad pocisków kinetycznych, wystrzelonych ze stu osiemdziesięciu niszczycieli, korwet i fregat. Masa symboli zapełniających główny ekran była zbyt duża, aby człowiek mógł się w nich wszystkich rozeznąć.

Świącki poczuł ukłucie niepokoju tuż przed tym, nim komputery przyciemniły przekaz, żeby ludzie nie oślepli od blasku mrowia eksplozji. Coś było nie tak. Nieraz widział t'iru, tymczasem to, co wynurzyło się z nadprzestrzeni, tylko

z grubsza przypominało gruszkowaty liniowiec.

– Dopadliśmy drani z opuszczonymi tarczami! – wydarł się któryś z wachtowych, komentując inny szczegół, który umknął uwagi Henryana.

– Kurwirtual! – jęknął pułkownik, sprawdzając odczyty.

W tym czasie następna salwa dotarła do drugiego celu, a moment później trzecia przebiła się przez dwa nieregularne obłoki stygnącej plazmy. Wszystkie obiekty zostały natychmiast zniszczone, rozbite na miliardy drobinek, które mknęły teraz przez przestrzeń ku ścianie większych okrętów.

– To nie były t'iru... – wymamrotał Świącki, przyglądając się napływającym lawinom danych. – Rozpieprzyliśmy cholerne asteroidy!

*Grenadier 01* znajdował się ponad pięćset tysięcy kilometrów za czołem zespołu, które stanowiły trzy zgrupowania niszczycieli lecących właśnie w kierunku piekła, jakie same rozpętały w strefie skoku. Farland zdecydował, że tym razem eskorta pozostanie na polu walki dwie sekundy dłużej, by dodatkowo rozproszyć uwagę wroga i zwiększyć szanse pancerników. Małe zwrotne okręciki mogły się obawiać wyłącznie broni laserowej, tak więc wielki admirał zakładał, że straty poniesione w ciągu trzech albo co najwyżej czterech sekund, podczas których znajdą się na skraju pola rażenia wroga, powinny być minimalne.

Nie przewidział jednak, że w kierunku trzech zgrupowań eskorty pomkną lawiny rozpędzonych do prawie .2 świetlnej kamiennych pocisków. Nie tysiące, jak w przypadku ostrzału rdzeniami kinetycznymi, lecz miliony, a może nawet dziesiątki milionów ułamków, często o masie przekraczającej tysiąckrotnie ciężar największych głowic.

Mocy takiego uderzenia nic nie mogło przetrzymać. Świącki przyglądał się transmisji, na której chmura odłamków, zbyt licznych, by jakikolwiek system był w stanie je zliczyć, mknęła w kierunku okrętów zespołu. Komputery w ułamkach sekund uprościły przekaz, zaznaczając pole rażenia nieregularnym kręgiem, który rozszerzał się nieustannie, sunąc w kierunku trzech zgrupowań ariergardy.

– Spierdalajcie stamtąd, ludzie – syknął Henryan, zaciskając dłonie na poręczach fotela.

Wiedział jednak, że to pobożne życzenie. Od ataku minęły cztery sekundy. Jeszcze sześć i trzy mrowia ikonek znajdują się pomiędzy liniami oznaczającymi granicę strefy rażenia. A napędy podprzestrzenne najbliższych okrętów potrzebowały nieco więcej, by osiągnąć pełną gotowość...

– Komandorze poruczniku! – zawołał, nie odrywając wzroku od wyświetlacza. – Uruchomić napędy podprzestrzenne! Pełna moc! Natychmiast!

– Tak jest!

– Proszę wysłać ten rozkaz do wszystkich jednostek ariergardy!

– Nie posłuchają mnie! – zauważył trzeźwo Mwabe.

Henryan wpisał ponownie stary sztabowy kod dostępu. System odmówił jego przyjęcia.

Cortez musiał mi cofnąć dostęp. Dureń... Dureń...

Sięgnął raz jeszcze do klawiatury, ale uświadomił sobie, że jest już za późno.

Fala odłamków zmiotła dwie z trzech formacji awangardy, jak lawina leżące na jej drodze kamyki. Trzecie zgrupowanie niszczycieli, korwet i fregat niknęło właśnie w feerii setek oślepiających eksplozji.

Krażowniki i pancerniki znajdują się w zasięgu lawiny za kolejne trzy sekundy, a na nich nikt przecież nie rozgrzewał wcześniej napędów podprzestrzennych...

Henryan przerzucił się na boczny ekran, wprowadził szybko ciąg komend, potem odczekał wieczność, a gdy system przedstawił odpowiedź, odwrócił się do współdowódcy.

– Wydajcie im ten rozkaz tak czy inaczej – polecił. – A swoim podkomendnym przekażcie, żeby skakali, gdy tylko rozgrzeją akceleratory.

– A my? – Komandor porucznik był bystry, to trzeba mu przyznać.

– My wykonamy taki zwrot... – Świącki przesłał wynik niedawnych obliczeń na wyświetlacz Mwabe.

– Ale...

– Wykonać! I nadal grzejemy napęd podprzestrzenny – dodał, by zdławić

rodzącą się w umyśle współdowódcy panikę. – Będziemy mieli pełne trzy sekundy na podjęcie ostatecznej decyzji.

– Tak jest.

Fala odłamków dotarła właśnie do głównych sił, które wciąż utrzymywały szyk. Admirał albo był tak zaskoczony, że nie zdołał wydać żadnego rozkazu, albo zrozumiał, że cokolwiek teraz zrobi bądź powie, nie zmieni losu podkomendnych. Miliony ton kosmicznego gruzu i tak spadną na pancerniki i towarzyszący im rój krążowników, w tym na jednostkę, z której dowodził tą bitwą.

Czegoś takiego nie da się opisać zwykłymi słowami. Czegoś takiego człowiek nie widział od chwili, gdy wyruszył w kosmos. Gigantyczne okręty wojenne otoczone poświatą tarcz energetycznych, które mogły powstrzymać przynajmniej przez chwilę ogień najpotężniejszych turbolaserów, zostały unicestwione w ułamkach sekund. Tysiące odłamków znikają po uderzeniu w ich ekrany czołowe, lecz na miejsce każdego, który wyparował, pojawiało się natychmiast dziesięć albo i sto nowych, a każdy był masywniejszy i cięższy. W starciu z wielotonowymi głazami najnowocześniejsze technologie nie miały najmniejszych szans, musiały ulec i faktycznie padały po trwającym ułamki sekund oporze, a gdy zabrakło tarcz, kosmiczne śmiecie wdarło się pod odsłonięte poszycie. Obłe dzioby gigantów rozprysły się w okamgnieniu. Kolejne skały wgryzały się coraz głębiej, aż sięgnęły pierwszego z reaktorów. Błysk nakładał się na błysk. Nie było ich tyle, ile w przypadku okrętów eskorty, ale kule plazmy po wielkich eksplozjach osiągały naprawdę majestatyczne kształty i rozmiary.

Trzon zespołu uderzeniowego przestał istnieć w ciągu siedmiu dziesiątych sekundy. Za nim była już tylko idąca w rozsypkę ariergarda.

Dowódcy ponad trzystu niszczycieli, korwet i fregat z obu metasektorów posłuchali głosu rozsądku – lub rozkazu wydanego przez Mwabe. Ich jednostki przyśpieszały od kilku sekund, wiele szło nawet na stu dwudziestu procentach mocy, ryzykując wcześniejszą zagładę. W kilku przypadkach ryzyko się nie

opłaciło. Eksplozje rozkwitające w środku formacji nie mogły być dziełem nadciągającej dopiero lawiny. Na szczęście było ich mało, co najwyżej kilka, może kilkanaście.

Święcki sprawdził stan własnej eskadry. Pozostałe dwadzieścia sześć *Grenadierów* zniknęło przed chwilą z normalnej przestrzeni. Jedyńka natomiast wciąż wykonywała ostry zwrot, by jak najszybciej wyjść poza pole rażenia. Trzysekundowa przewaga dawała jej na to spore szanse.

W oddali rozpoczął się ostatni akt mrozącego krew w żyłach spektaklu. Ułamki sekund, które do niedawna wlokły się tak wolno, teraz znikły szybciej niż niszczone kataklizmem okręty. Ściana małych jednostek osiągała właśnie prędkości graniczne. Ci z dowódców, którzy zareagowali pierwsi, odbierali nagrodę od losu: możliwość ocalenia własnego życia. Błękitne rozbłyski pojawiły się naraz w wielu miejscach chaotycznej formacji. Było ich sporo, może nawet kilkadziesiąt, ale na tym koniec. Cała reszta ariergardy zderzyła się w tej samej chwili z falą kosmicznego śmiecia. I tak jak poprzednie części zespołu uderzeniowego została unicestwiona.

Patrząc na te dantejskie sceny, Henryan przypomniał sobie, co sam niedawno przeżył na Smaugu, gdzie trafił na tysiące razy mniej liczne szczątki dawnej instalacji wydobywczej. Wtedy miał wrażenie, że trafił w sam środek piekła, wiedział więc doskonale, jak musieli czuć się ci ludzie, widząc nadciągającą nieuchronnie falę odłamków, która niosła wyłącznie zniszczenie i zagładę.

– Co robimy, pułkowniku? – usłyszał zduszony głos komandora porucznika.

Sprawdził odczyty; ikona *Grenadiera 01* znajdowała się tuż za linią wyznaczającą granicę pola rażenia.

– Utrzymujemy kurs.

– Tak jest... – Mwabe się zawahał. – Po jaką cholere tak ryzykujemy?

– Musimy pilnie skontaktować się ze sztabem trzeciego metasektora – odparł enigmatycznie Henryan. – Ale najpierw upewnijmy się, że nic nam nie grozi.

# JEDENAŚCIE

*System Anzio, Sektor Zebra,*

*30.11.2354*

– To... koniec – wyszeptał biały jak kreda Farland, gdy transmisja z pola bitwy urwała się wraz ze zniszczeniem przekazującego ją pancernika.

Widok mas odłamków sunących szeroką ławą w kierunku głównego zgrupowania zespołu uderzeniowego został niemal natychmiast zastąpiony obrazem z innej perspektywy, o wiele mniej wyraźnym ze względu na niską przepustowość łączy sondy znajdującej się w pobliżu sąsiedniej studni grawitacyjnej. Drugim mankamentem przekazu było lekkie opóźnienie związane z odległością, która dzieliła pole bitwy od tamtego punktu skoku.

Farland jęknął więc jeszcze raz, gdy pokazywana z tej perspektywy fala szczątków uderzyła moment później w ścianę pancerników i krążowników. Komputery centrum dowodzenia dodatkowo spowolniły ten przekaz, by ludzie mogli się dobrze przyjrzeć kolejnym etapom zagłady okrętów.

Jedna sekunda czasu rzeczywistego została rozciągnięta dziesięciokrotnie, dzięki czemu wielki admirał i towarzyszący mu oficerowie zobaczyli, jak rozsadzane setkami wewnętrznych eksplozji obłe kadłuby przestrzennych zeppelinów zaczynają puchnąć i rozpadać się na miriady części; jak kolejne sekcje kilkusetmetrowych gigantów znikają, a potem... Potem ekran ściemniał, gdy system wyłumił oślepiającą moc eksplozji reaktorów.

– Jak... jak oni tego dokonali? – Przerażony Farland otarł dłonią twarz, jakby



wycierał ją z niewidzialnego potu.

– Wiedzieli o nas – odpowiedział mu równie roztrzęsiony Rutta. – Nie ma innego wytłumaczenia tego... tego...

– Asteroidy? – przerwał mu wielki admirał, poprawiając się w fotelu, z którego nieomal zjechał, obserwując zagładę zespołu uderzeniowego. – Jakim cudem udało im się przetrwać je tunelem czasoprzestrzennym?

– Proszę spojrzeć na ten fragment transmisji – odpowiedział mu niemal natychmiast generał Wexler, zajmujący miejsce na prawo od dowódcy metasektora.

Przetaczając się przez Rwandę lawinę szczątków zastąpił inny obraz, przekazywany przez tę samą sondę. Tym razem sztabowcy zobaczyli moment wyjścia z nadprzestrzeni pierwszego obiektu, także spowolniony do jednej dziesiątej rzeczywistej prędkości. Na tle bezkresnej czerni w niewielkiej odległości od mrowia rdzeni kinetycznych pojawił się nagle obły kształt. W tym miejscu Wexler zatrzymał odtwarzanie, by powiększyć i wyostrzyć wycinek pokazujący tylną część asteroidy, niewidoczną z pokładu pancernika. Obraz, nawet po obróbce, nie był zbyt wyraźny, lecz nie pozostawiał żadnych wątpliwości: ogromny gładz został wyposażony w napęd. A raczej przypięty do niewielkiego pojazdu, którego kształty komputery stacji natychmiast powiązały z wyglądem jednostek opisywanych w zeznaniach porucznika Stachursky'ego.

– No tak... – mruknął Farland.

Najprostsze rozwiązanie z możliwych.

– To jeszcze nie koniec, sir – rzucił szef pionu operacyjnego, którego podwładni pracowali od samego początku nad obróbką napływających materiałów i, jak widać, okazali się znacznie sprawniejsi od ludzi siedzącego ze spuszczoną głową Duartego.

Obraz został przesunięty o kilka klatek, do chwili, w której zebrani zobaczyli początek eksplozji, aczkolwiek nie tam, gdzie się tego spodziewali, czyli na przedniej części asteroidy, lecz na jej drugim krańcu, przy pojeździe. Rdzenie znajdowały się w tym momencie siedem tysięcy kilometrów od punktu zero. To

wystarczyło, by zamiast zniszczyć cel, same zostały zmiecione falą rozpędzonych do niemal .2 świetlnej kosmicznych śmieci.

– Samobójcy? – zdziwił się Rutta.

– Albo jednostki bezzałogowe – dodał Wexler.

– Allandreas. – Wielki admirał przeniósł wzrok na wyjątkowo cichego szefa wywiadu.

– Tak, sir?

– Zajmij się przygotowaniem pełnego raportu. – Farland przesunął wzrokiem po szarych twarzach pozostałych oficerów. – Modo lada moment zostanie docucona, a gdy odzyska zmysły, rozpęta piekło. Spróbuję wziąć całą winę i odpowiedzialność na siebie, ale znając jej zawziętość, możecie już pakować manatki. Spieprzyliśmy na całej linii.

– Mamy jeszcze zespoły czekające w pasie Q – przypomniał mu Rutta.

– Owszem – przytaknął Farland – ale jeśli i je spotka podobny los, to będzie koniec tej floty, a może i wojny...

W tym samym momencie na konsoli przed nim zamigła kontrolka informująca o nadejściu pilnego połączenia. Wielki admirał zaczerpnął głęboko tchu, po czym sięgnął do wirtualnego klawisza.

Jednakże nad owalnym stołem, zamiast spodziewanej pani kanclerz, ujrzął twarz Święckiego.

– Wy... życie? – tyle tylko zdołał wymamrotać.

– Tak, sir. Moja eskadra znajdowała się wystarczająco daleko od rozbitych asteroid, by *Grenadier 01* zdążyć wyjść poza pole rażenia. Reszcie okrętów ariergardy rozkazałem wykonać skok w podprzestrzeń, ale chyba niewielu mnie posłuchało.

– Ktoś jeszcze przeżył ten armagedon? – zainteresował się wielki admirał.

– Zapisy naszego systemu pokazują, że sześćdziesiąt cztery jednostki z innych eskadr ariergardy zdołały uruchomić napęd podprzestrzenny, zanim dotarło do nich czoło fali uderzeniowej. Spora część z nich skakała dosłownie w ostatnich setnych sekundy, więc nie wiem, czy wszystkim się udało, sir.

Farland pochylił głowę. Sześćdziesiąt cztery niszczyciele plus dwadzieścia sześć okrętów z eskadry specjalnej... To był ułamek sił wysłanych na Rwandę. Zbyt mały, by coś zmienić.

– Czyś ty zdurniał, człowieku? – do rozmowy włączył się tymczasem czerwieniejący na twarzy Rutta. – Dlaczego zaryzykowałeś zniszczenie sond hybrydowych?

– Niczego nie zaryzykowałem, generale – zapewnił go ze stoickim spokojem Henryan. – Nasz napęd podprzestrzenny też został włączony. Mieliśmy trzy sekundy na podjęcie decyzji. Gdyby istniało jakiegokolwiek ryzyko...

– Nie do was, pułkowniku, powinna należeć ta decyzja. – Wielki admirał był zbyt zrezygnowany i przybity, by się rozzłościć.

– Wiem, sir, ale uznałem, że musimy jak najszybciej porozmawiać. Po wyjściu z podprzestrzeni musiałbym czekać kilka godzin na ponowne odzyskanie mocy, a sprawa jest zbyt pilna, by odkładać jej wyjaśnienie o całą dobę, a może i dłużej.

– Co jeszcze może być pilnego? – Farland pokręcił głową. – Właśnie ponieśliśmy największą klęskę w historii ludzkości, kto wie, czy nie przegraliśmy tej wojny.

– Nie wysnuwałbym aż tak daleko idących wniosków, sir – zaprotestował Święcki.

– Rozumiem, że przedstawi nam pan za moment kolejną błyskotliwą teorię, która zmieni losy świata – zakpił Farland.

– Raczej zwrócę uwagę na kilka szczegółów, które, jeśli szczęście nam dopisze, pozwolą na odzyskanie inicjatywy, sir. Mamy jeszcze dwa asy w rękawie – przypomniał mu Święcki.

– Oni wiedzieli, że jesteśmy na Rwandzie. – Rutta znów włączył się do rozmowy.

W jego głosie słychać było raczej żal niż wrogość.

– Tak, to prawda – przyznał Święcki – i dlatego...

– O nich też mogą już wiedzieć – powiedział generał.

– Niewykluczone, i właśnie dlatego musimy skupić się teraz na tym, skąd otrzymują te informacje.

– Nasi najlepsi ludzie ślęczą nad tym problemem od wielu dni, lecz ich raporty nie nastrajają mnie zbyt optymistycznie, wątpię więc, aby przełom mógł nastąpić w najbliższych godzinach – poinformował go Rutta.

– Chyba że obierzemy sobie inny cel niż dotychczas. – Widząc, że obaj rozmówcy już otwierają usta, i nie chcąc, aby odebrali mu głos, Świącki dodał szybko: – Jestem w stanie zawęzić pole poszukiwań.

– Z pewnością. Jeśli dobrze pamiętam, to pan, pułkowniku, twierdził kilka dni temu, że ma'lahn gównem wiedzą o wojowaniu. – Farland nie odpuszczał.

– I podtrzymuję to zdanie, sir.

– Po tym, czego był pan właśnie świadkiem? – Wielki admirał wydawał się szczerze zaskoczony jego odpowiedzią.

– Tak, sir.

– W takim razie zamieniam się w słuch. – Zrezygnowany Farland odchylił się na oparcie fotela.

– Proponuję, by zamiast szukać sygnałów, wasi analitycy skupili się na porównaniu pełnego spektrum tła Smauga, Ulietty i dowolnego systemu z pasa M.

– Dlaczego mieliby to robić?

– Wiemy z całkowitą pewnością, że dwa wymienione przeze mnie systemy pozostają pod obserwacją Obcych, a trzeci jest od niej wolny.

– A skąd to wiemy? – zapytał Rutta. – Mówię o Smaugu, bo w kwestii Ulietty mamy chyba pełną jasność.

– Stąd, że zastosowali na Uliecie taktykę, której mogli się nauczyć tylko tam, sir – wyjaśnił zwięźle Świącki.

– Śmiała teoria.

– Ale prawdziwa, sir. Wiem, że to tony danych, lecz jeśli skupimy się na wyszukiwaniu identycznych odczytów, eliminując wszystko, co jesteśmy w stanie rozpoznać i zidentyfikować, przez nasze sito przejdą tylko anomalie,

takie jak promieniowanie tła zamaskowanych urządzeń, których Obcy mogliby używać przed naszym przylotem do danego systemu i po odlocie. Jeśli uda nam się namierzyć te obiekty, poznamy ich charakterystyki i będziemy w stanie sprawdzić, czy w danym systemie jest szpiegujące nas cholerstwo. A idę o zakład, że namierzymy je także na Roanoke.

– Skąd to przypuszczenie? – zapytał już o wiele łagodniejszym tonem Rutta.

– Ma'lahn musieli mieć czas na znalezienie odpowiednich asteroid i sprowadzenie ich na Rwandę. Moim zdaniem sugeruje to, że odwiedzili Roanoke przed nami i pozostawili tam strażnika, który poinformował ich o przybyciu zespołu uderzeniowego. Sygnał mógł być nadany przed naszym pojawieniem się w normalnej przestrzeni, dlatego go nie wykryliśmy.

– Dlaczego więc nie zaatakowali tamtego systemu, tylko Rwandę? – wtrącił wielki admirał.

– To proste, sir. Roanoke jest niezamieszkanym zadupiem, z którego można się dostać tylko do pasa Q albo na Rwandę. Nie trzeba być specjalnie rozgarniętym, by wywnioskować z tego, że zamierzamy zaatakować t'iru, które zostaną wysłane w celu zniszczenia bogatej kolonii.

Farland nie zadał kolejnego pytania. Moment wcześniej zauważył, że ożyła kolejna kontrolka, tym razem zwiastująca połączenie, na które czekał z obawą.

– Przyjęliśmy pańskie sugestie do wiadomości, pułkowniku – rzucił, pochylając się w kierunku klawiatury. – Proszę czekać na dalsze instrukcje. Bez odbioru.

Hologram Święckiego zbladł, ale nie zgasł do końca, przekształcając się momentalnie w ozdobione wściekłym grymasem oblicze kobiety, która rządziła znanym wszechświatem.

– Pani kanclerz... – Farland uklonił się jej z szacunkiem, a potem przeniósł wzrok na struchlałych sztabowców. – Wszyscy wyjść! – rozkazał.

– Nie ma takiej potrzeby. – Modo wpadła mu w słowo, pomijając zwyczajową wymianę uprzejmości. – Ta sprawa dotyczy was wszystkich.

– Rozumiem. – Wielki admirał oklapł.

– Co to było?! – wypaliła rozwścieczona Gerdanielle Modo.

– Nasz pierwszy zespół uderzeniowy został rozbity w zasadzce, którą zorganizowali na Rwandzie ma'lahn – odparł Farland spokojnie i rzeczowo. – Wprawdzie nie spodziewaliśmy się takiego obrotu sprawy, ale jesteśmy przygotowani i na tę ewentualność. Właśnie rozpoczynamy wdrażanie drugiego etapu operacji.

– Niczego nie będziecie wdrażać! – wybuchnęła Modo. – Ten pokaz rażącej niekompetencji był ostatni, na jaki pozwoliliśmy. Wszyscy traficie pod sąd! Wszyscy jak tam siedzicie! Ta operacja to jakieś nieporozumienie! Straciliśmy trzy czwarte sond hybrydowych! To, co mamy w pasie Q, może nie wystarczyć do zainfekowania t'iru! A wyprodukowanie nowej partii tak zaawansowanego sprzętu zajmie wiele miesięcy, może nawet rok! Nie... – Zamilkła na moment. – Nie. Wasz czas już się skończył, panowie oficerowie.

– Pani kanclerz, jeśli pani pozwoli. – Wielki admirał odczekał, aż zabraknie jej tchu. – Po pierwsze, nie straciliśmy ani jednej sondy. Właśnie rozmawialiśmy na innym kanale z pułkownikiem Święckim, który potwierdził, że *Grenadier 01*, podobnie jak reszta jego eskadry, przetrwał atak Obcych. Po drugie, bardzo się cieszę, że w końcu zobaczymy się na żywo, szkoda tylko, że będziemy musieli dzielić miejsce na ławie oskarżonych.

– Kpisz ze mnie, człowieczku? – wymamrotała zdezorientowana Modo.

Informacja o ocaleniu sond wytrąciła ją z równowagi, a uwaga o ławie oskarżonych do reszty zbiła z tropu.

– Gdzieżbym śmiał, pani kanclerz. Przypominam tylko, że plan tej operacji został zatwierdzony, oprócz pani i sekretarza Kaupa rzecz jasna, przez trzech wielkich admirałów, w tym samego Tadama Xiao. Jeśli dojdzie do procesu, trudno wam będzie się wymigać od współodpowiedzialności. Wszyscy więc, jak mniemam, jedziemy na tym samym wózku.

– Nie liczyłabym na to – syknęła Modo.

– Jestem pewien, że wniosek w tej sprawie zyska poparcie kilku milionów marynarzy, żołnierzy i oficerów trzeciej floty, a być może także ich towarzyszy

broni z innych metasektorów.

– Pan mi grozi?

– Nie, pani kanclerz, uprzedzam panią.

– A ja uprzedzam pana, że ci ludzie przysięgali wierność Federacji, nie jakiemuś watażce bez polotu.

– Myślę, że udostępnienie załogom okrętów drugiej i trzeciej floty zapisu naszych ostatnich rozmów rozwiąże ostatecznie kwestię lojalności.

Pozostali sztabowcy z rosnącym przerażeniem przysłuchiwali się tej – zbyt spokojnej jak na ich gust – wymianie zdań. Farland na ich oczach groził otwartym buntem, co dodatkowo pogarszało sytuację wszystkich obecnych. Nikt jednak nie ważył się odezwać. Wszyscy bali się choćby odetchnąć, by nie zwrócić na siebie uwagi.

– Tak pan stawia sprawę? – Modo wciąż była wściekła, może nawet bardziej niż na początku tej rozmowy, ale zaczęła trzymać nerwy na wodzy.

Nie spodziewała się oporu. Kaup zapewniał ją, że Farland i pozostali sztabowcy będą przerażeni, może nawet zdruzgotani porażką. Sugerował też, że to najlepszy moment, by się ich pozbyć i zastąpić starą wiarę bardziej uległymi oficerami. A tu proszę. Wielki admirał trzeciego sektora nie tylko nie wyglądał na przegranego, ale jeszcze się odgryzał, i to jak! Jego uwagę o kontrasygnowaniu dokumentów można by zbyć śmiechem, gdyby nie fakt, że naprawdę dysponował nagraniami rozmów, w których Modo pozwoliła sobie powiedzieć więcej, niż powinna, co z pewnością rozwścieczy większość mundurowych – zwłaszcza po klęsce operacji, która w całości była pomysłem admiralicji i Rady.

Poza tym to nie był najlepszy moment na otwieranie nowego frontu tej wojny...

Nacjonalizowane korporacje wciąż stawiały zaciekle opór. Pozbycie się oligarchów było bowiem zaledwie pierwszym, jakże małym krokiem na długiej drodze do przejścia wszystkich aktywów. Bunt we flocie, nawet ograniczony do części jednostek trzeciego metasektora, mógł więc zyskać niespodziewanego

sojusznika pod postacią niemałej armii decydentów próbujących zachować dawne stanowiska i wpływy. Nie mówiąc już o tym, jak bardzo ucierpiałby jej kanclerski wizerunek, gdyby ludzie usłyszeli, co mówiła. Jako doświadczony polityk zdawała sobie sprawę, jak niewiele trzeba, by z uwielbianej bohaterki stać się wrogiem numer jeden. Najpotężniejsi oligarchowie, ludzie, którzy mieli senat i Radę w kieszeni, byli tego najlepszym przykładem.

– Mówię tylko, pani kanclerz, że panujemy nad sytuacją – kontynuował tymczasem Farland. – Na etapie planowania braliśmy pod uwagę porażkę tego zespołu, dlatego dysponujemy planem awaryjnym. Jak już wspomniałem, dzięki naszej zapobiegliwości eskadra dowodzona przez pułkownika Święckiego zdołała przetrwać zasadzkę i właśnie ewakuuje się z Rwandy. Przegraliśmy pierwsze starcie, ale to nie znaczy, że zostaliśmy zepchnięci do defensywy. Poza tym, jeśli odwoła nas pani teraz, stracimy jedyną okazję do przeprowadzenia skutecznego kontrataku.

– Rozumiem. To jednak nie koniec, wielki admirale – wycedziła jego stopień z takim jadem, że poczuł swąd palonego ciała. – Wrócimy do tej rozmowy po zakończeniu działań bojowych.

– Na to liczę, pani kanclerz, i zapewniam, że następne informacje będą o wiele bardziej zado...

Zniknęła, zanim Farland zdążył dokończyć zdanie. W sali odpraw znów zapanował półmrok. Towarzyszyła mu pełna napięcia cisza, pęczniejąca z każdym uderzeniem serca.

– Jeśli tak wygląda w pańskim wykonaniu wzięcie odpowiedzialności na siebie, to nie chciałbym być świadkiem sytuacji, w której zrzuca pan ją na innych – odezwał się w końcu Rutta.

– Gdybym położył uszy po sobie, już by nas wlekli do cel – odpowiedział wielki admirał lekko drżącym głosem. – Idę o zakład, generale majorze Korolenko, że pańscy podwładni czekają już pod drzwiami na sygnał z admiralicji. – Dowódca kontyngentu Wydziału Bezpieczeństwa nie odpowiedział. Nie musiał. To było jasne jak słońce. – Wiceadmirale Duarte,



proszę poinformować pańskich ludzi o zmianie priorytetu poszukiwań. Od tej chwili pracujecie nad znalezieniem powtarzających się anomalii Święckiego. I niech pan nawiąże w tej sprawie ścisłą współpracę z analitykami generała Wexlera. Macie mi przedstawić wyniki tych porównań w ciągu następnych dwunastu godzin. Generale Rutta, pan skontaktuje się ze Święckim. Proszę mu przekazać, żeby spróbował dotrzeć do studni grawitacyjnej prowadzącej do pasa Q. Jeśli zdąży, niech dołączy jak najszybciej do zespołu drugiego. Jeśli t'iru pojawią się, zanim doleci do strefy skoku, niech wieje w podprzestrzeń.

# DWANAŚCIE

*System Rama, Sektor Sierra,*

*01.12.2354*

– Admirale Kovalainen. – Farland zsalutował dowódcy drugiego zespołu uderzeniowego. – Pierwsza faza operacji Młot zakończyła się niepowodzeniem. Obcym udało się ominąć zastawioną na nich pułapkę. Wykorzystali przewagę, jaką dają im transmitters ukryte w zdobytych systemach.

Jego rozmówca poruszył się nerwowo.

– Te, których nie umiemy znaleźć? – zapytał.

Wielki admirał uśmiechnął się tryumfalnie.

– Przed chwilą otrzymałem informację, że naszym specjalistom udało się zidentyfikować te obiekty – oświadczył z dumą. – Właśnie dlatego rozmawiamy.

– Rozumiem, sir. To doskonała wiadomość.

– Owszem. Przesyłamy wam właśnie charakterystykę widmową takich obiektów. Wykonajcie jak najszybciej skan okolic strefy skoku. Zaczynajcie od sfery o średnicy dziesięciu sekund świetlnych, a potem stopniowo rozszerzajcie ją do jednej minuty. Czekam na meldunek.

– Tak jest!

Kovalainen zerknął na stanowisko pionu łączności. Wachtowy patrzył na niego z wyczekiwaniem, jakby chciał coś zameldować.

– Bez odbioru. – Hologram głównodowodzącego zniknął znad konsoli jego stanowiska. – Prześlijcie tę wiadomość do pionu wywiadu. Mają natychmiast

przeskanować przestrzeń otaczającą strefę skoku. Zaczynamy od sfery o średnicy dziesięciu sekund świetlnych, kończymy na minucie. Jeśli wykryją identyczną anomalie, niech natychmiast meldują.

– Tak jest.

Admirał odwrócił fotel, by aktywować centralny wyświetlacz. Jego pancernik, *OPF Grom*, dryfował od niemal czterech dni w pobliżu punktu skoku na Sankt Petersburg. Wokół, jak okiem sięgnąć, wisiały w czerni inne wielkie okręty, osłaniane przez sześć zgrupowań jednostek eskorty, które krążyły nieustannie po ustalonych wektorach, by natychmiast zareagować na pojawienie się wroga.

Wszystko wskazywało na to, że nerwowe czekanie dobiegało końca. Kovalainen nie cieszył się jednak z otrzymanej wiadomości. Na Rwandzie coś poszło nie tak, a to samo w sobie było niepokojące. Jeśli Obcy dysponowali niewykrywalnymi do tej pory transponderami, za których pomocą byli w stanie przesyłać informacje z prędkością nadświetlną, i jeśli jeden z nich znajduje się teraz na Ramie...

Nie będzie efektu zaskoczenia, a bez niego szanse ludzi malały w zastraszającym tempie. Eskadra pancerników, w której skład wchodziły jeszcze bliźniacze *Błyskawica*, *Piorun* i *Grzmot*, nawet z takim wsparciem, jakie dawała obecność licznych krążowników, może nie wystarczyć do wykonania zadania, jeśli załogi t'iru zostaną uprzedzone o liczebności i rozmieszczeniu jego okrętów... Jeżeli już nie znają tych danych, pomyślał, zerkając na ekran komunikacyjny.

Wywiad na razie się nie odzywał, co było dobrym znakiem, ale – przeniósł wzrok na timer – na razie przeskanowano najwyżej jedną trzecią zakładanego obszaru, zatem nie było się z czego cieszyć.

Ciekawe, co się wydarzyło na Rwandzie...? Ta myśl nie dawała mu spokoju. Wielki admirał nie wyglądał na specjalnie poruszonego tym, że Obcy przejęli inicjatywę, co mogło, choć nie musiało, świadczyć o błahości problemu, z jakim spotkał się tam zespół numer jeden. Z drugiej strony Farland nie podał żadnych szczegółów, a pytać go o takie rzeczy przecież nie wypada...

– Sir!

Wyrwany z zamyślenia Kovalainen rozejrzył się po mostku.

– Meldujcie.

– Sonda monitorująca zgłasza obecność obiektu w studni grawitacyjnej.

– W której? – Otrząsnął się natychmiast.

– W punkcie skoku z Quevedos.

To musi być ktoś z naszych, uznał admirał.

– Tylko jeden obiekt?

– Na razie tak, sir.

Upłynęło dopiero kilka sekund od wykrycia drgań, do czterech i pół minuty jeszcze daleka droga.

– Jak duży?

– Ma rozmiary naszego niszczyciela czwartej generacji, sir.

Hm...

– Przygotujcie się do ostrzelania go, jak tylko wyjdzie z nadprzestrzeni – rozkazał, zauważając kolejny sygnał wywołania. – Meldujcie – rzucił, przerywając wachtowemu z pionu wywiadu regulaminową formułkę.

– Taajest, sir. – Zaskoczony żołnierz się zająknął. – Melduję, że skan nie potwierdził istnienia podobnych anomalii w pobliżu strefy skoku.

– Świetnie, w takim razie rozszerzcie strefę poszukiwań do dwóch minut świetlnych, a jeśli wynik będzie negatywny, skanujcie dalej.

– Do jakiej wartości?

– Do momentu, aż każę wam przestać.

– Tak jest.

Admirał rozłączył się i natychmiast wprowadził kod aktywujący łącze nadświatłne. Hologram Farlanda pojawił się znów nad jego konsolą.

– Sir, melduję, że skanowanie nie wykryło żadnej anomalii. Nakazałem moim ludziom, by kontynuowali przeszukiwanie dalszej przestrzeni.

– Dziękuję za informację. – Wielki admirał oblizał górną wargę koniuszkiem języka, jakby zastanawiał się, co powiedzieć. – Może pan odwołać

poszukiwania. Nie wiem dlaczego, ale te obiekty znajdują się w bezpośrednim sąsiedztwie studni grawitacyjnych.

– Wolę dmuchać na zimne, sir – odpowiedział Kovalainen. – Poza tym moi ludzie siedzą jak na szpilkach od prawie czterech dni, odrobina zajęcia na pewno im nie zaszkodzi.

– Czego jak czego, ale zajęć im teraz nie zabraknie, może mi pan wierzyć, admirale – zapewnił go Farland. – Zaczynjcie od wysłania korwety zwiadu na Sankt Petersburg. Jej zadaniem będzie przeskanowanie tamtejszej strefy skoku, ale... proszę słuchać uważnie... jeśli dojdzie do wykrycia anomalii, załoga ma się powstrzymać od jakichkolwiek działań, zwłaszcza zaczepnych. Niech pozorują zbieranie danych. Jakkolwiek się zachowają, transponder Obcych musi pozostawać cały czas w polu rażenia ich laserów, rozumiano?

– Tak jest. Wejdą w dryf zaraz po opuszczeniu nadprzestrzeni, sir.

– Rozkaz ataku wydaję im osobiście.

– Zaraz wyślemy kody dostępu do właściwej jednostki, sir.

– Świetnie. Wy w tym czasie przygotujecie się do wylotu. Wasza studnia jest krótsza o sześć lat świetlnych, więc będziecie mieli półtorej godziny przewagi nad wrogiem.

– To niewiele, sir.

– Wiem, ale musi wam wystarczyć. Za chwilę otrzymacie pakiet nowych rozkazów.

– Nowe rozkazy, sir?

– Tak. Po tym, co się wydarzyło na Rwandzie, musieliśmy zmienić plan. Myślę, że obecna wersja bardziej się panu spodoba. Jest... dynamiczniejsza i gwarantuje większe szanse na przetrwanie waszym okrętom.

– To doskonała wiadomość, sir... – Kovalainen się zawahał.

– Ma pan jakieś pytania?

– Tak. Jedno. Jak poszło *Cervantesowi*?

Farland znów oblizwał wargę w identyczny sposób jak przed chwilą. Choć odpowiedzi udzielił bezzwłocznie, dowódca drugiego zespołu zrozumiał, że nie

usłyszy prawdy, a w najlepszym razie pozna tylko jej część.

– Wykiwali nas, tyle mogę panu powiedzieć. Dzięki transponderowi wiedzieli, gdzie jesteśmy i co robimy, ominęli więc naszą pułapkę, a gdy utraciliśmy przewagę zaskoczenia, trzeba było wiać... – Wielki admirał zawiesił znacząco głos. – Pan będzie w znacznie lepszej sytuacji, admirale. Zostawiliśmy na Rwandzie sondę monitorującą. Ma'lahn zgodnie z przewidywaniami nie uganiał się za nią, tylko ruszyli prosto na Alfę. Dzięki temu nasze oczy i uszy zdołały się oddalić na niemal godzinę świetlną od strefy skoku. Jeśli powracające t'iru, które znajdują się o sześć godzin lotu od studni grawitacyjnej, nie spróbują jej zniszczyć, będziecie wiedzieli co do sekundy, kiedy wejdą w nadprzestrzeń. Przylecieli z Sankt Petersburga, więc zakładamy, że tamtędy będą też wracać.

– Rozumiem.

– Więcej szczegółów znajdzie pan w wiadomości ze sztabu – dokończył wielki admirał. – Aha, i jeszcze jedno. Za chwilę powinien dołączyć do was *Grenadier 01*, wysłaliśmy go, by wzmocnić waszą eskadrę specjalną.

– Przed momentem otrzymałem meldunek, że obiekt wielkości niszczyciela znajduje się blisko wylotu z Quevedos.

– To na pewno oni – stwierdził Farland. – Pułkownik Święcki przejmie dowodzenie eskadrą specjalną. Proszę dopilnować, aby przebiegło to jak najszybciej i jak najsprawniej.

– Osobiście się tym zajmę, sir – obiecał Kovalainen.

– W takim razie pozostaje mi już tylko życzyć panu powodzenia. Dajcie im łupnia. Niech się dowiedzą, że przed nami nie ma ucieczki. – Mówiąc to, wielki admirał zasalutował sprężysto.

– Dostaną za swoje, rękę za to głową! – odpowiedział dowódca drugiego zespołu, rewanżując się identycznym gestem.

Gdy tylko połączenie ze sztabem zostało zakończone, wydał trzy polecenia: odwołał alarm dla eskadry pilnującej studni grawitacyjnych, wydał załodze jednej z trzech korwet zwiadu elektronicznego szczegółowe instrukcje i rozkaz natychmiastowego wyruszenia na Sankt Petersburg, a na końcu polecił

kapitanowi Němecowi, dotychczasowemu dowódcy eskadry specjalnej, natychmiastowe przekazanie obowiązków pułkownikowi Święckiemu, który pojawi się na Ramie dokładnie za minutę i siedem sekund.

Gdy tylko bieżące sprawy zostały załatwione, Kovalainen otoczył stanowisko dowodzenia ekranem izolacyjnym i otworzył największy z trzech plików.

Nad jego konsolą pojawiła się symulacja bitwy, którą miał niedługo stoczyć. Farland nie przesadzał, sztab metasektora zmienił niemal wszystko, ale... chyba rzeczywiście na lepsze.

# TRZYNAŚCIE

*System Sankt Petersburg, Sektor Sierra,*

*01.12.2354*

Pierwsze z nadprzestrzeni wyszły pancerniki. Zaraz po nich w pustce zaczęły się materializować o połowę mniejsze krążowniki, które także przylatywały czwórkami. Trzynaście sekund później na Sankt Petersburgu był już cały zespół uderzeniowy. Jednostki eskorty przewiezione na wielkich rdzeniowcach oderwały się niemal natychmiast od długich na półtora kilometra walców, dzieląc się na eskadry i formując trzy niezależne zgrupowania. Każde z nich, podobnie jak główne siły – teraz tworzące dwie flotyle o identycznej liczebności – ruszyły innym kursem, by jak najszybciej zająć pozycje wyjściowe. Tym razem już nie stacjonarne, nowy plan zakładał bowiem, że każda z podformacji wejdzie do boju przy prędkości nie mniejszej niż .08 świetlnej.

W tym wypadku nie powinno to być przeszkodą. Sonda monitorująca Rwandę przekazała na Ramę komunikat z czasem odlotu Obcych, dzięki czemu znając długość studni, można było wyliczyć z ogromną dokładnością czas przybycia t'iru do punktu docelowego. Jeśli komputery kwantowe *Groma* nie popełniły błędu, korweta zwiadu – która zajęła miejsce transmitera zniszczonego około godziny po tym, jak ostatni t'iru zniknął w studni grawitacyjnej na Rwandzie – wykryje pierwsze odkształcenia przestrzeni już za czterdzieści siedem sekund. Jeśli natomiast opóźnienie albo wyprzedzenie będzie przekraczało sześć sekund,



Kovalainen zostanie zmuszony do wydania okrętom rozkazu odpowiedniego przyśpieszenia bądź wyhamowania. Przy dziesięciu sekundach pomyłki operacja zostałaaby odwołana, choć takiej wersji zdarzeń nie przewidywano.

Jeśli jednak do niej dojdzie, ludzie znikną w podprzestrzeni na ponad cztery minuty przed przybyciem wroga, nie pozostawiając na Sankt Petersburgu żadnego śladu swojej bytności – wykrycie i zniszczenie transmitera zostanie przecież przypisane załodze korwety. Jedynym minusem będzie utracenie przewagi polegającej na niewiedzy ma'lahn o odkryciu ich tajnego sposobu kontrolowania podbitej przestrzeni.

Kovalainen wiedział, że odwrót bez strat byłby ogromną klęską, ponieważ ludzkość utraciłaby najdogodniejszą sposobność do zainfekowania liniowca. Do kolejnego układu systemów, pozwalającego na przeprowadzenie podobnej akcji, Obcy dotrą bowiem najprędzej za miesiąc, a kto wie, co jeszcze może się wydarzyć w tak długim czasie.

Admirał otrząsnął się z tych ponurych myśli. Komputery astronawigacyjne nigdy się jeszcze nie pomyliły i choć Galaktyka stanowiła gargantuiczny wir, w którym jednoczesny wpływ na siebie miały dziesiątki miliardów pozostających w nieustannym ruchu czynników, to moc obliczeniowa systemów, jakimi dysponowała flota, pozwalała na ogarnięcie tego wszystkiego w ułamkach sekund. Tak też było tym razem. Okienko z meldunkiem o wykryciu odkształceń przestrzeni otworzyło się w chwili, gdy odliczający czas timer pokazał same zera.

Za minutę i czterdzieści dwie sekundy dwie podformacje awangardy wystrzela pierwszą z trzech salw liczących po siedem tysięcy sześćset rdzeni. W pierwszej i trzeciej będą dwukilogramowe głowice, w drugiej o połowę lżejsze. Plan Farlanda zakładał bowiem, że zainfekowany zostanie t'iru lecący w środku linii. Dwie pozostałe jednostki Obcych mają zostać wyeliminowane.

Jeżeli to będzie możliwe.

Symulacja pokazywała, że w sprzyjających okolicznościach, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, da się to zrobić. Kovalainen był jednak zbyt

doświadczonym żołnierzem, by nie wiedzieć, że taki cud, jakim jest realizacja planu bez komplikacji, może się wydarzyć raz na miliard lat, na pewno nie częściej. Ludzkość miała więc przed sobą jeszcze długą drogę, zanim któryś z dowódców będzie mógł się pochwalić podobnym wyczynem. Oczywiście podczas bitwy w tej skali, o której mowa, gdyż osiągnięcie sukcesu w małych potyczkach nie było aż tak trudne, jak się wydawało.

Gdyby t'iru zostały uszkodzone na Rwandzie, jak zakładał pierwotny plan, szanse powodzenia byłyby bliskie stu procent, lecz w sytuacji, gdy żaden z liniowców nie został nawet draśnięty... Kovalainen starał się nie myśleć, na jak marnej stoi pozycji. Mimo wszystko zamierzał wykonać każdy rozkaz Farlanda, ponieważ znał stawkę. A była ona wyższa, niż otwarcie mówiono. Tego był więcej niż pewien, jako że umiał czytać między wierszami, a i rozumu mu nie brakowało, jak niektórym biernym, miernym, ale wiernym karierowiczom.

Będąc dowódcą zespołu, nie musiał wydawać żadnych rozkazów, przynajmniej dopóki przebieg bitwy nie odbiegnie znacząco od zakładanego scenariusza. A jeśli coś pójdzie nie tak... Hm, przy tej prędkości składowej starcie potrwa sekundę, może półtorej. Potem obie formacje oddalą się od siebie na tyle, że wyjdą z wzajemnego pola rażenia.

W ciągu sekundy turbolasery mogą oddać tylko jedną salwę, zatem wszystko rozstrzygnie się błyskawicznie.

– Zgrupowanie numer jeden otworzyło ogień! – zameldował wachtowy z pionu operacyjnego.

– Przyjąłem. – Admirał skupił się na obserwacji wirtualnego pola bitwy, odkładając na bok rozważania o tym, co być może, ale nie musi.

Prawdę, i to całą, pozna za niecałą minutę.

Na wyświetlaczu widział mrowie ikonek sunących zwartą ławą w kierunku punktu skoku. Niszczyciele należące do zgrupowania, którego zadaniem było zaatakowanie pierwszego t'iru, nie przerwały ognia, jak robiły to we wszystkich poprzednich starciach. Kolejne rdzenie, posyłane teraz w przestrzeń nieco

rzadziej, leciały innymi wektorami, by razić cel także na odcinku dzielącym go od pancerników. Tym sposobem Farland chciał rozproszyć przeciwnika, zmuszając go do prowadzenia nieprzerwanego ognia zaporowego, dzięki czemu mniej turbolaserów będzie mogło mierzyć w największe okręty.

Sekundę po pierwszym zgrupowaniu do walki włączyło się drugie, nadlatujące do strefy skoku pod zupełnie innym kątem, a zaraz po nim trzecie. To było kolejne novum w planie: każda z formacji jednostek eskorty sunęła na punkt zero własnym wektorem podejścia: z punktu widzenia Kovalainena wyglądało to, jakby wszystkie te okręty zsuwały się po powierzchni niewidzialnej sfery, prac do tego samego punktu.

– Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden! – odliczał wachtowy.

Na pół sekundy przed zderzeniem z pierwszymi głowicami w przestrzeni pojawił się znajomy kształt. T'iru leciał z tarczami ustawionymi na maksimum – od pewnego czasu wszystkie liniowce stosowały taką taktykę przy wychodzeniu ze studni grawitacyjnych. Obcy szybko uczyli się na własnych błędach. Całkiem słusznie, jak się okazało. Potężne osłony zbiegały w mgnieniu oka, ale ku zdziwieniu admirała wytrzymały napór niemal tysięcy trafień, które rozniosłyby nie tylko osłony *Groma*, ale i jego samego na strzępy. T'iru leciał dalej, przedzierając się przez grad kolejnych rdzeni. Jego baterie otworzyły ogień, gdy tylko oślepiająca plazma została za gruszkowatym kadłubem, ale moment później znalazł się w zasięgu zgrupowania A.

*Błyskawica* odpaliła szesnaście baterii dziobowych, czyli wszystkie, jakimi dysponowała w tej części kadłuba. Trzymikrosekundowa dawka pięciogigawatowej energii skupionej w wiązki światła wpiła się w osłabioną tarczę, unicestwiając ją do reszty. Równocześnie z *Gromem* ogień otworzył też *Piorun*, drugi pancernik tego zgrupowania. On jednak użył tylko czterech turbolaserów dziobowych, dwanaście miało bowiem uderzyć w drugi, najważniejszy cel. Plan zakładał, że pierwszy i trzeci t'iru, które powinny zostać zniszczone, zostaną zaatakowane przez jeden pancernik ze wsparciem mniej więcej jednej trzeciej stanowisk bojowych drugiego. Dwie trzecie baterii

*Pioruna* i *Błyskawicy* powinny wystarczyć do takiego uszkodzenia środkowej jednostki wroga, by lecący w ariergardzie Świącki mógł wykonać zadanie.

Z tej fazy starcia t'iru lecący na czele formacji *Obcych* nie mógł wyjść bez draśnięcia. Kovalainen nie był w stanie tego zobaczyć, gdyż wszystko rozegrało się w ułamkach sekundy, a poza tym – niestety – nie dane mu było przeżyć wymiany ognia. Mając do dyspozycji cztery gigantyczne cele, liniowiec mógł skupić na *Gromie* tylko część własnych baterii, lecz i to wystarczyło, by potężne promienie przebiły się przez ekrany, trafiając w zgrubienie kryjące główny reaktor. Ta decyzja komputerów bądź dowódcy okrętu ma'lahn pozwoliła przetrwać pozostałym trzem pancernikom. Żaden z nich nie utracił w tej części sekundowego starcia nawet jednego generatora pól siłowych.

*Grom* zamienił się w wielką kulę plazmy, zanim krążowniki lecące w drugiej linii zdążyły wejść w kontakt z wrogiem. O wiele mniejsze i słabiej uzbrojone okręty nadrabiały braki liczbą. W zgrupowaniu A było ich dwadzieścia cztery, z czego dwanaście mogło oddać pełną salwę, podczas gdy druga połowa eskadry zaangażowała znów jedną trzecią stanowisk bojowych.

Słabsze czy nie, lasery krążowników dokonały wielu zniszczeń na uszkodzonym już i pozbawionym osłony liniowcu, który jednak przedarł się i przez ich ogień, stając na wprost podzielonej na trzy części ariergardy.

Systemy analizujące przebieg bitwy podały na wyrzutnie najcięższe rdzenie, by ofiara, wciąż dysponująca napędem i ponad czwartą częścią stanowisk bojowych, została w końcu unieszkodliwiona. Niestety t'iru ostrzeliwał się nadal skutecznie, dzięki czemu przetrwał i tę fazę bitwy, choć nawet gołym okiem było widać, że przypomina raczej wrak niż dumny okręt wojenny.

Drugi liniowiec, będący właściwym celem tego ataku, wyglądał bardzo podobnie, gdy minął przerzedzone krążowniki, mknąc prosto na rój pocisków mniejszego kalibru i nadlatujące z obu burt głowice, za którymi kryły się rakiety przenoszące sondy. Lawina helonu została zredukowana o połowę, zanim doszło do pierwszej eksplozji, a szesnaście mikrosekund później t'iru wynurzył się z plazmy, by podążyć śladami towarzysza. Jego wygląd, pokazywany przez

wszystkie wyświetlacze *Grenadiera 01*, wywołał uśmiechy na wielu twarzach. W szarym poszyciu ziały wielkie szczeliny, wypalone przez promienie lasera. Część kopuł została rozbita albo mocno uszkodzona. Wszędzie prócz części, którą można by nazwać śródkręciem, widać było też mniejsze i większe krater. Najbardziej jednak ucieszyło Świąckiego i resztę wachtowych, gdy zobaczyli na najmniej uszkodzonej części liniowca cztery czerwone ikony.

Cokolwiek się jeszcze wydarzy, najważniejsze zadanie zostało wykonane... Henryn umieścił nie jedną, nie dwie, ale aż cztery sondy hybrydowe na kadłubie jednostki wroga. Bitwa mogłaby w tym momencie dobiec końca.

Niestety było to niemożliwe.

Trzeci t'iru, na którym ogień skupiły wszystkie walczące wciąż okręty floty, oberwał najmocniej. Gdy minął krążowniki, wyglądał jak łeb mitycznej bestii, której ktoś rozerwał składający się z kilku szczęk pysk. Późniejsze analizy przebiegu bitwy wykazały, że większe skupienie głowic kinetycznych zdjęło mu tarcze, dzięki czemu dwa walczące jeszcze pancerniki mogły się skupić na wybranych celach, zamiast kumulować ogień w jednym punkcie, by pozbawić wrogi liniowiec osłony. Dwa trafienia z turbolaserów w lekko naruszoną czołową kopułę, pod którą mieściła się wielka ładownia, pozwoliły na bardzo głęboką penetrację kadłuba i w efekcie doprowadziły do gigantycznej eksplozji, która rozwarła dziobową część gruszkowatego okrętu, tworząc głęboki na pięćdziesiąt metrów krater i uciszając zdecydowaną większość stanowisk bojowych. Przetrzebione krążowniki dokończyły dzieła gigantów, dokładając swoje trzy grosze. Tak więc, gdy ostatni t'iru minął ostatnie jednostki zgrupowań A i B, był już wrakiem i nie mógł powstrzymać znacznej części lecących w jego kierunku rdzeni, które rozniosły go na przysłowiowe strzępy w nieprzerwanym ciągu siedmuset osiemdziesięciu eksplozji.

Bitwa zakończyła się równo po sekundzie od pierwszego trafienia.

Świącki, który o przebiegu wydarzeń wiedział na razie tyle, ile mógł wywnioskować z wyświetlacza, natychmiast wpisał komendę pozwalającą mu zapoznać się z bilansem strat. Ocalałymi liniowcami się nie przejmował. Wyszły

już z pola rażenia, a zanim zdołają zawrócić, by skierować się do następnej studni grawitacyjnej, musi minąć co najmniej godzina. Był niemal pewny, że wróg, choć zna tak prymitywne napędy, jak akceleratory podprzestrzenne, to z nich nie korzysta, ponieważ ma do dyspozycji o wiele sprawniejsze i szybsze sposoby podróżowania na odległości międzygwiazdne. Jak na razie wszystko świadczyło o tym, że teoria przedstawiona przez generała Rutkę – którą Henryan gorąco popierał – jest prawdziwa. T'iru miały wystarczająco dużo czasu, by zniknąć, a jednak nadal znajdowały się w przestrzeni euklidesowej.

Raport wstępny pojawił się niemal natychmiast. Wystarczył jeden rzut oka, by Święcki przestał się uśmiechać.

*Grom* wyparował po eksplozji reaktora. *Piorun*, przełamany na wysokości śródokręcia kilkoma trafieniami turbolaserów, nadawał się tylko na złom. *Błyskawica* i *Grzmot*, choć powinny opuścić Sankt Petersburg o własnych siłach, z pewnością nie wrócą już do służby. Z czterdziestu ośmiu krążowników tylko jedenaście mogło kontynuować walkę. Dalszych dziewiętnaście zostało uszkodzonych w co najmniej średnim bądź poważnym stopniu, a osiemnaście kolejnych wróg zdołał zniszczyć.

Straty wśród jednostek eskorty okazały się na szczęście lżejsze. Pomysł ze zmuszeniem Obcych do prowadzenia ognia zaporowego pozwolił awangardzie na zachowanie niemal czystego konta. Sześćdziesiąt osiem niszczycieli, szesnaście korwet i jedenaście fregat zostało trafionych, ale co najmniej jedna trzecia z nich wciąż nadawała się do służby. Formacja Święckiego natomiast zachowała czyste konto do samego końca bitwy, w czym nie było jednak niczego dziwnego, ponieważ Farland zadbał, by wszystkie trzy zgrupowania ariergardy znajdowały się na samym skraju pola rażenia, a wróg niedysponujący już pełnym uzbrojeniem musiał się skupić na niwelowaniu zagrożenia, jakim były nadlatujące roje rdzeni kinetycznych.

Straty w ludziach będą znane dopiero za jakiś czas, lecz już teraz można było powiedzieć z dużą dozą pewności, że pójdą w setki ofiar, a nawet tysiące...

– Sir?

– Meldujcie. – Henryan oderwał wzrok od wyświetlacza.

– Proszę spojrzeć na główny ekran, sir! – Wachtowy przełączył widok z planu taktycznego na obraz przekazywany z sensorów.

Oba sprawne t'iru leciały dalej, ale od ich kadłubów odrywały się co chwilę jakieś obiekty, zbyt podobne do siebie, by były to szczątki.

– Dajcie maksymalne powiększenie! – zażądał zaintrygowany Święcki.

– To jest maksimum, sir – odpowiedział wachtowy.

– Łączcie natychmiast z najbliższą korwetą zwiadu. Chcę mieć pełną analizę tych obiektów.

– Tak jest.

To musiało chwilę potrwać. *Grenadier* znajdował się w odległości dwunastu sekund świetlnych od eskadry zwiadu, zatem upłynie co najmniej pół minuty, może więcej, zanim nadejdzie odpowiedź. Pół cholernie długiej minuty...

– Połączenie nadświatłne, sir!

– Kto?

– Sztab metasektora, sir.

– Przełączcie na moje stanowisko.

Odciał się od reszty mostka kopułą ekranu izolacyjnego.

– Wielki admirale!

– Pułkowniku.

Henryan zauważył niecierpliwe spojrzenie Farlanda i uświadomił sobie, że korwety i sondy, choć relacjonowały przebieg starcia, nie mogły przekazać wszystkich szczegółów.

– Melduję wykonanie zadania. Umieściliśmy na celu aż cztery sondy.

– Gratuluję, pułkowniku. I dziękuję. Nie wie pan nawet, jak wiele znaczy to zwycięstwo.

– Domyślam się, sir, aczkolwiek patrząc na bilans strat, nazwałbym je pyrrusowym.

Wielki admirał przytaknął.

– Pan tak to widzi, ja tak to widzę, ale dla polityków to ogromny sukces

okupiony minimalnymi stratami. Jeden... – Zamilkł na moment, jakby coś kalkulował. – Dwa stare pancerniki i kilkanaście nadających się na złom krążowników w zamian za wyeliminowanie trzech jednostek wroga. Zobacz pan, że tak to zostanie przedstawione.

– Zabawy statystyką nigdy się nie opłacają. Pozostałe pancerniki nie wrócą już do służby. Straciliśmy je wszystkie. Spora część uszkodzonych krążowników też pójdzie prosto na złom, to przecież maszyny drugiej generacji. Nie opłaci się ich remontować.

– Pan patrzy na problem okiem fachowca, a oni widzą prawdę przez krzywe lustro propagandy. Straciliśmy tylko te jednostki, które nie opuszczą dzisiaj Sankt Petersburga.

– Rozumiem, sir.

– Świetnie. Jeszcze raz dziękuję za wzorową postawę, pułkowniku, i... – zawahał się – za zachowanie dyskrecji.

– Proszę mi nie dziękować, sir. Zachowanie w sekrecie rozmiaru strat z Rwandy leżało w interesie floty.

Wielki admirał zerknął w bok i szybko zasalutował.

– Bez odbioru.

Henryan wyciągnął dłoń, by wyłączyć ekran izolacyjny, ale zatrzymał palec kilka centymetrów od wirtualnego klawisza. Czuł się podle, okłamując Kovalainena, mimo że rozumiał, iż informacja o rozgromieniu zespołu uderzeniowego numer jeden mogłaby wpłynąć niekorzystnie na morale dowódców i załóg, które dowiedziałyby się o tym smutnym fakcie tuż przed rozpoczęciem decydującej bitwy.

Pewnie jeszcze długo będzie mi się to odbijało moralną czkawką...

Dotknął połyskującego w półmroku prostokąta. Ciszę azylu natychmiast wypełnił gwar mostka.

– Jest już odpowiedź z eskadry zwiadu? – rzucił przez ramię, podnosząc głos.

– Przekaz bezpośredni na kanale czwartym, sir.

– Przyjąłem.



Święcki przełączył się na czwórkę. Przyglądał się uważnie doskonale teraz widocznym obiektom, czując, że usta same układają mu się w uśmiech. T'iru zwalniały, zostawiając za sobą dziesiątki platform bombardujących i innych małych jednostek, takich jak te, które konwój zdobył nad Deltą Ulietty. To był kolejny dowód na to, że Rutta miał rację. Obcy nie dysponowali napędem podprzestrzennym, nie opuszczą więc tego systemu, dopóki...

Obrócił się momentalnie.

– Kto teraz dowodzi? – zapytał, ale odpowiedziała mu cisza.

Wachtowi zamarli, nikt nie znał odpowiedzi.

– Zastępcą Kovalainena była wiceadmirał Zhu z *Pioruna*, ale z nią także nie ma kontaktu – odezwał się w końcu Mwabe.

– Dowiedźcie się natychmiast, kto był kolejny w łańcuchu dowodzenia.

– W tym chaosie to trochę potrwa – ostrzegł go komandor porucznik.

Święcki zastanawiał się tylko przez moment.

– Łącz mnie ze sztabem metasektora – rozkazał wachtowemu z pionu łączności. – Natychmiast!

– Mocy wystarczy tylko na osiem sekund połączenia – zastrzegł mat obsługujący to stanowisko.

– W takim razie wyłączcie wszystkie tarcze!

– Ale to wbrew regulaminowi, sir! – zaprotestował wystraszonym głosem któryś z podoficerów.

– Obcy są ponad minutę świetlną od nas. Nawet gdyby chcieli, nic nam nie mogą zrobić. Dawać mi pełną moc na nadajnik!

– Tajest!

Tym razem Święcki nie aktywował ekranu izolacyjnego.

Tak jak przypuszczał, połączono go z Ruttą. Farland musiał teraz rozmawiać z Modo.

– Co się dzieje? – zapytał półgębkiem generał, spoglądając gdzieś poza obiektyw. Być może był świadkiem tamtej rozmowy.

– Mamy problem, sir. Nie mogę ustalić, kto teraz dowodzi, a jeśli nie

opuścimy Sankt Petersburga przed przegrupowaniem sił, Obcy mogą się domyślić, że coś jest nie tak.

– Nie rozumiem.

– Nie mylił się pan, t'iru nie mają napędu podprzestrzennego. Blokujemy im jedyną drogę ucieczki, zatem...

– Kurwirtual... Poczekaj.

– Nie mam tyle energii... – Rutta go jednak nie słuchał, właśnie zniknął z pola widzenia. Sekundy mijały, szybko, za szybko, jakby ktoś je poganiał. W końcu hologram zaczął blednąć. – Wyłączyć wszystko! Całe uzbrojenie, napęd też. Zostawcie tylko systemy podtrzymywania życia!

– Przyjąłem – odpowiedział Mwabe.

Henryan nie wiedział, ile czasu zyskał tym posunięciem, obawiał się jednak, że nie nazbyt dużo.

No dalej, ponaglał w myślach generała. W końcu dostrzegł jakiś ruch i moment później zobaczył ponownie Rutte.

– Pułkowniku, przesyłam kod upoważniający pana do wydania rozkazu natychmiastowego odwrotu.

– Bez odbioru! – Święcki wyłączył się, gdy tylko usłyszał dźwięk świadczący o odebraniu wiadomości. – Komandorze poruczniku, proszę przesłać ten kod na otwartym paśmie. Potem uruchamiamy napęd i akceleratory. Wynośmy się stąd, zanim spieprzymy ten sukces.

– Tajest!

Rozkaz dotarł do najbardziej oddalonych jednostek po trzech sekundach. Čwierć minuty później ostatni ludzie zniknęli z Sankt Petesburga. W pobliżu strefy skoku pozostały tylko dryfujące w bezkresnej pustce chmury szczątków...

Czwarty, ostatni tom  
*Pól zapomnianych bitew*  
już wkrótce!

# Spis treści

\* \* \*

NA KRAWĘDZI ZAGŁADY

PROLOG

Część pierwsza. ROZDROŻA

JEDEN

DWA

TRZY

CZTERY

PIĘĆ

SZEŚĆ

SIEDEM

OSIEM

DZIEWIĘĆ

Część druga. CZAS DECYZJI

JEDEN  
DWA  
TRZY  
CZTERY  
PIĘĆ  
SZEŚĆ  
SIEDEM  
OSIEM  
DZIEWIĘĆ  
DZIESIĘĆ

Część trzecia. BITWA

JEDEN  
DWA  
TRZY  
CZTERY  
PIĘĆ  
SZEŚĆ  
SIEDEM  
OSIEM  
DZIEWIĘĆ  
DZIESIĘĆ  
JEDENAŚCIE  
DWANAŚCIE  
TRZYNAŚCIE

[Spis treści](#)

[Strona redakcyjna](#)

Copyright © by Robert J. Szmidt 2017  
*All rights reserved*

Copyright © for the Polish e-book edition by  
REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2017

Informacja o zabezpieczeniach:

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

W publikacji wykorzystano czcionkę z rodziny Liberation (<https://fedorahosted.org/liberation-fonts/>)

Redaktor: Urszula Gardner

Projekt, opracowanie graficzne okładki oraz ilustracja na okładce: Tomasz Maroński

Wydanie I e-book  
(opracowane na podstawie wydania książkowego:  
*Na krawędzi zagłady*, wyd. I, Poznań 2017)

ISBN 978-83-8062-814-4

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.  
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań  
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40, fax 61-867-37-74  
e-mail: [rebis@rebis.com.pl](mailto:rebis@rebis.com.pl)  
[www.rebis.com.pl](http://www.rebis.com.pl)

e-Book: Sławomir Folkman / [www.kaladan.pl](http://www.kaladan.pl)